

SVEN HASSEL

ZLIKWIDOWAĆ PARYŻ

Tytuł oryginału Liquidate Paris

Przekład Bartosz Lewandowski i Katarzyna Kopec

Projekt graficzny Henriette Tost Cover designed Henriette Tost

WYDANIE DRUGIE

Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2009

* Tak się zastanawiam * zagałę Mały, przysłaniając sobie oczy ręką i kierując wzrok w stronę horyzontu * czy dałoby się dotrzeć stąd do Anglii wplaw?

* Prawdopodobnie tak * odparł Legionista, nieco znudzony.

* Gdybyś był rybą * dodał Stary.

* I miał wystarczające zapasy żywności.

* Tyle, że by to trwało nielichy kawał czasu. * Hmm.

Mały znów zagapił się w morze, marszcząc brwi i drapiąc się w głowę.

* Ktoś tego już kiedyś dokonał? * spytał w końcu.

* Pewnie. Tyle, że nie stąd. Z tego miejsca nigdy nie wyruszają.

* A gdyby tak wypłynąć stąd, to gdzie by się dopłynęło? * ciągnął dalej Mały, któremu na pewno nie można było odmówić uporów w drażeniu raz rozpoczętego tematu.

Legionista wzruszył ramionami.

* Zabij mnie, a nie wiem... Może do Dover? * Dupa, nie Dover * rzucił Heide. * W bezpośredniej linii stąd po drugiej stronie znajdziesz Brighton. Dover nawet nie jest w pobliżu.

* No to ile to może być kilometrów? * Mały nie przestawał.

* Ee... ze trzydzieści. Albo osiemdziesiąt. W każdym razie w cholerę dużo.

* No to może spróbujemy? Na to Stary się uśmiechnął.

* Poszedłbyś na dno jeszcze zanim byś przepłynął połowę dystansu.

* Może się założymy?

* Czemu nie? Wynik jest oczywisty!

* Raczej! * mruknął Barcelona. * Poza tym jest jeszcze jedna sprawa. Gdybyś zboczył z kursu, co akurat byłoby bardzo możliwe, bo jeden fragment morza od drugiego niczym się nie różni, to nie wiadomo, gdzie byś wylądował. Przy odrobinie szczęścia dotarłbyś do wybrzeża Irlandii, ale gdybyś je ominął, to musiałbyś płynąć aż do Grenlandii.

* A ja i tak bym zaryzykował ~ odparł Mały. * Wolę do końca życia marznąć w pieruńskim oceanie, niż dalej walczyć w tej zasranej wojnie.

I choć to może się wydawać absurdalne, naprawdę zaczęliśmy przygotowywać się do tej przeprawy. Każdego dnia dopływalismy nieco dalej niż dnia poprzedniego, za każdym razem posuwając naprzód granicę naszej wytrzymałości, trzymając się zasady, że najsłabszy musi się dostosować do najsilniejszego. Dla mnie pomysł dopłynięcia do Grenlandii zakończył się w dniu, kiedy to prawie utonąłem wskutek skurczu. Gdyby nie Gregor, mój udział w tej wojnie by się już skończył. Jednak pozostali dalej naciskali na prowadzenie programu przygotowawczego. Wrócili o północy, kompletnie wyczerpani, ale w radosnym uniesieniu deklarujący, że na horyzoncie widzieli wybrzeże Anglii.

* Jeszcze ze dwa tygodnie * oznajmił Mały * i moim zdaniem damy radę.

Nie dane im było spróbować. Z przyczyn zupełnie nam nieznanych, podwojono punkty obserwacyjne wzdłuż całego wybrzeża i zanim Mały ze swoją ekipą niedoszłych pływaków * zdobywców Kanału La Manche * zdołał obmyśleć sposób na ich ominięcie, historia położyła kres ich ambicjom przy pomocy lądowania w Normandii. Wojna raz jeszcze wtrąciła się w nasze życie.

Rozdział 1

ZERO LITOŚCI W SEKTORZE 91

Ciskali granaty w sam środek naszej grupy. Bunkier przyjął bezpośrednie trafienie i niczym pijany przechylił się na bok, z jednym bokiem głęboko wbitym w piach i drugim unoszącym się w kierunku nieba. Dach zapadł się gdzieś pośrodku.

Moim zdaniem pociski granatnikowe są nawet groźniejsze niż bomby. O wiele straszniej grają na ludzkich nerwach. Wydają z siebie piekielny dźwięk, a padają z reguły tam, gdzie się ich najmniej spodziewasz. W przypadku bomby jest przynajmniej jakaś szansa na obliczenie przypuszczalnego miejsca uderzenia.

Kolejna eksplozja. Bunkier przyjął drugie bezpośrednie uderzenie. Tym razem dach już całkowicie się zawalił. Na głowy poleciał nam deszcz piachu i ziemi, obok nas pękły wielkie sztaby betonu, w oka mgnieniu zgasły wszystkie światła. Ci, którzy mogli to zrobić, wydostali się na zewnątrz.

Majora Hinkę wyrzuciło głową do przodu i z łoskotem wylądował na stercie gruzu. Ostrożnie się podniósł. Twarz miał

zakrwawioną, a mundur w strzępach, z rozdartego rękawa groteskowo wystawał kikut jego prawej ręki. To już dwa lata minęły od czasu, jak ją stracił. Kikut nigdy nie został do końca zaleczony. Z ruin zniszczonego bunkra wybiegła piszcząca horda szczurów. Jeden ze szczurów, spanikowany, natarł na majora. Przywarł do jego klatki piersiowej, odrzucił w tył swój obrzydliwy pysk, ukazując rząd ostrych, żółtych zębów. Mały zdzielił go na odlew ręką i posłał lotem parabolicznym na ziemię, gdzie zwierzę zostało przez jego towarzyszy schwywane i rozszarpane na strzępy.

Gdzieś z oddali artyleria marines nie przestawała nas ostrzeliwać, stopniowo obracając w ruinę solidne, betonowe mury, które chcieliśmy wykorzystać do ochrony. Nacierają na nas świeże oddziały piechoty, ale dawaliśmy im odpór wiązkami ręcznych granatów. Mały w swej nieostrożności zbyt mocno zabijał granatem, gdy próbował pomagać w wyciąganiu ze schronu jednego z ocalałych. Zamarłem z przerażenia widząc, jak zawleczone wysunęła się do połowy długości, podczas gdy Mały zdawał się tego w ogóle nie zauważać. Jednak wystarczająco dobrze znał się na granatach. W tej materii byliśmy, że tak to ujmę, mistrzami. Mały ciskał granaty na odległość 118 metrów, w moim przypadku było to 110 metrów. Jak do tej pory nikt nie był w stanie poprawić naszego wyniku.

Tymczasem zabawa trwała w najlepsze od kilku godzin i pomału zaczynała nam się już nudzić.

Czuliśmy się, jakbyśmy byli wewnątrz olbrzymiego bębna, w który wali milion maniaków. Po pewnym

czasie zmysły stają się zbyt otępiełe i wszystko wokół traktuje się jak zwykły hałas stanowiący tło dla wydarzeń.

Porta zaproponował, by zagrać w oczko, ale czy ktoś w ogóle mógł się skoncentrować na graniu w karty? Nerwy mieliśmy napięte jak struny, nastawialiśmy ucha w oczekiwaniu na każdą zmianę barwy dźwięków towarzyszących piekłu szalejącemu wokół nas. To, co działo się w tym momencie, było jedynie dziecinną przygrywką do tego, co z pewnością miało nastąpić niebawem. Prędzej czy później musieli rozpocząć frontalny atak. Atak, który w założeniu miał nam przynieść zagładę. Boże Jedyny, niech tylko nie używają miotaczy płomieni! Jeśli ich użyją, to po nas, a wiedzieliśmy, że tamci ani nie oczekują litości, ani nie mają zamiaru jej okazywać. Przecież bezpośrednio do nas skierowali słowa, że poddanie się to nasza jedyna słuszna droga, albo będą z nami tak długo walczyć, aż ostatni z naszych ludzi zostanie obrócony w proch. Pewnie, że to propaganda. Sami przecież wciskamy im identyczny kit. Skoro już poruszony został ten temat, to z groźbą miotaczy czy też bez niej, powinniśmy walczyć do upadłego, przyparciu do muru, ale bez

śladu myśli o poddaniu się w naszych doskonale wyćwiczonych umysłach.

Stary stał samotnie w rogu, delikatnie chwiejąc się z boku na bok. Szklanym, pustym wzrokiem wpatrywał się w hełm, który trzymał przed sobą w obu dłoniach. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że obserwuję, jak dwie strużki łez torują sobie drogę na jego osmolonej, pokrytej warstwami kurzu twarzy. Oto

stoi przede mną człowiek, pomyślałem, który nie jest już w stanie dłużej znosić obrzydliwych smrodów, dźwięków i widoków związanych z wojną.

Atak bombowy nie ustawał. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, dach naszej nowej kryjówki zawalił się wprost na nasze głowy. Przez chwilę wokół panował chaos i zamieszanie. Moja głowa, niczym zwariowana taśma dalekopisu, produkowała ciągle tę samą myśl: „A więc tak czuje się człowiek żywcem zakopany. A więc tak czuje się człowiek żywcem zakopany. A więc tak czuje się...”. I wtedy nagle okazuje się, że stoję wyprostowany obok Małego i razem próbujemy utrzymać ciężką belkę i zapobiec dalszemu osuwaniu się ziemi. Mały słowem się nie odezwał, tylko stał * pocąc się i zaciskając zęby. Miałem wrażenie, że wszystkie kości łamią mi się pod olbrzymim naporem. Część mnie pragnęła, by Mały dał sobie spokój z tą nierówną walką, przez co i ja, bez uszczerbku na swym wizerunku, mógłbym dać sobie spokój ze swoją porcją ciężaru i w spokoju ducha upaść i umrzeć pod zwałami gruzu. Jednak Mały stał twardo dalej i zanim zdążyłem okryć się hańbą, nadciągnął Gre*gor z ciężkim młotem i jakimiś podpórkami. Jeszcze nas żywcem nie zakopano, ale niewiele nam do tego brakowało.

Jedna strona kryjówki nadal była bardzo niebezpieczna, więc zbiliśmy się do kupy, zapaliliśmy papierosy i bez słowa puściliśmy w obieg butelkę calvadosu. Jedyne dźwięki, jakie się wokół rozlegały, poza tymi związanymi z bitwą rozgrywającą się na zewnątrz, to żalosne zawodzenie rannych. Jeden

dzieciak, może siedemnasto, a może osiemnastoletni, był przeraźliwie w agonii, leżąc w rogu z nogami zmiażdżonymi przez ciężkie działo. Jakoś zdołali go wyciągnąć i do oporu naszprycowali morfiną, ale szanse na przeżycie miał moim zdaniem nikłe. A już na pewno nigdy sobie nie pochodzi.

Porta schylony szukał między nogami innych swoich kart, które podmuch rozrzucił na wszystkie strony. Legionista spokojnie rozwinął małą, zieloną matę i zaczął grać w kości, rozgrywając mecz na punkty pomiędzy swoją lewą i prawą ręką. Reszta z nas stała, siedziała albo zbiła się razem w kupę w atmosferze takiego napięcia, że przywodziła ona na myśl cięciwę łuku. Osiągnęliśmy już taki poziom ekstremalnego przerażenia i napięcia, że za nimi czaiło się tylko szaleństwo, a każda przypadkowa uwaga albo banalny incydent mogły przemienić nas w dzikie bestie, wbijające ostre pazury w swoich towarzyszy. Druga fala szurów okazała się wybawieniem, ponieważ dała usprawiedliwienie gwałtownym reakcjom, przez co najprawdopodobniej uniknęliśmy małej katastrofy.

Godziny mijały powoli, jakby z ociąganiem, jedna po drugiej niczym podczas zdyscyplinowanej procesji i wlekły się tak ku nowemu dniowi albo nowej nocy. Nie wiedzieliśmy, która w danej chwili była godzina, ani jak długo już tam siedzieliśmy. Po prostu siedzieliśmy i czekaliśmy. Nic innego nie mogliśmy zrobić. Niektórzy palili fajki, inni rozmawiali, jeszcze inni spali. Większość po prostu siedziała gapiąc się przed siebie. Legionista dawno już zdążył zrolować swoją zieloną matę, natomiast Mały dobył harmonij

ki i począł nam przygrywać * wciąż te same dźwięki w liczbie sześciu. Kilku go za to zbluzgało, ale większość znosiła ten koncert w milczeniu. Jeśli jest jedna rzecz, której armia bez wątplenia jest w stanie nauczyć, to cierpliwości.

Na zewnątrz nic nie wskazywało na to, czy był to dzień czy nastąpiła noc. Gęste chmury dymu niczym całun zawisły pomiędzy niebem a ziemią. Trudno było sobie wyobrazić, by ktokolwiek, nawet i cokolwiek, mogło przeżyć ten napór.

W pewnym momencie Porta wyciągnął czterdzieści dziewięć kart, które udało mu się odzyskać ze swej talii, i zaczął rozdawać je najbliższym sąsiadom, ale nawet jego entuzjazm musiał zgasnąć w obliczu naszej absolutnej apatii. Po pierwsze, właściwie niemożliwe było dojrzeć swoich kart bez ciągłego korzystania z zapalek, a po drugie * komu do diabła mogło zależeć na wygranej?

* Nawet oszukiwać nie ma po co, w mordę * Porta burknął zbierając talię i nerwowo tasując karty. Nikomu nie chciało się nawet zaprzeczyć. Po prostu dalej oddawaliśmy się naszemu męczącemu zadaniu oczekiwania.

* A może byście tak coś kurwa zjedli, zamiast beczynnie na dupach siedzieć!

Porta obrzucił nas wszystkich zasmuconym wzrokiem. Żadnemu z nas nie drgnął choćby jeden mięsień twarzy. Porta wzruszył więc obojętnie ramionami, wyciągnął swoje żelazne racje żywności i zaczął je pałaszować. Gapiliśmy się wzrokiem pozbawionym wyrazu. Nawet major Hinka nie zdobył

się na żaden komentarz, chociaż otworzenie żelaznych porcji, nie wspominając już o ich konsumpcji, było absolutnie zakazane, chyba że zezwolił na to wcześniej oficer dowodzący. Porta dalej beznamiętnie przeżuwał, wykorzystując bagnet w roli widelca. Kiedy skończył jeść, popił posiłek wodą używaną do chłodzenia karabinów maszynowych. Nikt nie protestował. Wszyscy mieli to gdzieś. Komu by się w końcu chciało chłodzić karabiny maszynowe, gdy lada moment wróg mógł nas swym ogniem rozerwać na strzępy? Porta, najwyraźniej niewzruszony w swej postawie, zakończył konsumpcję czynnością czyszczenia jedyne go zęba, jaki mu pozostał, kawałkiem oleistej szmaty, której używa się do czyszczenia karabinów. Potem rozsiadł się z rękami założonymi za głowę i promienistym uśmiechem zadowolenia na ustach, jak gdyby przed chwilą zjadł trzydaniowy posiłek zakropiony butelką wina.

Siła bombardowania w końcu zaczęła słabnąć. Powstaliśmy z ziemi bardzo ostrożnie, podnieśliśmy karabiny, odsunęliśmy opancerzenie przykrywające otwory strzelnicze bunkra i ustawiliśmy ckm*y we właściwej pozycji. Jeśli ktokolwiek nadal żył w tym piekle, które się roztaczało na zewnątrz przed naszymi oczami, to trzeba to nazwać jedynie cudem. Od czasu, gdy ostatni raz wyglądaliśmy na zewnątrz, sceneria zmieniła się nie do poznania. W promieniu wielu mil teren usłany był wrakami. Instalacje z drutem kolczastym, których założenie Rommel z taką czułością nadzorował, znikły kompletnie. Major Hinka podjął kilka desperackich, acz zakończonych niepowodzeniem, prób nawiązania kontaktu z bazą przy pomocy telefonu polowego. Telefonu nie było, nie było też bazy. Wszystkie pozycje, które wcześniej zajęliśmy, zostały zmiażdżone przez bombardowanie.

W tym momencie wróg wylewał się z pojazdów desantowych i w liczbie wielu tysięcy zajmował pobliskie plaże. Szła fala za falą postaci ubranych w mundury khaki, którym nawet przez myśl nie przechodziło, że być może nadal czeka ich tu jakiś opór. Przecież, czy ktokolwiek mógł przeżyć tę nawałnicę i stawić im czoło?

I właśnie wtedy włączyły się moździerze, wysyłając nieprzerwaną lawinę granatów w sam środek hordy w mundurach khaki. Na krótką chwilę piechota zawahała się i cofnęła, najwyraźniej zszokowana niespodziewanym przyjęciem. Jednak oficerowie nie dali im chwili wytchnienia. Krzykiem wydawali polecenia i niecierpliwymi gestami oraz ruchami głowy poganiaли swoich ludzi do ataku. Serie z ckm*ów prześlizgnęły się po pierwszych szeregach, kosząc tuziny żołnierzy każdą oddaną serią. Miotacz ognia w rękach Porty posyłał im jęczory piekielnego ognia, który liznął to tego, to owego. Wypełziliśmy z naszej grobowej nory i patrzyliśmy, jak umierają. Tym razem była nasza kolej na sianie śmierci w ilościach hurtowych. Figurki w kolorze khaki przewracały się jedna na drugą, deptały swoich zmarłych towarzyszy, potykały się i chwiały, ale parły dalej do przodu. Widziałem, jak jeden z żołnierzy potknął się o stertę gruzu i nadział na ukryty drut kolczasty. Jego wrzask

brzmiał okropnie nawet i dla mojego podekscytowanego ucha. Poczulem ulgę, gdy przeszła go seria z ckm*u, prawie przepołowiając biedaka. Przynajmniej ustały te jego wrzaski.

Major Hinka niespodziewanie poderwał się i wybiegł na otwartą przestrzeń, krzycząc na nas, byśmy za nim podążyli. Ruszyliśmy na rozkaz. Na czele biegli Mały i Legionista. Ja targałem karabin przewieszony przez ramię na pasku. Używając wolnej ręki szarpałem za granaty zaczepione na pasie i cisnąłem je w kierunku stłoczonej masy wrogów. Wszędzie wokół ludzie wrzeszczeli, pokrzykiwali, strzelali, wisieli zaplątani w drut kolczasty, umierali bezgłośnie na przesiąkniętym piasku. Na wprost mnie stanął żołnierz w mundurze khaki. Zgubił gdzieś swój hełm. Najpierw kolaniem trzasnąłem go w żołądek, po czym znokautowałem go ciosem kolby

karabinu, pozostawiłem go tam leżącego i pobiegłem dalej. Nagle zdałem sobie sprawę, że tuż obok mnie biegnie Barcelona. Brnęliśmy dalej naprzód, a nasze ciężkie buciory chlupotały w morzu krwi i ciał.

Wróg był w odwrocie. Najpierw powoli, potem zwiększając stopniowo tempo, aż wszystko skończyło się szaloną ucieczką do morza, której towarzyszyło porzucanie uzbrojenia, masek gazowych i hełmów. Oto nadeszło nasze pięć minut, zatriumfowaliśmy. Tylko jak i po co, dla kogo to zrobiliśmy, jaka była nasza motywacja? Za Ojczyznę? Za Fuhrera? Ażeby zdobyć sławę, medale, awanse, w imię honoru? W żadnym razie. Nic z tych rzeczy. Kierował nami tylko i wyłącznie instynkt. Za wszelką cenę chcie

liśmy zatrzymać coś bardzo cennego * nasze życie. Każda minuta to koszmar. W jednej chwili walczysz ramię w ramię z towarzyszem broni, a chwilę później odwracasz głowę i widzisz, że to, co kiedyś było istotą ludzką, teraz jest już niczym więcej, jak tylko krwawą papką zmielonego mięsa i pogruchotanych kości. I na kilka chwil cię to zupełnie rozbija, czujesz, że łyżę cię dławią, walisz się po głowie kolbą karabinu i masz wrażenie, że za chwilę postradasz zmysły; masz już tego dosyć. A mimo to kilka sekund później znów wchodzisz w samo centrum bitwy, walcząc ze śmiertelną powagą, nienawidząc wszystkich i wszystkiego, walcząc chcesz zabijać i zabijasz dla przyjemności.

Gdy tylko nadszedł moment spokoju, myśli Porty znów zwróciły się ku jedzeniu. W życiu nie widziałem, by ktokolwiek jadł tyle i tak często, jak ten facet. I podczas gdy ten znów opychał się żarciem, Mały rozpoczął swą rutynową, makabryczną inspekcję ust zabitych żołnierzy w poszukiwaniu złotych zębów, które ostrożnie wyrывał i wrzucał do małej torebki zawsze obecnej przy jego boku. Stary zwykł się w tym temacie pieklić, mamroczać coś o zaciągnięciu go przed oblicze sądu wojennego, jednak póki co nie wynaleziono jeszcze takiej groźby, która mogłaby wyrzucić na Małym jakiegokolwiek wrażenie.

Większość z nas wyciągnęła się na ziemi za betonowym bunkrem i obserwowała, jak Porta otwiera swoje zdobycze wojenne w postaci puszek, które skądś wcześniej zagrabił. Pierwsza puszka zawierała smar do konserwowania karabinów. To samo było z drugą. I trzecią, i czwartą. Debil jeden, najwyraźniej okradł jakiś skład broni. I był jedynym, którego powyższe najwyraźniej w ogóle nie śmieszyło i, w rzeczy samej, przeszedł do gróźb, zapowiadając, że zaraz komuś odrąbie łeb, ale tylko do momentu, gdy Legionista przykuł jego uwagę sugestią, że powinniśmy przyczepić puszkę ze smarem do ręcznych granatów, oba elementy razem przywiązać do laski fosforu i cisnąć w kierunku oddziałów wroga. Gdyby Stary zdecydowanie nie tupnął nogą na tę sugestię, Porta bez wątplenia raz na jakiś czas próbowałby użyć swojej nową broń.

Atak rozgorzał na nowo. Karabiny maszynowe rozgrzały się do białości. Barcelona obsługiwał wielki moździerz, jego stałowe rękawice wisały w strzępach. Nie było chwili wytchnienia, momentu na wyrównanie oddechu, ani chwili na rozmyślanie. Albo my ich, albo oni nas * tak to generalnie wyglądało i obie strony taplały się po kostki we krwi. Piaszczysty obszar, który nas dzielił, wcześniej gładki i srebrzystego koloru, obecnie rozbabrany, przemienił się w lepłą, rdzawobrazową maź.

W oddali, na morzu, wyrastał istny las masztów. Pomiedzy pełnym morzem a plażą setki łodzi desantowych wypluwały z siebie nowe rzesze postaci przyodzianych w kolor khaki. Wielu z tych żołnierzy miało zginąć, nim w ogóle zdolali dotrzeć na suchy ląd. Jeszcze więcej z nich chwiejnym krokiem przebrnęło kilka metrów plaży i padało trupem. A mimo to atak trwał dalej. Wybrzeże Normandii zaatakowała całusińska armia. Gdyby im się to lądowanie nie udało, minęłyby lata, zanim zebraliby wystarczające siły, by móc spróbować raz jeszcze.

Wszyscy jak jeden mąż zdążyliśmy już do tego czasu prawie sfiksować z pragnienia. Przestaliśmy się ceregielić i poszliśmy śladem Porty, chłepcząc wodę przeznaczoną do chłodzenia ckm*ów. Była ciepła, oleista i śmierdziała wręcz niemożliwie, ale w tym momencie ceniliśmy ją sobie bardziej, niż szampana. Zresztą, jeśli już o zapachach mówimy, to nasz smrodek też słodczyń nie zalatywał. W zupełnej obojętności obserwowaliśmy, jak jakiś nieznaną żołnierz spalił się na popiół, trawiony płomieniem koloru czystego błękitu. To efekt użycia przez wroga nowego typu granatów *

zawierały fosfor, który w zetknięciu z powietrzem palił się bardzo gwałtownie.

Rozkazujące dźwięki gwizdków raz jeszcze posłały nas do boju. Nacieraliśmy zatem, niecierpliwie odsuwając na bok umierających i rannych, z których wielu próbowało przywrzeć do naszych stóp, po tym jak dopelzli do nas po nasiąkniętym piasku. Byliśmy jednak w trakcie kontrnatarcia i nie był to ani czas ani miejsce na okazywanie współczucia. Szybko posuwaliśmy się do przodu, wokół słychać było świst przelatujących granatów, wybuchających zarówno po lewej, jak i po prawej stronie. Biegliśmy bezmyślnie, niczym zaślepione roboty. Każdy, kto zatrzymał się, by podumać nad sytuacją, mógł od razu zostać uznany za straconego.

Jeszcze więcej statków, jeszcze więcej łodzi, jeszcze więcej pojazdów desantowych. Odnosiło się wra

żenie, że napływ mundurów khaki lądujących na plaży nie miał końca. Większość z nich to były dzieciaki. Cała ich wiedza sprowadzała się do tego, czego nauczyli się w domu, na strzelnicy, podczas manewrów lub w sali wykładowej. Tutaj mieli przejść chrzest bojowy i niczym szalone niewiniątka biegli prosto na rzeź naszych karabinów.

Pomału wycofywaliśmy się. Anglicy nas gonili. Zwabialiśmy ich tak długo, aż wreszcie znaleźli się tam, gdzie tego chcieliśmy * dokładnie pod nami i w zasięgu naszych miotaczy ognia. Przywarli do ziemi, szukając schronienia za kredowymi pagórkami, które znajdowały się przy plaży. Jeśli o nas chodzi, to schowaliśmy się pośród rumowiska, jakie pozostało z betonowego bunkra, wciskając ciała w kratery oraz leje po bombach. Byliśmy brudni, wycieńczeni, cuchnęliśmy jak capy. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. W głowie pojawiła mi się zupełnie oderwana od rzeczywistości myśl, że moglibyśmy w naszym obecnym stanie zostać porównani do dzielnych wojaków z Norymbergii, prawdziwie lojalnych służących Partii, którzy maszerowali wte i wewte podczas tych swoich niekończących się parad, niczym nakręcane zabawki, z całą ich pompą, wyszorowanymi do czysta gębami, waleniem w bębny, trąbieniem i powiewaniem małymi flagami. My za to leżeliśmy w naszych okopach pokryci grubą warstwą brudu, zawszeni i pokrwawieni, a mimo to jakoś tak czułem, że przy nas te marionetki z Norymbergi wyglądałyby całkiem głupio.

Rzuciłem okiem na towarzysza po mojej lewej

stronie. Wyszczrzył do mnie kły w czymś, co ledwie mogło ująć za uśmiech i w tym momencie do mnie dotarło, że to już nie jest istota ludzka, tylko dzika bestia. Wszyscy byliśmy takimi bestiami, wszyscy, którzy walczyli w tej parszywej wojnie. Narosło we mnie łkające poczucie strachu i gniewu, które mnie dusiło, całe ciało poczęło się trząść, a zęby szczękały. Z całej siły zagryzłem kolbę karabinu, potem zacząłem się wydzierać. Przywołałem krzykiem imię matki, jak to robią wszyscy żołnierze, których nerwy zniecałkowały opuściły. To dość powszechna przypadłość u ludzi na pierwszej linii frontu. Prędzej czy później każdemu się to przytrafiało. A gdy już człowieka nachodziło, to w głowie siedziała tylko jedna myśl: jak najszybciej stąd wypieprzać! Wstawaj, w nogi, do diabła z sądem wojennym, do diabła z więzieniami, lochami i całym tym zaszranym interesem!

To, co mnie bardzo gwałtownie zatrzymało, to kolano wbite w krzyż. Jakaś wielka łapa chwyciła mnie za głowę. Drugie łapsko wbiło mi z powrotem hełm na łepetynę. Spojrzałem do góry i ujrziałem Małego.

* Weź głęboki oddech i spróbuj wziąć się w garść * powiedział, jak na niego całkiem sensownie. * To minie, stareńki, minie... Nie ma po co panikować, dopóki nikt ci jeszcze nie strącił głowy z karku.

Uśmiechnął się do mnie zachęcająco, ale wszystkie jego wysiłki speszły na niczym: nerwy mi puściły, a razem z nimi samokontrola. Widziałem to już wcześniej u innych i pewnie zobaczę jeszcze u wielu. Porta * być może; nawet sam Mały, Stary był już kiedyś bardzo bliski, Legionista przechodził to

już kilka razy, a przecież to stary wyjadacz z czternastoma latami doświadczenia bojowego. Póki co jednak przyszła kolej na moje cierpienia i stałem tak, trzęsąc się cały w niedźwiedzim uścisku Małego. Kawałkiem brudnej ścierki otarł brud z mojej twarzy, wepchnął mnie nieco dalej w ruiny bunkra i wcisnął papierosa w usta. Gdzieś w zakamarku świadomości zanotowałem, że w naszym kierunku podczołgał się Stary.

* Co jest? Nie czujesz się najlepiej? Weź głęboki oddech i spróbuj się rozluźnić. Zaszuj się tu na chwilę i zaczekaj, aż przejdzie. Nie ma co panikować, jeszcze minie kilka chwil, zanim bitwa rozpocznie się na nowo.

Zachowując spokój, wyciągnął plaster samoprzylepny, oderwał kawałek i opatrzył mi długie rozcięcie na czole. Kiedy i jak się go nabawiłem, tego nie mogłem sobie przypomnieć. Moje łkanie nie kończyło się, ale papieros przyniósł mi nieco ukojenia. A przede wszystkim nie byłem już sam. Byłem wśród przyjaciół, których obchodził mój los, którzy potrafili mnie zrozumieć. Wiedziałem, że byli gotowi ryzykować dla mnie życie, gdyby tylko zaszła taka potrzeba i że podzieliliby się ze mną ostatnim okruszkiem chleba. Prawdopodobnie jest to jedyna pociecha, jaką można znaleźć na wojnie * ta niezwykła, bezinteresowna przyjaźń, która rodzi się między ludźmi zmuszonymi razem żyć i walczyć dzień po dniu, tydzień po tygodniu, bez końca.

Stopniowo się uspokajałem. Kryzys minął i wiedziałem, że przynajmniej w tej chwili mogę walczyć

dalej. Oczywiście było, że nastąpią dalsze ataki, że nadejdą niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia. Nie było jednak sensu nad tym rozmyślać, bo w tym rozmyślaniu czaiło się szaleństwo. Stary zaproponował partyjkę kart, więc rozsiedliśmy się w naszej betonowej szczelinie i chłopacy pozwolili mi wygrać. Ja o tym wiedziałem, a oni wiedzieli, że ja wiedziałem, ale co tam * w końcu jesteśmy przyjaciółmi. I nagle, jakoś tak zupełnie bez powodu, zaczęliśmy się śmiać, bo choć życie nadal różowe nie było, to przynajmniej nie było już takim strasznym piekłem, jak chwilę wcześniej.

D*Day + 1. Dzień później...

Kontakt z wrogiem urwał się. Straty po obu stronach były straszliwe. Raptem tylko jedna wioska została w stanie nienaruszonym. Większość została zrównana z ziemią. Porta po prostu dalej jadł. Naprawdę wierzę, że on akurat mógłby zjeść konia z kopytami i nie cierpieć z przejedzenia.

Wysoki, chudy, kościsty, z zapadniętymi oczami i wklęsłymi policzkami, jadł, bekał, pierdział, znowu jadł i znowu bekał, przy czym wiecznie robił wrażenie człowieka umierającego z głodu. I mimo to był okazem dobrego zdrowia. Machina wojenna najwyraźniej zrujnowała mu metabolizm.

Tym razem urządził prawdziwą ucztę. Nigdy więcej smaru do karabinów, odkrył bowiem składzik prawdziwej peklowanej wołowiny. Posiekaliśmy mięso i podgrzaliśmy w naszych hełmach nad piecykiem benzynowym. Porta delikatnie mieszał je ostrzem bagnetu. Mały dodał kapkę rumu, który gdzieś wcześniej zdobył. Do posiłku dołączył nawet

major Hinka. Było to najpyszniejsze danie, jakie mieliśmy okazję zjeść w ciągu wielu dni.

Stałem na warcie w pobliżu karabinu maszynowego. Było to nieprzyjemne zadanie, ponieważ z każdego zagłębienia wylaniała się gęsta mgła, która pokrywała ziemię niczym całun. Od czasu do czasu rakietą lub pocisk smugowy przebijał się przez mgłę. Moi towarzysze spali, leżeli skuleni na ziemi jak psy. Padał delikatny deszczyk, a wiatr hulał gdzieś powyżej linii mgły. Byłem sam i było mi straszliwie zimno. Próbowałem się wtulić jeszcze bardziej w poły mojego wielkiego płaszcza i opuściłem hełm głęboko na uszy, a mimo to deszcz nadal potrafił się przebić i strumieniem zimnych kropli zalewał mi plecy.

Sprawdź karabin. Sprawdź mechanizm strzelniczy, sprawdź wyrzutnię łusek, sprawdź pas z nabojami. Robota żmudna, ale od niej mogło zależeć nasze życie.

Gdzieś poza punktem, w którym, jak sądziłem, znajduje się wróg, usłyszałem ciche pstryknięcie. Złowieszczy dźwięk stali. Co oni znowu mogli nam szykować? Przez kilka minut uważnie nasłuchiwałem, ale nic się nie działo.

W pewnej odległości, po mojej prawej stronie, rósł mniszek lekarski, jaskrawożółty i samotny pośród dziczy. To chyba jedyny kwiat, jaki rósł na przestrzeni wielu kilometrów. Jak wyglądał ten kraj, nim spadła na niego wojna i zasiała w nim zniszczenie? Lasy, pola i krowy. Jaskry i stokrotki. Soczysta zieleń trawy, żyzna ziemia, ładnie przycięte żywopłoty i kręte drogi. A teraz? Wszystko zniekształcone

i pełne krwi. Zastanawiałem się, gdzie podziali się okoliczni mieszkańcy, czy nadal żyją i czy kiedykolwiek tu powrócą.

Bardzo daleko na północy zagrzmiała ciężka artyleria. Niebo nagle przybrało kolor ciemnego

szkarłatu. To pewnie plaża Omaha, gdzie lądują Amerykanie. Popatrzyłem w południowym kierunku, śledząc trajektorię ognistych rakiet, przecinających nocne niebo i niszczących wszystkie formy życia, które znajdowały się akurat w punkcie ich zderzenia z ziemią.

Porta gada przez sen. Najpierw się człowiek wsłuchuje w jego słowa, bo a nuż powie coś interesującego, ale po chwili to zajęcie staje się nudne. Jego nocne monologi są bardzo przewidywalne, bo za każdym razem dotyczą tego samego tematu: jedzenia. Legionista po cichu wydostaje się ze śpiącej pozycji i oddala się w ciemny kąt. Szum, jaki robi, przywodzi na myśl wodospad. Trudno zrozumieć, jak ktoś może spać w takim hałasie, ale co dziwne, oni wszyscy jakoś dają radę. Legionista potykając się powraca na swoje miejsce i stękając ląduje pomiędzy Małym a Gregorem. Mały wysyła przez sen kopniaka. Gre*gor przewraca się na plecy i zaczyna chrapać.

Noc wlokła się niesamowicie. Po jakimś czasie zacząłem śnić, a sen był tak dynamiczny, że wyglądał na rzeczywisty. W tym śnie miałem znów piętnaście lat. Znów byłem w Kopenhadze. Widziałem ulice, mokre i śliskie od deszczu. To właśnie podczas takiej nocy złapali Alexa. Łaziliśmy sobie bez celu, jak większość bezrobotnych dzieciaków w Kopenhadze, gdy nagle pojawili się tamci; ich czterech przeciwko nam dwóm. Jednak postawiliśmy się im i udało nam się uciec, nie przestawaliśmy biec aż dotarliśmy do Havnegade. Jednego z nich kopnąłem w brzuch i całkiem byłem z siebie zadowolony. Obaj nienawidziliśmy glińiarzy. Punktem honoru było stawianie się im, jak tylko potrafiliśmy. Następnego wieczoru nadaremnie czekałem przy restauracji Wivel, w pobliżu stacji, ponieważ Alex w ogóle się nie pojawił. Umówiliśmy się tam, żeby powałęsać się w okolicy kuchni. Czasem pyszał*kowaty szef kuchni otwierał tylne drzwi i rzucał odpadki ze stołu bogatych państwa prosto w ręce zabiedzonych i bezrobotnych. Tego dnia Alex się nie pojawił. I już nigdy więcej nie dane mi było go spotkać. Później dowiedziałem się, że został złapany podczas jednej z cyklicznych „akcji oczyszczania”, razem z jakimś Szwedem (co on do diabła robił w Kopenhadze? Najwyraźniej zabrakło mu zdrowego rozsądku), po czym został wysłany do izby zatrzymań dla nieletnich gdzieś na Półwyspie Jutlandzkim. Alex kilka razy próbował uciec, ale za każdym razem go łapali. Pewnego dnia zobaczyłem jego twarz w gazecie. Zadekował się gdzieś na pokładzie parowca „Odyn” i razem z nim poszedł na dno. Nie jestem do końca pewien, bo to było dawno temu, ale wydaje mi się, że płakałem, gdy to czytałem. Alex był moim przyjacielem. Moim jedynym przyjacielem. Po jego śmierci nigdy jakoś nie udało mi się pozbyć uczucia, że jestem absolutnie sam na świecie.

Czule, a zarazem złowróźnie, przesunąłem ręką po lufie ckm*u. Wystarczyłoby, żebym pociągnął do

tyłu wajchę zabezpieczenia, a już maszyna byłaby gotowa do swojego destruktywnego zadania...

Mój Boże, jak ja nienawidziłem tych ich tak zwanych demokracji, świętoszkowatych tyrad i niekończących się kłamstw! Jakże łatwo jest zasiąść wygodnie i rozdawać porady, gdy się siedzi w ciepłym domostwie, z pełnym brzuchem i rozgrzаныmi stopami. A co z armią 275000 bezrobotnych w Kopenhadze? W samej tylko Kopenhadze? A może by tak ich wszystkich rozstrzelać i mieć święty spokój? To by im rozwiązało kilka z ich demokratycznych problemów.

To ostatnie Boże Narodzenie w Kopenhadze. Jak ja dobrze pamiętam te święta! Pamiętam, jak przygarbiony włóczyłem się po ulicach miasta, trzymając ręce, na których nie miałem rękawiczek, w rozdartych kieszeniach, rozkopując śnieg nogami obutymi w przetarte buty, spoglądając w górę na lśniące światelka na choince na samym środku Radhuspladsen. Nienawidziłem tej choinki. To był symbol samozadowolenia i bezpieczeństwa. Ich bezpieczeństwa, a nie naszego. Podeszedłem do drzewka i zwyczajnie je osikałem, celując w górę, jak tylko najwyżej się dało, po czym odszedłem, zostawiając po sobie parującą plamę moczu na skrzypiącym śniegu.

Samotnie spacerowałem po Vesterbrogade. Za każdym oknem widać było małą choinkę albo małe światelka i błyskotki. Zdrowych i wesołych świąt! Wszystkiego dobrego wam wszystkim z okazji Bożego Narodzenia! Wytarty slogan na ustach wszystkich. Szczęśliwych świąt, wesołych świąt.

Zwykły slogan i nic więcej. Przynajmniej ja nie nadawałem

tym słowom żadnego znaczenia. Spróbuj zapukać do czyichś drzwi i poprosić o kęs pieczonej gęsi

ze stołu wigilijnego, a zanim się obejrzyysz wylądujesz dupą w rynsztoku. A mimo to zwą ten moment czasem dobroci i są z siebie zadowoleni, a z całym światem pojednani.

Pewnego popołudnia, już po Bożym Narodzeniu, spotkałem chłopaka, o którym wiedziałem tylko, że ma na imię Paul. Większość ludzi śpieszyła się do kina, bo tego dnia akurat zmieniał się repertuar i pokazywano nowe filmy. Pamiętam, że było dużo filmów o wojnie, a jeden o śmierci Ala Capone. Wszystkie bardzo krwawe i bardzo pasujące do czasów wojny. Paul i ja siedzieliśmy w restauracji, pijąc kawę na spółkę i zagryzając croissanty. Dalej na tej samej ulicy był komisariat policji, więc żaden z nas nie czuł się do końca na luzie.

* Co byś powiedział na ofertę pracy? * rzekł Paul po chwili.

Wyrzekł to pytanie bardzo swobodnie, jak gdyby oferty pracy były codziennością.

Popatrzyłem na niego, sceptycznie unosząc brew.

* Prawdziwa robota, z prawdziwymi tygodniówkami płaconymi w każdy piątek * powiedział, znowu jakby od niechcienia.

* Spadaj * powiedziałem.

* Ale ja mówię serio.

Nastała chwila ciszy. Spojrzałem na niego wyzywająco, nie wierząc ani jednemu słowu, prowokując go, by kontynuował i do końca się określił. Po chwili po prostu wzruszył ramionami.

* Myślałem, że będziesz zainteresowany. Dostałem adres * na terenie Niemiec. Brakuje im w tej chwili rąk do pracy, dasz wiarę? Są gotowi uczyć cię fachu i równocześnie płacić kasę. To jest jakaś fabryka... Mówią, że po roku można zaoszczędzić całkiem niezłą sumkę.

Siedziałem przez chwilę w milczącym oszołomieniu. Robota... tygodniówka... pełen brzuch, ciuchy na grzbiecie i prawdziwe łóżko do spania... Nawet teraz trudno mi było w to uwierzyć. Zanim zdążyłem zadać jakieś szczegółowe pytania, właściciel kafejki podszedł do nas, machając wściekle w kierunku drzwi: był tu pewien limit długości siedzenia i gawędzenia za jedną kawę i jednego croissanty.

Piętnaście dni później razem z Paulem przybyliśmy do Berlina, po podróży w lukach pociągu towarowego. Niedługo później Paul zginął podczas wypadku w fabryce, a ja w rezultacie wstąpiłem do armii.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jadłem trzy posiłki dziennie. Noce spędzałem w łóżku.

Praca była ciężka, choć ta w fabryce była jeszcze cięższa. Pomału przybierałem na wadze, zapadnięte policzki nieco mi się zaokrągliły, mięśnie rozbudowały. O moje popsute i połamane zęby zatroszczył się armijny dentysta * była to usługa obowiązkowa i, rzecz jasna, darmowa.

Otrzymałem elegancki mundur i poznałem smak luksusu zmiany pościeli raz w tygodniu. Nagle stałem się istotą ludzką. Pojąłem, co to znaczy być szczęśliwym.

No i wtedy wybuchła wojna, a wraz z nią nastął

koniec mojego świeżo odkrytego szczęścia i radości z życia. Towarzysze, z którymi mieszkałem, albo zginęli, albo zostali kalekami, albo przeniesiono ich do innych jednostek. Jako żołnierze przestaliśmy być istotami ludzkimi, lecz za to staliśmy się niezbędnym podczas wojny towarem. Byliśmy koniecznie potrzebni do kontynuowania gry na takiej samej zasadzie, jak czołgi czy miny lądowe. Czasy świeżej pościeli i darmowej opieki dentystycznej odeszły w zapomnienie. Byliśmy brudni i obszarpani, zawszeni i cuchnący. Eleganckie szarozielone mundury, z których kiedyś byliśmy tacy dumni, wyblakły do postaci i konsystencji starej szmaty do podłogi. Pułk stracił swoją tożsamość, wymieszał się z resztą maszyny wojennej. No i wydawało się, że jest wiecznie w drodze. Maszerowaliśmy w deszczu, maszerowaliśmy w słońcu, w ekstremalnych upałach i podczas ekstremalnych mrozów, w śniegu i mgłę, po lodzie i w błocie. Gasiliśmy pragnienie w basenach pokrytych brudem, piliśmy wodę z rowów.

Obwiązywaliśmy sobie stopy szmatami, gdy nasze buty były już zdarte. I na co mieliśmy czekać, co nas mogło trzymać przy życiu, dawać iskierkę nadziei? Dla każdego z nas przyszłość rysowała się w jednej z trzech opcji: można było odnieść takie obrażenia, że jako niezdolny do służby zostawało się z niej zwolnionym, można było dostać się do niewoli i przesiedzieć resztę wojny w obozie jenieckim, albo * co najbardziej prawdopodobne * można było wylądować pod płytą nagrobkową, na jakimś zapomnianym cmentarzu.

Sen przerwało mi oślepiające światło flary rozświetlającej nocne niebo. Instynktownie rzuciłem się na ziemię i podczołgałem w kierunku kryjówki. Nie ma potrzeby budzić pozostałych, ponieważ wszyscy zareagowali dokładnie tak, jak ja. Co też mogło się tu dziać, na tej ziemi niczyjej? Odbezpieczyłem ckm. Stary wystrzelił z pistoletu i ziemia natychmiast okryła się surowym światłem flary. Wstrzymaliśmy oddechy i nasłuchiwalismy. Gdzieś z oddali słyszeliśmy warkot ciężkich silników, od czasu do czasu klekot ckm**u*.

* Czołgi * szepnął Gregor nerwowo.

* Nadchodzą z tej strony * zgodził się Porta.

Stary raz jeszcze wystrzelił flarę. Cisza. W ciemnościach poza zasięgiem światła z flary nic się nie ruszało, ale i tak wiedzieliśmy, że coś tam było. Staliśmy usztywnieni, nasłuchując do bólu uszu, uporczywie wypatrując wroga. Pusty rękaw płaszcza majora Hinki powiewał na wietrze. W trakcie, gdy flara wygasła, usłyszeliśmy zgrzyt i szcęk łańcuchów wydobywający się z ciemności. Nadjeżdżały czołgi. Natychmiast ruszyliśmy do boju, przygotowując działa przeciwpancerne. To była cała armia czołgów. Pod ich naporem ziemia trzęsła się i dudniła. Teraz widzieliśmy już pierwszy z nich, posuwający się w naszą stronę szczytem wzniesienia jak część długiej, szarej kolumny prehistorycznych potworów.

Pod krzyżowym ogniem karabinów maszynowych podczołgaliśmy się na teren niczyj i zainstalowaliśmy działo przeciwpancerne typu Pak. Po chwili było już w pełni gotowości bojowej i pociski przez

nie wystrzelone dotarły do celu. Odgłos przypominał grzmot podczas burzy, po czym w niebo wzbijała się czerwona błyskawica. Pocisk zatrzymał się tuż pod wieżyczką czołowego Churchilla i to, co sekundę wcześniej było przerażającą, stalową bestią napierającą, by pożreć swoje ofiary, teraz zmieniło się gwałtownie w gigantyczny fajerwerk.

Pięćdziesiąt metrów na prawo od nas nadciągał Cromwell. Mały obrócił się, położył panzerfaust na ramieniu, przymierzył zamykając jedno oko i nacisnął spust. Wystrzelił długi jęzor ognia. Cromwell podzielił los Churchilla.

Ta sama scena w różnych odmianach powtarzała się jeszcze wielokrotnie. Wiele czołgów stanęło w ogniu, wielu ludzi spłonęło żywcem, jednak mimo to ciągle ich miejsce zajmowała jeszcze większa liczba nowych. Czołgi i ludzie nacierali na nas niekończącym się strumieniem. Zniszczyli nam działo Pak, artyleria wroga bawiła się naszym kosztem. W powietrzu fruwały zwały gruzu i kawałki ludzkich ciał. Gryzący dym wypełniał płuca, palił gardła i oczy. W uszach boleśnie dzwoniło na skutek ciągłych eksplozji. Leżałem płasko na ziemi, z zaciśniętymi pięściami i głową do połowy zakopaną w piasku. Teraz już wiem, dlaczego ludzie używają nazwy Matka Ziemia i składają jej hołd. Nawet, gdy brudna i przesiąknięta krwią, tak jak w tym momencie, nadal daje poczucie bezpieczeństwa.

Kilka metrów od siebie zauważyłem brytyjskiego szeregowca, który tak jak ja leżał płasko na ziemi. W tym samym momencie on również mnie dojrzał.

Śmiem twierdzić, że obaj przygotowywaliśmy się by wzajemnie się zabić. Ja nie chciałem zabijać.

Nie czułem do niego żadnej wrogości, ale z drugiej strony nie chciałem być tym, który zginie.

Całkiem prawdopodobne, że on myślał podobnie. Zasady bitwy jasno określały, że jeden z nas musiał zginąć, więc nie było czasu na zastanawianie się, czy aby na pewno zasady te były dobre, czy też złe. Sprawa była prosta i polegała na tym, aby zabić kogoś, i samemu żyć dalej.

W ręku miałem granat. Niewątpliwie brytyjski żołnierz też go miał. Zębami wyjąłem zawleczkę. Położyłem go i odliczyłem. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery... Granat ze świstem przeleciał w kierunku angielskiego żołnierza. Po drodze minął granat, który z podobnym świstem leciał w moim kierunku, rzucił dokładnie w tym samym momencie. Bez efektu. Zapewne obaj zareagowaliśmy w identyczny sposób, na czas przeturlawszy się tak, by wyjść z pola rażenia, dzięki czemu uratowaliśmy skórę. Podbiegłem w kierunku erkaemu i wystrzeliłem nerwową serię. Wybuchł drugi granat. Tym razem prawie mnie trafił. Tuż przed oczami błysło, a głowa, choć bezpiecznie okuta w stalowy hełm, pękała w szwach. Przez sekundę poczułem strach, ale za chwilę ogarnęła mnie furia. Do tej chwili nie czułem osobistej nienawiści do wroga. Zabicie go było po prostu koniecznością. Teraz jednak stało się perwersyjną

przyjemnością. Z całą pewnością nie miałem zamiaru ginąć na bagnistych terenach Francji. Rzuciliśmy się na siebie. To była zajadła walka na śmierć i życie, wszystkie chwytaki dozwolone. Biliśmy się kolbami karabinów, kopaliśmy się ciężkimi buciorami, cięliśmy bagnietami. Anglik trafił mnie w łydkę i poczułem ostry ból. Zanurkowałem w jego kierunku z nowym zapalem. Na jego nieszczęście spadł mu hełm. Otrzymał ranę ciętą w czoło głębokości takiej, że niemal zmieściłaby się tam ludzka pięść.

Byłem zbyt wyczerpany, żeby kontynuować bitwę. Przez chwilę nie było to konieczne, wróg leżał u moich stóp. Obserwowałem go nieufnie, modląc się o to, by zmarł i tym samym zakończył całą sprawę. Sam mogłem go wykończyć, ale tak samo szybko jak przyszła, tak szybko żądza krwi mnie opuściła. Facet gapił się na mnie bez wyrazu, oddychając szybko i z bólem. Po twarzy ciekła mu krew, strużka ciekła mu z ust. Poczułem się słaby i bezbronny. Bolała mnie noga i gdyby teraz któryś z jego towarzyszy mnie tu odnalazł, to pewnie nie mógłbym się spodziewać z jego strony litości. Odwróciłem się, chcąc odejść, ale świszczący oddech człowieka, którego próbowałem zabić, powstrzymał mnie. Z lekkim zniecierpliwieniem przyklęknąłem przy jego boku, obwiązałem mu głowę bandażem najlepiej, jak tylko umiałem i wyjąłem menażkę z wodą.

* Pij * rzekłem uprzejmie.

Nadal się we mnie wpatrywał, ale nie sięgnął po wodę. Na co czekał, głupiec jeden? Aż mu łaskawie przystawię menażkę do ust, ryzykując, że dostanę nóż między żebra? Zostawiłem wodę w zasięgu jego ręki i popędziłem co sił do kryjówek po naszej stro nie pola bitwy, mimo iż w powietrzu fruwały odłamki i zabłąkane granaty. Znalazłem Legionistę, który skulił się za płonącym wrakiem Churchilla i strzelał krótkimi seriami ze swego MG. W pobliżu zauważyłem też Małego. Jego twarz rozświetlały płomienie i wyglądał iście szatańsko. Z kieszeni wyciągnąłem chusteczkę i ciasno obwiązałem nią swoją nogę.

Wróg został odepchnięty * przynajmniej na chwilę. Mieliśmy trochę czasu na odpoczynek, ale ponieważ mógł on się okazać bardzo krótki, staraliśmy się go jak najlepiej wykorzystać.

Porta głośno konsumował piątą puszkę wołowiny, Barcelona puścił w obieg butelkę ginu, Stary bezwiednie bawił się talią kart. Gdzieś z tyłu, za nami, miasto Formigny stało w płomieniach. Nad Caen latały ciężkie bombowce Wellington, płomienie wzbijały się wysoko w niebo. Ziemia pod nami trzęsła się, jak gdyby oczekiwała jakiejś katastrofy. W porzuconym jeepie Porta znalazł stary gramofon i kilka płyt. Odsluchaliśmy je jedna po drugiej, upajając się dźwiękami muzyki, niespodziewanej odmiany po dobrze nam znanych, strasznych odgłosach bitwy. Gdy przesłuchaliśmy ostatnią z płyt, wróciliśmy do pierwszej. Byliśmy akurat przy trzeciej rundzie przesłuchań, gdy w bladym świetle pojawiła się grupa żołnierzy zmierzających ku nam. Wydawali się nieuzbrojeni. Nieśli flagę z dużym czerwonym krzyżem, taki sam znak zdobił ich hełmy. Mały podniósł karabin, lecz zanim zdążył wystrzelić, Stary wytrącił mu go z rąk.

* Co ty do diabła ciężkiego wyprawiasz?

Mały zwrócił się ku niemu pełen oburzenia.

* A dlaczego oni zawsze zajmują się tylko swoimi rannymi? Co jest nie w porządku z naszymi?

* Jeśli ktokolwiek wystrzeli w kierunku Czerwonego Krzyża * powiedział Stary gniewnie * ten natychmiast dostanie ode mnie kulkę między oczy. Czy wyrażam się jasno?

Przez chwilę panowała cisza, po czym Porta się roześmiał.

* Stary, jesteś na niewłaściwej wojnie! Powinieneś wstąpić do Armii Zbawienia. W okamgnieniu zrobiliby cię tam swoim generałem!

Odwrócił się i splunął, ale Stary słusznie nie dał się sprowokować. Nikt nie próbował nawet podnieść karabinu.

Zabrano ostatniego rannego, ostatnie nosze były już w drodze do linii wroga. Panował spokój. I wtedy, niespodziewanie, w dalszej części okopów młody porucznik wydał z siebie ostry krzyk i osunął się na ziemię. Najwyraźniej skrytobójczy pocisk trafił w cel. Następny pocisk przemknął ze świstem obok nas i w ciągu kilku sekund okrutna walka rozgorzała na nowo. Trzy karabiny maszynowe po naszej stronie odpowiedziały ogniem, zginęło kilku noszowych. Legionista pierwszy zerwał się na równe nogi i biegł przed nami wrzeszcząc, byśmy za nim podążyli, jak to zresztą robił dziesiątki razy wcześniej, czy to na zamrzniętych rosyjskich stepach, czy też na wzgórzach pod

Monte Cassino.

W zajadłej potyczce, która wynikła z tej wymia

ny ognia, zginęła prawie cała drużyna sanitarna jak i ranni, których ta ekipa próbowała wynieść z pola walki. Ziemię po raz kolejny pokryły trupy żołnierzy obu armii. Aby zebrać nowych rannych, potrzebna była kolejna ekipa Czerwonego Krzyża. Atak, kontratak, przerwa. Tym dniem rządziła śmierć. Nie było litości w sektorze 91.

Porta bawił się odbiornikiem radiowym, obracając potencjometry we wszystkie strony, próbując wyłowić donośny dźwięk BBC spośród pozostałych szumów i trzasków, które wylatywały z głośnika.

* Odbiło ci? * powiedział zde gustowany Heide. * Złapią cię kiedyś na tym i odrąbiają łeb bez zadawania zbędnych pytań. Po jakiego czorta wała to w ogóle robisz? Ich słowom nie można dawać wiary, nawet gdy uda się je w końcu dosłyszeć.

Porta podniósł rękę.

* Stul głowę, na litość Chrystusa! Właśnie się zaczyna!

Zabrzmiął dźwięk, jak gdyby ktoś uderzył w wielki gong; był to efekt zamierzony i przerażający.

Następnie usłyszeliśmy zimny i poprawny głos BBC:

* Ici Londres, ici Londres. BBCpour la France... Oczywiście wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, że

prawie cały francuski ruch oporu także słucha tej audycji.

* Ici Londres, ici Londres... Prosimy o uwagę. Oto kilka osobistych wiadomości: „Les sanglots longs des violons de l'automne”. Powtarzam: „Les sanglots longs des violons de l'automne”. *

* Długie łkanie jesiennych skrzypiec

Była to pierwsza linijka wiersza Verlaine'a pod tytułem „La Chanson L'automne”*. I była to wiadomość, na którą wszyscy czekali wiele tygodni. Oberleutnant Meyer z Kwatery Głównej 15. Armii, którego głównym zadaniem było monitorowanie wszystkich audycji BBC, bardzo szybko i w lekkim podekscytowaniu poinformował o tej wiadomości Gubernatora Wojskowego Francji, a także głównodowodzących w Holandii i Belgii. Został potraktowany z pogardą, na którą wedle odbiorców zasłużył. Też mi ważne wiadomości! Jakieś bajdurzenie o jesieni. Facet najwyraźniej musi być kretynem. Oberleutnant Meyer wrzucił ramionami i powrócił do słuchania.

* Ici Londres, ici Londres. Nadajemy kolejne osobiste wiadomości „Les fleurs sont d'un rouge sombre. Les fleurs sont d'un rouge sombre”***.

To był sygnał dla sieci ruchu oporu w Normandii.

* „Helenę épouse Joe. Helenę épouse Joe”****.

To z kolei był sygnał dla całego regionu Caen. Spowodował całą serię prób sabotażu, z których wiele się powiodło: zawały się mosty, wysadzano w powietrze linie kolejowe, przecinano linie telefoniczne. W Kwaterze Głównej 15. Armii w tym momencie zrozumiano, że gdzieś w pobliżu dzieje się coś bardzo złego.

* Czy pan coś z tego rozumie, Meyer? * generał von Salmuth zapytał podenerwowany.

Meyer tylko wrzucił ramionami i powrócił do słuchania.

* Jesienna ballada

** Kwiaty są koloru ciemnoczerwonego

* * * Helena wychodzi za Joe

Przez trzy dni była cisza, po czym wiadomości znów zaczęły zyskiwać na wigorze i wymyślności.

* Ici Londres, ici Londres.... „Les des sontjetes”*. Powtarzam: „Les des sontjetes”.

W rezultacie wielu niczego niespodziewających się niemieckich wartowników straciło życie, a ich ciała z nożami wbitymi w plecy wrzucano do rzek i bagien.

* „Jeanpense a Ritd”**. „Jeanpense a Ritt”.

Spiker wypowiadał hasło bardzo powoli, robiąc pauzy przed każdym słowem.

Porta zaśmiał się zadowolony.

* Co za stek bzdur! Jan myśli o zniszczeniu Rity... Jakoś mi się nie wydaje, żeby facet miał to zrobić. A poza tym, kim oni do cholery są? Kto to jest Jan i Rita? Dla mnie to brzmi jak jakaś bajka dla dzieci.

* To kod* wyjaśniłHeide, który zawsze twierdził, że wszystko wie. * Kiedyś byłem operatorem radia. Takie wiadomości nadaje się cały czas.

* „Le dimanche les enfants s'impatientent”***. „Le dimanche les enfants s'impatientent”.

Ta wiadomość była skierowana do członków ruchu oporu, którzy w Normandii oczekiwali przybycia spadochroniarzy.

* Ici Londres. Za godzinę będziemy nadawać kolejne wiadomości.

* Kości zostały rzucone

** Jan myśli o Ricie

*** W niedzielę dzieci robią się niecierpliwe

Rozdział 2

OSTATNIA GODZINA

Zmarłych owinęliśmy w płócienne całuny i, zanim zakopaliśmy ciała, przy boku każdego z nich zostawiliśmy pustą butelkę po piwie zawierającą dokumenty identyfikujące zwłoki. Naszym zdaniem prędzej czy później, być może już po skończeniu wojny, ktoś będzie musiał zająć się zorganizowaniem właściwych cmentarzy z prawdziwymi grobami i wieloma rzędami małych, białych krzyży. Wydawało nam się, że będzie najlepiej, jeśli podczas wykopywania rozkładających się zwłok będą znać tożsamość każdej ofiary. Stąd pomysł na butelki po piwie i dokumenty. Wydawało nam się to konieczne, by obie strony mogły mieć porządne cmentarze pełne poległych bohaterów. W innym wypadku, co będzie można pokazać przyszłym, młodym rekrutom, żeby wyrzucić na nich wrażenie?

„A oto, panowie, groby naszych wspaniałych żołnierzy, którzy oddali życie za ojczyznę podczas ostatniej wojny... Pod tym krzyżem leży Paul Schultze, skromny szeregowiec, który stracił obie nogi na sku

tek wybuchu granatu, a mimo to pozostał na swoim stanowisku i dał odpór wrogowi. Ten skromny szeregowiec uratował cały pułk. Zmarł na rękach swojego dowódcy, śpiewając patriotyczną piosenkę”.

Na pochówek czekało tyle ciał, że pomału zaczęło nam brakować butelek po piwie. Po poranku spędzonym na ciężkiej pracy grabarza, dostaliśmy pół godziny wolnego na posiłek, po czym wysłano nas na misję rozminowywania..

To zadanie było o wiele gorsze niż chowanie ciał. Życie żołnierza zajmującego się czyszczeniem terenu z min było w powszechnym rozumieniu wszystkich kurewsko krótkie i na pewno niespecjalnie usłane różami. Były tam miny magnetyczne, które wybuchają po zbliżeniu się do nich nawet najmniejszego i nic nie znaczącego kawałka metalu. Dlatego też musieliśmy odłożyć wszystkie metalowe przedmioty, które do nas należały, zdejmując nawet guziki i zastępując je kawałkami drewna. Ponieważ nie dostaliśmy butów na gumowej podeszwie, większość z nas musiała się zadowolić szmatami owiniętymi wokół stóp, jedynie Porta, nasz oswojony sęp, miał szczęście dostać w swoje ręce parę prawdziwych, amerykańskich butów z żółtej gumy.

Na urządzeniu do wykrywania min w ogóle nie można było polegać: reagowało ono nie tylko na miny, ale także na najmniejsze cząstki metalu, więc w rezultacie, w zależności od indywidualnego nastawienia, albo ogarniało nas szaleństwo powodowane wiecznym strachem, albo stawaliśmy się apatyczni z powodu nadmiernego przyzwyczajenia. Obie reakcje oznaczały kłopoty. Aby mieć choć najmniejszą szansę przetrwania podczas pracy z minami, człowiek musi być bez przerwy uważny, mieć nerwy ze stali, postępować cały czas z największą ostrożnością i mieć pewne ręce. Tam, gdzie wydawało się, że jest najbezpieczniej, mogło czyhać największe zagrożenie.

Oczywiście to Rommel był pionierem niewinnej z pozoru pułapki śmierci i zastawianie jej opanował do perfekcji. Mówimy tu o drzwiach, które po otwarciu wybuchają prosto w twarz, o taczkach, które zagrządzają ci drogę, więc po zrobieniu kroku w bok ziemia otwiera się pod tobą; o drzwiach kredensu, które są otwarte, a które po zamknięciu powodują taki wybuch, że kilka

sąsiednich domów wylatuje w powietrze. Do tego dorzucimy jeszcze praktycznie niewidzialny drut, sprytnie schowany pod dywanem liści: żołnierz idący na przedzie zaczepia o niego, po chwili pół kompanii należy do przeszłości.

Do tej pory wiele zdążyliśmy się nauczyć o minach, a im więcej o nich wiedzieliśmy, tym mniej je lubiliśmy. Mieliśmy już do czynienia z minami P2, których cały szereg łączono drutem i wejście na jedną powodowało reakcję łańcuchową. Zналиśmy też i te miny, które można było zniszczyć tylko przez detonację. I te być może najgorsze ze wszystkich, które należało ostrożnie rozłożyć część po części, aby móc dojść do detonatora zrobionego z bardzo cienkiego szkła... Jeśli miałeś życzenie umrzeć lub twój umysł z radością akceptował fakt spędzenia całutkiej godziny w poszukiwaniu jednego, konkretnego elementu

układanki, to wszystko było w porządku i ta praca mogła ci się podobać. Jeśli jednak bardziej przypominasz mnie, pocącego się ze strachu i niezdarnie radzącego sobie z zadaniem, to bez wątpienia będziesz wyglądać jak słoń w składzie porcelany.

Poruszaliśmy się do przodu powoli, w jednej linii, sprawdzając ziemię krok po kroku, bez przesadnego zadowolenia, nawet posuwając się w ogonie, gdzie można było oczekiwać, że człowiek będzie dość bezpieczny. Co dziesięć minut zmienialiśmy lidera (a także gumowe buty). W ten sposób w każdym momencie ryzykowaliśmy życie tylko jednego z nas i wszyscy wiedzieliśmy, że okres wysiłku oraz wytrzymałości miał jakieś ograniczenia czasowe. Trzymaliśmy się w bezpiecznej odległości od siebie, ostrożnie stąpając po śladach poprzednika. Gdy przez kilka chwil wszystko wydawało się w porządku, a nasze serca zwalniały swój szalony galop, gruczoły potowe też jak gdyby troszkę się uspokajały, mrozący krew w żyłach wrzask, gorączkowe machanie rękoma żołnierza na szpicie zatrzymywały nas w miejscu. Wykrywacz min znów wysłał sygnał...

Wszyscy zamieramy w bezruchu. Ten, który akurat miał nieszczęście być chwilowym posiadaczem gumowych butów, wysuwa wykrywacz do przodu, w bok, do tyłu. Namierza miejsce, które sprawia tyle kłopotów, z ociąganiem podpełza obok niego, delikatnie odgarnia górną warstwę ziemi. Mija pięć minut. Pięć minut potu i przerażenia. Tymczasem jedyna rzecz, którą wykopuje, to kawałek szrapnela, fragment pocisku a może granatu. Za

wsze ta sama historia. No, może prawie zawsze.

Dajemy upust napięciu poprzez wybuchy złości i wulgarne słowa, lżenie więźnia, który powiedział, że ten teren jest mocno zaminowany, kierując bluzgi do Służb Informacyjnych, które tę informację przekazały dalej, przez co odpowiadają za nasze przebywanie w tym miejscu. Najwyraźniej więzień łął, a SI to banda łatwowiernych głupców.

Mamrocząc obelgi, w złym nastroju, przyspieszyliśmy nieco nasze tempo. Nagła eksplozja unieruchamia nas. Biedak, który akurat był z przodu, wyleciał z hukiem w powietrze i wylądował na ziemi w tysiącu nierozpoznawalnych kawałków. A więc więzień mówił prawdę, Służby Informacyjne nie są pełne naiwnych głupców, lecz wysoce wykwalifikowanych wywiadowców, którzy odwalają kawał dobrej roboty... przy okazji wysadzając nas w powietrze. Może to była mina przeciwczołgowa, specjalnie dla nich przygotowana. Jeśli tak właśnie jest, to już po tobie * właściwie nikt nie przeżywa wybuchu miny czołgowej. Z kolei jeśli to mina przeciwpiechotna, to sprawy nie wyglądają aż tak ponuro: możesz przeżyć, tracąc jedynie obie nogi. No cóż, w czasach wojny nie jest to aż tak wielka tragedia. Dopasują ci dwie całkiem fajne, sztuczne kończyny i, jeśli tylko nie jesteś jakimś wyjątkowym ćwierćmózgiem, to najprawdopodobniej zostaniesz włączony do programu szkoleniowego dla podoficerów. Obecnie jest tam całkiem sporo beznogich kursantów. W każdym razie mogło być gorzej. Możesz się zapisać na trzydzieści sześć lat, po mniej więcej piętnastu, może osiemnastu latach w stopniu Feldwebela, przejść w stan spoczynku w wieku sześćdziesięciu pięciu lat i dostać tłuściutką emeryturkę.

Zatem patrząc na sprawę z ogólnej perspektywy, kiedy tylko nie braliśmy udziału w rozbrajaniu, uznawaliśmy miny za mieszane błogosławieństwo. Z jednej strony ryzykowało się życiem, a z drugiej na szali były jedynie twoje nogi * z czego wynikała wielka korzyść w postaci inwalidztwa i zejścia z pierwszej linii frontu raz na zawsze. Jednak jedno trzeba od razu wyjaśnić: utrata jednej nogi lub jednej ręki nie miała sensu. Albo dwie, albo wcale. Na froncie było wielu nieszczęśliwów posiadających tylko jedną nogę, a tych co mieli tylko jedną rękę było tyłu, że właściwie uważało się

ich za zupełnie normalne, w pełni sprawne jednostki ludzkie. Major Hinka na przykład pożegnał się ze swoją prawą kończyną górną dwa lata wcześniej, a mimo to przez cały czas od tamtej chwili znajdował się w samym środku zawieruchy wojennej.

Przez chwilę była moja kolej na poruszanie się na przodzie kolumny, to ja nosiłem gumowe buty, ryzykowałem utratę życia lub kończyn. Z nerwami napiętymi jak postronki, czekając na pierwszy znak niebezpieczeństwa, ostrożnie pochyliłem się i rozgarnąłem kępę gęstej trawy. Coś tam było... coś metalicznego? Będący tuż za mną Porta i Legionista zatrzymali się. Silna pokusa, by się odwrócić i uciec. Niestety, ta opcja jest wykluczona. Pomalutku pochyliłem się i przyłożyłem ucho do ziemi. Czy ja naprawdę słyszałem ciche tykanie, czy ten dźwięk jedynie podpowiedziała mi moja wyobraźnia tchórza? Czy była to mina magnetyczna, czy z opóźnionym zapłonem? W tym momencie byłem już mokry od potu, zęby szczykały nerwowo o siebie, kolana się trzęsły. No dobra, to na pewno była mina. Chwilowo cicha, ale i tak niebezpieczna. Mniej bym się bał kobry. Koniuszkami palców wyczuwam kształt niewidzialnej anteny, okrągłej kopuły i strasznie cienkiej szybki. Klasyczna mina przeciwczołgowa. To jest właśnie ta chwila. Jeśli chcesz dalej żyć, to kontroluj się, pokonaj strach. Pamiętaj o wszystkim, czego cię nauczili... Dwa palce pod kopułę, dwa obroty w lewo... ale powoli, powoli... Stłuczysz szybkę i po tobie, Svenie, mój chłopcze! Módl się do Boga, by nie było tu żadnego ukrytego drutu, by ta mina nie była połączona z łańcuchem innych min. Te gnojki, które podkładają śmiertelne pułapki, używają do tego celu całej swojej przebiegłości... Dwa obroty. Ten etap został zakończony. Teraz * dwa milimetry do góry, trzy obroty w prawo... Nie rusza się! W mordę biedne, nie rusza się! Co do diaska to może oznaczać? Nowy typ miny? Nie powiedzieli nam o jakimś typie, czy co? Chryste Panie, zabierz mnie stąd! W dupie mam ich sądy wojenne i oskarżenia o tchórzostwo! Ja chcę żyć. Przy odrobinie szczęścia wojna skończy się, zanim zdążą mnie osądzić. Rozsądek podpowiada, by zawrócić i uciekać. Jednak moje ciało spokojnie i z rozmysłem zostaje dokładnie w tym miejscu. No dobra, nadal tu jestem. To co teraz? Wyjąć cholerstwo, zanim je rozbroję?

A czemu nie, przecież to równa się samobójstwu?

Przez cały czas siedzę beczynnym, a mina sobie leży w ziemi, pewnie wielce z siebie zadowolona. I gapi się na mnie. Szydź ze mnie. I wtedy w głowie pojawia się nowy, straszny pomysł * a może to jest to skurwysyńskie ustrojstwo z opóźnionym działaniem? Nadal podtrzymując kopułę prawą ręką, lewą wkładam pod spód miny. Zębami rozrywam kępki trawy, które rosną obok miny. Nie mogliby nauczyć pieprzonych małąp, jak wykonywać tę robotę? One mogłyby używać zarówno rąk, jak i nóg. I pewnie lepiej by tę robotę wykonywały, bo nie musiałyby ciągle walczyć ze strachem. Dlaczego nikt o tym wcześniej nie pomyślał? Wykorzystują gołębie i psy, konie i świny, no to czemu nie małąpy? (W Polsce korzystaliśmy ze świń. Puszczaliśmy je na pole minowe, żeby oczyszczały teren. Problem polegał na tym, że świny mają swą wartość w żywej gotówce, więc uznano, że bardziej oplaca się poświęcać ludzi.)

Ze śmiertelną rozwagą, powoli przyciągnąłem minę do siebie. Była cięższa niż się spodziewałem, ale przynajmniej teraz ją wydobyłem i ukazała się w całej swej strasznej istocie. Wielka, brzydka rzecz. Najchętniej poczęstowałbym ją kopem i wysłał przed siebie drogą powietrzną, ale tę przyjemność należało odłożyć do momentu, w którym już ją skutecznie rozbroję.

Zawołałem innych, żeby do mnie podeszli. Pod*czołgał się Porta razem z Legionistą. Porta, choć nigdy nie przeszedł w tym kierunku formalnego szkolenia, był geniuszem mechaniki, po jednym spojrzeniu na minę obrzucił mnie spojrzeniem pełnym pogardy.

* Ty cholerny idioto! Żeś obracał to badziewie w niewłaściwą, kurwa, stronę. To nie jest normalna, francuska śruba, powinieneś się być domyślić, nawet jeśli to ty na nią patrzyłeś. * Odwrócił się i przywołał Małego. * Przynieś nam szwedzki klucz.

Klucz szybko się pojawił. Porta przez chwilę oglądał minę.

* OK. Skręć ją ponownie do góry.

Potulnie zrobiłem, co kazał. Legionista wytarł spocone ręce w spodnie. Porta podniósł klucz.

* OK, panowie. Trzymać głowy w dół i palce w dupach!

Pochylił się nad miną, nucąc podczas całego procesu jakąś luźną piosenkę:

Co się z nami stanie, moja ukochana?

Czy będziemy smutni czy radość nam będzie dana?

Jak to się wszystko skończy, moje ty malutkie?

Czy zadowoleniem wielkim czy też może smutkiem?

Legionista i ja obserwowaliśmy go usztywnieni, jak człowiek z kijem w tyłku. Porta, absolutnie opanowany, podtrzymał minę obiema rękami.

* No proszę! * wyszczerzył zęby w uśmiechu * Niegroźna, jak niewysiedziane jajko.

Odwrócił się i zabujał nonszalancko, wracając do reszty chłopaków z miną wepchniętą pod pachę, jak

by to była piłka do rugby. Niespodziewanie rzucił ją w kierunku Gregora.

* Trzymaj! Twoja kolej! Ja jej nie dam rady dźwigać!

Gregor wydał z siebie okrzyk przerażenia i zanurkował w kierunku ziemi. Porta stanął nad nim, unosząc brwi.

* Co jest malutki? Coś cię przeraziło?

* Ty głupi gnojku * Gregor spróbował kopnąć Por*tę w nogi. * Ty głupi, porąbany bękarcie!

* Pakujemy ją * powiedział Stary z nutą zmęczenia. * Nie mam nastroju na zabawę i gierki.

Spróbujcie pamiętać, że jak do tej pory straciliśmy już przy tej robocie szczęście ludzi.

* Serce mi krwawi * powiedział Porta. * No dalej, Sven, dawaj mi te gumki. Moja kolej na bycie bohaterem.

Wziął buty i przesunął się na czoło kolumny, jednak już po kilku metrach zatrzymał się, pochylił, zbadał grunt i wykonał ruch w kierunku Legionisty i mnie. Spojrzeliśmy na siebie. Wiedzieliśmy, co się stało: Porta napotkał szeregową minę i potrzebował drugiej osoby do pomocy. Który z nas miał to być? Przez sekundę zawahałem się i wtedy Legionista wzruszył ramionami i ruszył do przodu. Następnym razem będzie moja kolej i już chwilę później żałowałem, że nie zgłosiłem się tym razem, przez co miałbym to już za sobą.

Porta i Legionista czołgali się po ziemi wzdłuż drutu łączącego miny. Dawniej wystarczyło przeciąć ten cholerny drut i mieć dzięki temu spokój, ale nie

stety wróg był teraz mądrzejszy. Obecnie drut był pokrywany cienką warstwą miedzi. Wystarczyło go dotknąć czymkolwiek zrobionym z metalu, a natychmiast przebiegał przez niego prąd i detonował minę. Odkrycie tego nowego triku zajęło nam pewien czas. Wróg był wystarczająco ostrożny i nie zostawiał instrukcji obsługi gdzieś w pobliżu, więc przed odkryciem tego nowego sekretu straciliśmy kilku ludzi.

Ten akurat malutki prezent był przewieszony przez drzewo i podłączony do trzech granatów 10,5.

Porta krzyknął przez ramię, lekko podirytowany.

* No dalej, na litość boską! Przecież nie jesteśmy na mszy!

Moje serce przyspieszyło chorobliwie, gdy zrozumiałem, iż moim zadaniem będzie podejść tam z odpowiednimi narzędziami i usunąć ten cholerny detonator. Nie było to łatwe zadanie. Wielu dobrych ludzi bardzo źle kończyło podczas usuwania detonatorów, a poza tym istniało jeszcze ryzyko, iż wróg przygotował jakąś dodatkową niespodziankę, która miała nas zaskoczyć.

Porta wspiał się na połowę wysokości drzewa i trzymał cztery druty, które były odprowadzone od miny. Podeszedłem bliżej, kurczowo ściskając narzędzia. Mieliśmy do czynienia z miną przeciwczołgową. Detonator nie był większy niż paczka papierosów, ale dla mnie był wystarczająco wielki. Na jednym z granatów jakiś dowcipniś napisał wiadomość: „Do piekła z wami, pieprzone Szwaby”. Wiadomość została podpisana imieniem Izaak. No tak, można było w pełni zrozumieć punkt widzenia Izaaka. Żaden

człowiek o takim imieniu nie miał szczególnych powodów, by nas kochać.

Jakimś cudem szczęście dalej nam sprzyjało. Pozbyliśmy się zarówno miny przeciwczołgowej, jak i dodatkowych pułapek do niej podłączonych, po czym przez kilka chwil odpoczywaliśmy sobie na krawędzi grobu. Siedzieliśmy na ziemi w ciasnym półokręgu i paliliśmy fajki, co zważywszy na okoliczności było zajęciem ściśle zabronionym.

* Coś wam powiem * Porta nagle się odezwał. * Założę się, że gdyby stary Adolf przyszedł tu i przez pół godziny popracował na polu minowym, to nie byłby, kurwa, taki pewny siebie... Zresztą

pewnie też by mu spadła chęć kontynuowania tej choleralnej wojny!

To proste przemyślenie wprawiło nas wszystkich w dobry humor. Siedzieliśmy tak i śmialiśmy się do rozpuku, aż wreszcie dołączyła do nas reszta grupy prowadzona przez porucznika Brandta, który dowodził całą operacją. Brandt był z nami od początku. Od czasu do czasu znikał na kursach szkoleniowych, ale zawsze do nas powracał i patrzyliśmy na niego raczej jak na jednego z nas, a nie jak na oficera, do tego stopnia, że nawet zwracaliśmy się do niego po imieniu i traktowaliśmy go w ten nasz szczególnie sposób, czyli obscenicznie poufale. To był prawdziwy oficer linii frontu i jeden z niewielu ludzi, którzy potrafili wymusić na nas szacunek.

* Cholerne miny * burknął. * Jak tak dalej pójdzie i będzie ich więcej, to wszyscy razem skończymy w wariatkowie.

* Te pieprzone miny będą nam się śniły nawet wtedy, gdy po wojnie będziemy kopać warzywa w ogródku. Zanim sobie przypomnimy, gdzie naprawdę jesteśmy, to będziemy próbować detonować kartofle.

Porta zawsze mówił „kiedy”, a nigdy „jeśli”. Przypuszczam, że większość z nas myślała w kategoriach „kiedy”, choć byliśmy zbyt ostrożni, żeby to powiedzieć na głos. Jednak z jakiegoś powodu nigdy nie byliśmy w stanie zmusić się do wzięcia pod uwagę faktu, iż pewnego dnia może przyjść nasza kolej i skończymy w rowie z butelką po piwie przechowującą nasze dokumenty tożsamości. O śmierci myślało się często, czując krople zimnego potu na plecach, ale w głębi duszy nikt na serio nie wierzył, że pewnego dnia to może przytrafić się i jemu. Całkiem często przed większym atakiem pomagaliśmy przygotowywać zbiorowe mogiły, wykładaliśmy je słomą i zbieraliśmy małe, drewniane krzyże. Mimo to ani razu nie wyobrażaliśmy sobie naszych ciał wrzuconych razem z innymi do tej mogiły, choć śmierć była zjawiskiem powszechnym. Ile razy dziennie słyszało się świszczący dźwięk pocisków z granatnika, czuło dudnienie w momencie, gdy docierały do ziemi, eksplozje, a potem okrzyki bólu, by potem zdać sobie sprawę, że żołnierz, który stał obok ciebie sekundę wcześniej, już nie żyje... Ile razy doświadczyło się takiej sytuacji, że ginęło pół oddziału, że wszędzie wokół leżeli ludzie już zmarli bądź umierający, a ty akurat dalej stałeś niezraniony? Wiedzieliśmy, że szczęście nie może trwać wiecznie, a mimo to instynktownie czuliśmy, że akurat nasze osobiste szczęście z całą pewnością się nie wyczerpie.

Porta znów jadł. Tym razem była to puszka ananasów, którą znalazł w porzuconym amerykańskim jeepie.

* Dziwne, że nigdy wcześniej nie doceniałem smaku ananasów * zadumał się. * Pierwsza rzecz, jaką zamierzam zrobić po zakończeniu wojny, to pójść do restauracji i tak się nawpychać, żeby mi uszami poszło.

To oczywiście była zachęta do rozpoczęcia jednej z naszych ulubionych czynności: zagranie w grę pod tytułem „Kiedy wojna się skończy...” Za każdym razem wracaliśmy do tej dyskusji ożywieni i jakoś nigdy nie straciła ona nic ze swego uroku, choć z całej naszej grupy jedynie Heide wiedział dokładnie, co chce zrobić ze swoim życiem. Już w tym momencie był podoficerem i dawno temu zdecydował, że zgłosi się na szkolenie oficerskie. Mając to na uwadze, poświęcał część każdego dnia, i to bez względu na to, gdzie byliśmy i co robiliśmy, na naukę dziesięciu stron Podręcznika Kampanii Wojskowych. Bezlitośnie się z nim z tego powodu drażniliśmy, a mimo to, być może równocześnie, nieco zazdrościliśmy mu tej jego upartej determinacji do osiągnięcia celu. Wszyscy wiedzieliśmy, choć żaden z nas nie chciał tego przyznać, że zbyt długo byliśmy żołnierzami, by móc powrócić do zwykłego, cywilnego życia. Stary twierdził, że jedynie rolnicy będą mogli z przyjemnością wrócić do swoich czynności przedwojennych i pewnie miał rację. Dla mnie rolnicy to zresztą i tak

była oddzielna rasa. Pokaż im pole ziemniaków lub szereg drzew jabłkowych, a jest duża szansa, że ogarnie ich kompletne szaleństwo. Wielu rolników zdezerterowało z prostej przyczyny * ujrzenia drzewka owocowego w pełnym rozkwicie. Prawie w każdym przypadku dwa lub trzy dni później byli wylapywani i doprowadzani przed oblicze sądu wojennego, gdzie niczym w malignie mamrotali coś o świniami lub śliwkach. Niestety, nie słyszałem jeszcze o sądzie wojennym, który byłby w stanie zrozumieć ten nagły, nieodparty impuls, nachodzący tych ludzi w momencie, gdy stawali w obliczu swej prawdziwej, czystej natury, więc rezultat z reguły bywał jeden * pluton

egzekucyjny.

Minęło już dziesięć godzin od chwili, gdy wyruszyliśmy na naszą misję oczyszczania pola minowego. Dziesięć godzin napięcia, dziesięć godzin marszu po ścieżce śmierci; dziesięć godzin, podczas których nie było miejsca na odpoczynek * bo czy można takowym nazwać dwudziestominutową przerwę tu i ówdzie, podczas gdy praca nie była jeszcze wykonana choćby w połowie?

Wreszcie jednak pomału zbliżaliśmy się do końca. Właśnie umieściliśmy ostatni biały marker oznaczający bezpieczną drogę dla czołgów i za chwilę mogliśmy mieć możliwość relaksu. W momencie, gdy miałem wbić ostatni palik, kątem oka zauważyłem coś ważnego. Znieruchomiałem i popatrzyłem w górę. Pozostali stali sztywno jak figury z brązu i z rozdziawionymi gębami oraz oczami jak talary gapili się przed siebie. Wszyscy kierowali swe spojrzenia na porucznika Brandta. Stał nieco z boku od głównej grupy ludzi, nogi rozstawione, ramiona odsunięte od tułowia... Poczułem, jak strach wycisnął grube krople potu na moich kończynach. Wiedziałem aż za dobrze, co ta dziwna pozycja oznaczała: Klaus stał dokładnie nad miną. Najmniejszy ruch spowodowałby wybuch. Widziałem nawet drut, który do niej prowadził. Klaus na pewno wiedział doskonale jak my, że oto wybiła jego godzina.

Ci, którzy byli najbliżej niego, zaczęli się pomału cofać po swoich śladach, krok po kroku. Oni także byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Drut wskazywał wyraźnie, że mina była połączona z innymi. Tylko jedna osoba wykazywała jakąkolwiek chęć ruszenia do przodu w heroicznej, choć niewątpliwie samobójczej, misji przyścia porucznikowi z pomocą * był to Mały. Musieliśmy go dość brutalnie powstrzymać siłą; potrzeba było nas trzech do tego zadania. Ledwie zdążyliśmy uspokoić Małego, gdy Barcelonę ogarnęło chwilowe szaleństwo i począł pomału czołgać się w kierunku Klausa, który nadal stał na swojej śmiertelnej pułapce.

* Złapcie tego głupiego pojebańca! * wrzasnął Porta.

Twarz porucznika przybrała straszny, ołowiany kolor. To był jeden z najodważniejszych ludzi jakich znałem, ale nawet najdzielniejsi ludzie mogą spuchnąć w sytuacji, w której stoją na odbezpieczonej minie. Już przygotowaliśmy strzykawkę pełną morfiny, wykładaliśmy opatrunki i bandaże. W przypadku, gdyby jakimś cudem udało mu się przeżyć, będziemy potrzebowali całego zapasu opatrunków. Legionista wyciągnął swój rewolwer. Jego zamiar był oczywisty: cokolwiek się wydarzy, Klaus nie powinien cierpieć dłużej, niż to było konieczne. Można to nazwać morderstwem, ale ten facet od sześciu lat był z nami, walczył ramie w ramię ze swoimi ludźmi podczas najstraszliwszych potyczek tej wojny. Kiedy znasz i kochasz kogoś tak, jak my Klausa, nie interesuje cię zbytnio, jak poczuje się cała reszta świata, tylko robisz to, co należy zrobić.

To, że można dać się złapać w tak głupi sposób, przez relatywnie nieskomplikowaną minę, którą zresztą z daleka widać, to jedna z tych niesamowitych ironii wojny, które tak ciężko znieść w spokoju. A mimo to przypuszczam, że zwyczajnie nie da się ich uniknąć. Po pełnych skupienia dziesięciu godzinach w samym środku pola minowego nie powinno dziwić, że człowiek może na sekundę czy dwie stracić koncentrację. Na nieszczęście nawet ułamek sekundy nierozwagi może się w takich okolicznościach fatalnie skończyć.

Porta nagle krzyknął w stronę Klausa:

* Skacz! To twoja jedyna szansa!

Klaus zawahał się * i czy ktoś go może za to winić? Powiedzieć, że to jedyna szansa to jedno; zupełnie co innego mieć wystarczającą siłę, by spróbować swego szczęścia.

Nadal czekaliśmy. Śmierć czekała nie mniej cierpliwie na swą ofiarę, której była pewna.

Po pewnym czasie * po dziesięciu minutach? a może po półgodzinie? po dniu, tygodniu, miesiącu? wydawało nam się, że minęła cała wieczność * Klaus podniósł rękę w cichym, pożegnalnym geście salutowania, ugiął kolana i przygotował się do podjęcia swej jedynej próby...

Przycisnąłem dłoń do uszu. Klaus pozostał w pozycji biegacza, który czeka na znak rozpoczęcia wyścigu. Chyba wszyscy dzieliliśmy z nim cierpienia związane z ostatnimi myślami. Dopóki tak stał, był żywym człowiekiem, w momencie, gdy się ruszy, prawdopodobnie będzie trupem.

Przycisnął koniuszki palców do ziemi, przygotowując się do swojej jedynej szansy. I wtedy nagle

znów się wyprostował.

* Rzućcie mi wasze płaszcze bojowe.

Dziesięć płaszczy poleciało w jego kierunku. Dotarły tylko trzy. Mały znów się zerwał do przodu, jednak Porta natychmiast zdzielił go szpadłem w głowę. Mały z chrząknięciem osunął się na ziemię.

* Podziękujcie mu ode mnie * Klaus rzekł ponuro.

Owinał się trzema płaszcami, jak naj szczelniej chroniąc brzuch i klatkę piersiową. A potem raz jeszcze zasalutował.

* Skacz, na miłość boską, skacz!

Słyszałem swój własny szept, gdy wymawiałem tę komendę, ale mój głos nagle zniknął w zgodnym biciu dzwonów, dzwoniących w całym kraju. Dzwony te oznajmiały wszystkim wyzwolenie Francji. Wiatr przywiał nam szczęśliwe dźwięki kurantów, wykrzykujących, że Francja jest wolna. Ludzie zapomnieli o okropieństwach wojny, do diabła z lądowaniem

w Normandii, zrujnowanymi budynkami, zniszczoną okolicą. Jedyne, o czym w tym momencie myśleli, to fakt, że znów są wolni. Na ulicach żołnierze amerykańscy tańczyli z francuskimi dziewczętami. Viva la France! Mort aux Allemands! Porucznik Brandt napiął mięśnie. I skoczył. Eksplozja, która mogła zniszczyć bębniaki w uszach, zagłuszyła na chwilę bicie dzwonów.

Następnie w górę poleciał jezor ognia... Biegiem ruszyliśmy do przodu. Oderwało mu obie nogi. Jedna leżała przy jego boku, a druga * Bóg jeden wie, gdzie poleciała. Całe ciało miał pokryte oparzeniami, ale nadal był przytomny.

Stary od razu przygotował morfinę, Porta i ja założyliśmy na jego krwawiące kikuty nóg opaski uciskowe. Mundur był w strzępach, w powietrzu unosił się zapach spalonego ciała. Klaus zaciskał zęby tak długo, jak tylko mógł, ale za chwilę zaczął się prawdziwy ból i wrzaski porucznika mieszały się z wesołymi kurantami.

* Więcej morfiny! * zagrzmiał Mały, który odzyskał przytomność po ciosie szpadłem.

* Nie mamy już więcej morfiny * odparł cicho Stary. Mały naskoczył na niego.

* Co to ma do diabła znaczyć, że nie mamy?

* Znaczy dokładnie to, co powiedziałem * odrzekł Stary, odrzucając strzykawkę zde gustowanym gestem. * Nie ma już morfiny.

Cóż jeszcze mogliśmy zrobić? Niezbyt wiele. Mogliśmy jedynie przysiąc obok porucznika i współcierpieć w jego agonii. Ktoś wsadził mu papierosa w usta, które już pomału przybierały siną barwę.

* Wszystko będzie w porządku...

* Miły pobyt w szpitalu...

* Nie umrzesz. Przecież wojna się skończyła...

* Dasz radę. Kiedy wrócimy do bazy...

* Słyszycie te dzwony? Wojna się skończyła!

Koniec wojny, a także rychły koniec życia porucznika. Zmarł w przeciągu kilku sekund, a my powróciliśmy po swoich śladach na pole minowe niosąc go na ramionach, z powrotem pomiędzy białe markery, które on nam pomagał stawiać. To był kondukt pogrzebowy z triumfującymi dzwonami w tle. Mały szedł na przedzie. Porta obstawiał tył, grając melancholijną melodię na swoim flecie. To była „Podróż dzikich łabędzi” * jedna z melodii, które Klaus kochał najbardziej.

Rosjanin, porucznik Koranin z 439. Batalionu Wschodniego, dokonał razem ze swoją kompanią Tatarów niesamowitego odkrycia: w amerykańskim samolocie desantowym, obok trupów trzech żołnierzy amerykańskich, leżała teczka wypchana po brzegi dokumentami. Koranin natychmiast przejął tę teczkę w swoje posiadanie i razem z dowódcą kompanii, który też był zdania, że sprawą powinien natychmiast zająć się generał Marcks, jak najszybciej udali się do tego dowódcy 8. Armii. Generał od razu docenił wartość odkrycia Koranina i czym prędzej przekazał wieści do 8. Armii. Ku jego zdziwieniu i oburzeniu tam zaśmiali mu się w twarz, twierdząc, że opowiada bzdury. Przez chwilę generał Marcks był tak oszołomiony własnym gniewem, że nie był w stanie zrobić nic innego, jak tylko usiąść i wręcz dusić się w niemej furii, podczas gdy jego adiutant taktownie stanął

nico z boku i począł przeglądać zawartość rzeczonyj teczki. Obaj mężczyźni byli przekonani, że dokumenty były prawdziwe.

* Czy uważa pan być może, że Tajne Służby...?

Generał właśnie tak uważał. Tajne Służby powinny być natychmiast zaalarmowane. Nie ma wątpliwości, papiery są najwyższej wagi. Następnym krokiem powinno być skontaktowanie się z generałem feldmarszałkiem von Rundstedtem i poinformowanie go, że generał Marcks ma w swoim posiadaniu dokumenty zawiera

jące najtajniejsze plany dotyczące lądowania aliantów w Normandii. Plany te pokazywały aż nazbyt wyraźnie, że prawdą jest to, co do tej pory było czystym przypuszczeniem: ostatnie lądowania były jedynie preludium do inwazji na pełną skalę, takiej inwazji, jakiej przez ostatnie cztery lata wszyscy się spodziewali.

* Bzdura! * krzyknął von Rundstedt i rzucił słuchawką telefonu.

Pozostał niewzruszony w swej decyzji. Plany były fałszywe. Pułapka celowo zastawiona przez wroga. Podłożona tam po to, by tacy łatwowierni głupcy jak Marcks dali się w nią złapać. A tak w ogóle, to lądowania na pewno miały na celu wprowadzenie Niemców w błąd. Von Rundstedt miał swoją własną teorię na ten temat. Z całą pewnością alianci planowali inwazję, ale lądowania w Normandii wcale nie stanowiły preludium do niej. Użyto ich po to, by odwrócić uwagę wroga.

* Zwolnić generała Marcksa z funkcji głównodowodzącego * von Rundstedt nakazał poirytowany.

* To idiota i bajkopisarz, a jako taki nie ma prawa stać na czele armii. Pozbyć się go.

Rozdział 3

WZGÓRZE GOLGOTA

Była noc. Wracaliśmy główną drogą, w trzech kolumnach, do pozycji 112. Wilgotna mgła, charakterystyczna dla Morza Północnego, wisiała nad ziemią, przedostając się pod ubrania i pod skórę, wdzierając się nam do gardeł i docierała do szpiku kości. Maszerowaliśmy z tyłu jednej z kolumn. Przód już dawno zniknął gdzieś we mgle. Minał już pewien czas od momentu, gdy ich ostatnio widzieliśmy, i tak właściwie ich obecność na czele kolumny to była raczej kwestia naszej wiary niż dowodów.

Porta choć raz w życiu przestał gadać o żarcu. Przerzucił się jednak na drugi ze swych ulubionych tematów i właśnie opowiadał nam jedną ze swych niekończących się opowieści o kurewkach. Stary osłaniał tyły, dziarsko maszerując z głową wtuloną w ramiona i nieodzowną fajką wciśniętą w kącik ust, hełm zwiisał przywieszony na pasku karabinowym. Zawsze zwracaliśmy się do niego po prostu Stary. Od samego początku. W rzeczywistości jego godność to Feldwebel Willy Beier i był dowódcą naszego oddzia

łu. Nie za bardzo przypominał swym wyglądem żołnierza idealnego wedle wyobrażeń armijnych. Maszerował w czarnych buciorach wojskowych, które były na niego o kilka rozmiarów za duże, nosił zniszczony mundur, a na twarzy tygodniowy zarost, ale i tak był najlepszym dowódcą, jakiego w życiu spotkałem.

Zeszliśmy z głównej drogi i wkroczyliśmy do czegoś, co prawdopodobnie jeszcze kilka dni wcześniej było całkiem gęstym lasem. Teraz jednak drzewa były przewrócone, ziemia rozgrzebana i rozjechana przez kawalkady czołgów, wokół gęsto leżały spalone wraki, opuszczone jeepy, przewrócone ciężarówki. Nie inaczej rzecz się miała z ogromną ilością szczątków ludzkich porzrzucanych na drodze.

* Jezu, ci to dopiero dostali bęcki * mruknął Mały, który chyba po raz pierwszy w życiu zabrzmiał, jak gdyby był w szoku.

Porta na jedną litościwą chwilę zaprzestał swojej dramatycznej opowieści o najstarszym zawodzie świata.

* Ciężkie pociski * powiedział.

* To nowy rodzaj pocisków mózdzierzowych * Heide przedstawił przeciwną interpretację jako człowiek, który zawsze miał najświeższe dane. * Ich opary przenikają przez mundury i palą ciało.

* Och, to wręcz cudownie, cudownie! * zakrzyknął Porta, klaszcząc w dłonie. * Już się nie mogę doczekać chwili, kiedy zobaczę je w działaniu.

Zwęglonych ciał faktycznie było bardzo dużo. I nie był to jedyny widok, który wywoływał ciarki na grzbiecie. O jedno z drzew opierało się nagie ciało pozbawione nóg. Wokół nas zalegały poodcinane kończyny. Mały znalazł na przykład odciętą głowę, nadal okutaną w hełm, i dał jej zacnego kopa, jakby to była piłka do gry w nogę. Legionista, którego z reguły nic nie brzydziło, przykrył usta dłonią i odwrócił się od nas.

* Są pewne rzeczy * wyjaśnił nam * od których po prostu robi mi się niedobrze. Akurat widok głowy bez tułowia odbijającej się w ten sposób po ziemi to właśnie jedna z nich.

* Tu jest jak w sklepie rzeźnickim * zauważył Gregor z rzadkim u niego przeblyskiem wyobraźni.

* Wszędzie wiszą półtusze mięcha.

* Mnie to bardziej przypomina jakąś kuchnię z piekła rodem * odparł Porta. * Założę się, że tu jest tyle pieczystego, że można by przez tydzień karmić nim połowę niemieckiej armii.

* Zamknijcie te swoje parszywe jadaczki * warknął nagle Stary.

Zapadła między nami niezręczna cisza. Porta właśnie zaczynał swoje pytanie. Czy mówiłem wam kiedykolwiek o..., kiedy nagle ziemia zatrzęsała się nam pod nogami i usłyszeliśmy huk eksplozji. Instynktownie padliśmy na kolana.

* Gasić fajki, rozproszyc się! Rozproszyliśmy się w pośpiechu. Strumień ognia wystrzelił w powietrze nad naszymi głowami. Ogień pochodził prawdopodobnie z baterii Dora, które składają się z dwunastu dział.

Pojedynczo, pochyleni, czołgaliśmy się wzdłuż muru bezzaprawowego, jakich wiele można było znaleźć w tej części kraju. Wróg czynił nasze życie jeszcze trudniejszym, ponieważ po każdej salwie zmieniał pozycję, z mozołem przesuwając działa w nowe, nieoczekiwane miejsce i stamtąd zalewał nas strumieniem ognia.

* Ruszaj się, dobra? * syknął Stary. * Podchodzą coraz bliżej. Za chwilę na nas centralnie wsiądą. Jego słowom nie można było odmówić racji: tuż za nami wyrosła chmura gęstego dymu, z której przebijały jezory szkarłatnych płomieni. Sądząc po okropnym wyciu i wrzaskach, które dochodziły do nas z drugiej strony ściany dymu, biedacy, którzy się w niej znaleźli, nie mieli większych szans. Przycupnęliśmy wzdłuż muru. Ochrona, jaką nam dawał, była bardziej psychologiczna niż rzeczywista, ale na szczęście w tym momencie nikt o tym nie miał czasu myśleć. Obserwator z pierwszej linii, jakiś porucznik artylerii, nagle wyłonił się z leja po pocisku i podszedł do nas wściekły. Pokrywało go błoto i krew, miał otwartą ranę na czole.

* Co się tu do diabła dzieje?! * zawołał, oczekując wyjaśnień. * Kto dowodzi tą bandą kretynów? Oberleutnant Lówe, który zastąpił naszego zmarłego porucznika Brandta, aż zatrzęsł się z oburzenia.

* Kogo ty nazywasz bandą kretynów? Porucznik podniósł obie dłonie w geście rozpaczy.

*No twoją pieprzoną kompanię, naturalnie! Może byście tak w końcu zaczęli stąd wypierdalać, bo ściągacie na nas ogień wroga!

Skuleni przy podstawie muru, podjęliśmy dys

kusję z charakterystycznym dla nas zainteresowaniem.

* Najwyraźniej dawno nikt mu nie dał kopa w dupsko * zawyrokował podniesionym głosem Porta.

* Jemu się wydaje, że my tu niby co robimy? Gramy w pierdolone pchełki?

Bateria raketowa znajdowała się przy drodze zaledwie kilkaset metrów od nas. Pociski zmierzały ku nam często i gęsto, a płaszcz ognia spowijał mglisty rejon w promieniu wielu kilometrów.

Pozostaliśmy w naszym iluzorycznym schronieniu, przytuleni do siebie, każdy wciśnięty głęboko w swoich towarzyszy. Płomienie były już całkiem blisko. Tamci zbierali siły po drugiej stronie drogi i pewnie wkrótce spróbują ją przejść i nas otoczyć. Porucznik Lówe kazał podać dalej informację, że za chwilę znów ruszymy, gęsiego, czym podkreślił, że ma na myśli jeden za drugim, a nie w nieskładnym szyku, walcząc o miejsca na przedzie. Wypełniliśmy jego rozkaz. Ledwie zdążyliśmy przemierzyć niewielki dystans, kiedy to, odwróciwszy się, zauważyłem kłęby ognia mknące nad drogą i lądujące dokładnie w murze, który przed chwilą był naszym schronieniem. Przez sekundę widać było sylwetkę człowieka rysującą się na tle blasku, lecz za chwilę postać ta wyrzuciła

ramiona w górę i wpadła w krąg płomieni. To był ten arogancki porucznik artylerii. Gdyby nie zmarnował tyle czasu na stawianie naszego porucznika Lówego do pionu, może nadal by żył. Ale tak wyraźnie musiało być, o czym Porta z radością napomknął.

Przypomniałem sobie jeszcze jedno wydarzenie, kiedy to nam się udało, a ktoś inny miał mniej szczęścia, zresztą przez czysty przypadek * wtedy też Porta skwitował to wydarzenie w taki sam sposób. Nasza grupa kryła się w lasach razem z jakimiś żołnierzami z korpusu inżynieryjnego. Lało jak z cebra i po chwili byliśmy tacy mokrzy, jakbyśmy siedzieli na otwartym terenie. Wtedy to Mały, jak zwykle zniecierpliwiał się wydłużonym okresem braku aktywności.

* Mam tego dość * oświadczył. * Czy nie możemy się po prostu ruszyć stąd?

Tak też zrobiliśmy i ledwie żeśmy uszli pięćdziesiąt metrów, gdy nastąpiła głośna eksplozja i oba drzewa oraz inżynierowie stojący przy nich rozlecieli się na kawałki.

Pamiętam też, że innego razu zainstalowaliśmy się w opuszczonym domu w jakiejś wsi, już nie pamiętam gdzie to było, i postanowiliśmy zagrać partyjkę w karty razem z grupą grenadierów.

Przez czysty przypadek Porta zauważył, że w jednym z rogów pokoju znajdowały się dwa druty, które przebiegały wzdłuż listwy podłogowej

* Chwileczkę * powiedział * co to jest, to coś tam? Będąc z natury i z doświadczenia podejrzliwymi

istotami, natychmiast porzuciliśmy karty i zaczęliśmy śledzić ścieżkę, którą biegły druty. Goście z oddziału grenadierów pozostali na swoich miejscach, klnąc nas za to, że przeszkodził im w grze. Chwilę później, idąc wzdłuż drutu, dotarliśmy za tylne drzwi i sekundy później, nim zdążyliśmy dotrzeć

do źródła przewodów, dom zmienił się w słup ognia lecący w powietrze.

Ale tak to już jest.

Dotarliśmy w końcu do pozycji 112 i zgodnie z rozkazem przejęliśmy ją od kompanii, którą mieliśmy zluzować. To byli esesmani należący do 12. Dywizji Pancерnej SS Hitlerjugend. Żaden z nich, poza oficerami, nie miał więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat, jednak w ciągu ostatnich trzech dni ci cisi, trzymający prostą postawę chłopcy przemienili się w starych, starych ludzi o twarzach pokurczonych, ramionach skulonych tak, że niemal sięgały uszu, i szklanym spojrzeniem. Ponad połowa ich kompanii zginęła podczas bitwy.

Gdy przybyliśmy, bez słowa spakowali manatki i stali tak, czekając na sygnał do wymarszu.

Sprzątnęli nawet swoje puste magazynki. Wydawali się modelem perfekcjonisty i był to najsmutniejszy widok na świecie. Obserwowaliśmy ich, jak szli i w zdumieniu kręciliśmy głowami. Jedynie Heide pozostał niewzruszony.

* Macie tutaj przykład dyscypliny! * rzekł z podziwem w głosie. * Cóż za żołnierze z tych dzieciaków. Powinni być oficerami, mają... widzieliście? Wszyscy mieli Krzyże Żelazne. Pierwszej klasy, wszyscy... Boże, oddałbym wszystko, żeby móc dowodzić taką grupą!

* Proszę cię bardzo * odparł lakonicznie Porta. * Dla mnie to podejrzana sytuacja.

* Do diabła z cholernymi bohaterami * dorzucił Mały, kończąc tym samym dyskusję.

Gapiliśmy się, jak odchodzą * starszankowie w dwóch kolumnach * i para za parą znikają za wzgórzem. Mieli mundury w nienagannym stanie, krok wojskowy, a ich sprzęt lśnił poprzez mgłę * a to wszystko po trzech dniach ciężkich bojów! Zdaniem nas wszystkich, z wyjątkiem Heidego, widok ten był żałosny do granic wytrzymałości. Z kolei dla Heidego to obraz perfekcji. Oczy lśniły mu, jakby był w gorączce i chyba najwyraźniej nie rozumiał, jak czuła się cała reszta naszej ekipy.

* Och, idź i przyłącz się do nich, jeśli tego tak strasznie chcesz * Porta warknął. * Czy coś cię powstrzymuje, ty cholerny podżegaczu wojenny?

Heidego słowa Porty zupełnie nie ruszyły. Całkiem prawdopodobne, że ich w ogóle nie słyszał.

Zatopił się na chwilę w swoim prywatnym marzeniu o chwale. Wyobrażał sobie, że jest już oficerem z pułkiem pod komendą. Zauważyłem, jak sięgnął dłonią w okolice gardła, bez wątpienia szukając na szyi Krzyża Rycerskiego, który w wyobraźni Heidego na pewno kiedyś jego szyję przyozdobi. Mały pokręcił głową zdegustowany. Niecierpliwym ruchem zerwał dwie gałązki i związał je razem na kształt krzyża.

* Hej! Przymierz, może rozmiar pasuje!

Heide popatrzył na niego nieobecny wzrokiem i obdarzył pięknym, choć faktycznie całkowicie bezmyślnym, uśmiechem. Mały odwrócił się i splunął.

Zaczęło padać i zimne krople deszczu spływały po hełmach i lądowały nam na plecach. W tej części kraju naprawdę panował jakiś fatalny klimat! Mgła, deszcz, wiatr, błoto * szczególnie błoto. Nie dało się zrobić jednego kroku, żeby zaraz się nim nie pokryć. To była gruba, lepka, czerwona glina, która uporczywie przyklejała się do umundurowania i sprzętu, wszędzie zostawiała szkarłatny pył.

Wróg zaatakował tuż przed świtem. Nie zdawał sobie sprawy, że oddziały SS, które utrzymywały tę pozycję przez trzy dni, zostały zluzowane, a my nie daliśmy mu podejść wystarczająco blisko, żeby się w tej kwestii zorientował. My też mieliśmy swoją uporczywą dyscyplinę bojową, gdy nas ostrzeliwano * nabyliśmy tą trudną umiejętność podczas walk na froncie rosyjskim.

Nasi przeciwnicy to w większości oddziały z pułku kanadyjskiego. Kanadyjczyków i ich sadyzmu nie cierpieliśmy w wyjątkowy sposób. Słyszeliśmy opowieści, że mieli oni zwyczaj przywiązywać więźniów drutem kolczastym do czołgów, a z całą pewnością wiedzieliśmy, że gdy wpadło się w ich łapska, najlepsze, na co można było liczyć, to kula w tył głowy.

Po chwili do Kanadyjczyków dołączyli Highland*rzy Gordona, ale do Szkotów nic nie mieliśmy. Zdobyliśmy się nawet na to, by uratować trzech z nich, rannych, zaplątanych w zasieki z drutu kolczastego. Dranie mieli pełne portki strachu, bo najwyraźniej myśleli, że przyszlismy ich rozstrzelać na miejscu. Cholera wie, skąd im się takie informacje w głowach pojawiły.

Przypuszczam, iż to sprawka propagandy. Plotki rozsiewane przez zjadliwych żurnalistów, których, gdyby to ode mnie zależało, powinno się bez zadawania zbędnych pytań szlachtować.

Cały dzień przeżyliśmy pod ciężkim ostrzałem. Brytyjczycy właśnie rozpoczynali atak lotniczy na Caen, więc niebo pokryły sylwetki bombowców, a w powietrzu fruwały odłamki i bomby.

* Chryste Panie, mam nadzieję, że nas tam nie wyślą * mruknął Porta, pokazując ruchem głowy Caen. * Pamiętacie, jak to było w Kijowie, gdy Rosjanie byli ledwie dwa kroki za nami? Cholera jasna, nienawidzę siedzieć w miastach.

* No a Rzym? * Mały podjął temat z innej perspektywy. * Jeśli dobrze pamiętam, to w Rzymie miałeś całkiem niezły ubaw. Aż dziw bierze, że nie zostałeś tam kardynałem!

* Rzym to co innego * odparł Porta.

Seria z ckm*u potargała ziemię tuż przed naszymi nosami. Barcelonie zdmuchnęło hełm, który potoczył się na dno okopu * zakrzyknął wściekle, gdy schylił się, aby go odzyskać.

* Banda szkockich bękartów! Chodźcie no tutaj, a pokażę wam parę sztuczek!

Na chwilę rzeźnia uspokoiła się. Na dnie okopu rozłożyliśmy płaszcze przeciwdeszczowe i usiedliśmy do kart. Porcie pod krzaczastymi brwiami zalśniły te jego małe, błyszczące oczka, gdy co i rusz wychylał się w różne strony próbując dojrzeć karty innych graczy. Heide, jak zwykle nieufny, trzymał karty przy przysłowiowych orderach i dziwacznie na nie zezował.

Najprawdopodobniej był to słuszny środek bezpieczeństwa: Porta znany był z tego, że oszukuje, a jego oczka to prawdziwe rentgeny. Ze spojrzenia Gregora wywnioskowałem, że rozważa numer z co najmniej pięcioma kartami. Odwróciłem się w stronę Małego, ale był daleko ode mnie, siedział rozparty ze swymi śmierzącymi stopami podpartymi na czyjejs masce przeciwgazowej, dłubiąc językiem w zębach. Rany boskie, ale te jego giczoty cuchnęły! Od tygodni chyba nie widziały wody, a Bóg jeden tylko wiedział, kiedy ostatnim razem weszły w bliższy kontakt z mydłem.

Barcelona rzucił szybkie spojrzenie na swoją dłoń i zadeklarował: „Hombre, pasuję!” głosem pełnym zdegustowania, po czym z impetem cisnął karty na ziemię. Barcelona ostatnio w coraz większym stopniu używał hiszpańskiego, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Od lat rozwodził się marzycielsko na temat lat spędzonych w Hiszpanii, gdzie walczył w wojnie domowej. Nosił nawet w kieszeni jako pamiątkę zasuszoną pomarańczę.

* Prosto z Walencji * zwykł nam mawiać w zachwycie.

Legionista podniósł dłoń i bez żadnych emocji począł ją oglądać. Obserwowanie wyrazu twarzy Legionisty nigdy nie przynosiło żadnych korzyści. Lata spędzone we francuskiej Legii Cudzoziemskiej zostawiły na nim swój ślad i miał oczy zawsze spokojne i chłodne, a usta

markotnie zaciśnięte. Chyba nie przypominałem sobie sytuacji, w której by się zaśmiał. Nie, na pewno nie widziałem go w takiej akcji, bo wtedy z całą pewnością zapamiętałbym, z jakiej to było okazji.

Stary wydobył jakieś chrząknięcie z głębi gardła i rzucił karty, szukając pocieszenia w swej ukochanej

fajce. W pewnym sensie Stary zawsze przywodził mi na myśl Kata z Remarque'a. Nauczył nas rozpoznawać granaty jedynie po dźwięku, który wydawały podczas lotu. Kat dokładnie tego samego uczył swoich ludzi. Generalnie nauczył nas prawie wszystkiego na temat wojska i Bóg jeden wie, ilu z nas do chwili obecnej by już zginęło, gdyby nie on. Wyciągnął nasz oddział z wielu nieciekawych sytuacji. Także wielu nowych, młodych oficerów, prosto po akademii wojskowej w Poczdamie rzuconych w wir wojenny, miało powody, by Staremu dziękować. Nigdy nie zapomnę też Obersturmführera SS, który na pewien czas został do nas odesłany karnie. Utrata połowy kompanii zajęła mu nie więcej niż pół godziny * Rosjanie okrążyli po cichu jego ludzi, dosłownie tuż przed jego nosem. Obersturmführer był jednym z niewielu, którym udało się przebić i dzięki temu przeżyć. Gdyby nie wyrozumiałość majora Hinki, bez wątpienia oficer ten skończyłby przed obliczem sądu wojennego. Dzięki temu stał się nagle bardzo pokorny i okazał się jednym z najlepszych uczniów Starego.

Usłyszałem kiedyś rozmowę, którą Stary prowadził z jednym z oficerów medycznych przy Głównym Dowództwie, który gorąco popierał tezę, że powinniśmy wygrać, ponieważ jesteśmy lepsi niż nasi wrogowie.

* Niestety * odrzekł Stary dość sucho * nie zawsze wygrywa ta lepsza strona, niekoniecznie.

* No cóż * odrzekł doktor * być może ma pan rację, nie znam się może za dobrze na sprawach woj

skowych... Ale proszę mi powiedzieć, kiedy dostaniemy te wspaniałe nowe typy broni, które nam od tak dawna obiecują?

* Nowe bronie? * Stary podrapał się w ucho ustnikiem fajki i zaśmiał się sam do siebie. * Widzi pan, nie pokładam za dużo nadziei w tych mitycznych nowych broniach. Jestem raczej chętny do kontynuowania walki przy użyciu starych...

I z tymi słowami odwrócił się i wskazał na nas. Na Portę z jego chuderławą szyją i trzęsącymi się nogami; na Małego, człowieka wielkości wołu o wielkim sercu i małym mózdzku; na Barcelonę, z jego fatalnym płaskostopem, na mnie * człowieka o słabym wzroku, który nie znosił światła; Gregora, który stracił połowę nosa i majora Hinkę, który stracił prawe ramię.

* Wyglądają może nieco żałośnie * przyznał Stary, gdy Hinka był zbyt daleko, by to dosłyszeć * ale proszę mi wierzyć, że wolę mieć przy boku ich, niż jakąkolwiek ilość nowych typów broni. To właśnie tacy ludzie potrafią powstrzymać wroga, a nie te pańskie rakiety i latające bomby.

Doktor westchnął.

* No cóż * znów rozpoczął, ale tym razem było to pozytywne westchnięcie * być może ma pan rację. Ja tam się aż tak nie znam na sprawach wojskowych...

Dwa dni później dowiedzieliśmy się, że posłał sobie kulkę w łeb. Często zastanawiałem się, czy aby przypadkiem uwagi Starego po prostu go nie dobiły. Na pierwszy rzut oka bowiem nie byliśmy ludźmi, którzy mogliby wzbudzić przesadne zaufanie. To, że wygranie wojny ma zależeć od takich jak my, musiało nim niezłe wstrząsnąć.

Zabrział alarm, dźwiękiem ostrym i nerwowym. Wreszcie nadchodzili. Horda postaci w mundurach khaki, przeskakując przez drut kolczasty, zalewała nas granatami, które poprzedzone były falami ognia. Poprzez płomienie widzieliśmy ich lśniąca bagnety. Mieli rozkaz zajęcia pozycji 112. To rozkaz od Montgomery'ego, który za wszelką cenę chciał zdobyć Caen, nawet gdyby to oznaczało stratę całej szkockiej dywizji. Pozycja 112 wkrótce miała otrzymać przydomek drugiej Golgoty.

Na czele ataku byli Szkoci. Na obu flankach znajdowały się dywizje pancerne. Gregor obsługiwał moździerz 81 mm, z którego strzelał z szybkością karabinu maszynowego. Zgubił gdzieś hełm i całą twarz miał czarną od dymu, tu i ówdzie widać było ślady po strużkach potu. Major Hinka, z pustym rękawem płaszczka wetkniętym w kieszeń, przejął ckm i słał całe serie pocisków w kierunku

nadciągającej piechoty. Pomagał mu jeden z sanitariuszy. Żaden z nich nie wypowiedział słowa, usta mieli zaciśnięte, mundury pokryte błotem.

Mały przygotowywał dwa ręczne granaty równocześnie. Oba wybuchły w momencie, gdy dotarły do celu. Mały nigdy dotąd nie zawiódł, jeśli chodzi o granaty. A jeśli o mnie chodzi, to miałem kłopoty z karabinem maszynowym. To był model, którego szczególnie nie lubiłem. Z mojego doświadczenia wynikało, że z tym cholerstwem więcej czasu spędzało się na majsterkowaniu, niż używaniu. Tym razem,

jak zresztą i przy innych okazjach, pocisk zablokował się w podajniku naboju. Z ostrym przekleństwem na ustach zdjąłem bagnet z karabinu i zacząłem nim walić w winowajcę całego zdarzenia. Nie przyniosło to innego efektu poza tym, że pocisk zaklinował się jeszcze bardziej. Na szczęście Porta przyszedł mi z pomocą.

* Zejdź mi z drogi, głupolu!

Odepchnął mnie łokciem, a kilka sekund później przywołał z powrotem do karabinu, który działał już bez zarzutu. Podczas tych kilku sekund Szkoci*samo*bójcy zbliżyli się i w tym momencie pojawiła nam się przed oczami wirująca, kolorowa masa ludzi. Czerwony, zielony, niebieski, żółty... takie ładne kolory i takie niebezpieczne. Wszyscy wydzielali się jak jacyś pomyleni przeskakiwali przez drut kolczasty mimo nieustającego ostrzału i lecących w ich stronę granatów. Faktycznie Montgomery'emu bardzo zależało na Caen. Szkoci ginęli na drucie kolczastym całymi setkami. Załogi pancerne poświęcały swe życie w płonących czołgach. A mimo to nadal nacierali, bo Caen po prostu należało zdobyć.

Oddział trzymający teren na naszej prawej flance znalazł się w niebezpieczeństwie, mógł zostać wybity. W pobliskich okopach rozgrywała się walka wręcz. Nasi sąsiedzi desperacko próbowali walczyć o życie bagnietami, kolbami karabinów i nożami, a wiedzieliśmy, że jeśli padną, to następnie przyjdzie kolej na nas. Major Hinka odwrócił się na chwilę od swojego ckm*u. Władczo zamachał ręką i krzyknął coś, co zostało zagłuszone przez ogólny tumult.

Wiedzieliśmy, czego się od nas oczekuje. Nie musiał powtarzać. Barcelona odwrócił swój ckm w stronę okopów i wysłał równą serię wprost w środek walczącej masy. Zarówno nasi przyjaciele, jak i wrogowie byli ofiarami tej rzeźni. Na wzgórzu Golgoty nie było miejsca na sentymenty. Gdzieś w oddali zauważyliśmy białą flagę: to stara, szara kamizelka, która niepewnie zawisała na lufie karabinu. Zauważyliśmy, że w jej kierunku zbliża się mała grupka Kanadyjczyków. Kanadyjczycy gestami nakazali poddającym się Niemcom wyjść z kryjówek i ustawić się w szeregu wzdłuż krawędzi okopów, rzucić broń, ręce założyć z tyłu na karku. Usłyszeliśmy rozkaz otwarcia ognia. Sierżant podniósł swojego stena i ludzie w szarych mundurach jeden po drugim padli na ziemię.

* Bydlaki! * wrzasnął Legionista na całe gardło.

Szybkim ruchem głowy przywołał Portę i Małego na krótką, ale najwyraźniej zdecydowaną konferencję. W następnej sekundzie Porta zdjął kamizelkę z najbliższego ciała, jakie się przy nim znajdowało, zaczepił ją na swoim karabinie i pomału wypełził na teren niczyj w kierunku Kanadyjczyków, którzy tryumfalnie schronili się w okopach stanowiących grób dla ich ofiar. Za Portą czołgali się Mały i Legionista, ciągnąc ze sobą miotacz płomieni. Porta zamachał swoją białą flagą i zawołał w kierunku Kanadyjczyków. Zauważyłem, że ich sierżant ze stensem wstał z okopu, uśmiechając się. Widziałem, jak przygotowuje się do otwarcia ognia. Jednak zanim palcem nacisnął spust, równocześnie wydarzyły się dwie rzeczy: uruchomiony został miotacz ognia, a Porta cisnął granat ręczny do okopu. Kanadyjczycy zostali wybici w ciągu kilku sekund.

* To będzie dla tych bękartów porządna nauczka * mruknął Legionista, gdy ponownie zjawił się przy moim boku. * Nie będzie im się spieszyło do powtórzenia jeszcze raz takiej sztuczki.

Nie miałem czasu na gratulacje, bowiem nadciągały czołgi. To zwarta formacja Churchilli i Cromwelli, które zdołały się już przebić przez naszą pierwszą linię obrony. Robiliśmy co się dało przy pomocy naszych dział przeciwczołgowych, ale wszędzie wokół nasi porzucali swoje stanowiska i szli w rozproszenie przed nadjeżdżającymi czołgami. Major Hinka krzyknął, byśmy użyli Goliatów. Były to miniczołgi sterowane zdalnie, każdy z nich zawierał 100 kilogramów ładunku wybuchowego. Z wielką ochotą rzuciliśmy te małe zabawki wojenne w sam środek oddziałów wroga. Najwyraźniej nigdy nie mieli z nimi do czynienia. Dwa pierwsze Goliaty,

wyglądające na małe, niegroźne zabawki, zostały zatrzymane przed nadciągającą kompanią żołnierzy. Wyglądało to, jak gdyby z powodu jakiegoś błędu mechanicznego nie były w stanie dalej jechać. Wróg był wyraźnie zaintrygowany sytuacją. Najpierw żołnierze podeszli do nich z ostrożnością, a potem, gdy nic się nie działo, ośmielili się i podeszli bliżej. Ktoś wyciągnął aparat i zrobił zdjęcie, ktoś bardziej śmiały wyciągnął rękę i dotknął Goliata. Stąd już tylko o krok od znalezienia odważniaczy, który by obdarzył nasz minicołg porządnym kopem.

Kilku żołnierzy natychmiast poszukało schronienia, ale większość oddziału usiadła sobie na drugim z czołgów i z wigorem zanuciła refren „Tipperary”. Dokładnie w tym momencie Barcelona uruchomił zapalnik. Goliat eksplodował jednym wielkim jęzorem ognia, który wzbil się wysoko w górę, wyrzucając równocześnie w powietrze barwny asortyment ludzkich szczątków.

* A to pojeby * burknął Legionista. * Jak banda dzieciaków, muszą podejść i wszystkiego dotknąć... Nigdy nie podchodź do niezidentyfikowanych przedmiotów * wydawałoby się, że to elementarz wojenny, nie?

Łącznie wysadziliśmy w powietrze siedemdziesiąt czołgów. Siedemdziesiąt załóg spaliło się na popiół. Jednakże Caen musiało zostać zdobyte i zawsze w rezerwie znajdowały się kolejne czołgi. Bitwa trwała osiemnaście godzin, ze zwyczajowymi koszmarnymi stratami po obu stronach. Pod koniec tego czasu już ani nie wiedzieliśmy, co się dzieje z Caen, ani nas to nie obchodziło.

Przetrwało, czy padło?

* Mam to serdecznie w dupie * powiedział Barcelona.

* A tak w ogóle, to czy komuś na nim zależy? * poskarżył się nam Porta. * Mnie tam na pewno nie! Dosłownie sekundę po wypowiedzeniu tych słów padli na ziemię i zasnęli twardym snem. Reszta, niczym walący się domek z kart, padła tuż obok nich. Kto chciał mieć cholerne Caen? Porta nie chciał. Ja nie chciałem. Tylko Montgomery chciał mieć to miasto, z tego co zauważyłem. I jeśli o mnie w tym momencie chodziło, to mógł je sobie wziąć.

Wielu anonimowych Francuzów, członków ruchu oporu, wspierało wojska inwazyjne i nigdy nie ustalono dokładnie, ilu z tych ludzi straciło życie.

Jakiś czas po tym, jak inwazja się rozpoczęła, Londyn bez mrugnięcia okiem poprosił przywódcę ruchu oporu w rejonie Caen, inżyniera nazywanego Meslin, by dostarczył wojskom alianckim szczegółowych informacji dotyczących niemieckich fortyfikacji w tym rejonie. Londyn doskonale zdawał sobie sprawę z ogromu zadania, jakie stawiał, można by nawet rzec, że miał świadomość niewykonalności tej misji, a mimo to oczekiwał od Meslina, by ten dostarczył właściwych informacji. Meslin wysłuchał polecenia w ciszy, po czym zwyczajnie schował twarz w dłoniach i zaczął się zastanawiać, jak też do diabła ma dokonać tego cudu. Każda droga, czy to główna czy poboczna, każda ścieżka, każda aleja prowadząca na wybrzeże była mocno chroniona i znajdowała się pod ciągłą obserwacją. Każdy dureń, który postanowiłby tam zawędrować bez oficjalnej przepustki, byłby z miejsca zastrzelony.

Im więcej Meslin rozmyślał nad rozwiązaniami i środkami, które miał do dyspozycji, tym bardziej dochodził do przekonania, że były one w rzeczy samej bardzo ograniczone. Można by nawet stwierdzić, że w ogóle ich nie było. Nawet gdyby nawiązał współpracę z organizacją Todt, to i tak by miał pod obserwacją jedynie małą część plaży. A tymczasem linii brzegowej było 160 kilometrów. Mówiąc wprost, potrzeba było setek, a może nawet tysięcy agentów, by móc pokryć cały teren.

Zadanie należało do kategorii niedorzecznych. Meslin spojrzął na sytuację z każdej możliwej perspektywy i przekazał wiadomość do Londynu. Nie był w stanie powiedzieć za wiele na temat niemieckich fortyfikacji, ale doradził, gdzie mogą sobie w przyszłości wsadzić podobne, szalone zadania.

W tym jednak momencie pojawił się element przypadkowości, który spowodował zmianę planów, jeden z członków ruchu oporu, Rene Duchez, ksywa „Sang Froid”, był malarzem i dekoratorem. Spacerował po uliczkach Caen i rozmyślał na ten sam temat, co Meslin, gdy zauważył notkę przyklejoną na posterunku policji:

„Organizacja Todt poszukuje doświadczonego malarza. ”

Przez kilka chwil Duchez patrzył na notkę, rozważając wszelkie za i przeciw, w końcu zdecydował, że argumentacja „za” przeważa. Zawrócił i poszedł do biura organizacji Todt, gdzie strażnik dość brutalnie go potraktował, wypychając za drzwi, nim ten zdążył otworzyć usta. Duchez jednak postawił się i zażądał widzenia z oficerem. Strażnik, który w ogóle nie mówił po francusku, też nie wykonał żadnego ruchu i tak sobie oto obaj stali, patrząc złowrogo jeden na drugiego aż do chwili, gdy pojawił się jakiś podoficer i rozwiązał sprawę. Jego francuski nie był zbyt dobry, ale wystarczył, by się dogadać i Duchez został wpuszczony za wartownię i do biura nazywanego „Kontrola Prac i Obiektów Cywilnych”. Kontroler zapisał jego nazwisko i adres, po czym obiecał, że w ciągu ośmiu dni poinformuje go, czy organizacja skorzysta z jego usług. Duchez zdawał sobie sprawę z tego, skąd wzięło się te osiem dni: przez te dni gestapo przejrzy wszystkie szczegóły dotyczące jego życia, przepuści informacje na temat jego przeszłości i teraźniejszości przez drobniutkie sito. Każdy detal, który można by poddać w wątpliwość, cokolwiek, co mogłoby naprowadzić ich na ślad ruchu oporu, oznaczało nie tylko odrzucenie oferty, ale także wielkie zagrożenie dla jego życia.

Jednakże wszystko poszło dobrze. Ósmego dnia Duchez zameldował się w pracy z próbkami różnych materiałów i został wpuszczony do biura Oberbauführera. Był tam ledwie kilka chwil, gdy drzwi się otworzyły i wszedł jeden z inżynierów. Pozdrowił Duchez i Oberbauführera przyjacielsko * obojętnym „Heil Hitler” i rzucił na biurko swój planów.

* Nie teraz, na miłość boską! * Oberbauführer machnął zniecierpliwioną ręką. * Przyjdź później, teraz mam za dużo roboty, żeby się tym zajmować.

* Jak uważasz. Mnie się nigdzie nie spieszy.

Inżynier wrzucił obojętnie ramionami i opuścił pokój. Plany zostały na biurku. Oberbauführer niechętnie rozwinął je, a stojący za nim Duchez wyciągnął szyję, by spojrzeć na dokumenty. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył: to były dokładnie te plany, których Londyn tak bardzo pożądał, plany dotyczące niemieckich fortyfikacji wzdłuż wybrzeża Atlantyku, od Honfleur do Cherbourg.

Oberbauführer wydawał się zupełnie niezainteresowany fortyfikacjami. Już sama obecność planów wy-

dawała się wystarczającym powodem, aby go rozzłościć. Zwinął je i rzucił w kąt i ponownie zwrócił się do Duchez z pytaniem, której farby i tapety ten zamierza użyć. Sekundę później znów im przeszkadzono, tym razem był to apodyktyczny oficer, który nie chciał słyszeć o jakichkolwiek sprawach wymagających uwagi Oberbauführera i nakazał mu przejść do sąsiedniego pokoju, by omówić „sprawy najwyższej poufności”.

Gdy Duchez został sam w pokoju, w pierwszym odruchu chwycił cenne plany. Dopiero w momencie, gdy miał je w rękach, zatrzymał się i zastanowił, co powinien z nimi zrobić. Trzymanie ich przy sobie nie miało najmniejszego sensu. Jego rozogniony wzrok zatrzymał się na wielkim obrazie Hitlera, który wisiał na ścianie nad biurkiem Oberbauführera. Mało prawdopodobne było, by kiedykolwiek ktoś ruszył ten portret, tak samo zresztą nie zanosilo się na to, by ktoś za niego zaglądał. Duchez w rozgorączkowaniu wcisnął zrolowane plany za portret i wrócił do swoich farb i tapet w momencie, gdy w pokoju zjawił się Oberbauführer.

* Idioci! Sami idioci! Tu są sami idioci! * Spojrzał na Duchez tak, żeby dać do zrozumienia, iż ten nie był żadnym wyjątkiem od reguły. * Jakiś kretyn wymieszał cukier z cementem. I co ja do cholery mam z tym zrobić? Przesiać wszystko palcami? * Chrząknął zde gustowany. * Spójrzmy raz jeszcze na te twoje próbki.

W końcu ustalono kolor farby i rodzaj tapety. Duchez poinformowano, że ma się zgłosić do pracy o ósmej w następny poniedziałek z zadaniem odświeżenia biur organizacji. Duchez ulotnił się, najpierw gorliwie salutując i uśmiechając się tajemniczo do portretu Fuhrera.

To był piątek. Przez cały weekend ze zdenerwowania nie mógł wysiedzieć na miejscu, nagle zdając sobie sprawę z idiotyzmu swojego czynku i oczekując w każdej chwili najazdu ze strony gestapo. Patrząc wstecz chłodnym okiem, wydawało mu się to oczywiste, że ktoś zauważy brakujące plany najpóźniej dwanaście godzin po ich zniknięciu i że Oberbauführer w naturalny sposób znajdzie winnego w nim. Był bowiem nie tylko Francuzem, przez co od razu stawał się podejrzanym, ale

ponadto nie dało się ukryć faktu, że spędził kilka cennych sekund sam w pokoju, w którym znajdowały się dokumenty. Właściwie mógł już uważać się za trupa.

Sen był czynnością niemożliwą. Chodził po pokoju od ściany do ściany, podczas gdy jego żona chrapała w słodkiej niewiedzy. Strach, zimny, zalewający mokrym potem strach oczekiwania, doprowadził go prawie do szaleństwa. Przeklinał siebie i przeklinał Anglików, zadowolonych z siebie na tej swojej wysepce po drugiej stronie kanału La Manche. Stukot ciężkich butów o bruk poderwał go niczym marionetkę i przywiódł do okna. To patrol policji uzbrojony w lekki karabin maszynowy. Mocne światło latarki oświetliło dom i Duchez skulił się w cieniu, jaki dawały zasłonki. Patrol ruszył dalej w swoją stronę, Duchez dorwał butelkę i resztę nocy spędził w pijanym otumanieniu, męczony koszmarami sennymi dotyczącymi gestapo.

Ale gestapo nie przyszło. I tak Duchez do poniedziałkowego poranka zdążył niemalże zobojeźnić na swój los. Wyruszył w kierunku biur organizacji ze swoimi wiadrami z farbą i pędzlami i odkrył, że już tak przywykł do swojego strachu, że właściwie mu wcale tak bardzo nie przeszkadzał. Pokazał swoją przepustkę, został przeszukany przez strażnika i wysłany do biura. Ober*baufuhrera przez weekend odesłano do innego miejsca służby. Najwyraźniej nikt inny nie miał najmniejszego pojęcia, co się działo i Duchez został powitany przez rozdziawione gęby i podniesione w zdziwieniu brwi, gdy stawiał się do pierwszego z biur celem wykonania swojej pracy. W końcu dokopano się do jakiegoś Stabsbaufuh*rera, który przyznał, że coś tam o projekcie dekoracji słyszał. Jednakże Stabsbaufuhrer był już zajęty w tym momencie ciężką artylerią i schronami, które uznał za o wiele bardziej interesujące, niż prace dekoracyjne.

* Po prostu zabierz się do pracy, jak ci przykazano * rzekł górnolotnie. * Nie przychodź męczyć mnie duperelami dotyczącymi swojej roboty. Mam na głowie o wiele istotniejsze sprawy i nie mam czasu zajmować się rzeczami tak błahymi.

Duchez przez dwa dni ciężko pracował. Ludzie przywykli do jego widoku i przez większość czasu po prostu go ignorowali. Dopiero trzeciego dnia po południu podjął ryzyko spojrzenia za portret Fuhrera. Plany nadal tam były. W ogóle nie oczekiwał, że je znajdzie i nagle poczuł od nowa atak paniki. Postanowił je tam zostawić, ale w ostatniej chwili zabrał je i schował w rolę tapety. Gdy wychodził z budynku, został zatrzymany przez strażnika. Był to jakiś nowy gość, nie znał go, a przez to mu nie ufał.

Duchez nagle bardzo źle się poczuł. Strażnik sprawdził jego kieszenie, po czym zajrzał do płóciennej torby.

* Dobrze, możesz iść.

Duchez wyszedł przez bramę.

* Chwilka! A co masz w tym wiadrze?

* Klej malarski * odparł Duchez potulnie.

* Klej malarski?

* No, do tapet.

Duchez skinieniem głowy wskazał na tapety, które miał pod pachą i które kryły w sobie niemieckie plany.

* Tak? * strażnik podejrzliwie zamieszał ostrzem bagnetu gęstą masę znajdującą się w wiadrach. * Dobra, po prostu chciałem się upewnić. Niestety, Francuzom nie zawsze można ufać.

Duchez zaśmiał się smutno i odszedł na miękkich nogach. Gdy tylko nadarzyła się właściwa okazja, zjawił się w Cafe des Touristes, kwaterze głównej ruchu oporu w tym regionie, i przekazał tapetę z planami w środku. Z uczuciem wielkiej ulgi pozbył się obu tych rzeczy: w tym momencie nawet tapeta wydawała się dowodem obciążającym jego konto.

Z Caen plany przeszmygowano do Paryża, do majora Toumy na Champs*Elysees. Major Toumy, zdawszy sobie sprawę z prawdziwej wartości zdobyczy, oświadczył, że czuje się oszołomiony i zachwycony. Dodał równocześnie, że słowa to za mało, aby opisać jego radość. Po prostu zaniemówił.

*Fantastycznie! Cudownie! * wykrzyknął, gdy wróciła mu mowa. Nieco nerwowo klepnął plany jednym palcem, jak gdyby miały się za chwilę pokruszyć na kawałki.

* Ten facet*jak on się nazywa? Duchez? Ten facet dokonał najcudowniejszego wyczynu w całej

wojnie... a to... * dodał * i tak znów za mało powiedziane.

Rozdział 4

ZAKWATEROWANIE

Mała amfibia marki VW z lekkim kołysaniem przemknęła obok pierwszych domów znaczących początek terenu wioski i Gregor zatrzymał ją z nieprzyjemnym piskiem hamulców. Z karabinami maszynowymi w gotowości spojrzeliśmy na opuszczoną ulicę. Byliśmy gotowi do strzału przy najmniejszym choćby ruchu w zaciemnionych kątach, w drzwiach czy w oknie. Byliśmy jak bestie podczas polowania. Nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne ryzyko. Ryzykowanie często kończy się tym, że nagle ktoś przewraca stół i stajesz się ofiarą dla innego myśliwego.

Cisza była nienaturalna, wręcz gęsta. Wisiała nad nami jak ciężki koc. Pierwszy z pojazdu wysiadł Porta, za nim Stary, potem ja. Gregor pozostał za kółkiem, z karabinem opartym o przednią szybę i palcem na spuście.

Droga była ciężka i kręta, prowadziła nas przez wioskę smutnych, szarych domów i zniszczonych ogródków, by w końcu zniknąć gdzieś w polach i lasach. Wioska nie była niczym więcej, jak dziwnym

zlepkiem domostw zaznaczonych jedynie na mapach polowych. Trzydzieści kilometrów stąd pewnie mało kto w ogóle o niej słyszał.

Z bronią w gotowości podeszliśmy do najbliższych domów. Z doświadczenia wiedzieliśmy, że ludzie mogą protestować, często zresztą całkiem gwałtownie, przeciwko nieustającym żądaniom kwaterunku ze strony Niemców. Z jednej strony im współczuliśmy, ale z drugiej nie mogliśmy marnować czasu na kłótnie i wyjaśnienia: nasze zadanie polegało na zorganizowaniu kwatery dla kompanii, które właściwie w kierunku tej wsi zmierzały i gdybyśmy nie zdążyli tego zrobić na czas, zarówno oficerowie jak i zwykli szeregowcy wieszaliby na nas za to psy.

Ukradkiem, rozglądając się wokół i ostrożnie stawiając kroki, przywracaliśmy wioskę do życia.

Drzwi były na wpół otwarte, zasłony odsłonięte. Przechodziliśmy od domu do domu, sprawdzając pokoje i decydując, ilu ludzi można w nich zakwaterować. Ogólnie rzecz biorąc, wioska przetrwała wojnę w stanie prawie nienaruszonym. Konwoje poniszczyły drogi i zdewastowały ogródki, ale reszta wyglądała dobrze, nie wylądowała tu nawet jedna bomba.

W momencie, gdy opuściliśmy jeden z domów i przechodziliśmy przez ulicę w kierunku drugiego, mała dziewczynka, siedmioletnia lub ośmioletnia, podbiegła do nas i objęła rączkami talię Starego.

* Tata! Wróciłeś! Wiedziałam, że wrócisz! Mówiłam, że wrócisz!

Kurczowo do niego przywarła, a Stary stał bezradny, czując się nieco niezręcznie.

* Helene! * z głębi domu dotarł szorstki, kobiecy głos. * Co się dzieje? Co ty wyrabiasz?

Starsza kobieta, przy kości, z czarnymi włosami odgarniętymi ze szczupłej twarzy i głęboko osadzonymi oczami, pojawiła się w drzwiach domostwa. Rzuciła tylko okiem na Starego.

* Nie bądź niemądra, Helene. To nie jest twój ojciec. Wracaj do środka.

* To on, to on! Tym razem to naprawdę on!

Z nieco, moim zdaniem, niepotrzebną brutalnością kobieta wyciągnęła swą żylastą rękę i oderwała dziecko od Starego, po czym wepchnęła je do pomieszczenia. Zauważyłem, że kobieta ta nosiła żałobny strój, jak wiele Francuzek w tych czasach. Mówiła w sposób sztywny i pozbawiony polotu.

* Wybaczcie jej. Jest nie zrównoważona psychicznie. Jej ojciec zginął pod Liege w 1940 roku, ale ona nadal uparcie twierdzi, że on wciąż żyje. Jej matka też nie żyje. Zabita podczas ataku sztukasów. Trudno sobie w takiej sytuacji poradzić.

* Oczywiście * mruknął Stary. Dość niepewnie wyjął kawałek kredy, której używaliśmy do znaczenia domów. * Muszę podjąć decyzję dotyczącą kwater. Pozwoli pani? Napiszę na drzwiach: 1. oddział, 3. grupa...

* Niech pan robi, co pan uważa * kobieta odparła z nutą goryczy. * I tak zawsze robicie, co wam się podoba.

W domku obok zaferowano nam wino. Pani domu nosiła długą, jedwabną suknię, która była

modna pewnie z pół wieku temu. Pokój mocno zajeżdżał naftaliną. Gospodarz pojawiał się przy naszym boku i napełniał kieliszki za każdym razem, gdy ledwie zdążyliśmy umoczyć język, i powtarzał bez przerwy, że jesteśmy mile widziani, zawsze mile widziani, bardzo mile widziani, za każdym razem gapiąc się na nasze mundury z jakimś maniackim błyskiem w oku. To były zwykłe, czarne mundury wojsk pancernych, z trupią główką wyszytą na kołnierzykach.

* Widzę, że panowie jesteście z gestapo * stwierdził w końcu nasz gospodarz. * Są pewne rzeczy, które muszę wam powiedzieć na temat tej wioski. Dzieją się tutaj dziwne rzeczy. Po pierwsze i najważniejsze, aż roi się tutaj od komunistów. Wśród partyzantów... Jak by tam się ich nie zwało, wszyscy są tacy sami. * Schylił się, klepnął mnie po ramieniu i wskazał na sąsiedni budynek. * Tam... Widzisz? O tam? To tam zamordowano pięciu ludzi z gestapo. Zamordowano! Rozumiesz? Zrobili to z zimną krwią. * Wyprostował się. * Uważam, że powinniście o tym wiedzieć. Człowiek ubrany w strój farmera przejechał obok na rowerze. Przez kierownicę przewiesił martwego kurczaka. Nasz gospodarz wskazał go, podekscytowany.

* Widzicie go? To Jacques. Jego brat służy w miejscowej policji. A Jacques jest w ruchu oporu. Jestem tego pewien. A to nie wszystko * gdyby prawda wyszła na jaw, to okazałoby się, że jest odpowiedzialny za wszystkie przestępstwa popełnione w tym regionie. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby jego braciszek był z nim w zмовie. W rzeczy samej, jestem tego pewien. * Znow napełnił nasze kieliszki. * Po

winniście mieć świadomość takich rzeczy. Ja tylko próbuję służyć wam pomocą.

Jego żona gorliwie przytaknęła, a jej blade oczy

o różowej poświacie nagle zabłysły pełnią satysfakcji. Odstawiliśmy kieliszki i skierowaliśmy się ku wyjściu, zostawiając na drzwiach napis: 1. oddział, 4. grupa.

* Co za śliskie źmije * warknął Porta * zrobią wszystko, żeby tylko uratować swoją cenną skórę.

* I tak to nie twoja sprawa * zdecydował Stary.

* Nie mamy się tutaj bawić w gestapo. Jak dla mnie, to mógł ich tu zginąć nawet i cały tuzin.

W dalszej części wioski napotkaliśmy Pierre'a, podejrzanego brata Jacquesa. Miał na sobie poplamiony beret marynarski, odsunięty daleko na tył głowy

i gdy tylko nas zauważył, zerwał się na równe nogi dosłownie zzieleniały ze strachu. Berek mu spadł, po podłodze potoczyła się butelka calvadosu. Butelka została podniesiona i zaoferowana nam gestem wyrażającym szacunek. Pierre pił nasze zdrowie kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu, parę razy entuzjastycznie zakrzyknął „Heil Hitler!” i wydobył z siebie potok bełkotu.

* Niemieccy żołnierze są najlepsi na świecie, panowie pozwolą, że im znow napełnię kieliszki.

Zawsze tak twierdziłem, a poza tym zostało to udowodnione; i wszyscy to wiedzą i wygracie wojnę.

* W tym momencie nerwowo zachichotał, klepnął Starego w ramię, znow parę razy wyrecytował „Heil Hitler”, czym chyba chciał wyrazić swe uczucia, po czym pokazał nam zdjęcie swej żony i rodziny.

*Jeszcze łyczek... wasze zdrowie, panowie! Wygracie wojnę. Wojna to wynalazek Żydów, no proszę

* wyciągnął kartkę papieru i szczerym gestem nam ją wetknął. * To lista wszystkich tych, których aresztowałem. Gdyby to ode mnie zależało, wyczyściłbym cały kraj z żydków. Przynoszą nam same kłopoty. Spójrzcie na Dreyfusa!

* Dreyfus był niewinny * Stary zaprotestował.

* To była pomyłka sądowa

* Ale to i tak nie zmienia faktu, że był obrzydliwym Żydem!

* Na pewno był Żydem, przynajmniej tyle się zgadza * mruknąłem pod nosem.

Porta nagle szarpnął swój karabin w taki sposób, że nawet ja się przestraszyłem. Pierre popatrzył na niego oczami wielkości talerzyków.

* Mówi się * rzekł Porta z groźbą w głosie * że pracujesz dla ruchu oporu i że dzieje się tutaj wiele co najmniej dziwnych wydarzeń. Co powiesz na to?

* Co powiem?! Co powiem?! * Pierre zareagował dzikim wrzaskiem. * A co mam powiedzieć? że

to stek bzdur? Od początku byłem proniemiecki i każdy o tym wie!

* Tamci jakoś tego nie wiedzą * rzekł Porta, wskazując ruchem głowy na dom, który przed chwilą opuściliśmy. * Na twoim miejscu, koleżko, miałbym na nich baczenie, nie wyglądają na twoich wielbicieli.

* Ale przecież ta kobieta to moja kuzynka!

* Kuzynki potrafią być tak samo mściwe, jak wszyscy inni.

Pożegnaliśmy się z Pierrem, który zaczął obgryzać paznokcie, i zostawiliśmy na drzwiach napis kredą: 2. oddział, 1. grupa. Uśmiechnąłem się do siebie zadowolony i zastanawiałem się, czy Pierre nadal będzie tak bardzo lubił Niemców po tym, jak poznał Małego. Pierre zauważył mój uśmiech i potoczył się w kierunku drzwi obiecując nam, że ci, którzy będą u niego zakwaterowani, otrzymają najlepsze jedzenie i picie. Odchodząc spojrzeliśmy za siebie i ujrzeliśmy Pierre'a w niesamowitym tempie kończącego butelkę calvadosu.

* Prawie się zesrał ze strachu * Porta zauważył z obrzydzeniem. * Kolejny z galerii pierdolonych tekturowych bohaterów!

* Życie w okupowanym kraju nie jest takie łatwe * mruknął Stary.

W następnym domu mieszkał stary chłop z medalem Croix de Guerre przypiętym do piersi.

Przywitał nas bardzo chłodno. Gdy rozglądaliśmy się po pomieszczeniach, czuliśmy na sobie zimne i złowrogie spojrzenie jego oczu.

* Ha! Wanna!

Porta z wielkim łoskotem przytargał swoje znalezisko na środek pokoju. Była to stara, aluminiowa wanna. Mała i nieco podniszczona, ale wanna. W małych wioskach widok jakiegokolwiek wanny należał do rzadkości.

* Lepiej zarezerwuj to miejsce dla oficerów * doradził Porta. * Oni są najbardziej z nas wszystkich uzależnieni od wody.

Spotkaliśmy się następnie z burmistrzem, okrą

glutkim jegomościem z sumiastym wąsem. Przywitał nas bardzo uprzejmie i z miejsca poinformował, że jest członkiem Partii.

* Dobrze * odrzekł na to Porta. * Przydzielmy mu Hauptfeldwebela Hoffmana. Wątpię, by po spotkaniu z nim ktokolwiek chciał dalej pozostać w Partii.

W dalszej części ulicy, na wzgórzu z dala od reszty wioski, stał mały domek, który na pierwszy rzut oka wydawał się opuszczony. Podeszliśmy do niego ostrożnie, ale nikt nie odpowiedział na nasze walenie do drzwi, więc w końcu opuściliśmy go, by szukać kwaterek w innym miejscu.

Późnym popołudniem nadszedł cały batalion, w swoim stylu robiąc wokół siebie dużo hałasu i wzbijając w powietrze tumany kurzu. Udało nam się wszystkim zakwaterować, ale na szczęście za długo już w tym wszystkim siedzieliśmy, by oczekiwać od kogokolwiek wdzięczności. No i dobrze, bo wdzięczności nie było * jedynie Mały jej doświadczył, napotkał bowiem rozpromienionego Pierra i czekał na niego widok bardzo dobrze wyposażonej piwnicy.

Zostawiając resztę grupy, raz jeszcze poszedłem do opuszczonego domku na zboczu samotnego wzgórza. Miałem jakieś dziwne przeczucia dotyczące tego miejsca, więc zbliżyłem się do niego bardzo ostrożnie, nie od strony bramy i ścieżki prowadzącej do drzwi, lecz z boku, przechodząc przez dziurę w żywopłocie. W środku było jak w zaczarowanym ogrodzie. Kwiaty rosły tam w bezładzie, lecz w dużych ilościach, czerwone i niebieskie, złote i fioletowe; trawa sięgała kostek, była to jasna, soczysta

trawa, nieco ciemniejsza w okolicy jabłoni. Studnia, obok której leżało wiadro odwrócone do góry dnem i przerwany łańcuch, była po części obrośnięta mchem i bluszczem. Przez chwilę stałem bez ruchu, urzeczony widokiem.

* Czego chcesz?

Słyszając ten głos, biegnący w moim kierunku skądś z ukwieconej głębi ogrodu, instynktownie chwyciłem rewolwer i schroniłem się za grubym drzewem, które rosło w pobliżu. To była instynktowna reakcja, ale głos należał do kobiety i nie brzmiał nieprzyjaźnie. Dobiał z drugiego końca ogrodu, gdzie ujrzałem młodą dziewczynę, mniej więcej dwudziestopięcioletnią, leżącą na hamaku rozpiętym między dwiema jabłoniąmi. Podniosła się i wpatrywała się we mnie

podejrzliwymi oczami, które wyglądały jak migdały.

* Szukasz czegoś?

* Niczego * odparłem, podchodząc do niej, ale nadal trzymając rewolwer w dłoni. * Myślałem, że nikt tu nie mieszka. Byliśmy tu dziś rano, ale nikt nie otwierał... Poszukiwaliśmy kwater dla oddziału, który stacjonuje w wiosce.

* Rozumiem.

Dziewczyna z gracją zdjęła nogi z hamaka. Nosiła tunikę w chińskim stylu, zakrywającą szyję, z dwoma rozcięciami po bokach, które odkrywały bardzo zgrabne uda.

* Właśnie miałam zaparzyć kawy. Przyłączysz się?

* Mieszkasz tu? * zapytałem władczo. Oczywiście było to głupie pytanie. Jednak w tamtej chwili widok jej odkrytych nóg tak bardzo mnie

absorbował, że nie byłem w stanie wysilić się na coś bardziej inteligentnego. Odpowiedzią był leciutki uśmiech, jak gdyby zdała sobie sprawę z mojego zakłopotania.

* Czasem mieszkam tutaj, a czasem mieszkam w Paryżu.... Znasz Paryż?

* Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że wkrótce poznam! * zaśmiałem się, po chwili jednak reflektując się, że moje zachowanie może być nietaktowne. * Mężatka? * zapytałem, znów niezręcznie.

* W teorii. Mój mąż jest w japońskim obozie jenieckim w Indochinach. Ostatnie wieści od niego są sprzed trzech lat.

* Przykro mi * wymamrotałem. Wzruszyła ramionami.

* No i po co? A gdzie indziej teraz bywają mężczyźni? Albo za zasiekami z drutu kolczastego, albo na stanowisku strzeleckim. Za dużo wyboru nie ma, nie?

Nie odezwałem się. Z tym, co mówiła, nie warto było nawet dyskutować.

* Jak myślisz * spytała nagle * czy wojna szybko się skończy?

Apatycznie wzruszyłem ramionami. Oczywiście, że tak uważałem. Myślałem o tym od kilku lat. A właściwie od samego jej początku. Tylko w taki sposób można było zachować zdrowie psychiczne.

* Tutaj jest cudownie * powiedziała. * Prawie można zapomnieć o tym wszystkim, co dzieje się na całym świecie. A jednocześnie to miejsce mnie przeraża. Jest takie wyizolowane z rzeczywistości, tak daleko od ludzi.... Jutro wracam do Paryża. Tam jest lepiej. Warunki są cięższe, ale przynajmniej człowiek nie jest taki samotny... Myślisz, że uczynią Paryż miastem otwartym, tak jak to zrobili z Rzymem?

Nie miałem pojęcia. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że Rzym był miastem otwartym. W armii nigdy się o tym nie mówiło. Byliśmy jedynie żołnierzami, maszynami, które słuchały rozkazów. Po co było nam mówić, co się dzieje na świecie?

Dziewczyna podeszła bliżej. Dotknęła mnie jedną ręką. Dotyk był tak delikatny; dreszcz podniecenia przebiegł przez moje ciało budząc do życia zapomniane zmysły. Uniosła drugą dłoń i zdjęła mi okulary przeciwsłoneczne, ale światło w tak wyraźny sposób raziło moje oczy, że szybko z powrotem je nałożyła.

* Wybacz * uśmiechnęła się niepewnie i przepraszająco. * Nie wiedziałam... Myślałam, że nosisz je tylko na pokaz. Żeby wyglądać bardziej atrakcyjnie...

* Chciałbym, żeby tak było * odrzekłem gorzko. * Po tym, jak się tego nabawiłem, przeleżałem trzy miesiące w łóżku, zastanawiając się, jak się zabić.

* Gdzie... * machnęła ręką. * Jak to się stało?

* Dostałem granatem fosforowym, gdy wyskakiwałem z płonącego czołgu. I tak pewnie mam więcej szczęścia niż inni. Do domów wróciło tysiące ludzi oślepionych podczas wojny. Ja przynajmniej nie straciłem wzroku. Tyle tylko, że nie mogę patrzeć bezpośrednio na żaden rodzaj światła.

* Wydaje mi się, że po takim zdarzeniu nie powin

ni cię dalej zmuszać do walki * zareagowała na moje słowa z oburzeniem. * To obrzydliwe!

* Jedna ręka, jedna noga i jedno oko... tylko tyle potrzeba, by móc walczyć na wojnie * odparłem. Popatrzyła na mnie przez chwilę.

* Jak długo tutaj zostanieiecie?

* Nie mam pojęcia! Kilka godzin, kilka dni... Takie wiadomości znane są tylko oficerom.

* No tak, oczywiście * odparła, jak gdyby dopiero w tym momencie do niej dotarło * a ty nie jesteś oficerem? Nigdy nie umiem rozpoznać tych spraw... A z jakiego miasta w Niemczech pochodzisz?

* Z koszar w Paderborn... A tak naprawdę pochodzę z Danii.

* Ach, więc nie jesteś Niemcem?

* Teraz już jestem. Gdybym nadal miał obywatelstwo duńskie, służyłbym w Waffen SS, czyli w czymś na kształt legii cudzoziemskiej.

Oparła się o drzewo, patrząc na mnie ze smutkiem

* To po co w ogóle się zaciągnąłeś?

* Po to, żeby mieć na chleb powszedni i żeby mieć dach nad głową. Wtedy właściwie nie było innego sposobu. A poza tym „Na Zachodzie bez zmian” to była moja książka do poduszki, gdy byłem dzieciakiem. Wydawało mi się, że postać zwykłego żołnierza niemieckiego to najbardziej romantyczna postać na świecie. Nigdy mi zresztą całkowicie nie przeszło.

* Naprawdę? A ja zawsze myślałam, że ta książka raczej negowała ideę wojny.

* Może tak w istocie jest. Ale spróbuj to powiedzieć małym chłopcom! Ich jakoś nikt nigdy nie przekonywał, że pokój jest bardziej fascynujący niż wojna i że człowiek nie noszący munduru może być równie bohaterски jak ten, który dostał mundur, karabin i hełm na głowę... Poza tym nie da się ukryć faktu, że w wojsku panuje wielkie poczucie braterstwa. Rozumiesz, o czym mówię? Jesteśmy w tym razem, w czasie wojny i w czasie pokoju, wojsko daje ci poczucie przynależności, daje poczucie, że jesteś częścią większej całości.

* Ale dlaczego w takim razie do niemieckiej armii? * upierała się przy swoim. * Dlaczego nie wstąpiłeś do armii duńskiej?

Zaśmiałem się.

* Bo jej praktycznie nie było! A żołnierze nie cieszyli się w Danii popularnością. Ludzie pluli na nich na ulicach. Na oficerów i na zwykłych żołnierzy. Nawet policja udawała, że tego nie widzi.

* To pewnie dlatego Dania tak szybko padła w 1940 roku?

* I tak nic by nie działo. Niemcy to największa potęga militarna w Europie. Nawet armia francuska za długo nie stawiała nam oporu.

Jej migdałowe oczy zwięzły się.

* Francja jeszcze się nie poddała, już ty się o to nie martw! Tak długo, jak Anglia nie upada, tak długo i my będziemy walczyć. A Anglia nigdy nie padnie, o to możesz być spokojny, i nigdy nas nie zawiedzie!

Roześmiałem się, szczerze ubawiony jej naiwnością.

* Chcesz wiedzieć, za kogo bije się Anglia? Bije się tylko za siebie i za nikogo innego. Anglicy mają w dupie Francuzów. Już raz was zawiedli. Pamiętasz Dunkierkę? Pamiętasz, co tam się wydarzyło? * pokręciłem głową * Nacje nigdy nie robią niczego dla innych nacji. Tylko dla siebie.

* To akurat może być prawda * odpowiedziała * ale dobrze wiesz, że Niemcy właściwie już przegrali tę wojnę. Dlaczego zatem nie uciekniesz, póki jeszcze jest na to czas?

* Pytasz, czemu nie zdezerteruję?

* A czemu nie? Inni tak robią. Ruch oporu by się tobą zaopiekował, gdybyś zaczął dla nich pracować.

* Nigdy nie zdezerteruję. Mogę walczyć w imię już przegranej sprawy, ale to nie ma znaczenia.

Gdybym teraz się wycofał, to zawiódłbym moich opuszczonych w potrzebie przyjaciół. A oni na mnie liczą, tak jak ja liczę na nich. Żaden z nas nie mógłby tak po prostu z zimną krwią zdezerterować. Zbyt dużo czasu spędziliśmy na tej wojnie razem.

Mój entuzjazm narastał, położyłem dłonie na korze drzewa tam, gdzie znajdowały się ramiona dziewczyny i mówiąc pochyliłem się w jej kierunku.

* Nasza piątka. Przeszliśmy razem piekło... w okopach, w czołgach, pod ostrzałem wroga.. Gdy się ma takie przeżycia, to nie można tak po prostu opuścić drugiego człowieka.

* Ale wojna już przegrana! Cmoknąłem zniecierpliwiony.

* Oczywiście, że jest przegrana! Wiemy to od wielu miesięcy. Wiedzieliśmy to długo przedtem, za nim pomyśleli o tym politycy.

* To może zdezerterujcie wszyscy razem? Wszyscy w tym samym momencie?

Jakże to było dla niej proste. Wzruszyłem ramionami.

* A dlaczego ludzie nie dezercerowali podczas pierwszej wojny światowej? Przypuszczam, że tu chodzi o poczucie braterstwa. Nawet gdybyśmy uciekli wszyscy równocześnie, tak stracilibyśmy to poczucie... przynależności. Znów byłoby się samotnym jak palec na tym świecie. Nie umiem tego tak dobrze wyjaśnić... Remarque robi to o wiele lepiej w swojej książce. Przeczytaj ją raz jeszcze, może zrozumiesz nieco lepiej jej sens, choć ciężko to odczuwać w taki sam sposób, gdy się nie wie, jak to jest być całkowicie samotnym.

Wyciągnęła ręce i zawiesiła je na mojej szyi.

* Ja jestem taka samotna * powiedziała. * I wiem, jakie to uczucie.

* Wątpię * mruknąłem.

Wziąłem ją w ramiona i przez dłuższą chwilę staliśmy tak, napierając na siebie, całując się łapczywie z zamkniętymi oczami, zupełnie jakbyśmy umierali z głodu. Głodni w pewnym sensie być może byliśmy, głodni siebie. Już dawno tak atrakcyjna kobieta jak ona nie okazywała mi sympatii; w rzeczy samej w ogóle dawno nie miałem jakiegokolwiek okazji na te rzeczy. Jej zachęta podziałała na mnie tak, jak wypicie butelki wina na pusty żołądek.

Ziemia trzęsła się pod naporem kolumny czołgów, które wjeżdżały do wioski. Na policzkach czuliśmy

gorące podmuchy z rur wydechowych i trzymając się za ręce poszliśmy do domu na obiecaną filiżankę kawy. Prawdziwej kawy! Zdażyłem zapomnieć jak smakuje. Sącyłem ją powoli, w gorliwym oczekiwaniu na rozkosz, która była przed nami, ale równocześnie pilnując, by nie zmarnować ani jednej kropli cennego płynu bez zasmakowania jej w pełni.

* Jakim facetem jesteś? Tak naprawdę? * zapytała.

* Jestem zwykłym żołnierzem * odparłem. * Czy to ma jakieś znaczenie, tak naprawdę?

Zaśmiała się i zaprzeczyła ruchem głowy. Powoli objęła mnie. Wolno, z wdziękiem, zaczęła zrzucać ubranie i objawiła się przede mną śliczna niczym pierwszy raz rozwijający skrzydła motyl.

* Spójrz na mnie * powiedziałem z żalością w głosie. * Spójrz na moje ubrania: splamione olejem i błotem łachmany! Mówię ci *jestem zwykłym żołnierzem. Wyćwiczonym, by zabijać i nic więcej. Czasem wzbudzam obrzydzenie w sobie samym.

* A jak byś mógł wybrać, to kim byś był? Wzruszyłem ramionami. Kwestia wyboru nigdy dotąd się nie pojawiła i pewnie nigdy nie pojawi.

* Ciężko powiedzieć. Zbyt długo byłem żołnierzem, by umieć samodzielnie myśleć. Tak bardzo przyzwyczajony jestem do wykonywania poleceń, do ścisłej dyscypliny i do tego, że ktoś inny decyduje o moim życiu, że wątpię bym potrafił inaczej żyć.

* Na pewno byś umiał, gdybyś tylko bardzo chciał * powiedziała, ciągnąc mnie w stronę łóżka.

I przez chwilę żyłem inaczej. Przez chwilę wojna

toczyła się beze mnie i nie tęskniliśmy za sobą. Pod oknem przetaczały się czołgi, a ja w ogóle ich nie zauważałem. Kawa stygła w czajniczku aż wreszcie stała się całkiem zimna.

Zastanawiałem się, ile godzin uda nam się wyrwać śmierci i zniszczeniu? Jedną, może dwie. Na pewno nie więcej. Wystarczy jednak, by dać mi posmak życia innego od tego, jakie musiałem prowadzić; wystarczająco dużo czasu, by z obrzydzeniem przywitać obudzenie ze słodkiej półdrzemki dźwiękiem pięści i buciorów walących w drzwi. Uwagę moją przykuł hałas na drodze prowadzącej za wioskę, wcześniej było spokojnie i cicho. Słyszałem okrzyki i przekleństwa, pisk hamulców i zgrzyt czołgowych gaśienic, odgłos ciężkich butów uderzających o żwir i zachrypnięte głosy wykrzykujące rozkazy.

Oboje usiedliśmy na łóżku, podała mi koszulę, a sama naciągnęła prześcieradło pod samą brodę. Kimkolwiek był gość, który walił w drzwi, najwyraźniej znudziła mu się ta czynność. Rozległ się dźwięk rozbijania drzwi w drzazgi, a następnie ciężkie kroki na korytarzu. To był Porta, wpadł na nas czerwony na twarzy i pełen oburzenia.

* A więc tu jesteś! Co ty do cholery jasnej wyczyniasz? Wszędzie cię szukam, ty głupi gnoju!

* Spierdalaj * odpaliłem * wynocha, zmywaj się, wypieprzaj stąd! Nie chcemy cię tutaj. Idź poszukaj sobie kogoś innego do zabawy.

Porta podszedł bliżej, podniósł moje ciuchy i cisnął je w moim kierunku.

* Wbijaj się w ciuchy, i to szybko! Nie przyszedłem się zabawić, stary * nie w momencie, gdy nadchodzą Amerykańce! Walczyłem chwilę z kłębkami ciuchów, spodni, koszuli, munduru i popatrzyłem na niego.

* Z której strony nadchodzą?

* Jeden Bóg wie! I kogo to kurwa tak naprawdę obchodzi? Nadchodzą * tyle ci nie wystarczy? Oni nadchodzą, my odchodzimy...

Obrócił się w kierunku dziewczyny i obdarzył ją groteskową parodią czarującego uśmiechu, ukazując puste dziąsła i swój jedyny ząb, który lśnił jak kiel jednozębnego wampira.

* Musisz mi wybaczyć, kochanie. Nienawidzę przerywać komuś zabawy, ale jak mówiłem * nadchodzą Jankesi. Jak to dobrze rozegrasz, to szybko znajdziesz dla niego zastępstwo.

Odwrócił się w kierunku stołu, podniósł czajniczek z kawą i wetknął do niego swój wielki nochal. Po chwili jego nozdrza zagrały zadowolone.

* Kawa! * powiedział zduszonym głosem.

Wlał wszystko do gardła, mimo iż była zimna i pstryknięciem palców przywołał mnie do siebie.

* Stary, jak nie zaczniesz zgęszczać ruchów, to cię ścigną za dezercję. Już prawie wszyscy się zebrali do wymarszu. My jesteśmy bodajże ostatni... Mały, swoją drogą, jest pijany jak bela. Gdy go ostatnio widziałem, to rozrabiał po całej wsi... Porucznik Schmidt opuścił mimo choroby łóżko i zapowiedział, że postawią Małego przed sądem wojennym, jeśli natychmiast nie przyjdzie do siebie, a Feldwebel Mann * znasz Feldwebla Manna? * pierwsze co zrobił, gdy się zakwaterował, to zamknął się w sraczu i się zastrzelił... A tak, no a Obergefreiter Gert zwiął. Co mnie nie dziwi. Zawsze zachowywał się jak głupia ciota. Teraz go szukają i pewnie złapią w ciągu kilku godzin * albo nawet szybciej, jak przypuszczam...

Podczas niekończącego się potoku słów Porty, ja pośpiesznie wciągałem na siebie moje ubranie. Dziewczyna niespodziewanie rzuciła się w poprzek łóżka i w trakcie, gdy Porta podawał ostatnią ze swoich cennych informacji, wybuchła płaczem.

* Sven, nie odchodź! Dalsza walka to szaleństwo. Wszyscy wiemy, że już przegraliście tę wojnę... Zostań tutaj, ukryję cię! Proszę cię, Sven!

* Nie mogę * odparłem. * Już ci to raz wyjaśniałem. Czasem warto pozwolić sobie na marzenia, ale nie należy ich mieszać z rzeczywistością.

* Rzeczywistością? A co to jest rzeczywistość?

* zażądała odpowiedzi, podczas gdy strumienie łez zalewały jej policzki. * Krew, brud i okrucieństwo. I śmierć w imię sprawy, w którą nie wierzysz?

* No chyba tak właśnie jest * odpowiedziałem. Porta, który próbował wydłubywać wosk z uszu niewłaściwą stroną łyżeczki, rzucił ją na stół i popatrzył na mnie wzrokiem pełnym prawdziwego zadziwienia.

* No i po co ona tak wypłakuje oczy? Nadal ma dom w jednym kawałku, nie? Wystarczająco dużo jedzenia, by napęścić brzuch, wystarczająco kasy, żeby zdobyć kawę na czarnym rynku * splunął z pogardą.

* Rzygać mi się chce * ciągnął. * Wydawałoby się, że powinna być zadowolona z tego, co posiada, nie?

* Zamknij mordę albo stąd wyjdź! * powiedziałem mu uprzejmie.

Odwróciłem się do dziewczyny, ale ona nie chciała się pożegnać. Wyszedłem nie oglądając się za siebie, życząc sobie w duchu, by marzenia mogły znaleźć czasem słodkie spełnienie, ale nie miałem zamiaru ronić łez, skoro tak nie było.

Kompania stała już w szyku na głównym placu i nie mogłem się wbić na swoje miejsce niezauważony. Generał Mercedes natychmiast mnie zauważył.

* Gdzieś ty do jasnej ciasnej był? Wydaje ci się, że specjalnie dla ciebie zatrzymamy na chwilę bieg wojny?

* Niech pan tak na niego nie wjeżdża * poprosił Porta. * Gdyby pan robił to, co on właśnie przed chwilą robił...

Wszyscy zebrani żołnierze wybuchli gromkim, rubasznym rechotem. Uśmiechnąłem się jak Don Juan, a generał z wściekłością zwrócił się do ogółu

* Przestać mi tu hałasować! Wam się wydaje, że tu jest jakiś teatr pantomimy? Pokaz, kurwa, z magicznymi sztuczkami? Ty * powrócił do mnie * jesteś aresztowany! Wracaj do szeregu i nie pokazuj mi tego swojego głupiego ryja do momentu, aż sam cię zawołam.... Oberleutnant! Wyprowadzić ich stąd, dwójkami!

Generał wskoczył do swojego auta, zatrzasnął drzwi i odjechał, wzbijając wirującą chmurę kurzu. Oberleutnant Lówe naciągnął hełm i skinął w moim kierunku.

* Do szeregu, ty zafajdany buraku... Kompania!

Baczność! Kompania... w prawo... zwrot!

Przez chwilę popatrzył na nas krytycznym wzrokiem, jak sztywno i poprawnie staliśmy w szeregach. W następnej sekundzie ledwo utrzymał równowagę, gdy stu osiemdziesięciu ludzi w dzikim bezładzie rzuciło się do oczekujących na nas czołgów. Sporo wysiłku zajęło nam, by skusić Małego do wejścia do naszego czołgu. Wykazał radosną chęć do wdrapania się na bok pojazdu i przepelnienia po nim w akompaniamencie okrzyków, po czym potrzeba było nas trzech, żeby wcisnąć go do włazu głową w dół. Na szczęście, gdy już wpadł do środka, od razu stracił świadomość, dzięki czemu mogliśmy go kopniakami odesłać w kąt i zapomnieć o jego obecności.

Z dźwiękiem przypominającym nadejście grzmotu dwadzieścia pięć Tygrysów opuściło wioskę. * Naprzód * rzekł Stary. * Jedziemy aż do głównej drogi. Załadować działa. Sprawdzić systemy.

Z przerażającą nagłością naszło mnie uczucie nostalgii, ostre ukłucie tęsknoty do tego wymarzonego świata, z którego mnie tak niegrzecznie wyrwano. Zacząłem apatycznie wykonywać rozkazy Starego, wciskając przyciski, sprawdzając sprzęt. A w głowie siedziała cywilizacja. Kobiety i domy, ciepłe kąpiele i prawdziwa kawa. Łóżko i ogrody, cukier i sole do kąpiele. Delikatna różowa skóra i zapach róż...

* To moje oko, ty popaprańcu!

* Przepraszam * powiedziałem, wyjmując palec z oka Porty i kładąc go mocno na przycisku, którego poszukiwałem

Gapilem się na ciemne wnętrze czołgu. Śmier

działo olejem, gorącym metalem, ludzkim potem i brzydkim zapachem z ust. To była rzeczywistość. Czy mi się ona podobała czy nie * to była rzeczywistość. Słodkie sny o innym stylu życia zapewne doprowadziłyby do szaleństwa.

Mały otworzył zaropiałe oko, zauważył mnie i poufale się ku mnie pochylił. Beknął, owiewając mnie smrodem przetrawionego alkoholu, który mnie poraził.

* Hej, Sven * wyszczerzył zęby w uśmiechu i lubieżnie wetknął mi palucha w lędźwie. *

Słyszałem, co tam kombinowałeś! Jaka była, hej?

Przysunąłem gwałtownie swoją twarz do jego.

* Odpierdol się! * powiedziałem.

Gdy dotarliśmy do miejsca, w którym wiejska droga prowadziła na wprost, a pagórek wiodący do domu leżał po lewej stronie, nawet nie próbowałem się powstrzymać przed spojrzeniem przez luk obserwacyjny. Dobrze, że po raz ostatni tam spojrzałem. Jacqueline stała przy żywopłocie i machała nam na pożegnanie.

Wioska nadal była w zasięgu wzroku, gdy poinformowano nas, że na godzinie drugiej, w odległości siedmiuset metrów znajduje się czołg wroga. Wkroczyliśmy do akcji, a ja zostałem znów brutalnie wrzucony w sam środek rzeczywistości. Okazało się, że był to fałszywy alarm * spalony wrak na poboczu drogi z dwoma zwęglonymi ciałami leżącymi pod nim * ale raz na zawsze widok ten zakończył moje sny na jawie

Wkrótce zapadła noc, a niebo zostało rozświet

lone przez bladą poświatę księżyca. Czołgi parły do przodu, trzęsąc fundamentami mijanych domów. Na naszej drodze wywoływały hałas, który budził ludzi, odsuwały się zasłonki, w oknach pojawiały się zaniepokojone oczy, obserwujące nasz przejazd w ciemnościach, próbujące dowiedzieć się, kim jesteśmy * ponieważ na tym etapie mógł to być już każdy, kto wie? Mógł to być wróg lub przyjaciel, Amerykanin lub Niemiec.

Trzy bataliony ciężkich czołgów orały pola w ciemności, by zaatakować Brytyjczyków z zaskoczenia. Tygrysy sunące całą szerokością drogi. Z rur wydechowych wylatywały jaskrawe

plomień, długie na metr. Huk silników atakował przebijając się przez ciszę nocy, wiele domów straciło podczas naszego przejazdu szyby w oknach. Niektóre budynki miały jeszcze mniej szczęścia: stały dokładnie na naszej drodze i zwyczajnie zostały zniszczone, stając się po naszym przejeździe jedynie stertą gruzów.

* Przyjdź, słodka śmierci * radośnie zaintonował Legionista, przykuty do peryskopu.

Małym wstrząsnęły dreszcze i zwrócił się do Porty.

* Ciarki mi po grzbiecie przechodzą * pozałił się. * Masz może coś mocniejszego do picia?

Porta podał mu butelkę najlepszego sznapsa, którą zwędził jakiś czas temu z magazynu. Sznapś miał być dla dowódcy dywizji, ale na jego nieszczęście Porta trafił tam pierwszy. Wedle jego własnych słów, Porta potrafił wyczuć alkohol z odległości kilku kilometrów i użył swego nosa do wytropienia butelki.

Mały zaatakował butelkę tak, jak atakował wszyst

ko inne * z pełną werwą * i wlał w siebie połowę jej zawartości. Następnie beknął, splunął pod wiatr przez luk obserwacyjny, co skończyło się tym, że większość śliny zawróciła w kierunku jego twarzy, przyjął to szkaradnym przekleństwem, po czym wytarł się kawałkiem poplamionej olejem szmaty. Takie małe momenty radości zwykle ożywiały nasze podróże.

Jechaliśmy i jechaliśmy wiele godzin w kierunku linii wroga. Na drodze panował olbrzymi zator, spowodowany odpadami wojny. Spalone samochody, wraki innych czołgów * angielskich i niemieckich, zwęglone zwłoki ludzkie zalegały nad i pod pojazdami. Cała kolumna piechoty leżała rozrzucana na drodze.

* Jabosy * powiedział Porta bez emocji.

Za bardzo już nas nie ruszał widok takiej rzeźni, widzieliśmy już dokładnie takie wiele razy wcześniej.

* Pamiętajcie tę starą piosenkę pancerniaków, którą puszczały kiedyś przez radio? * powiedział nagle Barcelona bez jakiegokolwiek konkretnego powodu.

Zwrócił się do nas wszystkich i zaczął bardzo spokojnie nucić tę piosenkę, którą tyle razy słyszeliśmy w 1940 roku. Słowa nie wydawały się już w tym momencie właściwe:

Daleko za Mozą, Skalda, za Renem na Frankfurt ochoczo napiera setka czołgów w szeregu! Sto niemieckich czołgów, Czarni Huzarzy Wodza Na podbój Francji zmierza przy gromkim hurraaa. Sto warczących silników, dwieście gąsienic na kołach, Sto niemieckich czołgów szybko mkną po polach!

Banalna piosenka z najlepszych naszych czasów teraz wydawała się zupełnie absurdalna.

Zareagowaliśmy pogardliwym śmiechem * i to nie tylko nasza załoga, inne należące do kolumny też zostawiły włączone radio i cała kompania miała chwilę ubawu z chwilowej nostalgii Barcelony.

* Zamknąć się! * dopadł nas przez radio głośny wrzask Heidego * Co jest z wami, głupie ćwoki? Nie czas teraz na takie rzeczy!

Biedny Heide! Bardzo źle znosił to, jak ta wojna się toczyła. Reszta po prostu dalej rechotała, aż nie mogła wytrzymać ze śmiechu. Sto niemieckich czołgów i Czarni Huzarzy Fuhrera już nie toczyli się triumfalnie przez pola, tylko próbowali desperacko toczyć bitwę na tyłach swoich formacji, by powstrzymać nadciągającego wroga.

Nasz śmiech gwałtownie przerwało pojawienie się dziwnej grupki podążającej wzdłuż drogi.

Początkowo nie załapałem, kto to mógł być. Może więźniowie? Nie, więźniowie nie byliby pilnowani przez zakonnice. Nagle zauważyłem, że dziwne, przypominające nietoperze postacie biegały we wszystkie strony, podczas gdy zakonnice nadaremnie próbowały przywrócić ład tej grupie * no właśnie, jakiej grupie? Zmrużyłem oczy skryte za okularami przeciwsłonecznymi.

* Wariaci * syknął Mały prosto w moje ucho. * Cholerni obłąkańcy prosto z wariatkowa, jak pragnę zdrowia!

Miał całkowitą rację, ewakuowano dom dla umysłowo chorych w pobliżu Caen, a nadejście kolumny czołgów wzbudziło panikę w ich już i tak zmęczonych głowach. Czmychali we wszystkich kierunkach, niektórzy klaskali i uśmiechali się głupkowato, inni z kolei wyli jak dzikie stworzenia. Jeszcze inni stali bezmyślnie na środku drogi z opuszczonymi ramionami, niemrawo obracając głowy. Jakiś biedny idiota rzucił się pod nadjeżdżający czołg i został przez niego zmiażdżony.

Zakonnice desperacko krzyczały i wznosiły ręce ku niebu, ale obłąkana horda wydawała się uparcie zmierzać do samozagłady. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się przed naszymi obliczami człowiek w białym kitlu, który podszedł do nas z groźbą w oczach.

* Stój! * Stary wrzasnął, przewidując katastrofę. * Stój, na miłość boską!

Radio nadal było włączone. Trzy bataliony usłyszały wezwanie do zatrzymania się i powoli cała kolumna czołgów znieruchomiała. Natychmiast podjechał w naszym kierunku samochód generała Mercedesa, mknąc na pełnym gazie i powodując, że cała ekipa zakonnic i obłąkańców zanurkowała w pobliski rów. Usłyszeliśmy przez radio wściekły głos generała.

* Co za kretyn wydał rozkaz zatrzymania się? Ktokolwiek to był, może się spodziewać sądu wojennego za swoją czystą głupotę! Ruszać, nie zatrzymujemy się pod żadnym pozorem! Z odgłosem przypominającym stękanie konającego, ciężkie czołgi znów ruszyły. Jeden z nich wjechał wprost w grupę wariatów. Najwyraźniej kierowca spanikował i stracił kontrolę nad pojazdem, a pojazd z szarpnięciem zatrzymał się na środku drogi, ponownie powstrzymując całą kolumnę. Ciała leżały po obu stronach czołgu*winowajcy. Podeszła do niego stara, rozwścieczona zakonnica i zaczęła walić pięściami w pancerz.

* Mordercy! Wszyscy jesteście niczym więcej, jak tylko mordercami!

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Samochód generała znów podjechał do przodu i zatrzymał się ze złowrogim piskiem hamulców. Przez okno wychyliła się głowa majora, pełnego gniewu i strasznego w swojej wściekłości. Czarna klapka lśniła złowieszczo na jego prawym oku.

* Ten idiota nie nadaje się nawet do prowadzenia furmanki, że o cholernym czołgu nie wspomnę! Niech ktoś inny zajmie się kierowaniem, na litość Chrystusa! A jeśli chodzi o ciebie * popatrzył na nieszczęsnego porucznika, który nerwowo próbował wydostać się przez właz * to policzymy się później! Ze wszystkich durnych rzeczy na świecie... * zabrakło mu słów. Odwrócił się w kierunku pozostałych i ruchem ręki nakazał kolumnie ruszyć do przodu. * Ruszać i nie zatrzymywać się! Nie obchodzi mnie, czy sam Chrystus stanie wam na drodze, nie zatrzymujemy się dla nikogo * a kiedy mówię dla nikogo, to naprawdę mam na myśli dla nikogo! Czy to jasne? Jeśli ktoś się napatoczy, to jego problem. Nauczycie

go, by w przyszłości nie był już tak nieostrożny.

Dokładnie w momencie, gdy generał miał znowu ruszyć, grupa samochodów z czerwonym krzyżem podjęła nieudaną próbę wyprzedzenia nas. Pomimo żądań z ich strony, by ich przepuścić, staliśmy twardo i zepchnęliśmy ich do rowu. Tygrysy nie zatrzymywały się dla nikogo. Tygrysy nikomu nie ustępowały.

Porucznik piechoty minął nas, wędrując na własnych nogach, a za nim maszerował oficer żandarmerii polowej, jego ryngraf lśnił złowrogo. Wyciągnął rewolwer, wyglądał na człowieka, który nie ma chęci do jakiegokolwiek formy uprzejmej konwersacji. Słyszałem, jak w trakcie marszu pokrzykiwał.

* To sabotaż! Ktoś za to wszystko zapłaci! Co za głupiec dowodzi tą bandą kretynów?

Był bardzo pewny siebie. Żandarmeria polowa generalnie nie bała się ani ludzi, ani diabła, ani nawet samego Fuhrera. Zwykły oficer był dla nich pyłkiem na wietrze. Na szczęście generał Mercedes nie był zwykłym oficerem. Za nic miał ludzi, czy diabła i wydaje mi się, że nawet sam Fuhrer nie wzbudzał w nim przesadnego szacunku.

* Tygrysy! * jego głos brzmiał wzdłuż całej kolumny, przetaczając się echem z jednej strony drogi na drugą. * Wydałem wam rozkaz * ruszać się! Nie zatrzymujemy się pod żadnym pozorem! A jeśli o pana chodzi * z tymi słowami odwrócił się w kierunku dwóch wspomnianych wyżej ludzi, odpychając żandarma i zwracając się bezpośrednio do porucznika * to sugeruję, by pan te swoje małe, nędzne wó

zeczki ściągnął z drogi, jeśli nie chce pan, byśmy je zmiażdżyli. Ponadto * dodał po chwili * proponuję wybrać rów jako drogę transportową. Myślę, że tam będziecie bezpieczniejsi.

Tygrysy potoczyły się do przodu. Pokonaliśmy pewien dystans nim znów natrafiliśmy na kolumnę ludzi, prawie tak dziwaczną jak obłąkańcy z Caen. Po pierwsze, mimo iż żołnierze byli ubrani w mundury niemieckiej armii, to w istocie byli to przedstawiciele połowy narodowości europejskich. Byli tu Rosjanie, Ukraińcy, Kozacy, muzułmańscy Bośniacy, Bawar*czycy, Alzatzycy, Węgrzy, i

Włosi. Ponadto cała ta kolumna miała w swoich wielonarodowych głowach tylko jedną myśl * myśleli o ucieczce. Poruszali się w naszym kierunku, szli w beładzie i widzieliśmy na tej dziwnej mieszaninie facjat panikę wymieszaną z determinacją. Gdy czoło tej kolumny uciekinierów minęło nas, podnieśliśmy nieliczną wrzawę.

* Niemiecka armia! * krzyknął Porta radośnie.

* Niech ich Bóg błogosławi! Gdyby tylko Adolf mógł to zobaczyć... * wskazał na szybko poruszające się kłębowisko ludzi z pułku spadochroniarzy * Gdyby tylko Hermann mógł ich teraz zobaczyć!

* Czyżby to było możliwe * powiedział Barcelona ze smutkiem w głosie * że przegrywamy tę wojnę?

* Nigdy! * wrzasnął Porta.

Nasz śmiech odbijał się gromkim echem od ścian czołgu.

* Halo! * zagaił Stary, wychylając się raz jeszcze

* A to co za jedni?

To była jednostka kawalerii. Zajechali szaleńczo

galopem, szlachtując szablami horde dezertersów, ustawieni w szyku przypominającym wachlarz, by móc objąć swym działaniem całą tę masę. Po czerwonych kołnierzykach rozpoznaliśmy w nich Kozaków generała Własowa, specjalistów w robocie tego typu. Mknęli jak demony, stojąc w siodłach, piana ciekła z nozdrzy ich mocnych, małych koni. Surowe rozkazy były wydawane w języku rosyjskim, szable lśniły i błyskały. W ciągu kilku minut otoczyli całą kolumnę, wrzeszcząc jak dzikusy. Niektórzy z nich zsiadli z koni i wbili się w sam środek gęstniejącej masy ciał, machali szablami i cięli na oślep, aż w końcu na ziemi z daleka widzieliśmy strumienie ciekącej krwi. Nikt nie próbował podjąć jakiegokolwiek walki. Być może byli zbyt wystraszeni albo panikując w trakcie ucieczki porzucili swoją broń.

Tygrysy nie były w stanie dalej jechać. Oglądaliśmy tę scenę przepelnieni obrzydzeniem i nienawiścią. Od Kozaków można było oczekiwać jedynie takiej brutalności i niczego więcej. Naszym zdaniem niemiecka armia mogła się obejść bez ich pomocy. Widzieliśmy, jak oficer żandarmerii polowej poklepuje rosyjskiego kapitana po ramieniu, najwyraźniej gratulując mu dobrze wykonanego zadania, i nasz gniew jeszcze bardziej się wzmógł. Wielu Rosjan podprowadziło konie do pobliskiego strumienia, gdzie razem ze swoimi jeźdźcami mogły napić się wody. Widok nie był jakoś specjalnie zaskakujący: w pułku kozackim status konia był równy statusowi człowieka.

Z konieczności czołgi musiały się na chwilę za

trzymać. Kozacy podeszli w naszym kierunku, ich malutkie, czarne oczka lśniły szaleńczo, na futrzanych czapkach pobłyskiwały rosyjskie odznaki. Napity kapral, śmierzący wódką, zatrzymał się przy naszym Tygrysie. Szablę przewiesił sobie przez bok, w jednym ręku trzymał nahajkę, ulubiony bicz Kozaków.

* Salut, gospodin!

Spojrzał w górę na nas i zaśmiał się. Czuję, jak pozostali aż drżą z nienawiści przy moim boku.

* Hej, towarzyszu * Porta nagle wychylił się w jego kierunku * przepowiadał ci ktoś kiedyś przyszłość?

* Nie. A czemu pytasz?

* Bo ja się zajmuję przepowiadaniem. Chcesz dowiedzieć się, jaka będzie twoja przyszłość?

* A po co?

* Może się okazać interesująca.

* Dlaczego? * Rusek zapytał raz jeszcze w tym ich wkurzającym, upartym tonie.

* Boisz się? * Porta zaszydził. * Jakoś mnie to nie dziwi. Wielu ludzi boi się swojej przyszłości.

Nie mają jaj, by stawić czoło prawdzie, bo mogłaby się okazać nieprzyjemna.

Kozak zachmurzył się. Podeszedł nieco bliżej i wyciągnął swą szeroką grabę.

* Ja się nie boję. Ale nie zawsze warto wiedzieć, co przyniesie przyszłość.

* Spróbuj, a się przekonasz.

Porta złapał rękę zanim właściciel mógł pomyśleć o cofnięciu jej i przybrał nieobecny wyraz

twarzy,

który moim zdaniem przywodził na myśl wyłączonego z rzeczywistości imbecyla. Prostemu kapralowi ten wyraz twarzy imponował, ale, no cóż, po prostu nie znał Porty tak dobrze jak ja.

* Hmm.. aach... hmmm. No tak! Widzę * Porta cmoknął w zamyśleniu. * Byłeś kapralem u wujaszka Stalina, prawda? Nosileś hełm z czerwoną gwiazdą, tak? I stacjonowałeś w garnizonie w... Majkof. Mam rację?

Facet przytaknął, szczęka mu przy tym opadła z wrażenia. Każdy, kto tak jak my spotkał tyłu Kozaków w niemieckiej armii i walczył na rosyjskim froncie, mógł spokojnie odgadnąć to samo, ale dobre strzały na początek spowodowały, że wokół Porty zebrała się spora gromadka żołnierzy, gapiących się na niego, marszczących gęby z błyskiem ledwie widocznego, nerwowego oczekiwania w oczach.

* No tak! Mam rację! * triumfalnie zawyrokował Porta.

Mężczyzna przeżegnał się i spróbował wyrwać rękę, ale Porta go nie puszczał.

* Czekaj! Powiem ci, co widzę w twojej przyszłości... Widzę długą, zakurzoną drogę, która prowadzi donikąd i biegnie tak hen daleko... Nie ma machorki, wody i żarcia.... Długa kolumna mężczyzn, wszyscy noszą taki mundur, jak ty... Wszyscy należą do pułku generała Własowa. A to zbieg okoliczności! Jesteś wystarczająco twardy, by znieść prawdę? * popatrzył z góry na faceta i nawijał dalej, zanim ktoś mógłby go powstrzymać. * Widzę stół, przy którym siedzi wielu amerykańskich i rosyjskich generałów. Piją whisky

i wódkę... palą grube cygara... A teraz podpisują papiery i ściskają swoje dłonie * Porta zamknął oczy, jak gdyby przeżywał straszliwe cierpienia. * Coś jeszcze widzę! Adolf padł i wszyscy Kozacy zostają zabrani z powrotem na ziemię ojczyste... Widzę.... Widzę.... * Porta boleśnie zawył *

Towarzyszu! Wiesz, co to Dalstroj*, prawda? No cóż... * pokiwał mądrze głową

usatysfakcjonowany. * Towarzyszu, właśnie to widzę! Nie za dobrze, co nie?

Kozak wyrwał dłoń i odskoczył z mieszanym wyrazem zwątpienia i nienawiści na twarzy. Dziko wysyczał potok rosyjskich słów, który był zbyt szybki, żebym mógł go zrozumieć, ale ułamek sekundy później Mały zeskoczył z czołgu wprost na kozackiego kaprała. Podniósł go swym olbrzymim łapskiem i całkiem energicznie nim potrząsnął.

* Paskudny rosyjski sługusie, lepiej szybko zmień ton swoich wypowiedzi albo osobiście pejcem pogonię cię wprost do Dalstroju i użyję do tego twojej własnej nahajki!

Poleciał kolejny potok słów w języku rosyjskim. Na pewno przekleństwa, chyba bardzo wulgarne. Jeśli chodzi o bluzgi, to rosyjski nie ma dla siebie konkurencji. Dla samych przekleństw warto się go nauczyć.

Mały jedynie zadrwił i z pogardą odepchnął Kozaka od siebie. Ten popędził w kierunku swojego konia, wskoczył na siodło i odjechał wraz z towarzyszami, którzy wykazali się rozsądkiem i na pierwsze wspomnienie o Dalstroju ulotnili się. Kozak odwrócił się i groźnie machnął szablą w naszym kierunku, rzucając kilka następnych przekleństw w naszym kierunku, ale Małego w ogóle to nie ruszyło.

* Spadać na drzewo, brudne parobasy! * zagrzmiał.

Pułk Kozaków, pędząc przed sobą grupę niedoszłych dezertów, pomału zniknął w oddali, a do naszego czołgu zbliżył się porucznik Lówe z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

* Obergefreiter Porta, nie pozwalam, by ludzie pod moim dowództwem kpili sobie z naszych sprzymierzeńców... szczególnie, gdy są to ochotnicy! Jeden z kozackich oficerów właśnie u mnie był na skargę * poskarżył się na ciebie.

* Proszę o wybaczenie, proszę pana * odrzekł Porta całkiem szczerze. * Facet chciał się dowiedzieć, jaka jest jego przyszłość, no to mu powiedziałem, i tyle.

* Och tak? Nie wiedziałem, że masz zdolność jasnowidzenia? Coś mu powiedział?

* Samą prawdę * odparł Porta zraniony.

* To znaczy?

* Powiedziałem mu, że wróci do wujaszka Józefa, do Dalstroju. Byle głupiec mógłby to przewidzieć.

* Życzyłbym sobie, byś choć raz w życiu na chwilę utrzymał tę swoją kłapiącą jadaczkę na wodzy!

* warknął Lówe z irytacją. * Sam kiedyś skończysz w Dalstroju, jak nie zaczniesz się pilnować!

* No, całkiem możliwe * odparł Porta z westchnięciem.

Porucznik odszedł, ewidentnie zniesmaczony.

Kolumna znów ruszyła do przodu przy akompaniamencie pohukiwania sów pochowanych w pobliskich lasach. Noc pomału przechodziła w dzień. Wewnątrz czołgu przygotowaliśmy coś na kształt śniadania, nad benzynowym piecykiem rozgrzewając namiastkę kawy, a czynność ta stanowiła poważne ryzyko zaproszenia ognia i wysadzenia całego czołgu w powietrze. Odcięliśmy kromki chleba z grubego bloku, który w armii był uznawany za bochenek i, żeby uczynić go bardziej jadalnym, grubo posmarowaliśmy dżemem z buraków, który Porta zwinął mniej więcej w tym samym czasie, co wspomniany już sznaps.

Wreszcie nastał dzień, szary i nieprzyjemny. Kolumna zatrzymała się na chwilę. Skądś nadjechał pułk grenadierów, wszyscy klęli jak szewcy i wyglądali na gości w bardzo złym nastroju, rozstawiali baterię dział przeciwlotniczych. Porta jeszcze pogorszył sprawę, podpuszczając ich, że na pewno nie trafiliby nawet w formację bombowców lecących pięć metrów nad ziemią. Na szczęście zanim zdążyła wywiązać się między nami bójka, znów otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu. Ciężki Tygrys poruszał się z oporem, mając tuż przed dziobem i z tyłu bardzo blisko poruszające się sąsiednie pojazdy. Nad głowami zjawili się kilka samolotów wroga, zrzuciły kilka przypadkowych bomb wzdłuż kolumny i odleciały zupełnie nietknięte, mimo zaciekłych wysiłków ze strony baterii przeciwlotniczych.

W końcu dotarliśmy na pozycje, które były naszym celem. Dano sygnał do ataku. Tygrysy utworzyły

szczyk, znów przypominając sobie o swej morderczej roli. Pod naszymi kołami każdy kamień, każdy krzak, drzewo i zagłębienie terenu kryło śmierć, czyhającą na nieostrożnych pod postacią czołgów, bazook, dział, min magnetycznych i miotaczy ognia. Przez peryskop widzieliśmy pozycje wroga.

Dla piechurów atak ciężkich czołgów na tak wielką skalę to czyste okropieństwo, więc obserwatorzy w liniach wroga mieli na nas oko od dłuższego czasu. Leciał już w naszym kierunku deszcz granatów, ale myśmy parli do przodu z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę i nic nie mogło powstrzymać naszego ataku.

* Zaryglować włazy * rozkazał Stary. * Wieżyczka na godzinę drugą. Odległość siedemset. Bardzo dobrze zakamuflowane działo przeciwpancerne

Linie i kwadraty biegały mi przed oczami. Stary klepnął mnie w ramię.

* Widzisz?

* Jeszcze nie. Jedyne co widzę, to kilka krzaków i jakieś gruzy.

* To właśnie tam * powiedział Stary nerwowo. Nagły błysk z działa ujawnił położenie baterii przeciwpancernych. Pocisk minął nas dosłownie o centymetry. Znów pospiesznie zabrałem się do roboty i przed oczami migwały mi cyfry: 600, 650... punkty spotkały się i widok w obiektywie się wyostrzył.

* Szybciej * rzekł Stary nerwowo. Wystrzeliłem. Ciśnienie powietrza zdzieliło nas podmuchem niczym uderzenie pięścią, rozgrzana do czerwoności łuska opadła na podłogę.

Pstryknięcie

oznajmiło nam, że działo znów było gotowe do wystrzału. Chwilowo jednak nie było takiej potrzeby: widząc, jak gruzy wzbijają się w powietrze, byliśmy pewni, że trafiliśmy w cel. Działo przeciwpancerne zostało wyłączone z akcji i cokolwiek jeszcze z niego zostało, zmiażdżyliśmy po chwili gąsienicami czołgu.

* Wieżyczka na godzinę drugą! Odległość pięćset. Strzał na wprost.

Silnik zawarczał, wieżyczka obróciła się i od razu zauważyłem nasz cel: to Churchille, które można było łatwo rozpoznać po długim korpusie i niskich wieżyczkach. Było ich sześć, stały w jednej linii. Zatrzymaliśmy się. Tylko niedoświadczeni pan*cerniaczy strzelają w biegu, a aspekt szybkości był bardzo istotny, jeśli mieliśmy w pełni wykorzystać nadarżającą się okazję. Czołg, który stoi w miejscu, jest jak kaczką wystawioną na strzał. Mały otworzył jeden z bocznych paneli, by sobie pooglądać widowisko, jednak Stary szybko warknął za jego plecami.

* Zamknij to cholerstwo natychmiast!

* Bez paniki * odparł Mały ze spokojem. * Proszę pamiętać, że jestem Obergefreiterem, podstawą niemieckiej armii.

Stary zaklął i zwrócił się do mnie jako do osoby bardziej dającej sobą kierować.

* Najpierw wytnij ostatniego skurwiela, a potem wyeliminuj lidera, ok? Strzelaj!

Długie działo podskoczyło mi w rękach. Posłałem jezor ognia i miałem dosyć czasu, żeby zobaczyć, jak Churchill zakołysał się pod wpływem uderzenia, po czym obróciło mu wieżyczkę.

Wystrzeliłem w kie

runku lidera. Tym razem mogłem z satysfakcją oglądać, jak obiekt został całkowicie zdeintegrowany i w powietrze wyleciała masa wirującego metalu.

* Zmienić pozycję!

Porta cofnął czołg w kierunku zagłębienia w ziemi, a ja śledziłem pozostałe cztery Churchille przez peryskop. Wybrałem jednego z nich * wszedł w mój zasięg i wystrzeliłem. Tym razem nie miałem tyle szczęścia, strzał odbił się od wieżyczki. Pewnie kilka następných sekund wewnątrz niej nie należało do przyjemnych, ale zdążyli otworzyć właz i wyskakiwali na zewnątrz.

Heide natychmiast odpalił karabin maszynowy, a w odpowiedzi poleciała w naszym kierunku salwa granatów. Na szczęście nie doleciały, ale i tak Mały, siedzący z tyłu czołgu, zalał się potem.

Namierzyłem następnego Churchilla w swoim peryskopie. Długi pocisk szybko i pewnie podążył w kierunku swojego celu, a mimo to czołg pozostał na swoim miejscu. Przez chwilę nie mogłem pojąć, co się stało, a potem zauważyliśmy cienką, spiralną strużkę dymu unoszącą się z trafionego pojazdu. Sekundy później nastąpiła eksplozja. Płomienie buchały do góry, poszukując czegokolwiek, co można by jeszcze spalić.

* Zmienić pozycję! Nad ruinami. Wieżyczka na godzinę drugą. Odległość 300... ognia!

Pozostałe dwa Churchille były łatwym celem. Mały nalegał, by pozwolono mu wyskoczyć na zewnątrz czołgu i namalować na wieżycze sześć kółek oznaczających trafienia. Gniew Starego trudno

było powstrzymać, ale dla Małego nie istniało coś takiego jak dyscyplina i groźby pod jego kierunkiem to zwykle strzępienie języka. On razem z Portą zdecydowanie ustanowili wspólny rekord ilości niesubordynacji.

Za nami rozpostarł się ogień zaporowy artylerii polowej. Wróg czyścił całą plażę 109 i kanadyjska piechota fanatycznie walczyła ze wszystkim, co jej się nawinęło pod ręce. Jeden sierżant, z braku innej broni, próbował nawet ciskać w nas kamieniami.

Jak zwykle straciliśmy poczucie czasu. Być może walczyliśmy od godziny, a może od dwunastu godzin. Zawsze wydawało nam się, że walki nie mają końca. W końcu jednak zakończyliśmy tę bitwę i Tygrysy mogły sobie pozwolić na długo oczekiwany postój, a wokół nas zapadła dziwna cisza. Jedyne co słyszeliśmy, to trzaskanie płomieni.

Wspięliśmy się z trudem na wzgórze, mieliśmy gardła i płuca pełne oparów, które wdychaliśmy przez wiele godzin. Porta miał twarz czarną jak węgiel, prawie natychmiast zauważył obiecujące ruiny leżące nieopodal. Być może jeszcze tego samego dnia rano był to zamieszkały dom * teraz pozostała z niego jedynie kupa pokruszonych cegieł i spalonego drewna. Jednak mimo to Porta ruszył w jego kierunku z entuzjazmem tak wielkim, jak gdyby był to hotel Ritz * i jak zwykle jego wiara miała uzasadnienie. Instykt Porty w kwestii zarcia i napitku nigdy go nie zawodził, kilka minut później wrócił z naręczami butelek piwa. Rzucił nam je pod nogi i, nawet na chwilę nie zatrzymując się, by złapać oddech, obrócił się na pięcie i ponownie ruszył w kierunku domu, krzycząc równocześnie.

* Tam jest cała skrzynia tego badziewia. To Piwo Zwycięstwa i wiercie mi na słowo * to dobre piwo. Już opędzłowałem kilka!

Mały wydał triumfalny okrzyk wojenny i pobiegł za Portą. Wrócili niosąc wspólnymi siłami wspomnianą skrzynię, ale zanim zdążyliśmy nacieszyć się efektami tej grabieży, zauważyliśmy, że jakiś impulsywny dureń orze ziemię obok naszych stóp pociskami z karabinu maszynowego.

* To bękart! * wrzasnął Mały, gdy zanurkowaliśmy na ziemi w poszukiwaniu schronienia. Heide wyjął zawleczkę z ręcznego granatu i rzucił go nad krawędzią wzgórza, w kierunku nieznanego napastnika. Tuż po wybuchu postać ubrana w mundur khaki pojawiła się na szczycie wzgórza,

zatrzymała się na sekundę i potoczyła w naszym kierunku, trawiona przez płomień. Zanim żołnierz się do nas doturlał, już nie żył i najwyraźniej był sam, bo nikt nas więcej nie niepokoił. Niestety, dokonał znacznych zniszczeń, nim zginął: cały nasz cenny łup straszyl dziurami po pociskach i cenne krople wylewały się na piasek na naszych oczach. Porta podszedł do skrzyni i z całej siły ją kopnął.

* Tyle człowiek ma z tej pierdolonej wojny! *warknął.

Członkowie ruchu oporu w Caen otrzymali rozkaz zamordowania szefa policji Luciena Briere'a, który nie tylko ściśle współpracował z niemiecką policją, ale dodatkowo miał czelność osobiście przyjaźnić się z szefem gestapo w tym regionie, komisarzem Helmuthem Bernhardem. Briere był odpowiedzialny za egzekucję wielu Francuzów.

Do przeprowadzenia zamachu zgłosił się człowiek

o imieniu Arsene. Mając do pomocy trzech ludzi wdarł się do domu Briere'a i biur przy ulicy des Fosses*du*Chateau i wrzucił wiązkę granatów do zamieszkałej części budynku. Niestety, próba okazała się nieudana

i nie spowodowała większych strat, a czterej mężczyźni mieli dużo szczęścia, że udało im się uciec i ich nie rozpoznano. Od tej chwili budynek był strzeżony w dzień i w nocy przez członków Waffen SS, co powodowało, że zamordowanie Briere'a w jego własnym domu stawało się właściwie niewykonalne.

Na jakiś czas ruch oporu wstrzymał działania, godzinami dyskutując i ciągle odrzucając nowe pomysły na przeprowadzenie zamachu, aż w końcu Arsene zniecierpliwił się i oznajmił, że sam wykona to zadanie. Gdy go zapytano o metodę, którą planuje się posłużyć, zwyczajnie wrzucił ramionami i odrzekł, że będzie polegał na swoim szczęściu.

W rezultacie zabił Briere'a w najprostszy sposób na świecie, podchodząc do niego na ulicy i dwukrotnie

strzelając w głowę. Briere oczywiście wyczuł zagrożenie w momencie, gdy Arsene zbliżył się do niego, ale zamachowiec nie miał najmniejszego zamiaru drugi raz spartaczyć roboty i Briere padł trupem w momencie, w którym odwrócił się by uciec. O tej porze dnia ulica była prawie pusta.

Przechodnie, świadkowie zamachu, podjęli mądrą decyzję rozplynięcia się w ciemnych zaułkach. Większość z tych, którzy widzieli to zdarzenie zza firanek w swoich domach, popierała tę akcję.

Tak czy inaczej, Arsene miał wystarczająco dużo czasu, by wyjąć aparat fotograficzny i spokojnie zrobić zdjęcie trupowi, po czym zniknął ze sceny, skręcając w boczną uliczkę.

Trzy dni później Briere został pochowany przez swoich przyjaciół z gestapo z honorami godnymi męczennika. Całe Caen radowało się w głos i śpiewało Marsyliankę. Arsene, choć anonimowy, na pewno został bohaterem dnia.

Rozdział 5

W STYLU HEMINGWAYA

W Normandii nie istniała ciągła linia frontu. Można było wybrać się na rundkę rozpoznawczą i jechać przez kilka godzin, nie widząc nawet śladu wrogich wojsk. Nadal, mimo późnej fazy wojny, natrafiało się na wioski, których mieszkańcy robili wrażenie, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, że zaledwie kilka kilometrów dalej zaciekle walki zniszczyły całą ludność i pół armii.

Była noc, gdy zajechaliśmy do wioski Montaudin. Zbliżaliśmy się ostrożnie, bo nigdy nie można być pewnym, czy przypadkiem nie wjeżdża się do gniazda szerszeni pełnego obcych żołnierzy, ale główna droga była ciemna i pusta, nie widzieliśmy ani śladu żołnierzy lub wieśniaków.

* O, knajpa! * zapiszczał Porta, pokazując radośnie w kierunku jedyne oświetlonego budynku. * Zatrzymajmy się i sprawdźmy, czy serwują jakieś żarcie. Jestem kurwa tak głodny, że żołądek przykleja mi się do kręgosłupa.

Gdy już raz zaczął gadać o jedzeniu, Porta potrafił

być przekonujący, a poza tym byliśmy zbyt zmęczeni, żeby się z nim kłócić. Zaparkowaliśmy

Pumę na środku głównego placu we wsi, niczym spokojni turyści, i zmęczeni, brudni oraz w wyjątkowo złych humorach, ruszyliśmy zeszywniałe kończyny i podreptaliśmy z mozołem w ciemną noc w kierunku knajpy. Od dwóch dni byliśmy na misji zwiadowczej i była to naprawdę żmudna, męcząca robota.

* Jestem wykończony * burknął Heide. Otworzył usta do głośnego, soczystego ziewnięcia, potem odwrócił się i kopnął jedno z ciężkich kół Pumy. * Od tego cholernego samochodu można dostać zajoba..

* Gdzie my jesteśmy? * zapytałem. * Jesteśmy poza linią?

* Czyją linią? * Porta wypalił sardonicznie. * Naszą czy ich?

* Którąkolwiek, jeśli o mnie chodzi.

Stary podrapał się w kark, a potem w zamyśleniu potarł nos.

* Każdy może się bawić w zgadywanki, ale dla bezpieczeństwa zostawmy czapki w samochodzie. To jedyne elementy, po których można nas rozpoznać.

* Wezmę swój nagan * oznajmił Mały, z uczuciem miłości podnosząc ciężki rosyjski rewolwer, który w tajemniczych okolicznościach zdobył w jakimś momencie wojny. * Teraz ludzie już nie są tacy przyjaźni.

* Weźmy nieco zapasów * zasugerowałem.

W boczne kieszenie powpychaliśmy ręczne granaty, a rewolwery wetknęliśmy do górnych kieszeni kurtek. Następnie Legionista, z rewolwerem w dłoni, kopniakiem otworzył drzwi zajazdu i poprowadził nas do środka. Paliło się jedno blade światło gdzieś wysoko na suficie, a przybytek wydawał się tak pusty, jak ulica, którą szliśmy.

* Salut, patron! * Legionista zawołał po francusku jak tylko najlepiej umiał. * Y a des clients!

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że Heide kurczowo trzyma się mojego ramienia i pokazuje coś na wprost trzęsącym się palcem. Spojrzałem we wskazanym kierunku i zdusiłem w sobie okrzyk przerażenia. Z ciemności wyłaniała się duża sylwetka, zgarbiona nad barem, z jedną ręką wysuniętą do przodu i głową opartą na butelce whisky. Bez wątplenia był to Amerykanin. Pijany jak bela, ale nadal to Amerykanin. Palce Heidego drżały nerwowo na moim ramieniu.

* Chodźmy stąd * syknął.

* Nie ma mowy! * słowa Porty były wystarczająco głośne, by zbudzić.

* No przecież to jank...

* Dla mnie to może być nawet sam pieprzony Ei*senhower, nie wyjdę stąd, dopóki czegoś nie wrzucę na ruszt!

* No, ale przecież jesteśmy za liniami wroga...

* A skąd ty to niby wiesz? * zapytał dziko Porta * A może ta wielka kupa tłuszczu, która tam siedzi, jest za naszymi liniami?

Złapał Heidego i potrząsnął nim, aż temu zadźwięczały zęby. Porta potrafił być bardzo drażliwy, gdy istniała groźba, że nie dostanie żarcia.

* Możliwe, że to on zablądził, a nie my. Spojrzeliśmy na Amerykanina. Nasze wrzaski i mamrotanie przeszkodziły mu nieco i teraz z rozdziawioną gębą głośno chrapał.

* Mam zamiar coś zjeść * rzekł Porta bardzo stanowczo.

Legionista przytaknął i raz jeszcze zawołał właściciela. Skrzypiące schody po naszej prawej stronie oznajmiły, że szynkarz opuścił swoje łóżko. Pojawił się krępy jegomość w średnim wieku, ziewający, z zaczerwienionymi oczami i w zatłuszczonym szlafroku narzuconym na plecy. Rzucił na nas okiem i błagalnie wznosił wzrok ku niebu.

*Jeszcze więcej Amerykanów. Boże, daj mi cierpliwość!

* Właścicielu * odrzekł Legionista płynnym francuskim * wybacz, że zakłócamy ci sen, ale czy można zamówić jakieś jedzenie? Może jakąś zupę*krem, coś w stylu bouillabaisse? Jeśli brakuje ci personelu, chętnie pomożemy.

Mężczyzna popatrzył na niego z rozdziawioną

* Francuz? Myślałem, że to kolejna grupa tych przeklętych Jankesów.

* Ja jestem Francuzem. Moi przyjaciele to Niemcy z Legii Cudzoziemskiej, wszyscy w niej służyliśmy. I zmierzamy do Paryża

Właściciel zajazdu wetknął stopy w rozchodzone papucie i zszedł do nas po skrzypiących schodach z twarzą opromienioną uśmiechem.

* Via des Fransais! * zakrzyknął do tych, którzy znajdowali się na górze. * Vive la France!

Schodźcie wszyscy!

Szybkim ruchem profesjonalisty, szynkarz sięgnął do rzędu starych, pokrytych kurzem butelek. Instynktownie Amerykanin przebudził się, najwyraźniej jego nos zwęszył okazję do kolejnego napitku. Wąsy miał umoczone w calvadosie i gdyby na jego mundur rzucić zapałkę, to pewnie szybciej by spłonął niż cysterna benzyny. Zauważył nas i podniósł rękę.

* Hej, macie przy sobie nieco szkockiej?

Nie zczekał na naszą odpowiedź, tylko obdarzył nas czarującym uśmiechem i opadł z powrotem w kałużę alkoholu.

* Całkowicie uwalony * właściciel knajpy skomentował obojętnie. * Całe popołudnie i pół wieczoru pił ze swoimi dwoma kumplami. Przyjechali tutaj rano i chyba od tego czasu nie przestawali pić.

* Obrzydliwość * odparł Legionista. * Co się stało z jego kumplami?

* Pojechali. Wsiadli w jeepa i odjechali bez niego. A ten tu tkwi bez przerwy od tej pory.

Wszyscy poważnie się mu przyjrzelśmy. Leżał pochrzając i sapiąc jak mors, ale ciężar naszych połączonych spojrzeń pełnych dezaprobaty najwyraźniej dotarł gdzieś do zakamarków jego otumanionego mózgu. Otworzył przekrwione oczy, co było okropnym widokiem. Powoli i z godnością zaczął walić w blat baru.

* Właścicielu, gdzie jest ta przeklęta whisky, którą zamówiłem?

Szynkarz wzruszył ramionami

* A nie mówiłem? Mam wrażenie, że wszyscy Amerykanie to alkoholicy.

* To obrzydliwe * powtórzył Legionista.

Wszyscy z pełną hipokryzji powagą przytaknęliśmy. Amerykanin zatoczył się jak marionetka w kierunku Barcelony.

* Wiesz co, koleżko? Masz strasznie brzydką gębę. Jak dla mnie, to gęba Szwaba. Wiesz co?

Naprawdę wyglądasz jak wszawy Szwab.

Zaniósł się śmiechem i upadł na podłogę, a gdy obrócił się na plecy zaczął śpiewać My Old Kentucky Home. Właściciel wskazał palcem na niego i na bar za nim.

* Przypadek delirium tremens, nic dziwnego. Był kiedyś korespondentem wojennym. Ci są najgorsi. Tak czy inaczej * zaśmiał się * przez chwilę raczej nie będzie korespondował. Rozbił swoją maszynę do pisania zaraz po tym, jak wypił dwie pierwsze butelki whisky. Powiedział, że nie umiała przeliterowywać! Rozumiecie? Nie umiała przeliterowywać!... A maszyny do pisania kosztują, naprawdę kosztują. Próbowaliśmy ją jakoś poskładać, ale to duży skurczybyk, trzeba mu to przyznać, i nieźle ją rozwalili.

Naprawdę był olbrzymem. Prawie takim jak Mały. Osobiście nie miałem potrzeby, aby go drażnić, więc uśmiechnąłem się ciepło, gdy zdołał usiąść i do nas zamachał.

* Napij się, kolego! Zamów sobie z sześć drinków! Na mój koszt... Stary, wiesz kim jestem? *

obrócił się w kierunku Starego. * Nie będę rozpowiadał ta

jemnic, ale jestem kimś bardzo ważnym... po prostu cholernie ważnym i tyle. I muszę się dostać do Paryża, zanim ta zawszawiona wojna się zakończy. Czy ktokolwiek się ciebie kiedyś pytał, kolego, czy trudno jest umrzeć? * rzucił spojrzeniem w moim kierunku.

Zaprzeciłem ruchem głowy, nieco oszołomiony

* No to ci powiem, bo ostatnio wiele się nad tym zastanawiałem i wydaje mi się, że znam odpowiedź * pofale pochylił się ku mnie. * Odpowiedź jest prosta: nie. Po prostu nie. A dlaczego tak jest? O wiele trudniej jest dalej żyć niż umrzeć, pomyślałeś kiedyś o tym w ten sposób? Założę się, że nie jestem jedynym myślącym facetem w mundurze. Hej, ty tam! Wielkoludzie!

Skinął palcem w kierunku Małego, a Mały patrzył na niego, trzymając rękę na naganie, i pewnie zastanawiał się, czy warto zdzielić tego upierdliwego Ame*rykańca kolbą w łeb i mieć wreszcie święty spokój.

* Chodź no tutaj, zdradzę ci tajemnicę... No dalej, mówię serio! Od razu potrafię rozpoznać gościa

z Alabamy i nie próbuj mi wmawiać, że nie jesteś z Alabamy, bo i tak ci za grosz nie uwierzę...
Chodź no tutaj, dopuszczę cię do tajemnicy * Mały podszedł parę kroków w jego kierunku, z ręką w kieszeni. * Zeżarłeś kiedyś czarnucha na obiad? * zadał pytanie Amerykanin. * Na pewno kiedyś zjadłeś, ty stary czarnuchożerco! A teraz mnie posłuchaj, powiem ci, skąd wziąć mocny towar * ściszył głos do poziomu surowego szeptu. * Za barem, trzecia półka na lewo od lustra.
Mały podskoczył, jakby go użądliła osa i położył swoje wielkie łapsko na butelkach leżących na trzeciej półce.
* Whisky! * wrzasnął, jak gdyby właśnie odkrył kopalnię złota. * Można by na niej zwodować pancernik!
* Daj spokój z napitkiem! * zamarudził Porta. * A co z moim żarciem?
Dwie niezadowolone kobiety pojawiły się na schodach. Właściciel zajazdu skinął na nie i wskazał na kuchnię.
* Tam. Chodź i powiedz, czego sobie życzysz. Porta niczym pocisk poleciał w kierunku kuchni, a ja bez chwili wahania dołączyłem do niego, ponieważ byłem ciekaw, jak będzie przygotowywał to słynne bouillabaisse, o którym zawsze tyle mówił.
* Pokaż, co tam masz * zażądał stanowczo. Szynek rozpromienił się.
* Homary * powiedział * i to kilka puszek. Dostałem * kiwnął w nieokreślonym kierunku tłustą dłonią * od Amerykanów. Oczekiwaliśmy nadejścia Jankesów od momentu rozpoczęcia wojny, a jak już przyszli, to co robią? Upijają się do nieprzytomności w każdej wiosce od Caen do Paryża. To ma być wojna? Dla mnie to...
Nie dowiedzieliśmy się, jak chciał tę wojnę nazwać, ponieważ w tym momencie z baru dobiegł go dziki skowyt i dźwięk rozbijanego szkła
* Mille diables! * właściciel dorwał gumową pałkę z kuchennego stołu i zamachał nią nad głową. * Żołnierze, wszyscy jesteście tacy sami! Nic, tylko chłanie i bijatyki!
Wskoczyliśmy z powrotem do głównego pomieszczenia, zostawiając w kuchni Portę, który męczył się z otwarciem puszki. Mały i Heide leżeli na podłodze w śmiertelnym uścisku. Stary ze zrezygnowaną miną w kącie popijał whisky. A Barcelona razem z Amerykaninem siedzieli przy ringu i dopingowali walczących. Legionista jak zwykle trzymał się z dala. Dwa dokładne ciosy pałką prosto między oczy wystarczyły, by rozdzielić walczącą parę. Opadli bez czucia, a widzowie skwitowali to głośnymi oklaskami.
* No, nieźle * rzekłem z podziwem. * Ale na pana miejscu trzymałbym się z dala, gdy Mały dojdzie do siebie.
* Merde! * właściciel gospody zaklął i twardym krokiem powrócił do kuchni. A ja kroczyłem zaraz za nim.
Porta, założywszy czapkę szefa kuchni i rzeźnicki fartuch, spojrzał na nas i pomachał ręką umorusaną w mące.
* O co im poszło?
Właściciel puścił wiązkę słów po francusku, więc Porta i ja wymieniliśmy zakłopotane spojrzenia.
* Pewnie nie mówi pan po niemiecku? * Porta zapytał od niechcienia. * Mój francuski nie jest aż tak dobry.
* Co? * facet spojrzał na niego, nagle robiąc się podejrzliwym. * Jak długo służycie w Legii?
* Dwa lata. Ale nie mam talentu do języków. Poza tym wszyscy staramy się pielęgnować ojczystą mowę. Nie uczymy się zbyt dużo innych języków.
* No cóż, co prawda nazywają ją Legią Cudzoziemską * przytaknął właściciel knajpy, drapiąc się w kroku. * Ale i tak wydaje się to dziwne...
* Nawet bardzo dziwne * rzekł Porta * ale nie mam czasu o tym teraz rozmyślać. Bardziej mnie w tej chwili zajmuje dokończenie bouillabaisse. Poproszę o warzywa!
To odciągnęło uwagę gospodarza, który zaczął mi podawać warzywa. Pomidory, marchewkę, cebulę, ziemniaki. Przekazywałem je Porcie, który przyjął teraz rolę szefa kuchni. Najwyraźniej dobrze się bawił.
* Będę jeszcze potrzebował tymianku i liścia laurowego. A do tego jeszcze cytrynę i pietruszkę, jeśli je masz.

Podczas gdy gospodarz, wraz ze mną i dwiema niezadowolonymi kobietami, biegał po kuchni, podając i przynosząc składniki, tnąc je i skrobiąc, Porta z zadowoleniem mieszał je w wielkim rondlu i strasznie fałszując śpiewał na cały głos jakąś obcą piosenkę.

* Węgierscy marynarze * wyjaśnił, widząc nasz zerowy entuzjazm. * Na Węgrzech mają świra na punkcie bouillabaisse. To tam, wiele lat temu, zdobyłem przepis.

* A co ma do tego piosnka pieprzonych żeglarzy? * spytałem skwaszony.

Zadrapałem kciuk na tarce do gałki muszkatolowej i odciąłem z pół palca nożem do krojenia mięsa. Pomału zacząłem nienawidzić swojej roli pomocy kuchennej. Pięć minut później gospodarz uznał za

konieczne rozdzielić nas przy pomocy swojej gumowej pałki.

* Panowie, proszę o spokój! Czy nie powinniśmy wrócić do bouillabaisse?

* Ma pan absolutną rację * odrzekł Porta. * To sprawa najwyższej wagi. Wymaga ona spokoju, ciszy i wielkich umiejętności. Albo przestaniesz się wtrącać, Sven, albo wracaj do baru zalewać pałę... Gospodarzu, przynieś białe wino! Co najmniej dwie butelki!

Nie poprzestał na żądaniach wina, homarów, krewetek i warzyw, ziół i cytryny, poprosił jeszcze o szafran i cynamon, rybę i rum. A co jeszcze dziwniejsze * wszystko to dostał.

Piętnaście minut później, gwałtownie gotując się i śmierzząc pod same niebiosy, mikstura była gotowa do konsumpcji. Przeniosłem ją przez drzwi i zauważyłem, że wszyscy siedzą w rzędzie przy barze, jak dzieci w szkole czekające na obiad. Mały i Heide odzyskali przytomność. Nawet pijany Amerykanin przyciągnął sobie stołek barowy i z całych sił próbował się na nim utrzymać. Jego nozdrza łapczywie zadrgały w momencie, gdy Porta zaczął podawać swoje danie.

* Niech mnie diabli, jeśli to nie jest najlepsza rzecz, jaka mi się tutaj trafiła od czasu, gdy przybyłem do tego kraju * powoli na jego ustach pojawił się zjadliwy uśmiešek. * Ale muszę wam coś chłopcy powiedzieć: obserwuję was bardzo uważnie i myślę, że was przejrzałem... Legia Cudzoziemska, niech mnie kule biją.

Zachwiał się na stołku rechocząc i pewnie nawet

nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był w tym momencie bliski śmierci. Widziałem, jak Mały włożył rękę do kieszeni, a Barcelona uniósł się nieco ze swego siedzenia.

* Co mam rozumieć przez tę uwagę? * spytał chłodno Legionista.

Amerykanin obrócił się na stołku i pokiwał głową w sposób, który oznaczał, że wszystko wie.

* Przejrzałem was chłopcy... Przejrzałem was!

Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza. Następnie Porta, na zupełnym luzie, wyjął swój ciężki rewolwer P*38 i dwukrotnie wystrzelił w sufit. Gospodarz wrzasnął i wściekły wskoczył na ladę.

* Nic się nie stało * rzekł Porta, wracając do swojego bouillabaisse. * To tylko ostrzeżenie, nic więcej.

* Przyglądałem się wam * kontynuował Amerykanin z tępym uporem gościa zalanego w trupa.

* Dajesz spokój! * warknął Heide. * Jesteś nawalony jak stodoła!

* Mogę sobie być nawalony, urąbany, napruty, co za różnica * nie zmienia to faktu, że was obserwowałem i doszedłem do wniosku, że jesteście bandą ciot... Wasz problem polega na tym, że nawet nie potraficie porządnie pić.

Legionista podniósł brwi. Mały wstał przy akompaniamencie gniewnego ryku. Reszta z nas, zdając sobie sprawę, że Amerykanin faktycznie był zbyt pijany, żeby mówić do rzeczy, i nie podejrzewa naszej prawdziwej tożsamości, z ulgą wróciła do swoich talerzy z bouillabaisse.

* Kto mnie śmiał nazwać ciotą!?! * krzyknął Mały i podszedł do nieszczęsnego Amerykanina z zaciśniętymi pięściami.

* No na litość boską! * zagrział Porta.

Podniósł pustą butelkę po whisky i fachowo zdzielił Małego przez łeb, a ten po raz drugi tego wieczoru padł bez czucia na podłogę. Przez chwilę siedzieliśmy w miarę spokojnie, mierząc się z naszym śmierzącym wywarem, który smakował niewiele lepiej, niż pachniał, opijając właściciela knajpy z jego zapasów whisky. Stary dyskretnie zwymiotował przez otwarte okno, Barcelona i Amerykanin zalegli z głowami przytulonymi do siebie, a Legionista miał przezroczyście twarz. Wszyscy oni najwyraźniej ostro popili, gdy myśmy przygotowywali posiłek w kuchni, więc czym

prędzej nadrobiłem karne kolejki. Porta na chwilę stracił równowagę, ponieważ na horyzoncie pojawiła się młodsza z markotnych kobiet. Posadził ją sobie na kolanie i eksperymentalnie zaczął wjeżdzać rękoma pod jej suknię. Na jego twarzy pojawiło się najpierw zaskoczenie, a potem zadowolenie.

* Hej, nie ma na sobie majtek! * zakrzyknął. Amerykanin obudził się i podniósł pustą szklanekę.

* Za kobiety, które nie noszą majtek! Za Amerykę! Za to, by Szwaby ginęły tysiącami! Za...

Przeszkodził mu wściekły, zduszony okrzyk Małego, który właśnie ponownie odzyskał świadomość.

* Co za ścierwo mnie ogłuszyło!?

* Za Żabojadów! Za Brytyjczyków!

Porta obściskował się z pojmaną niewiastą. Barcelona zarzygał plecy gospodarza, który z kolei był zbyt

pijany, żeby cokolwiek zauważyć. Heidemu głowa opadła wprost w misę z jedzeniem i byłby się pewnie udusił, na szczęście Legionista w porę go podniósł. Amerykanin zwrócił się do mnie z nadzieją.

* Hej, chłopie, czy może przypadkiem jedziecie do Paryża!?

* A słyszałeś kiedyś o podróży przez Francję, która nie zahaczałaby o Paryż? * odparłem.

* Muszę tam dotrzeć przed końcem tej zaważonej wojny * powiedział, z sapaniem wydechając w moim kierunku opary whisky. * Muszę się upewnić, czy te jebane Szwaby nie wysadziły w powietrze baru w Ritzu. Byłbym wam wielce wdzięczny, gdybyście mnie mogli ze sobą zabrać.

Na szczęście Mały odwrócił jego uwagę, nalewając do miski z jedzeniem mieszankę rumu, whisky i koniaku i przez chwilę nie było wiadomo, czy ktokolwiek z nas przetrwa do poranka; ta mikstura wpływała do gardła z siłą buchającego ognia i skwierczała w żołądku niczym węgielki rozżarzone do czerwoności. Mały dorwał syfon i zaczął się spryskiwać jego zawartością, a właściciel knajpy z łkaniem pomieszonym z wrzaskiem wylądował pod ladą. Tylko Amerykanina to nie ruszyło. Z irytacją powrócił do tematu Paryża.

* Czy może któryś z was, chłopcy, ma na zbyciu jeepa?

* Mamy czołg * odrzekł Porta i nagle, znudzony damskim towarzystwem, zepchnął kochankę na podłogę. * Jest na zewnątrz, zaparkowaliśmy na placu.

* Zaparkowany na skwerku? * Amerykanin pod

niósł się z zadziwiającą zręcznością i ruszył do drzwi. *Jezu, mam nadzieję, że nadal tam jest.

Lokalni żandarmi mają obsesję na punkcie złego parkowania. Kura jaja nie zniesie, a samochód już odholowany.

Wyszliśmy za nim na ulicę. Puma nadal tam była i Amerykanin gapił się na nią jak urzeczony.

Długo mu zajęło zauważenie czegoś, co od razu rzucało się w oczy.

* Hej, a co to za pomysł z tym cholernym szwab*skim krzyżem wymalowanym na czołgu?

Wszystkie oczy zwróciły się ku zdradliwej swastyce.

* No to ktoś sobie dowcip wymyślił * rzekł Porta gorzko. * Może cię to zdziwi Jankesie, ale nie wszystkim tutaj podoba się pomysł, że mają być wyzwoleni przez Amerykanów.

* No i do diabła z tym, lepiej skołujmy nieco białej farby i załatwmy sprawę. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby jeździć po kraju i wyglądać jak cholerny Szwab.

Podnieśliśmy właściciela spod baru i nakazaliśmy zorganizowanie białej farby. Uczynił, jak mu kazaliśmy. Porta razem z Amerykaninem w powadze zamalowali denerwującą swastykę, a następnie usiedli obok siebie na chodniku, paląc papierosy i z zadowoleniem oglądając efekty swojej pracy.

* Ok * rzekł Amerykanin. * Zatem ustalone, zabieracie mnie ze sobą do Paryża. Gdy tylko się tam zjawimy, wyślę przesyłkę do mojej gazety. Wiecie, o jakim nagłówku pomyślałem? * podniósł prawe ramię i wyrecytował tytuł * „Korespondent wojenny i kierowca czołgu wyzwalają Paryż, milion Szwabów poddało się”. Co wy na to? Wiesz, jak robić zdjęcia, bracie?

* Oczywiście * odparł Porta chępliwie.

* W porządku. W takim razie zbierzemy wszystkich szwabskich generałów i zrobimy im fotki, nim

wykopimy ich na ulicę głowami do przodu. No dalej, dzieciaki, lecimy!

Podniósł się, zrobił dwa kroki w kierunku Pumi, po czym już na amen opadł z sił i zwałił się na ziemię na środku placu. Jego możliwości picia musiały wzbudzać szacunek, ale najwyraźniej nawet Amerykanie mieli gdzieś swoją granicę. Zostawiliśmy go leżącego i sami wgramoliliśmy się z powrotem do czołgu. Porta wężykiem objechał placyk i ruszył w górę wiejskiej drogi. Nie byłem pewien, czy to ja się tak unosilem i opadałem, czy też droga była tak wyboista, czy jasne koła Catherine przed moimi oczami to iluzja, czy nowy typ broni w posiadaniu wroga. Barcelona chrapał z głową złożoną na kolanach Legionisty, Stary przyciskał dłonie do skroni. Mały na zmianę bekał i wył głosem pozbawionym wycucia muzycznego. Początkowo wydawało mi się też, że i Heide próbuje coś zanucić, choć nie był z niego miłośnik przyśpiewek i dopiero jakiś czas po wyjeździe z wioski, gdy zgiął się wpół, trzymając się za bok, zacząłem mieć pewne wątpliwości.

* Co z nim jest? * spytał Porta niecierpliwie. Heide chrząknął parę razy, po czym zwrócił na podłogę czołgu całe żarcie i picie, które wtłoczył w siebie tego wieczora.

* To ta cholerna amerykańska whisky * wymamrotał.

Smród był tak potworny, że o współczuciu nie było mowy. Obrzuciliśmy go obelżywymi słowami, ale Heide nie zwracał na to uwagi tylko zwinął się w kłębek i zaczął krzyczeć.

* Nie zwracajcie na niego uwagi * poradził Mały.

Staraliśmy się tak właśnie uczynić, ale ignorowanie faceta, który drze ci się prosto w ucho jest trudne..

* Nie sądzicie, że on po prostu jest chory? * ośmieliłem się zapytać po pewnym czasie. Wszyscy zwrócili się ku skulonej postaci.

* Zatrzymaj pojazd * powiedział Stary. * Sprawdźmy co z nim.

Porta zatrzymał się przy drodze pod osłoną drzew. Potrzeba było czterech ludzi, żeby wydobyć wrzeszczącego Heidego z pojazdu i położyć go na trawie.

* Strzelcie mu w łeb * zasugerował Mały. * Skończcie jego męki. Na dłuższą metę to lepsze rozwiązanie!

* Stul dziób * odparł Stary. * Pomóżcie mi go rozebrać.

Rozpięliśmy jego marynarkę, zdjęliśmy spodnie. Stary ostrożnie naciskał tu i ówdzie i w pewnym momencie Heide wrzasnął na całe gardło i rzucił stekiem wyzwisk.

* Zapalenie wyrostka * Stary sucho ocenił sytuację. * Musi zostać natychmiast zoperowany, zanim to cholerstwo się rozleje... Problem polega na tym, że jedyne miejsce, gdzie można go operować, jest po amerykańskiej stronie. No i co wy na to?

* Mam ryzykować kulkę w takiej gównianej sprawie? * Porta zapytał przerażony. * Nie ma kurwa mowy! W dupie mam jego wyrostek!

Legionista pokręcił głową.

* Naiwnością jest sądzić, że Amerykanie będą sobie głowę zawracać operowaniem jakiegoś niemieckiego żołnierza. Są zbyt zajęci wygrywaniem wojny i nie mają ani ludzi, ani czasu do stracenia. Już prędzej nas wszystkich wytłuką.

* Skróćcie jego męki * nalegał Mały. Spojrzeliśmy w dół na zwijającego się z bólu

Heidego. Porta znalazł w jednej ze swoich kieszeni skręta z haszyszem i wetknął w sine usta. Mały bębnił palcami po naganie, a Barcelona wyglądał na gościa, który czuje się niepotrzebny. Stary drapał się po nosie, co stanowiło jasny znak, że jest zmartwiony. Heide zaczął coś mamrotać do samego siebie w gorączce, raz czy dwa razy usłyszeliśmy słowo „Boże”.

* No chyba trochę za późno, żeby o nim myśleć * Porta zauważył surowo.

Stary podjął decyzję.

* Spróbujemy nawiązać kontakt radiowy z jedną z naszych jednostek. Ktoś musi być w zasięgu radia, choć Bóg jeden wie, gdzie może się znajdować. Musimy próbować tak długo, aż kogoś złapiemy.

Legionista wzruszył ramionami, założył słuchawki i zaczął obracać pokrętła radia. Najpierw usłyszeliśmy serię trzasków i szumów, a potem głos:

* Halo, halo. Tu Betty Grabie.

* Raczej nie bardzo * skomentował Legionista. Spróbował raz jeszcze. Odezwał się nowy głos:

* Tu Helia 27. Tu Helia 27. Doktor pilnie potrzebny. Helia 27, Helia 27.

Ktoś inny też potrzebował pomocy, ale dla obolałego Heidego to żadna pociecha.

* Próbnij dalej * powiedział Stary ponuro.

Pięć minut minęło, zanim skontaktowaliśmy się z kimś po naszej stronie.

* Dziki Kot 133. Słuchamy.

* Potrzebujemy chirurga * szybko zareagował Legionista. * Mamy tu przypadek zapalenia wyrostka.

* W porządku, utrzymujemy kontakt. Gdzie jesteście? Legionista zaklął

* Za kogo ty mnie masz? Pilnuj swego interesu, a póki co znajdź mi tego chirurga!

Po drugiej stronie nieznany operator radia zachichotał.

* Dobra, nie gorączkuj się tak. Nadchodzi lekarz. Powodzenia, kolego! * Nastąpiła chwila pauzy, po czym z odbiornika popłynął nowy głos.

* Tu podpułkownik Eicken. Skąd wiecie, że to zapalenie wyrostka?

Legionista szybko omówił listę symptomów, jakie zauważyliśmy u Heidego.

* No dobra, chyba macie rację. Nie wiem, gdzie jesteście, w każdym razie nie mogę do was dotrzeć, więc musicie sobie poradzić sami. Będę wam po kolei mówił, co robić, a od was zależy, czy postacie zgodnie z instrukcjami * i nie odwalcie jakiejś kasza*ny, bo będziecie mieć trupa, rozumiano?

Legionista spojrział na Starego i skinął głową

* Ok, jesteśmy gotowi.

* W porządku. Pierwsza rzecz * umyć ręce w alkoholu. Następnie posmarujcie podbrzusze pacjenta jodyną i upewnijcie się, że jest dobrze związany.

Ku przerażeniu Małego, Porta od razu zaczął polewać ciało Heidego czystą whisky. W apteczce nie mieliśmy jodyny, więc whisky wydawała się nam wystarczająco dobrym środkiem zastępczym.

* Kiedy już to zrobicie, musicie wysterylizować narzędzia w alkoholu. Powinniście mieć litr alkoholu przy sobie.

* Mamy * odparł Barcelona zaskoczony. * Gdybym wcześniej wiedział, to już by go tutaj nie było!

* Rozłóżcie gazę w pogotowiu, przyda się do odsączania krwi. Skalpel należy trzymać zdecydowanie, ale nie za mocno. Cięcie musi być ukośne, mniej więcej długości dziesięciu centymetrów.

Głos dalej podawał wyważone, dokładne informacje dotyczące tego, gdzie nacięcie ma zostać wykonane. Stary robił co mógł, aby wykonać jak najlepiej wszystkie polecenia.

Zauważyłem, że działał w sposób zadziwiająco opanowany, choć z drugiej strony pot falami zalewał mu czoło. Nie mieliśmy możliwości, by pacjenta znieczulić i demoniczne wrzaski Heidego wbijały się w czaszkę jak wiertło dentysty. Związaliśmy go paskami z masek przeciwgazowych, ale i tak cała czwórka musiała go trzymać.

* Strasznie dużo krwi * zameldował Legionista, który siedząc przy radiu relacjonował naszą operację.

* Nie martwcie się krwią. Użyjcie gazy i próbujcie miejsce nacięcia zachować w czystości.

Przytrzymajcie skórę po obu stronach nacięcia, macie do tego celu specjalne szczypce. A teraz zróbcie jeszcze minimalnie głębsze nacięcie, ale nie wolno wam przebić się przez wnętrze. Jak oddech pacjenta?

* Wystarczająco dobry, by mógł wrzeszczeć * odparł Legionista.

* Cóż, trzymajcie w gotowości maskę i tlen, jeżeli okażą się niezbędne. Widać już wyrostek? Jest wielkości małego palca, lekko zakrzywiony.

Stary przytaknął. Heide nadal darł się w niebogło*sy, a Mały zamknął oczy na widok dużej ilości krwi. Stary otarł pot z czoła i pokręcił głową.

* Musicie go jakoś uciszyć. Długo tak nie wytrzymam.

Mały otworzył oczy i podniósł wielką, zaciśniętą pięść.

* Wybacz mi, Juliuszu. To dla twojego dobra, nie ma w tym nic osobistego.

Wystarczyły dwa ciosy. Okrzyki, które szarpały nam nerwy, ucichły, założyliśmy Heidemu na twarz maskę tlenową.

* Pacjent otrzymał narkozę * zameldował Legionista.

* Jak?

* Dostał w łeb. Nastąpiła cisza.

* Oddycha? Jak tam jego puls?

* Dość gwałtowny.

* W porządku. Niech jeden z was pilnuje pulsu

i natychmiast zgłasza wszelkie nieprawidłowości. Znaleźliście wyrostek?

* Tak, mamy go.

* Jak wygląda?

Zaintrygowani wbrew samym sobie, wszyscy pochyliли się nad otwartym podbrzuszem Heidego.

* Duży i zaogniony * rzekł Stary.

* Duży i zaogniony * Legionista przekazał wiadomość dalej.

* I bardzo dobrze. Z apteczki wyjmijcie długie, zakrzywione narzędzie chirurgiczne. Odsuńcie wnętrzności na boki i odetnijcie wyrostek po dolnej stronie. Nie spieszcie się i bez paniki, najważniejsza rzecz to nie przeciąć jelita. Gdy usuniecie wyrostek, pozostałość po nim oczyśćcie alkoholem.

Z tego, co później Stary nam mówił, dla niego osobiście usuwanie wyrostka Heidego było najtrudniejszym momentem w całej wojnie. Jestem w stanie mu uwierzyć. Gdy się nigdy wcześniej nie widziało czyichś wnętrzności, niełatwo się połapać, co gdzie jest i do dziś nie jesteśmy do końca pewni, czy Stary w końcu na pewno wyciął wyrostek. Jednak coś tam wyciął i zaszył ranę dokładnie tak jak doktor mu nakazał, całkiem zgrabnie i schludnie, przy użyciu sześciu szwów, które co prawda były różnych rozmiarów, ale dobrze zasupła*ne, rejon rany pokryliśmy proszkiem z sulfonamidów i obwiązaliśmy pacjenta bandażami. A największy cud polegał na tym, że pacjent przeżył operację.

* Musicie zostać na miejscu przez najbliższe dwie godziny, w trakcie których pacjent nie może być nigdzie przenoszony. Jeśli wydarzy się cokolwiek budzącego w was obawy, złapcie mnie na tej samej fali i mówcie, co jest grane. Będę cały czas w gotowości, ale póki co rozłączcie się, zanim wróg się nami przesadnie zainteresuje. Pod koniec drugiej godziny możecie rozpocząć podróż powrotną do bazy, po czym jak najszybciej przewieźcie go do szpitala. Życzę wam powodzenia i pamiętajcie * cokolwiek by się działo, nie stosujcie już waszej narkozy.

Legionista zdjął słuchawki. Kojący głos pełen autorytetu zostawił nas samych sobie, więc czuliśmy się samotni i bezradni z leżącym jak mumia ciałem Heidego. Ułożyliśmy go najwygodniej jak się dało, zakamuflowaliśmy pojazd i usiedliśmy w napięciu z karabinami gotowymi do strzału. Heide pomału wracał do przytomności, twarz miał ściągniętą i bladą jak ściana, ledwie wyczuwało się jego puls.

* Umieram! * wymamrotał.

* Aż takiego szczęścia to nie masz * odrzekł Porta żwawo * Jeśli przetrwasz tę rzeźnię, którą ci urządziliśmy, to przetrwasz wszystko. Zobacz, co z ciebie wyjęliśmy!

Heide spojrział i szybko odwrócił wzrok. Barcelona przyłożył palec do ust.

* Konwój wroga na drodze.

Z naszej dość skąpej kryjówki pośród drzew, przykryci dodatkowo własnym kamuflażem, obserwowaliśmy konwój samochodów pancernych wypełnionych po brzegi piechurami armii amerykańskiej. W tym samym czasie trzy Jabosy pojawiły się na niebie i przeleciały nad nami tak nisko, że widzieliśmy bomby zawieszane pod ich kadłubami.

* Jeśli tutaj nas zauważą, to wszyscy zginemy *burknął markotnie Porta. Kolumna nas minęła, Jabo*sy poleciały dalej. Przez godzinę mieliśmy spokój, po czym znów zakłócił go przejazd kolejnych oddziałów. Zauważyliśmy ich z daleka, dwa Shermany z wyraźnymi białymi gwiazdami na czele kolumny jeepów i pojazdów pancernych. W momencie, gdy nas mijaly, załogi wyglądały ze swych wieżyczek, śpiewając i krzycząc w słodkiej nieświadomości, że w zasięgu strzału stoi nasza ciężka Puma, która, gdybyśmy tylko byli w nastroju bardziej agresywnym, mogła im narobić niezłej kaszany.

* Czemu im nie przyłożymy? * zapytał z wyrzutem Mały, który z kolei prawie zawsze był nastawiony agresywnie. * Założę się, że w ich gębach znalazłoby się sporo złotych zębów. * Nie warto * odpowiedział Porta. * Jest ich zbyt wielu.

Mały patrzył z przejęciem, jak tył kolumny znika w oddali. Nasze dwie godziny minęły i przyszedł czas, by zmienić Pumę w ambulans dla Heidego. Wyrzuciliśmy przednie siedzenie i z wielkim trudem, przy akompaniamencie jęków ze strony półprzytomnego pacjenta, zdołaliśmy wcisnąć go przez właz.

* Weź się przymknij * warknął Porta * nie jesteś chory, wyjęliśmy z ciebie kawałek ciała, który zgnił. Robisz z igły widły, więc się w końcu zamknij!

Ominęliśmy główną drogę, gdyż był na niej zbyt duży ruch, i wybraliśmy boczne, kręte dróżki, z których Amerykanie nie korzystali.

Tuż przed nastaniem nocy dotarliśmy do bazy

i Heide szybko został przeniesiony do polowego ambulansu. A jeśli chodzi o nas, to zostaliśmy zaciągnięci przed oblicze medyka i wysłuchaliśmy wykładu na temat braków w naszej apteczce. Okazało się, że brakowało nie tylko jodyny, ale także bardzo cennej rolki plastra przyklepnego i kilku zacisków.

* No, chyba, że zaszyliśmy je w Juliuszu? * Barcelona począł się głośno zastanawiać. Fakt, tak też mogło być.

Niejaki Robineau, członek ruchu oporu w sieci Port*en*Bessin, miał wątpliwe szczęście wpaść w ręce Feld*gendarmerie, która niezwłocznie poddała go pewnemu rodzajowi tortur, zarezerwowanych dla takich jak on. Bili go, przypalali, podtapiali; połamali mu ręce w kilku miejscach i nauczyli go zjadać własne wymiociny. W końcu wyznał, że rozkazy wydał mu doktor Sustendał z Luc*sur*Mer.

Doktora wezwano na, jak to eufemistycznie określono, „przesłuchanie”. Na początku gorliwie zaprzeczał wszystkim zarzutom mu stawianym, co sprawiało niekłamaną radość przesłuchującemu: im dłużej podejrzany się opierał, tym lepsza była z nim zabawa. Potraktowali go tak samo jak Robineau, a mimo to doktor szedł w zaparte. W końcu postanowili skonfrontować go ze zmasakrowanym i zbitym prawie nie do poznania Robineau, licząc, że zdecydują o jego winie na podstawie jego reakcji.

Tak więc zetknięto ze sobą obie ofiary. Na początku doktor nie okazywał żadnych emocji: ten kulący się ze strachu przedmiot z twarzą spuchniętą do rozmiaru księżycy w pełni, z otwartą, bezzębną gębą, z bezużytecznymi, luźno wiszącymi ramionami pokrytymi skrzepami krwi, w żaden sposób nie przypominał człowieka, którego znał jako Robineau. Robineau był dumnym, młodym człowiekiem, szerokim w barach, postawnym, nie ustępującym nikomu. Niestety, nieszczęsny Robineau poznał doktora. Przypadł mu z płaczem do kolan, błagając go o przebaczenie głosem słabym jak głosik dziecka. I to właśnie wtedy doktor się załamał. Mógł znieść tortury, ale świadomość tego, że ten złamany wrak człowieka to nikt inny jak hardy Robineau sprzed kilku tygodni, przerosła jego możliwości. Przyznał się do wszystkiego i został skazany na śmierć. Następnego dnia Robineau ponownie określił się jako jednostka ludzka i zdołał powiesić się w celi więziennej.

Rozdział 6

ZAGINIONY KARABIN MASZYNOWY

Nasza grupa bojowa, wraz z Oberleutnantem Lówe, została zakwaterowana w dużym domu, stojącym niedaleko wjazdu do wioski. Zamieszkiwała ten dom para starszych ludzi, którzy ledwie zarejestrowali, że trwa wojna, a prawie na pewno nie mieli pojęcia, o co w tej wojnie chodzi. Przez cały okres okupacji mieszkali z przydzielonym im niemieckim oficerem * oficerem starej szkoły, który wciąż wierzył, że służy swemu imperatorowi. Przed swoim wyjazdem wydał on szalenie wystawną kolację dla wszystkich dostojników z wioski, bez względu na to, czy byli to cywile czy

wojskowi. Główną znamieni*ością na tej kolacji był arystokrata von Holzendorf, który ustawicznie czynił pogardliwe uwagi o Hitlerze, nazywając go „małym, cygańskim kapralem”.

Dlatego też z doświadczenia państwa Chaumont wynikało, że niemieccy oficerowie byli rasą nadludzi, odznaczających się niezmierną elegancją, wyśmienitymi manierami, o luksusowych gustach i mogącymi się pochwalić najlepszymi koneksjami. Ich zmieszanie w konfrontacji z Oberleutnantem Lówe było naprawdę rozkoszne. Czy to prostacko wyglądające stworzenie w brudnym mundurze i zakurzonych butach naprawdę było oficerem pruskim? Sądząc po ich minach, mieli co do tego poważne wątpliwości.

Lówe krótko zasalutował i powiedział im, że ich dom został zarekwirowany.

* Słucham pana? * powiedział oburzonym tonem starszek.

Lówe podniósł jedną brew.

* Powiedziałem, że ten dom został zarekwirowany dla potrzeb armii... Przykro mi, jeśli wam to przeszkadza, ale, jak zapewne wiecie, trwa wojna.

Pan Chaumont podniósł się oburzony i w obronnym geście rozłożył ramiona, blokując wejście.

* Sugeruję, sir, żeby przedstawił pan nakaz rekwizycji!

Oberleutnant Lówe spojrział na starego z osłupieniem. Za mną ktoś zachichotał, a stojąca za panem Chaumontem żona otworzyła szeroko oczy z przerażenia i niedowierzania na widok Porty, z jego jednym kłem i nikczemną twarzą.

* To skandal! * powiedziała, a potem ujrzała Małego idącego ścieżką, z naręczem kabli telefonicznych i sprzętu, i przez chwilę miałem wrażenie, że dostanie apopleksji.

W rzeczy samej, Mały nie stanowił krzepiącego widoku dla starszej pani.

* Co to ma być? * zapytała, wskazując na niego. Lówe wyjrzał na zewnątrz.

* Jeden z moich ludzi, wypełniający moje rozkazy

* odpowiedział rzeczowo. * Powtarzam, proszę pani, że przykro mi jeśli wam to przeszkadza, ale wszyscy musimy znosić pewne niedogodności.

Mały przetoczył się spokojnie ścieżką na tyły domu. Za nim szedł Heide, który doszedł już do siebie po traumatycznych przejściach związanych z nożem i z przejęciem rozwijał kabel. Obaj wykonywali rozkazy i przygotowywali się do zainstalowania centrali telefonicznej w kuchni.

* Naprawdę muszę zaprotestować, proszę pana

* powiedział pan Chaumont, trzęsąc się na całym ciecie. * Nasz ostatni oficer był bardzo porządnym dżentelmenem, który nigdy by się nie zachował w taki sposób. Ostrzegam pana, jeśli nadal będzie pan chciał przemocą wdrzeć się do domu, złożę na pana skargę do najwyższych władz!

* Proszę bardzo * serdecznie odparł Lówe. * Jeśli mogę coś sugerować, radzę skontaktować się osobiście z samym von Rundstedtem. Jeśli on nie będzie w stanie państwu pomóc, jestem przekonany, że generał Eisenhower ochoczo zajmie się całą sprawą.

Starszy pan cofnął się zdumiony i uciszony, ale kiedy doszło do montowania karabinu maszynowego na dachu znów podjął próbę wyrażenia protestu.

* Pan się nazywa oficerem? Jestem zdumiony! Hrabia nigdy nie zachowałby się w taki nieokrzesany sposób. On był dżentelmenem pod każdym względem; goszczenie go tu to była prawdziwa przyjemność. Był gościem w naszym domu, on...

W tym momencie Mały prychnął głośno i pogardliwie. Oberleutnant Lówe, porządnie już rozjuszony,

naskoczył na niego, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć Gregor Martin wpadł prosto z drogi i rzucił się na sofę, cały unurzany w błocie.

* Wrogie oddziały * wysapał. * Kilka ich kolumn zbliża się do wioski...

Lówe chwycił lornetkę i pognał do okna.

* Musimy ostrzec pułk... Gdzie jest Holzer? Tego przygłupa nigdy nie ma, kiedy się go potrzebuje!

* Wiem, gdzie on jest * powiedział uspokajająco Mały. * Przyprawdę go do pana.

Wrócił w przeciagu pięciu minut * bez Holzera, ale niosąc kilka butelek calvadosu.

* Za późno * powiedział żałośnie. * Nie ma go, więc zamiast niego wziąłem procenty.

Lówe prychnął niecierpliwie i zwrócił się ze złością do Starego.

* Feldwebel Beier, zostawiam was tu jako dowódcę. Macie utrzymać pozycję za wszelką cenę. Wy

dwaj * zwrócił się do Barcelony i do mnie * pójdziecie ze mną. Musimy jakoś przekazać tę wiadomość.

Wyszliśmy za nim z domu na drogę i przeszliśmy przez pola. Wrogie oddziały już atakowały wioskę, więc musieliśmy się ciągle schylać i zginać, by uniknąć prawdziwego potoku granatów i pocisków smugowych.

Sztab Główny założył kwaterę w zamku i powitał nas widok szefa służby uzbrojenia rozwalonego w eleganckim fotelu i popijającego szampana. Przywitał nas dość radośnie.

* Pułkownik Lówe, ależ to doprawdy cudowne! Nie macie przy sobie lodu, co? Właściwie nie można

go tutaj dostać, teren jest rozgrzany do czerwoności... Mimo to, oprócz tej jednej niebagatelnej niedogodności, uważam to miejsce za bardzo znośne. Widzieliście już zasłony? Wyśmienite, nieprawdaż? Ci Francuzi naprawdę mają doskonały gust, zawsze to powtarzam.

* W dupie to mam! * odwarknął Lówe. * Gdzie dowódca?

W chwili gdy to mówił do pokoju wszedł major Hinka. Ubrany był w koszulę i bryczesy i czule tulił butelkę szampana.

* O proszę, Lówe! Co was sprowadza? Dzieje się coś?

* I to jak! * Lówe wyciągnął wymiętą mapę z kieszeni i rozłożył ją na blacie. * Wrogie oddziały zbliżają się do wioski. To nasza pozycja: tu jesteśmy *a Anglicy mniej więcej tutaj. Nacierają dużymi siłami i będę potrzebował ludzi, jeśli mam ich odeprzeć.

Szef służby uzbrojenia wysączył swojego szampana do końca, zabrał się za kolejną butelkę i zaczął śpiewać przy tym sprośny, pijacki kawałek. Lówe rzucił mu podirytowane spojrzenie.

* Ten nam się na nic nie zda w razie sytuacji kryzysowej!

Major Hinka odstawił swoją butelkę szampana. Zapalił cygaro i pochylił się zadumany nad mapą.

* W porządku poruczniku. Nie ma powodu do paniki. Okopcie się tam, za wzgórzem, i utrzymajcie pozycje. Zresztą, czym jest kilku angielskich żołdaków? Cieszcie się, że to nie rosyjskie gnojki! Radośnie zachichotał i wypuścił gęstą chmurę cygarowego dymu.

Szef służby uzbrojenia wyciągnął nogi na oparciu fotela. Widziałem, że Lówe za chwilę straci panowanie nad sobą i rozumiałem go doskonale. Zaiste, czym było kilku angielskich żołnierzy, kiedy było się bezpiecznym i korzystało z komfortu, siedziało zamkniętym w zamku z zapasem szampana i grubych cygar? Lówe podniósł się sztywno.

* Mimo to nadal proszę o jedną kompanię pancerną jako wsparcie, sir. Uważam, że to niezbędne minimum, jeśli mam sobie poradzić.

* Mój drogi poruczniku * powiedział Hinka sarkastycznie * zakładam, że wasza inteligencja i doświadczenie są dużo większe od moich. Żałuję, że nie jest w mojej mocy awansować was od razu na dowódcę całego pułku. Ja sam mógłbym wtedy udać się na spoczynek do Kolonii, co mi się marzy od dawna. Bez wątplenia wszyscy byśmy się wtedy lepiej bawili. Niestety nie mam takich uprawnień i musimy obaj schylić czoła przed siłą wyższą i wypełnić role, jakie zostały nam przydzielone. W związku z tym sugeruję, by ograniczył się pan do zadania, jakim jest dowodzenie 5. Kompanią i wykonywania rozkazów, które pan otrzyma. Mnie proszę zostawić całą resztę. Lówe podniósł rękę w ponurym salucie.

* Co tylko pan rozkaże.

* W porządku, Lówe, w porządku, nie bądźmy tacy przewrażliwieni! Obaj jesteśmy nieco podenerwowani. Problem w tym, że fala idzie teraz na nas i nic na to nie możemy poradzić.

* Nadal mamy najlepszą armię na świecie! * powiedział szybko Lówe.

* To nie podlega dyskusji. Ale jaką bronią dysponujemy? Mamy gołe pięści i łuki i strzały! * Major Hinka potrząsnął głową. * To cholernie trudna sytuacja. Jedyni, którzy nadal mają świetną broń, to Dowództwo Naczelne Wehrmachtu.

Zapadła cisza. Nawet szef służby uzbrojenia wydawał się stracić nieco swoją radość życia. Major westchnął.

* Utrzymajcie pozycje tak długo jak się da, poruczniku. O 21.15 wyjdziemy stąd i przesuniemy się piętnaście kilometrów na zachód * Podszedł do mapy i dźgnął w nią palcem. * Do tego punktu. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli w tej kwestii jakikolwiek wybór... Z kolei o 22.30 wy się wycofacie.

Zostawcie z tyłu oddział, żeby was osłaniał, najlepszy jaki macie.

* To będzie oddział Feldwebla Beiera.

* Decyzję zostawiam wam. Upewnijcie się, że most jest wyłączony z użytku zanim wyruszyacie. Jeśli dostanie się w ręce nieprzyjaciela nienaruszony, ktoś za to słono zapłaci.

* Tak jest, proszę pana.

Lówe wydawał się przygnębiony i wydawało nam się, że myślał w ten sposób: reszta kompanii miała się wycofać kosztem oddziału Starego. Major Hinka też musiał przejrzyć jego myśli. Położył mu rękę na ramieniu.

* Tylko bez źle pojętego koleżeństwa, poruczniku. Pamiętajcie, że nie będziecie ratować własnej skóry, tylko cały pułk, dywizję, może nawet cały odcinek. Wiem, że to trudne, ale nie muszę wam mówić, że

jesteśmy na wojnie, chyba wszyscy zdążyliśmy się już zorientować... Nie możecie sobie pozwolić na martwienie się o pojedynczy sektor, tak jak ja nie mogę sobie pozwolić na przejmowanie się pojedynczą kompanią. Liczy się szerszy obraz.

Szef służby uzbrojenia nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

* Powinniście być dumni, poruczniku! Cała ojczyzna rzuci się wam na szyję z wdzięczności, jak to obiecał Fuhrer.

Tym razem Lówe nie był w stanie się powstrzymać. Podeszedł do mężczyzny i wytrącił mu butelkę szampana z ręki.

* Któregoś dnia napuszczę na ciebie Małego! * powiedział z pogroźką w głosie.

* Jak sobie chcesz, mój stary, jak sobie chcesz. Major Hinka wtrącił się, synchronizując zegarek z zegarkiem Lówego.

* No dobrze... Cóż, powodzenia poruczniku. Pamiętajcie, że przyszłość całej dywizji jest w waszych rękach.

Kiedy opuszczaliśmy zamek i przechodziliśmy pod oknami pokoju, usłyszałem wysoki głos szefa służby uzbrojenia wyrażający protest, więc oczywiście zatrzymałem się, by posłuchać, nakazując Barcelonie milczenie.

* To dobra kompania, ta piąta. Ciekawe, czy zdają sobie sprawę, że rzuca się ich na przynętę...

* Wiesz co? Zaczynasz mi trochę działać na nerwy. Ten ciągły cynizm...

* To forma samoobrony. Moja rodzina poświęci

ła już piętnaścioro córek i synów ku chwale Ojczyzny. Ja będę ostatnim. Po mnie * zawahał się. *

Po prostu nie ma już nikogo poza mną. I zaczynam się zastanawiać, co powinienem umieścić na rodzinnym grobowcu, orła czy żelazny krzyż... Nigdy nie byłem szczególnie religijny i nie mogę powiedzieć, żeby szczególnie ruszał mnie ten numer z „Gott mit uns”. Nie wydaje mi się, by Gott...

* Kapitanie * powiedział major Hinka * z przykrością panu przerywam, ale mam teraz ważniejszą sprawę na głowie niż obmyślanie szczegółów waszego rodzinnego grobowca! Proszę mi wybaczyć. Wzruszyłem ramionami i pobiegłem dalej za pozostałą dwójką.

Nie była to dla mnie żadna nowina, że rzucano nas na przynętę. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę od samego początku, a poza tym już wiele razy to nam się przydarzyło i zawsze udawało nam się przeżyć.

Zimny, normandzki deszcz zaczął padać na długo przed tym, jak zaszyliśmy się na noc za dającym schronienie wzgórzem. Zanim zapadł zmrok, wszyscy byliśmy przemoczeni do suchej nitki i dogłębnie zde gustowani. Słyszeliśmy niezaprzeczalnie odgłosy kopania dobiegające z drugiej strony wzgórza.

* Niech te gnojki przyjdą! * ryczał Mały. * Jestem gotów! * Jedną ręką obmacywał karabin maszynowy, a drugą wymierzył mi kuksańca pomiędzy zębra. * Najlepiej się przygotować, kolego. Mogą przyjść w każdej chwili.

Nerwowo odsunąłem go od karabinu. To była

moja broń, ja byłem za nią odpowiedzialny. Mały zajmował się jedynie ładowaniem. Byłem najlepszym artylerzystą w kompanii i cokolwiek mógł mi powiedzieć Mały, dawno już wiedziałem. Sprawdziłem mechanizm ładujący i strzelający, chociaż wiedziałem, że oba działają bez zarzutu, bo upewniałem się co do tego już trzykrotnie w przeciągu pół godziny. Ale karabiny maszynowe to

wrażliwe stworzenia potrzebują dużo pieśczoł, jeśli mają dać z siebie wszystko.

Nieprzyjaciel natarł na nas pełnią sił o świcie. Porta zaparzył właśnie kawę * prawdziwą kawę. Nie mogłem sobie wyobrazić skąd ją wytrzasnął, przypomniałem więc sobie tę dziewczynę, Jacqueline, i zastanawiałem się, czy czasem nie ćwiczył zręczności, kiedy tam był. Tak czy inaczej była to prawdziwa kawa i jej zapach niósł się z pewnością na wiele kilometrów, sprawiając, że wielu ludziom ślinka nabiegała do ust. Mały zawsze zarzekał się, że to wizja tej kawy sprawiła, iż Szkoci tak szybko się do nas przedarli przez grzbiet wzgórze.

Patrzyliśmy jak nacierają i nie mogliśmy się nadziwić ich podręcznikowej wręcz precyzji.

Przebiegali dziesięć metrów, padali na ziemię; zrywali się z niesłabnącym entuzjazmem, podbiegali kolejne dziesięć metrów i ponownie przypadali do ziemi. Równie dobrze mogli być na ćwiczeniach. To był doprawdy piękny widok, tyle że kompletnie idiotyczny w obecnej sytuacji. Mały zaczął ich głośno dopingować, a Gregor mądrze kiwał głową, kiedy zajmował pozycję za ciężkim karabinem.

* Rekruci * powiedział. * Nie powinni nam przysporzyć zbyt wiele kłopotów.

* Nigdy nie lekceważ wroga * powiedział Heide, który miał skłonność do tego typu aforyzmów. * Nie byłiby tak głupi, żeby wysłać przeciw nam pułk żółtodziobów. Już oni mają jakiegoś paskudnego asa w rękawie, nic się nie bójcie.

Prawym kciukiem odciągnąłem bezpiecznik i mocno chwyciłem za kolbę, równocześnie zapierając się stopami o duży głaz. To było konieczne, gdy się używało 42: odrzut był tak silny, że nigdy nie dałoby się utrzymać równowagi, gdyby nie porządne oparcie.

Szkoci byli dwieście metrów od nas i zbliżali się do miejsca, które zaminowaliśmy w nocy.

Czekaliśmy w napięciu. Wkrótce powietrze wypełniło się krzykami i jękami rannych i pierwsza fala cofnęła się, zaniepokojona. Łagodnie rzecz ujmując, jest to zniechęcające, kiedy tak stoi się na skraju pola minowego, a połowa twoich kumpli leży połamana i rozczłonkowana wokół ciebie.

Cholerni durnowaci oficerowie darli się na żołnierzy i rozkazywali im, żeby ruszyli naprzód. Mały mnie trącił i wskazał głową jednego z nich. Ten biegł w kierunku naszych okopów z rozwianym kiltem. Było to malownicze, ale i idiotyczne. Ten człowiek był ewidentnie jednym ze ślepych, bezrozumnych bohaterów, którzy rzucają na szalę własne życie, ponieważ dali się ponieść i nie kontrolują swoich emocji, i za którymi podąża reszta stada. Poczekałem, aż zbliży się na mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów. Mój palec otoczył spust. Chcia

łem wystrzelić * i nagle padłem ofiarą uczucia, którego doświadczyłem już raz czy dwa razy wcześniej. Wydawało się, że znieca mnie sparaliżowało. Odkryłem, że się pocę, trzęsę; było mi niedobrze ze strachu, palec odmówił mi posłuszeństwa. Wiedziałem, że jeśli wystrzelę, to chybię. Mały walnął mnie gniewnie w plecy.

* Strzelaj, gnojku!

Wystrzeliłem. Pocisk chybił, tak jak to podejrzewałem. Tylko pierwszy strzał miał na mnie taki wpływ. Zdarzało się tak już wcześniej, nie wiem dlaczego. Nigdy nie pojąłem, jaka była tego przyczyna. Ta chwila minęła i odzyskałem pełną kontrolę nad sytuacją. Porucznik Lówe przybiegł do mnie wściekły.

* Co ty do cholery wyprawiasz? Weź się w garść albo skończysz przed sądem wojennym!

Przeszli już przez pole minowe, pierwsi z nich znajdowali się zaledwie o sto metrów od nas.

Jeszcze chwila i zaczną na nas spadać granaty ręczne. Moje prawe oko, które ucierpiało od granatu fosforowego bardziej niż lewe, zaczęło płatać mi figle, piekąc, boląc i, ogólnie rzecz biorąc, dając mi nieźle popalić. Mocno oparłem się o karabin maszynowy, starając się skoncentrować na setkach nóg, które pędziły wprost na nas. Moje mięśnie stężały. Karabin zaczął wystrzeliwać grad pocisków prawie bez mojego udziału. Żołnierze padali jak muchy. Chwila słabości minęła, znowu złapałem swój rytm i czułem się częścią karabinu maszynowego. Lówe poklepał mnie przyjacielsko po plecach, przechodząc obok.

Mały podawał mi jedną taśmę nabozi za drugą. Karabin się rozgrzał, płuca wypełnił żrącym dymem.

Wszelki strach już dawno zniknął. Wykonywałem dobrze znane, rutynowe czynności i ledwie zdawałem sobie sprawę z przebiegu bitwy. Zaczął padać lekki deszczyk, ale teraz było to o tyle przyjemne, że przynosił orzeźwienie.

Pierwsze natarcie zostało odparte. Zastanawiałem się, czy ci kretyni nie zdawali sobie sprawy, że by

zlikwidować grupę karabinów maszynowych potrzeba artylerii, a nie żołnierzy ze strzelbami i granatami ręcznymi. Ci zwariowani Szkoci byli bardziej uparci i natarczywi niż Rosjanie, ale mieliśmy godzinę na odpoczynek, zanim ponownie nas zaatakowali.

* Czemu nie przysłał tu bombowców? * zastanawiał się Mały.

* Bo ja wiem * powiedziałem. * Może chcą zarobić na Krzyż Zwycięstwa? Chcą całej chwały dla siebie?

* Kto chce chwały? * drwiąco powiedział Mały.

O godzinie H zaczęliśmy się po cichu wycofywać, zgodnie z zaleceniami majora Hinki. Na szczęście nastąpiło to w trakcie chwili spokoju, kiedy nieprzyjaciele przyczaili się i lizali swoje rany, a my zadbaliliśmy, by nie mieli pojęcia o naszych posunięciach. Ostatnią rzeczą, jakiej nam było trzeba, to ścigająca nas zgraja rozjuszonych Szkotów, mogąca nas dorwać w chwili, w której byliśmy szczególnie słabi i niemalże bezbronni. Przy moście czekała na nas niecierpliwie grupa inżynierów.

* Jesteście ostatni? * zapytał OberFeldwebel.

* Jak zwykle * przytaknął Mały.

Mężczyzna skinął głową i zwrócił się do czekających na niego inżynierów. Po wysadzeniu mostu mogli się stąd zwinąć i mieć gdzieś wszystkich innych. Nic ich nie obchodziło ani co było przedtem, ani to co miało nastąpić potem. Schowaliśmy się między drzewami przy drodze, a OberFeldwebel po raz ostatni rozejrzał się dookoła.

* Dobra, zajmijcie się nim!

Jego ludzie rzucili się w kierunku samochodu zaparkowanego nieco dalej na drodze.

OberFeldwebel wcisnął dźwignię detonatora. Rozległa się ogłuszająca eksplozja i most runął do wody. OberFeldwebel zawinął się momentalnie i zobaczyliśmy, jak jego samochód pruje po drodze.

* Poczekajcie * powiedział Legionista. * To ich po*derwie do biegu... Daję im dwie minuty na dotarcie tutaj.

Miał rację prawie co do sekundy. Jeszcze zanim zdążyliśmy rozłożyć karabiny maszynowe, pierwsi żołnierze nieprzyjaciela pojawili się na przeciwległym brzegu rzeki. Co bardziej niecierpliwi rzucali się do wody i zaczęli przepływać na drugą stronę. Mały czekał cierpliwie aż dotrą do brzegu, a wtedy pięknym lobem wrzucił między nich serię ręcznych granatów.

* Dobra, starczy! * krzyknął Stary. * Wynośmy się stąd.

Powlekleliśmy się z powrotem na drogę, ciągnąc za sobą ciężki sprzęt. Zdążyliśmy w sam raz, by zobaczyć, jak ostatnie z naszych ciężarówek znikają w kłębach kurzu, kołyszac się i podskakując na nierównej powierzchni.

* Gnojki! * zaryczał Porta, rzucając za nimi kamieniem.

Zaczęły już nadlatywać Jabosy, wisały nisko nad tyłem odjeżdżającej kolumny ciężarówek.

Wyglądało na to, że zawdzięczaliśmy życie temu, iż odjechali bez nas. Droga była zablokowana przez płonące pojazdy i rannych żołnierzy i kiedy Jabosy wróciły, by przypuścić drugi atak, usłyszeliśmy jak porucznik Lówe wrzeszcząc każe wszystkim wynosić się tak szybko jak się da, co z konieczności oznaczało porzucenie rannych.

* Angole się nimi zajmą! * Lówe machał do nas żywołowo, przywołując nas i wskazując na przód.

* Ważniejsze jest, żebyśmy dotarli na miejsce spotkania; nie mogę sobie pozwolić na stracenie całej pieprzonej kompanii!

Zajęliśmy nowe pozycje w zbombardowanej wiosce oddalonej o kilka kilometrów. Ktokolwiek zniszczył to miejsce, Brytyjczycy, Amerykanie, Niemcy albo, co jest najbardziej prawdopodobne, wszyscy oni po trochu, z całą pewnością przyłożył się do roboty. Ulice stanowiły masę dziur i kraterów wypełnionych deszczówką. Ani jeden budynek nie zachował się cały. Były tam jedynie ruiny. Sterty gruzu i spalonego drewna, stosy śmierdzących śmieci, zniszczonych pojazdów, ziejące dziury w miejscach, w których niegdyś stał rząd domów. Nie zostało już nic więcej do zniszczenia. Wszystko, co można było zburzyć, zostało zburzone; wszystko, co można było spalić, zostało spalone. A nad całą tą opustoszałą ruiną unosił się słodki zapach śmierci i roje wszechobecnych much, wzdętych od ciągłego pożywiania się zgniłym ludzkim mięsem, któremu zawsze towarzyszyły.

Nasz oddział zainstalował się na stercie gruzu, która niegdyś stanowiła wiejską szkołę. Po obu bokach mieliśmy pozostałe z niej ceglane ściany; przed i za nami wznosiły się olbrzymie pagórki odłamków, belek dachowych, żelaznych filarów, roztrzaskanego szkła, cegieł oraz zaprawy murarskiej i gipsu. Oraz ludzi. Zazwyczaj, dzięki Bogu, byli częściowo przykryci gruzami. Mogliśmy się jedynie domyślać ich obecności. Niemniej jednak widać było na wpół zgniłe ciało małego dziecka i to Porta wykazał się zimną krwią potrzebną, by je usunąć. Rzucił je na ulicę i mimo woli zebrało mi się na wymioty, kiedy zobaczyłem, jak jedna noga odrywa się od reszty ciała. Prawie natychmiast z cienia wyskoczył wychudzony żółty pies, porwał kończynę i uciekł z nią prędko. Stary był jeszcze bardziej rozstrojony niż ktokolwiek inny. Wycofał się w głąb siebie i nie odzywał się do nikogo przez następne czterdzieści minut. W trakcie wojny w armii można było się przyzwyczaić prawie do wszystkiego, ale większość z nas wciąż miała jakiś czuły punkt, który nie chciał obrosnąć twardą skórą. Dla Starego punktem tym były dzieci. Bóg jeden wie, że przez kilka ostatnich lat widzieliśmy wystarczająco dużo dzieci zabitych lub okaleczonych, by większość z nas pogodziła się z tym widokiem z pewną dozą obojętności, ale Starego to nie dotyczyło. Wiedzieliśmy, co myśli na ten temat i szanowaliśmy jego

odczucia, więc zostawialiśmy go w spokoju dopóki nie doszedł do siebie.

W okolicy południa niespodziewanie dostaliśmy pocztę. Większość z listów miała już dobrze ponad kilka tygodni, ale sama nowość polegająca na otrzymaniu jakiegokolwiek poczty wystarczyła, aby spowodować niezłe poruszenie w oddziale. Barcelona dostał dużą, szarą kopertę, zawierającą papiery rozwodowe. Adwokat napisał, że jego żonie przyznano prawo do opieki nad dziećmi.

* Niewierność * przeczytał na głos Heide, zaglądając nad ramieniem Barcelony. * Alkoholizm...

Komu mogły przyjść do głowy podobne oskarżenia na twój temat?

Porta splunął z pogardą.

* W trakcie tej cholerniej wojny każdy jest alkoholikiem, tak jak każdy jest cholernie niewierny. Nie powinno się tego uznawać jako podstawy do rozwodu. Jakby tak na to patrzeć, cała armia mogłaby za to odpowiadać.

* Opieka nad dziećmi zostaje przyznana żonie * kontynuował Heide * ze względu na to, że mąż został uznany za niezdolnego do zapewnienia im odpowiedniego wychowania.

*Jezu, tego już kurwa za wiele! * warknął Porta, jak gdyby sam Heide był odpowiedzialny za tę decyzję. Zwrócił się z oburzeniem w stronę Barcelony, który gapił się przed siebie z markotnym, nieobecny wyrazem twarzy. * Ja się pytam! Walczysz na frontach od pieprzonego Ebro do pieprzonego Stalingradu, i co z tego masz? Kopa w dupę, ot co!

* I kulkę w łeb * dodał usłużnie Mały.

* I kulkę w łeb * zgodził się Porta, wspominając sytuację, w której Barcelona był bliski zgonu. * Nawet masz na dowód tego bliźnę, i co z tego? Niezdolny, by wychować swoje cholerne bachory! A kto tak twierdzi? Powiem wam, kto tak twierdzi! Jakiś gówno warty stary piernik, który nie odróżniłby granatu od świeżo zniesionego jajka!

Wszyscy odwróciliśmy się uroczyście, by przyjrzeć się Barcelonie i sprawdzić, jak on to znosi.

Wzruszył ramionami, ewidentnie zrezygnowany i znieczulony.

* Co można zrobić? * powiedział. * Nie mogę mieć do niej pretensji, prawda? Problem polega na tym, że jak już wrócisz do domu na swoją piętnastodniową przepustkę, uderza ci to do głowy. Ani się obejrzyś, a już żłopiesz piwko z każdym Helmutem, Fritzem i innym Seppem w sąsiedztwie. Żonkę zostawiasz z dziećmi „Ja tylko na chwilę wskoczę do knajpy zobaczyć się z chłopakami, nie zabawię dłużej niż godzinę” i naprawdę masz taki zamiar, serio! Tyle że sześć godzin później nadal tam jesteś i zalany jak świnia opowiadasz wszystkim, jak to udzielasz się na wojnie. Problem polega na tym * powiedział płaczliwie Barcelona * że oni cię zachęcają. Kupują ci piwo, traktują jak cholernego bohatera, nie wiesz, czy siedzisz na zadku, czy łokciu... A poza tym są jeszcze lalunie * powiedział z ponurą miną. * Wszystkie te kociaki, które tylko czekają, żebyś je bzyknął.

Widzą żołnierza w mundurze i dostają fioła... Przed wojną nigdy nie było

z tym tak łatwo. Przed wojną nie szło tego dostać ani za miłość, ani za pieniądze. Nawet nie chciały o tym słyszeć... Ale jedziesz do domu na przepustkę

i idziesz ulicą w mundurze, a one są twoje na jedno skinienie. Normalne więc * powiedział po

prostu * że skorzystasz z okazji. Kto by nie skorzystał?

Zaden z nas, w każdym razie. Potaknęliśmy, całkowicie się z nim zgadzając i wyrażając zrozumienie tematu.

* A te lalczki są młode i samotne * ciągnął dalej Barcelona * są młode i samotne i mają wszystko gdzieś; bawisz się doskonale i zapominasz o starej krowie czekającej w domu z wałkami we włosach; warczącej, żebyś się przymknął, bo zbudzisz dzieci; zrzędzącej, bo się zachłajeś; nie chcącej ci dać, bo jak twierdzi, śmierdzisz; pieprzącej ci nad uchem, bo według niej bzyknałeś już jakąś lalunię... * Westchnął przejmująco. * Nie można mieć do niej pretensji, prawda? Nawet jeśli jest starą krową... Ale wiercie mi, kiedy z tobą skończy, z radością wracasz na cholerny front! Siedzieliśmy przez chwilę zatopieni w rozmyślaniach.

* Chodzi o to * powiedział roztropnie Mały * że tam, w kraju, nas nie rozumieją. Za długo nas nie było. Się mi zdaje.

Legionista otworzył już usta, by podzielić się swoim zdaniem, ale nie było mi dane go poznać: nagła głośna eksplozja gdzieś na terenie wioski zmusiła nas wszystkich do rozejrzenia się za jakąś kryjówką. Chwilę później nastąpiły kolejne wybuchy. Dwie ściany, jakie pozostały z naszej kryjówki, zawaliły się z hukiem i zmieniły w stertę kurzu i gruzu. Tuż przed naszymi oczami ziemia rozerwała się i wybrzuszyła w formie gejzeru błota. Wróg nas ewidentnie namierzył. Był to ogień zaporowy w pełnym tego słowa znaczeniu, który trwał nieprzerwanie przez dwie godziny. Gdy tylko nieco zelżał, wypełzliśmy z naszych kryjówek i zaczęliśmy gorączkowo gromadzić granaty i karabiny maszynowe. To było zaledwie preludium, prawdziwego ataku mogliśmy się spodziewać dopiero teraz.

Oczywiście nastąpił. Osiem Churchilli natarło na ruiny, a za nimi całe hordy żołnierzy piechoty. Zobaczyłem, jak Gregor i Barcelona przebiegają przez ulicę ze swoimi panzerfaustami. Barcelona przykleknął spokojnie za stertą cegieł i wycelował * najbliższy Churchill zachwiał się, zatrzymał się i eksplodował. Gregor trafił w wieżyczkę tego za nim. Czołg nie został zniszczony, ale wątpię, by przeżył ktokolwiek z załogi. Nieco dalej na ulicy zatrzymał się Churchill. Heide podszedł do niego; dokładnie i bez emocji przyczepił minę magnetyczną do wieżyczki, po czym ukrył się w leju po pocisku tuż przed tym, jak mina wybuchła. Oślanialiśmy jego powrót ostrzałem z karabinów maszynowych.

Pozostałe Churchilli wydawały się niezdecydowane. Wykonały półobrót i zaczęły wracać drogą, którą nadjechały, a Mały ruszył za nimi, wrzeszcząc ze wściekłości i równocześnie miotając w nie granatami. Jeden z czołgów wybuchł na naszych oczach. Był to dwudziesty dziewiąty czołg, który Mały zde

molował osobiście przy pomocy granatów lub koktajli Mołotowa * rekord godny odnotowania.

Szczerze mówiąc, było to brawurowe posunięcie, a większość ludzi uważała, że ma szczęście, jeśli udało im się zniszczyć jeden albo co najwyżej trzy czołgi i uszło im to na sucho. Mały miał piekielne szczęście, chociaż ja osobiście przypisywałem to talizmanowi, który nosił na szyi. Była to skórka kota, którego złapał w Warszawie i przerobił na wcale zjadliwą potrawkę. Wierzył w działanie talizmanu tak mocno, że sądzę, iż gdyby go zgubił, położyłby się na ziemi i umarł na miejscu, po prostu by udowodnić swoją rację.

Znowu mieliśmy chwilę przerwy na złapanie oddechu, a potem nadeszła druga fala piechoty.

Anglicy ewidentnie uparli się, by zająć wioskę, mimo że była to sterta gruzu. Prawie natychmiast trzy z naszych karabinów maszynowych zostały wyłączone z akcji, ale Mały miał przy sobie stertę granatów, a jego karabin maszynowy był skrzętnie zakamuflowany i w idealnym stanie.

* Wstrzymać ogień * wymamrotał Legionista.

* Niech podejda trochę bliżej.

Cichutko, pod nosem, zaczął śpiewać znaną pieśń legionową: „Przyjdź, słodka śmierci...” A nieprzyjaciel podchodził coraz bliżej, bliżej, aż w końcu mogliśmy w nim rozpoznać 9. Pułk

Gwardii, jeden ze sławnych oddziałów generała Montgomery'ego. * Wstrzymać się, wstrzymać

* wyszeptał Legionista, kładąc mi rękę na ramieniu. * Wszystko w swoim czasie... Poczekaj, aż do nas podejda.

Czekaliśmy. Słyszeliśmy jak śmieją się i nawołują, przedzierając się przez rumowisko. Wydawali

się bardzo pewni siebie.

* Pełno tu martwych Szwabów! * usłyszałem jak krzyczy jeden z nich. * Chyba wszyscy, którzy mogli jeszcze spieprzać, uciekli!

* Tak ci się zdaje * wysapałem, a palec zadrgał mi niecierpliwie na spuście karabinu maszynowego. Mocno przycisnąłem ramię do broni. Stalowe palce Legionisty nadal zaciskały się wokół mojego nadgarstka. Po naszej stronie Mały przygotował stertę granatów, związując je po dwa. Pierwsi z żołnierzy nieprzyjaciela byli zaledwie o trzydzieści metrów od nas.

* Ognia! * wysyczał Legionista.

Nad nic nie podejrzewającymi żołnierzami rozpętało się prawdziwe piekło. Ci, którzy przetrwali pierwszą salwę, od razu rozpierzchli się po lejach po pociskach i ukryli za dającymi osłonę stertami cegieł i zaczęli dziko odpowiadać ogniem na nasz ostrzał. Karabin wystrzeliwał nieprzerwanie taśmy nabojów; pomyślałem sobie, że jeśli wysiądzie nagle ni z tego, ni z owego, będziemy prawdopodobnie skończeni.

Na ulicy zaczęły zalegać ciała, jedno na drugim. Większość z nich stanowili młodzi chłopcy, zieloni rekruci bez żadnego doświadczenia w walce na wielką skalę. Jedynymi, którzy przetrwali tego typu walkę, byli tacy wiarusi jak my sami; tacy, którzy nauczyli się korzystać ze wszystkich zmysłów równocześnie i automatycznie; którzy wyczuwali niebezpieczeństwo na kilka sekund przed jego pojawieniem

się; którzy potrafili czytać w myślach nieprzyjaciela i wyprzedzać jego kolejny ruch. To był pojedynek na przebiegłość i brutalność, a on nie był dla nowicjuszy. Masakrowaliśmy ich, mimo że było nam ich żal.

Ciągły odrzut ciężkiego karabinu maszynowego tak mi posiniaczył ramię, że zaczęło mnie naprawdę boleć. Próbowałem włożyć czapkę pod koszulę, by złagodzić uderzenia ale na niewiele się to zdało. Oczy mi piekły i łzaawiły, gardło miałem spieczone i wrażliwe za każdym razem, kiedy przelykałem. Najgorsze jednak było to, że zostało nam niebezpiecznie mało amunicji.

Chwilowy odpoczynek, który wydłużał się minuta po niesamowitej minucie, aż w końcu rozciągnął się do pełnej godziny. A potem wrócili, tym razem w pełni sił. Zaczęło się od samolotów, wyjących nad głową i zrzucających na nas bomby napalmowe. Tuż po nich nadciągnęła artyleria, a za nią kolejne czołgi. Mały chwycił minę przeciwpancerną i popędził z nią w stronę nadjeżdżającego Churchilla. Tym razem jednak nie miał tyle szczęścia, co zwykle. Mina wybuchła nie czyniąc krzywdy czołgowi, a sam Mały został zwalony z nóg przez podmuch. Podniósł się wściekły i rozejrzał dookoła. Churchill nadal tam był, nietknięty, i torował sobie drogę przez stos ciał. Z maniackim wrzaskiem na ustach, Mały rzucił się za nim, wspiął się na wieżyczkę i wystrzelał całą serię w głąb otwartego wjazdu. Nie zadowolając się tym rozwiązaniem, wrzucił do środka wiązkę granatów, po czym zeskoczył z czołgu i przetoczył się w kierunku krateru po bombie. Ciężki Churchill wolno

obrótł się wokół własnej osi, uniósł lekko w powietrze, zachwiał w półokręgu, zgniatając przy tym kilku żołnierzy piechoty pod swoimi gąsienicami, wycofał się, wjeżdżając w kilka solidnych dębów, i wreszcie przewrócił się na dziób, plując płonącym paliwem.

Lówe, z twarzą unurzaną we krwi, wyrzeszczał rozkaz do odwrotu. Niewielkimi grupkami, jedni po drugich, kompania zaczęła się wycofywać. Nadeszła nasza kolej i na skutek podniecenia i rozkojarzenia zacząłem strzelać gwałtownie z biodra, zapominając zupełnie, że nie można tego robić z czterdziestkądwójką. Barcelona i Porta ledwie uniknęli śmierci, a ja sam padłem na ziemię wskutek potężnego odrzutu. Karabin maszynowy leżał niedaleko i strzelał szaleńczo sam z siebie, a ja znalazłem się w nedorzecznej sytuacji, w której musiałem się chować przed własną bronią. Niestety jedna z kul wyłobiliła dziurę w łydce Małego. Że też musiało się to przydarzyć właśnie jemu! Mały nie był człowiekiem, który przyjmuje tego typu afront bez emocji. Obrócił się wściekły, wymierzył potężnego kopniaka karabinowi maszynowemu, zranił się w palec u nogi, wydał głośny jęk i zupełnie niespodziewanie dostał prawdziwego szału.

* Ty głupi skurwielu, dorwę cię za to!

Miał na myśli mnie, a nie karabin. Jako wyraz dobrej woli rzucił w moją stronę ostatni granat i przypiecztował to salwą ze swojego nagana. Uwierzcie mi, że kiedy ta bezmyślna masa mięśni i

kości traciła panowanie nad sobą, nie należało wdawać się w dyskusję. Odwróciłem się i pobiegłem, ale poślizgnąłem się na kałuży oleju i wyłożyłem jak długi. Mały dopadł mnie w jednej chwili. Czułem jego gorący oddech na twarzy, wielkie łapska zaciskające się na mojej szyi. Nie mogłem mu się równać pod względem masy czy siły, ale samo przerażenie pozwoliło mi wyrwać się spod niego. Skręciłem sobie kostkę w jakimś kraterze po pocisku, potknąłem się o stertę cegieł, wspiałem na czworakach na zbocze i znalazłem się twarzą w twarz z Churchillem, który zatrzymał się obok dwóch rannych żołnierzy. Tuż za mną pojawił się rozjuszony Mały. Zaślepiiony strachem wyciągnąłem rewolwer i wystrzeliłem dwukrotnie, zupełnie bez sensu, w pustkę. Zrobiłem jeden krok do przodu i nagle wpadłem do rowu z błotnistą wodą. Gdzieś w pobliżu słyszałem porucznika Lówe, który wściekłym tonem wydawał rozkazy, ale dużo mnie wtedy obchodził porucznik Lówe. Sam marszałek polny by mnie nie powstrzymał. Wywlokłem się, ociekając wodą, z tego rowu, przebiegłem przez pole i dysząc przyczałem się za jakimiś krzaczkami zapewniającymi osłonę.

Żołnierze nieprzyjaciela zaczęli pojawiać się znikąd, gnali jak szaleni wzdłuż krzaków, w których się kryłem. W porównaniu z Małym byli nieszkodliwi jak niemowlaki. Zastanawiałem się, gdzie do licha on się podziewał, czy nie szpieguje mnie zza jakiegoś drzewa i zacząłem się gorąco modlić, by jakiś granat oderwał mu łeb od reszty ciała.

Nagle dojrzałem go po swojej prawej stronie, jak przedzierał się przez zarośla z miotaczem ognia w rękach. Z okrzykiem paniki na ustach rzuciłem się z powrotem do rowu, zacząłem nim uciekać, wyłoni

łem się ponownie około pół kilometra dalej, przeskoczyłem przez bramę, znalazłem się na bocznej drodze i wpadłem prosto na porucznika Lówe i resztę jego oddziału. Nie byli oni, oględnie to ujmując, zbyt przyjaźnie do mnie nastawieni.

* Postawię cię przed cholernym sądem wojskowym, tak mi dopomóż Bóg! * zawył porucznik.

Inni stali z boku, ponurzy i wrodzy, podczas gdy on obdzierał mnie ze skóry. Próbowałem im powiedzieć o Małym i jego żądzy krwi, ale na nikim nie robiło to większego wrażenia.

* Dostaniesz za swoje, jak cię w końcu dorwie!

* warknął bezdusznie Lówe.

Heide obejrzał mnie od stóp do głów i wykrzywił usta w szyderym uśmiešku.

* A gdzie karabin maszynowy? * zapytał.

* Właśnie, gdzie masz karabin? * podchwycił Lówe, korzystając z okazji pogorszenia mojej sytuacji.

*Ja... zgubiłem go * powiedziałem.

* Zgubiłeś? * powtórzył Lówe z niedowierzaniem.

* Co to ma znaczyć, że zgubiłeś? W tej jednostce nikt nie gubi karabinów maszynowych! Wracaj tam, do kurwy nędzy, odzyskaj go i nie pokazuj mi się na oczy dopóki tego nie załatwisz!

* Ale...

* Nie usprawiedliwiaj się, bo to i tak na nic. Odzyskasz ten karabin, nawet jeśli będziesz musiał o niego poprosić samego Montgomery'ego!

* Głupi gnojku * wysyczał Heide. * O mały włos nie wystrzelałeś całej kompanii!

Porta strzyknął z pogardą śliną w moją stronę. W tym samym momencie, jak gdyby był to sygnał dla nieprzyjaciela, zalał nas deszcz granatów i wszyscy rzucili się w poszukiwaniu jakiejś osłony. Przyłączenie się do nich nie wydawało się na miejscu. Przeskoczyłem więc znowu przez bramę i ponownie schroniłem się w moim rowie. Kiedy odważyłem się podnieść głowę, nie było już nikogo i zostałem sam na sam ze swoim losem. Usłyszałem stukot ciężkich buciorów i głosy mówiące po angielsku, więc przypadłem do ziemi i wstrzymałem oddech. Przeszli tak blisko mnie, że czułem zapach ich nowych skórzanych pasków i minęło dobre dziesięć minut zanim ponownie odważyłem się wychylić głowę na powierzchnię.

Wkrótce byłem znowu w miejscu, w którym Churchill podjechał do dwóch rannych żołnierzy.

Czołgu już nie było i w międzyczasie jeden z mężczyzn zdążył skonać. Ten drugi zaś gapił się na mnie beznamietnym wzrokiem. Wyglądało na to, że jest zbyt słaby, żeby wyrządzić mi jakąkolwiek krzywdę, ale na wszelki wypadek krążyłem wokół niego z nożem w dłoni, gotów go wykończyć w

przypadku jakichkolwiek kłopotów.

* Wody! * wyszeptał przynaglająco.

Przyglądałem mu się z niesłabnącą podejrzliwością, ale był zbyt poważnie ranny, żeby mógł być niebezpieczny. Połowę brzucha miał oderwaną, prawdopodobnie na skutek działania pocisku lub granatu, z ust ciekła mu strużka krwi, która spływała po brodzie. Wyciągnąłem do niego rękę, zapominając, że

wciąż trzymam w niej nóż, a on szarpnął się żałościwie, ewidentnie mając wrażenie, że za chwilę poderżnę mu gardło. Wetknąłem nóż za pasek, wytarłem mu krew z ust i wyciągnąłem do niego paczkę polowych sucharów, sugerując, że nie chcę mu zrobić krzywdy. Ostrożnie rozpiąłem jego mundur, który częściowo został wtłoczony w otwartą ranę. Nie mogłem dla niego nic zrobić.

Opatrzyłem go najlepiej jak umiałem, bardziej na zasadzie gestu niż czegokolwiek innego, a kiedy skończyły mi się bandaże oderwałem kawałek koszuli i obwiązałem nim jego brzuch. Nadal słabym głosem prosił o wodę. Nie powinien jej dostać ze względu na ranę brzucha, ale i tak było wiadomo, że umiera, więc jedną ręką podtrzymałem mu głowę, a drugą podsunąłem do jego ust manierkę. Nie miałem żadnego papierosa, żeby mu dać, jedynie garść czekolady. Wepchnąłem mu jedną lub dwie kostki do ust i pochłoniął je z wyraźną przyjemnością, a nawet spróbował się uśmiechnąć. Gdybym miał pewność, że umrze w ciągu kilku minut, zostałbym z nim, ale mógł tak konać jeszcze z pół godziny, a ten zaginiony karabin maszynowy ciążył mi na sumieniu. Nikt mi nie musiał tłumaczyć, że karabin jest dużo ważniejszy niż wsparcie. Mogłem z honorem stracić życie, ale nie karabin maszynowy.

Nałożyłem temu człowiekowi maskę przeciwgazową, wetknąłem w ziemię obok niego strzelbę z hełmem zaczepionym na szczycie, by ułatwić noszowym znalezienie go, gdyby po zakończeniu masakry przyszli posprzątać cały ten bałagan. Co jeszcze mogłem zrobić? Niewiele. Tylko zostawić mu resztę

czekolady i wetknąć mu w dłoń zdjęcie żony i dziecka, które znalazłem w jego kieszeni. Dzięki temu przynajmniej nie był sam, kiedy umierał.

Trzy myśliwce bombardujące wroga przeleciały z hukiem niedaleko, patrolując teren. Poczekalem, aż odlecą, a potem ostrożnie odtworzyłem swoje kroki przez wioskę. O dziwo karabin maszynowy leżał wciąż tam, gdzie go zostawiłem. W uldze, jakiej doświadczyłem, zapomniałem o podstawowym środku ostrożności, którym jest skontrolowanie terenu. Podbiegłem prosto do karabinu i prawie natychmiast znalazłem się między dwoma angielskimi żołnierzami. Nie zastanawiałem się, skąd się tam wzięli, zwłaszcza, że taka ilość lejów po pociskach mogła właściwie kryć całą armię. Zareagowałem instynktownie, jak uczyli nas na ćwiczeniach i jak wielokrotnie od tego czasu robiłem: zgiąłem się wpół, wbiłem kolano w krocze jednego z napastników, a drugiemu wymierzyłem szybki cios w tchawicę. Dzięki Bogu nie byli to weterani, bo pewnie byliby na to przygotowani. Za bardzo się śpieszyłem, żeby ich wykończyć, porwałem więc po prostu karabin maszynowy i zwałem z powrotem na drogę, przez zbocze i na pola.

Podczas gdy mnie nie było, zmarł ranny żołnierz. Od razu zauważyłem, że jest martwy, ale nie miałem czasu przyjrzeć mu się z bliska. Grad pocisków rozrzucił ziemię koło moich stóp, a zwracając zobaczyłem grupę angielskich żołnierzy pod dowództwem krzepkiego sierżanta, którzy wspinali się za mną po zboczu. Zawróciłem i pobiegłem, rozstawiłem kara

bin maszynowy mimo kul świszczących wokół głowy i udało mi się go uruchomić w samą porę.

Zobaczyłem, że sierżant pada na ziemię, a reszta przewraca się. Miałem już dość mało amunicji:

dwie taśmy do karabinu maszynowego i trzy granaty ręczne. Chwyciłem karabin i pogałem przez

pole, zgięty wpół, aż dotarłem do mojego znajomego rowu. Przez całą drogę towarzyszyły mi kule, które rozdzierały ziemię, i moje buty. W jednym z nich została oderwana cała podeszwa i w końcu

potknąłem się i wpadłem cały do błotnistej wody. Dysząc i trzęsąc się, wyrwałem zawleczkę z

granatu i rzuciłem go w kierunku nadbiegających Anglików. Jeden z nich go chwycił, ale zanim

odrzucił w moją stronę, granat wybuchł mu w twarz. Potem dorzuciłem pozostałe dwa granaty i

ponownie wyruszyłem w swoją szaleńczą ucieczkę. Nie byłem już zupełnie pewny, w jakim

kierunku biegnę, prulem po prostu przed siebie, z dala od jednego niebezpieczeństwa i prosto w

kolejne.

Tuż za zakrętem znowu wpadłem na nieprzyjaciela. Ale tym razem był to tylko jeden żołnierz. Niewielki mężczyzna o ciemnej karnacji, noszący szary turban owinięty wokół głowy. Był to jeden z przerażających Gurkhów, którzy, jak głosiła plotka, odcinali ci uszy jak tylko na ciebie spojrzeli. Trudno było stwierdzić, kto z nas był bardziej przerażony, ja czy on. Rzuciliśmy się na siebie, walcząc jak zwierzęta. Wymierzyłem mu szybki cios w tchawicę, który nim rzucił, ale szybko jak błyskawica podniósł się, trzymając groźnie wyglądający nóż w dłoni. Podniósł rękę i rzuciłem się na niego; upadliśmy na ziemię, zaczęliśmy się po sobie przewracać, plując, drapiąc i kopiąc. Trzymając sztylet w lewej ręce zamierzył się, by zadać mi cios w czubek głowy, równocześnie wymierzył mi kopniaka, który odrzucił mnie daleko od niego. Potem natarł na mnie, a ja instynktownie pochyliłem głowę i wałnąłem go w brzuch niczym rozjuszony kozioł. Zachwiał się. Złapałem go za uszy i zacząłem grzmocić jego głową o kamienie, aż zamieniła się w krwawą miazgę, a moje ręce stały się czerwone i klejące. Nawet wtedy byłem zbyt przerażony, by pozwolić mu umrzeć spokojnie * podniosłem nóż, który mu wypadł i na wszelki wypadek pchnąłem go w klatkę piersiową. Zatrzymując się tylko na czas potrzebny do odzyskania oddechu, zabrałem karabin maszynowy i zataczając się odszedłem na drżących nogach. To była koszmarna podróż, przez pola i lasy, z przepławami przez strumienie, kryciem się po rowach aż do nocy, dopóki nie natknąłem się na oddział naszych inżynierów i pomyślałem, że mogę już przestać się martwić. Niestety nie miałem szczęścia, ich dowódca potraktował mnie z pogardą, na jaką z pewnością zasługiwałem.

* Nie mów nic! Po prostu nic nie mów! Zgubiłeś swoją jednostkę i nie wiesz jak do niej wrócić... Cóż, mogę tylko powiedzieć, że żaden szanujący się żołnierz nigdy nie dopuściłby do takiej poniżającej sytuacji! Gdyby to ode mnie zależało, odpowiedziałbyś za dezercję przed sądem wojennym! * Zmierzył mnie kilkakrotnie wzrokiem, jak gdybym był szczególnie nieciekawym przypadkiem, który właśnie mu się objawił. * No dobra, miejmy to już za sobą! Który pułk?

* Dwudziesty siódmy Panzer S.B.Y, 5. Kompania.

Zajmowali pozycje w wiosce oddalonej o cztery kilometry na zachód. Moje przybycie spowodowało ogólny wybuch głośnych okrzyków i nawoływań, ale miałem to już gdzieś. Resztkami sił zgłosiłem się do porucznika Lówe, który rozmawiał właśnie z Haup*tfeldweblem Hoffmanem.

* Fahnenjunker Hassel, proszę pana, melduję swój powrót z zaginionym karabinem maszynowym 42.

* Najwyższa pora * powiedział Lówe i na tym skończył.

Powłokłem się z powrotem do mojego oddziału i zastałem tam Małego, który był już w doskonałym humorze.

* Masz kurewskie szczęście, że cię nie dogoniłem! Przypomnij mi, żebyś wepchnął ci zęby do gardła, któregoś pięknego dnia, kiedy będę w nastroju!

* Bardziej mnie interesuje * powiedział Stary szorstko * gdzie się do cholery podziewałeś przez ten cały czas!

Wzruszyłem ramionami i nic nie powiedziałem. Rzuciłem się tylko na ziemię i automatycznie zacząłem czyścić ten przeklęty karabin maszynowy, który był przyczyną wszystkich moich problemów. Porta od razu dosiadł się do mnie i dźgnął żartobliwie * i dość boleśnie * w żebra.

* No? Jaka ona była? * pytał. * Czemu jej nie przyprowadziłeś, żebyśmy wszyscy sobie poużywali?

* Daj spokój * powiedziałem. * Pozwolisz? Chwilę później rozległy się gwizdki i porucznik Lówe rozkazał nam się zwijać; znowu się przenosiliśmy. Major Hinka przyszedł, by nas sprawdzić, a Lówe zasalutował. Dopiero wtedy zauważyłem, że miał obandażowane czoło.

* Piąta kompania gotowa do wymarszu, sir. Straciliśmy jednego oficera, trzech podoficerów i sześćdziesięciu szeregowych. Jeden podoficer i czternastu żołnierzy jest hospitalizowanych. Czterech zaginionych... Aha! Jeden karabin maszynowy zaginiony i odzyskany.

Hinka, pozornie obojętny, oddał salut Lówemu i zwrócił wzrok na nas.

* Dziękuję poruczniku.

Przeszedł wolno wzdłuż szeregu, oglądając każdego żołnierza z osobna. Nie znalazł nic, co

podsyliłoby jego gniew lub wzbudziło jego podziw, dopóki nie podszedł do mnie i o mało nie dostał szału.

* Poruczniku Lówe, czemu ten żołnierz jest w tak odrażającym stanie? Zapnij mundur, wsadź koszulę w spodnie! Pokaż ten karabin maszynowy.

Na szczęście przynajmniej karabin był czysty i nie można mu było nic zarzucić. Major chrząknął i rzucił go z powrotem w moją stronę.

* Zwróćcie na niego uwagę poruczniku. Nie będę tolerować niechlujstwa!

Lówe kiwnął z rezygnacją głową i dał znak Hauptfeldweblowi Hoffmanowi, który od razu wyjął swój notes i oficjalnie zapisał moje nazwisko drukowanymi literami na czystej kartce papieru.

Kompania wyruszyła drogą, buty wybijały wspólny rytm na asfalcie. Ktoś zaczął śpiewać, a inni wkrótce do niego dołączyli:

Weit ist der Weit zuriick ins Heimatland

So weit, so weit!

Die Wolken ziehen dahin daher

Sie ziehen wohl ubers Meer

Der Mensch lebt nur einmal

Und dann nicht mehr...

* Śpiewaj * zachęcał mnie Mały, który maszerował po mojej lewej stronie.

* Jestem potwornie zmęczony * odpowiedziałem drażliwie. * Odwal się i zostaw mnie w spokoju! Byłem zbyt skonany, by maszerować, zbyt zmęczony, by śpiewać. Zbyt zmęczony, by zrobić cokolwiek innego niż położyć się i umrzeć. Powieki mi opadały i czułem, że chwieję się na nogach.

* Śpiewaj, do cholery! * wysyczał Mały. * Otwórz swoją głównianą gębę i zacznij śpiewać albo wybiję ci wszystkie zęby i każę ci je połknąć!

Długa jest droga do domu, długa jest droga nad morze, A chmury na niebie są niespokojne i dzikie I prowadzą mnie daleko od domu, od miejsca, w którym chcę się znaleźć,

A człowiek ma tylko jedno życie I kiedy ono dobiegnie końca Znika na zawsze Jedno życie; tylko jedno...

Na początku niechętnie, a potem coraz głośniej, w miarę jak duch się we mnie wzmacniał, zacząłem śpiewać razem z pozostałymi.

Na północy, na południu, na wschodzie i zachodzie, niemieccy żołnierze umierali jako bohaterowie, a w ich domach, w ojczyźnie, niemieckie matki dziękowały Bogu ze łzami w oczach i obnosiły swoją żalobę z podniesioną głową i uśmiechem na ustach... Tak przynajmniej twierdziła gazeta Yólkischer Beobachter.

Historia zatoczyła koło. Wyglądało na to, że młodzież niemiecka była skazana na to, by wiecznie poświęcać życie dla jakiegoś celu i umierać z patriotyczną pieśnią na ustach. Niech żyje cesarz, niech żyje Ojczyzna albo po prostu Heil Hitler. Żołnierze padali jak muchy we wszystkich czterech stronach świata przy akompaniamencie bębnow oraz trąbek i nie było żadnej matki, żony, siostry, czy narzeczonej, która by się skompromitowała oplakiwaniem utraconego bohatera. Niemieckie kobiety były dumne z tego, że ofiarowały krajowi takich mężczyzn w godzinie potrzeby.

Takie były pułapki wojny. Nie rozmawiało się o trudnych aspektach rzeczywistości. Niemieckie kobiety nie mogły dowiedzieć się o mężczyznach krzyczących w agonii, z oderwanymi kończynami, albo o ich zwęglonych i cuchnących ciałach zawieszonych na wieżyczkach płonących czołgów, czy też porzrzucanych bezładnie po polach bitwy z rozłupanymi czaszkami, w których widać było mózg. O takich rzeczach nie mówił nikt poza zdrajcami i szaleńcami. Wszyscy żołnierze niemieccy umierali bohaterską śmiercią, a żaden bohater nie umiera w ten sposób, odrażający i odarty z wszelkiej godności.

Niemieccy bohaterowie z książek do historii byli żołnierzami w mundurach obwieszonych błyszczącymi medalami; maszerując śpiewali do wtóru rozgrzewającej krew w żyłach melodii trąbek i bębnow, a flagi łopotały na wietrze, kiedy ruszali na wojnę na oczach miliona, ubranych na czarno, niemieckich matek z dumnie uniesionymi głowami.

Bohaterowie nigdy nie nurzali się w błocie czy brudzie okopów; bohaterowie nigdy nie mówili o porażce ani nie przeklinali dowództwa, które kierowało tą wojną; bohaterowie nigdy nie umierali

kwiląc jak dzieci, czy wołając swoje matki i próbując wepchnąć sobie z powrotem wnętrzności do rozharatanych brzuchów... A jednak taki właśnie był obraz wojny, jaki wszyscy znaliśmy, także ja i moi towarzysze.

Rozdział 7

ODKRYCIE AMERYKAŃSKIEGO MAGAZYNU

Wzdłuż drogi, na ponadkilometrowym odcinku, tłum rzucał się w panice do rowów lub z przerażeniem przyciskał do żywopłotów. Wyglądało to, jakby jakaś niewidzialna ręka spychała go, zostawiając ziejącą dziurę na samym środku drogi, gdzie niegdyś byli ludzie. Ironia polegała na tym, że byli to Niemcy uciekający przed innymi Niemcami. Nadjeżdżająca kolumna ciężarówek i samochodów zbliżała się z niebezpiecznie dużą prędkością, niecierpliwie sygnalizując klaksonami i dając jasno do zrozumienia, że nie zamierzają się zatrzymywać dla nikogo, przyjaciela czy wroga.

* Komuś się cholernie śpieszy do domu! * mruknął Porta, wskakując do rowu obok mnie.

* Wszyscy dzielni bohaterowie zwijają się stąd, póki jeszcze jest na to czas! * powiedziałem szyderczo.

Dwie duże limuzyny marki Mercedes nadjechały w naszą stronę otoczone eskortą z żandarmerii polowej

na motocyklach, która torowała sobie drogę przy pomocy brutalnej siły i prędkości. Zza okien mercedesa spoglądali na nas z nieco zde gustowaną wyższością schludni oficerowie o długich nosach i wąskich ustach, obwieszeni złotymi galonami. U ich boków siedziały kochanki lub też zwykłe dziwki, albo jeszcze inne panienki, pulchne i eleganckie, i patrzyły dumnie prosto przed siebie. Jedna była na tyle głupia, by spojrzeć w naszą stronę. Porta od razu pokazał jej sprośny gest, a ona odwróciła się zmieszana, czerwona po cebulki włosów. Wydaliśmy gromki okrzyk zachwytu, jakbyśmy właśnie odnieśli osobiste zwycięstwo nad klasą, której szczerze nienawidziliśmy. Chwilę później pokrył nas kurz, kiedy przemknęło obok nas kilka ciężkich samochodów transportowych, dumnie powiewając proporczykami.

* Walić ich wszystkich * warknął Heide, cierpiąc z powodu piasku w oczach. * Pieprzeni bohaterowie z zaplecza, tylko siedzą na swoich zasranych tyłkach, podczas gdy my odwalamy za nich całą brudną robotę! Są pierwsi, przy wycofywaniu się w obliczu niebezpieczeństwa i olewaniu wszystkich innych!

* To nic nowego * stwierdził rozgoryczony Porta. Wygrzebaliśmy się z rowu i powlekliśmy obrażeni

za znikającą kolumną pojazdów. Zaczęliśmy doganiać tych, którzy byli przed nami, i stopniowo docierało do nas, dlaczego ich pochód był tak chaotyczny i niepewny: wszyscy byli kulawi lub niewidomi, a niektórzy z nich mieli poważne obrażenia. Wyglądało na to, że cała ekipa medyczna nagle spanikowała i odjechała, zostawiając ich na pastwę losu. Biedaki wlokły się więc drogą jak stado owieczek i byli tak pewni tego, iż zginą, że popadli w stan głębokiej, nieprzerwanej apatii. Dwóch żołnierzy z bandażami na oczach niosło towarzysza, który widział, ale nie mógł chodzić; kolumna sześciu ślepych, potykając się, szła z rękami na ramieniu towarzysza za swoim przywódcą, który chwiał się o kulach; trzech ludzi pozbawionych wzroku i żołnierz z jedną ręką nieśli nosze, na których spoczywała dziwna postać podobna do mumii, zabandażowana od stóp do głów. Nie mieli pojęcia, jak daleko udało im się zająć. Kilka kilometrów, jeśli wierzyć jednemu z nich, którego wersję zdawał się potwierdzać żaloszny stan, w jakim się znajdowali. Dziesiątki pojazdów przejeżdżało obok nich, wypełnionych nie walczącymi żołnierzami, lecz oficerami z osobami towarzyszącymi. Jak jeden mąż wszyscy oni zignorowali kolumnę rannych. Kiedy usłyszał o tym Lówe, zwyczajnie dostał szału. Wydawało mi się, że widziałem go w rozmaitych stadiach rozwścieczenia, od ostrego sarkazmu do dzikiej furii, ale tym razem ewidentnie przeszedł samego siebie

i zdaje się, że zaskoczył nas wszystkich. Wskoczył na środek drogi i, wymachując ramionami, usiłował zatrzymać nadciągający konwój pojazdów. Ku mojemu zaskoczeniu, kierowcy zaczęli

nerwowo wciskać hamulce. Zarośnięty pułkownik wystawił głowę z pierwszego samochodu w kolumnie i zaczął wygrażać Lówemu zaciśniętą pięścią.

* Co tu się do cholery wyrabia? Zjeżdżaj stąd, zanim każe cię postawić przed sądem!

Major Feldgendarmerie zeskoczył z motocykla i podbiegł do Lówego, wyszarpując pistolet z kabury.

* Zejdź z drogi, ścierwo! Spieszymy się!

Wymachiwał ręką nad głową i dawał znać kierowcy pierwszego z pojazdów, by ponownie odpalił silnik. Lówe ledwie zdążył uskoczyć do rowu, zanim konwój wyrwał do przodu. Jeden z rannych żołnierzy nie był tak zwinny. Uderzony pod kątem w głowę skonał właściwie na miejscu. Lówe zasznurował usta w cienką, zawziętą kreskę i zwrócił się do Starego.

* Feldwebel Beier, rozstawcie swoich ludzi po obu stronach drogi, z karabinem maszynowym ustawionym w pewnej odległości od niej. Sierżancie Kalb, zajmijcie się granatnikami. Feldwebel Blom, postarajcie się zatrzymać pierwszy pojazd, który będzie tędy przejeżdżał. Jeśli nie będzie chciał się zatrzymać * spojrzął na nas znacząco * wasza w tym głowa, żeby zmienić zdanie. Porta wydał dziki okrzyk radości i zatarł ręce. Myślę, że wszyscy podzielaliśmy jego odczucia. Zajęliśmy wyznaczone pozycje. Grupa rannych przycupnęła bezpiecznie w rowie, Barcelona objął posterunek na środku drogi. Legionista wykazał się rozważą, usuwając z niej ciało zmarłego. Czekaliśmy zaledwie kilka minut, kiedy w oddali pojawił się szary horsch, pędzący jak szalony, tak jakby cała armia brytyjska deptała mu po piętach. Barcelona zaczął wywijać ramionami. Horsch zatrzymał się dopiero, gdy prawie już na niego najechał i wyskoczył z niego podpułkownik.

* Co wy wyprawiacie, Feldweblu? Co chcecie, do

kurwy nędzy, osiągnąć stojąc na środku drogi jak jakiś semafor?

Porucznik Lówe wygramolił się z rowu i podszedł do pułkownika, celując z karabinu maszynowego prosto w jego udekorowaną odznaczeniami pierś.

* Otrzymałem rozkazy, by zająć pierwszy dostępny środek transportu, którego potrzebuję, by przewieźć swoich rannych do najbliższego punktu pierwszej pomocy albo szpitala. Jak widzicie, ja sam nie mam transportu, inaczej, rzecz jasna, bym z niego skorzystał. Muszę was prosić, byście przekazali mi swój pojazd.

Pułkownik nadał się jak balon i nadymał się nadal, aż przyszło mi do głowy, że za chwilę rozsądzi swój mundur.

* Czy zdajecie sobie sprawę z tego, jaki jest mój stopień, poruczniku?

* Oczywiście, proszę pana. Niemniej zgodzicie się ze mną, że ciężko ranni żołnierze są ważniejsi niż zwykła ranga * Lówe obiegnął wzrokiem pojazd pułkownika. * Gdyby był pan tak miły, by poprosić te trzy panie, żeby opuściły samochód * mogą kontynuować podróż pieszo, wyglądają na wystarczająco młode i zdrowe. Niech lepiej wezmą też swoje bagaże, będziemy potrzebować jak najwięcej miejsca. Niektórzy z moich żołnierzy muszą podróżować na leżąco.

* Czy pan oszalał?! * wrzeszczał pułkownik. * Mam ważne spotkanie, na które muszę zdążyć!

* Przez szacunek dla pańskiej rangi * powiedział Lówe ze sztuczną uprzejmością * nie zaproponuję, by

dotrzymał nam pan towarzystwa w drodze. Zakładam, że jest pan w stanie prowadzić pojazd? Jeśli tak, może pan powiedzieć szoferowi, by wysiadł i zająć jego miejsce. Proszę dopilnować, by moi ludzie trafili bezpiecznie gdzie trzeba, a później może pan sobie równie dobrze pojechać na to swoje ważne spotkanie.

Lówe uśmiechnął się pod nosem i wskazał na naszych dwóch najbardziej agresywnych ludzi, Małego i Portę.

* Wyproście wszystkich z samochodu i sprawdźcie, ilu rannych się w nim zmieści.

Mały i Porta z ochotą przystąpili do tego zadania, osłaniani przez resztę oddziału. Kierowca i trzy kobiety wyszli z samochodu na drogę z ponurymi minami, ale nie stawiali oporu, z tyłu pojazdu umieszczono dziesięciu rannych. Jedyne pułkownik silił się jeszcze na protesty.

* Odpowiedzcie za to, poruczniku! Nie ujdzie wam to na sucho!

Sięgnął dłonią po pistolet, ale Barcelona potrzebował ułamka sekundy, żeby wyrwać mu go z ręki. Lówe z żalem potrząsnął głową.

* Przykro mi, że tak do tego podchodzicie, panie pułkowniku. Nie zdawałem sobie sprawy, że duch w armii upadł tak nisko. Oczywiście * uśmiechnął się do pułkownika * człowiek jest nieco zacofany, walcząc cały czas na froncie. Jednak jestem pewien, że pewna kwestia nie uległa zmianie i być może dobrze będzie, jeśli panu o niej przypomnę: według instrukcji samego Fuhrera, dowódca jednostki bojowej wydaje rozkazy w swoim sektorze. Sądzę, że odkryje pan, że ta polityka nadal obowiązuje... Miałbym całkowite prawo zastrzelić pana, gdyby mi pan groził.

* To się jeszcze okaże! * odparł pułkownik.

W ponurej ciszy zajął miejsce za kierownicą. Lówe kiwnął głową.

* Tak na pożegnanie ostatnie ostrzeżenie: wyślę swojemu dowódcy wiadomość o zaistniałej sytuacji. Zapamiętałem też wasz numer i osobiście sprawdzę, czy moi ludzie bezpiecznie dotarli tam, gdzie ich wysłałem.

Horsch ruszył w drogę. Wdzięczne okrzyki rannych żołnierzy wciąż dźwięczały nam w uszach, gdy usłyszeliśmy ryk zbliżających się pojazdów i zobaczyliśmy mercedesa, który pędził w naszą stronę ze zwyczajową eskortą, krzyczącą do nas byśmy zeszli z drogi.

* Zatrzymajcie samochód! * krzyknął Lówe.

Barcelona elegancko zajął pozycję na środku drogi, ale tym razem kierowca jechał dalej swoim torem, wprost na niego i Barcelona musiał w ostatniej chwili ratować się ucieczką.

* Zatrzymać samochód! * darł się rozwścieczony Lówe.

Z oddali dobiegły nas strzały z karabinu maszynowego. Wielki mercedes wpadł w poślizg, zatoczył łuk i wreszcie stanął. Dumni z siebie patrzyliśmy na osobę zajmującą tylne siedzenie: na generała dywizji w pełnej okazałości, ze złotymi galonami, czerwonymi jedwabnymi chwostami, błyszczącymi, srebrnymi guzikami i odznaczeniami we wszystkich możliwych kolorach.

* Tym razem upolowaliśmy niezłą sztukę * szepnął mi do ucha Porta.

Bardzo powoli, bardzo dostojnie generał dywizji wyszedł z samochodu przy pomocy dwóch służalczych Feldweblów. Jego skórzane buty lśniły i skrzypiały. Patrząc na to, jak opinały kształtne łydki, wywnioskowałem, że zostały wykonane na zamówienie. Podszedł niedbale do porucznika Lówe, a następnie, ku uciesze nas wszystkich, włożył monokl do lewego oczodołu.

* Cóż, poruczniku!

Mówił niskim, zwodniczo łagodnym głosem. Zatrzymał się w pewnej odległości od Lówego i przemówił z pozycji autorytetu.

* Zakładam, by was usprawiedliwić, że w chwili popełniania tego karygodnego czynu nie mieliście pojęcia, z kim będziecie mieć do czynienia?

Lówe podszedł do niego elegancko i zaszalutował dwoma palcami.

* Przykro mi z powodu zaistniałej niedogodności. Oczywiście, gdyby wasz człowiek zatrzymał samochód od razu, nie musielibyśmy strzelać.

* Zakładam, że mieliście dobry powód, by dopuścić się tego zuchwalstwa?

* Tak, panie generale, sądzą, że uzna pan to za wystarczający powód, kiedy wyjaśnię panu całą sytuację. Mam tu grupę poważnie rannych ludzi, a brakuje mi transportu, by się nimi wszystkimi zająć. Nie są w stanie iść i wielu z nich umrze, jeśli szybko nie zajmie się nimi lekarz.

* To z pewnością nie moja sprawa, poruczniku.

* Przepraszam, ale wasz samochód jest wystarczająco duży, by pomieścić bez trudu kilku moich żołnierzy.

Generał dywizji poprawił monokl.

* Musieliście chyba na głowę upaść, poruczniku. Będę tak dobry i przypiszę wasze zachowanie nerwowej sytuacji, w jakiej się znaleźliście, ale coś mi się zdaje, że wy sami pilnie potrzebujecie pomocy lekarza. Możecie się uważać za szczęściarza, ponieważ mam zamiar zapomnieć o całej sprawie.

Zaczął się odwracać, ale Lówe natychmiast zastawił mu drogę.

* Powtarzam panu, że niektórzy z tych ludzi umrą, jeśli szybko nie udzieli się im pomocy medycznej.

* Mamy wojnę, poruczniku. Wiele tysięcy ludzi ginie każdego dnia. Naprawdę nie mogę sobie

pozwolić, by mój samochód zagracały zakrwawione ciała. Zapewnienie transportu rannych nie leży w zakresie moich obowiązków. W każdym razie jestem w drodze do mojej dywizji. Mam dużo ważniejsze sprawy na głowie niż zapewnianie darmowych przejazdów jakimś anonimowym żołnierzom * chrząknął. * To znaczy, niewiele znaczącym w ogólnym ujęciu sprawy.

* Czy mogę dowiedzieć się, która dywizja jest pańska, panie generale?

* Nie, nie może pan! Proszę łaskawie usunąć się z mojej drogi, zanim będę zmuszony wydać swoim ludziom rozkaz do strzelania!

Dostrzegłem, że Lówe pobladł. Modliłem się, by teraz się nie wycofał. Sądzę, że gdyby tak zrobił, Mały i Porta wzięliby sprawy we własne ręce, ale jeśli chodziło o zasady Lówe potrafił być bardzo uparty.

* A więc ma pan zamiar zabrać ze sobą moich rannych, czy nie? * spytał tonem, którego nawet jeden generał dywizji nie użyłby w rozmowie z drugim generałem dywizji.

Zauważyłem, że dwóch Feldweblów wymienia znaczące spojrzenia i instynktownie przygotowałem się do ostatecznej rozgrywki. Zanim jednak padły jakiegokolwiek strzały, na scenie pojawił się kolejny pojazd, lekki transporter. Zatrzymał się niedaleko od nas i zobaczyliśmy, że obok kierowcy siedzi Brigade*fuhrer SS. Wyszedł niespiesznie z pojazdu i podszedł do Lówego. Był bardzo wysoki i smukły, z szerokimi ramionami i szczupłą, atrakcyjną twarzą. Jego mundur był stary i sprany, pokryty kurzem z drogi i nie*ozdobiony żadnymi naszywkami czy odznaczeniami. Mimo to wszyscy poznaliśmy w nim dowódcę 12. Dywizji Pancерnej SS, Panzer Meyera, najmłodszego generała w armii niemieckiej.

* Co tu się dzieje, poruczniku?

Lówe szybko nakreślił mu obraz sytuacji. Szare oczy generała zwięzły się, a mocno zarysowana szczęka zacisnęła.

* Odmawia przyjęcia waszych rannych? * zapytał.

* Odmawia przyjęcia naszych rannych * potwierdził Lówe, nadal bardzo blady. * Cytując jego własne słowa, pan generał dywizji nie może sobie pozwolić, by jego samochód zagracały zakrwawione ciała.

Panzer Meyer zwrócił swoje zimne, przejrzyste spojrzenie na generała dywizji, który zaczął się niespokojnie wiercić.

* Jestem w drodze do mojej dywizji * powiedział pośpiesznie. * Ten głupi porucznik nie tylko zniszczył mi samochód, strzelając do niego z karabinu maszynowego, ale dodatkowo zatrzymał mnie tu i przez ostatnie piętnaście minut karmi mnie bezczelnymi pogawędkami.

* Do jakiej dywizji ma pan zamiar dołączyć, generale?

* 21. Dywizji Pancерnej.

* Doprawdy? * Panzer Meyer zacisnął usta i unióśł brwi w wyrazie zaskoczenia. * To bardzo dziwne, bo właśnie przed chwilą rozstałem się z generałem Bayerlingiem, który, jak panu zapewne wiadomo, jest dowódcą 21. Pancерnej. Mogę śmiało stwierdzić, że jeśli chce pan dołączyć do tej dywizji, to udaje się pan w całkowicie przeciwnym kierunku, generale.

Generał dywizji kurczowo przytrzymał swój monokl.

* Czy pan mnie oskarża o dezercję?

* Tak, zdaje się, że tak * wymamrotał Meyer, jak gdyby dopiero teraz wpadło mu to do głowy. Skinął głową w kierunku Lówego. * Proszę się nim zająć. Wie pan, co z nim zrobić.

Lówe z kolei kiwnął głową w stronę Małego, którego nie trzeba było specjalnie zachęcać. Na oczach swoich dwóch zdumionych Feldwebli, generał dywizji został zawleczony pod słup telegraficzny stojący przy drodze, a następnie przywiązany do niego jego własnym lśniącym skórzanym paskiem paema. Lówe zerknął na Panzer Meyera, ale ten wzruszył jedynie lekko ramionami i odwrócił się.

Generał dywizji zmarł w paskudny sposób. Bez śladu dawnej arogancji błagał o litość, do chwili gdy pociski z nagana Małego przeszły mu serce i zakończyły jego żywot. Jego dwaj Feldweble porzucili go przy pierwszej nadarżającej się okazji, a my pozwoliliśmy im uciec, koncentrując się na umieszczeniu pozostałych rannych w obszernym mercedesie. Konwój ruszył w drogę, a Panzer Meyer pozostał jedynie, by ucisnąć dłoń Lówego. Po chwili i on zniknął w chmurze dymu.

Ruszyliśmy za nimi pieszo, nagle przybici po początkowej euforii. Niedługo byliśmy sami. Droga nadjechał charczący motocykl i zatrzymał się przy nas. Był to Werner Krum, jeden z kurierów. Przywiózł nam wieści o tym, że zauważono czołgi nieprzyjaciela i naszym zadaniem było utrzymanie drogi do ostatniego żołnierza i do ostatniego pocisku. Porucznik Löwe poprawił sobie bandaż na czole i wymamrotał coś pod nosem.

* Drugi oddział, ustaw się za mną w jeden rząd * rozkazał Stary zarzucając karabin na ramię. Dotarliśmy do niewielkiej wioski, w której było nie więcej niż kilka zabudowań. Pierwszym widokiem, który nas tam przywitał, było rozkładające się ciało młodego chłopca. Jego mundur był wciąż nowy i prawie niezniszczony, ale ciało zaczynało już gnić i odchodzić od kości.

* Pochowajmy go * zasugerował Stary. * Nie mogę tu przebywać, kiedy to coś leży obok i gapi się na mnie.

Wykopanie grobu w tej żyznej, miękkiej ziemi było prostym zadaniem. Na pobliskim polu widzieliśmy rosnące buraki i kalafiora, a widok ten tak mnie zauroczył, że stałem gapiąc się długo po tym, jak inni odeszli zakopawszy ciała. Kiedy w końcu do nich dołączyłem, zastałem ich w stanie pomieszanej konsternacji i podniecenia, gdy patrzyli na dwóch żołnierzy SS, których do nas oddelegowano. Wyglądało na to, że gotują coś w dużym garze, ale nie mogłem stwierdzić, co to było. Przymocowali hermetycznie pokrywkę i kiedy się do nich zbliżyłem, zauważyłem, że Heide ostrożnie wygląda zza wozu.

* Co ty wyprawiasz? * zapytałem.

* Nic takiego. Po prostu mam trochę więcej oleju w głowie niż niektórzy! * odparł nieco wkurzony.

* Dlaczego? Co tam się gotuje, dynamit? Heide skrzywił się.

* Kiedy to gówno wybuchnie, nie będzie ci do śmiechu!

Poszedłem do Barcelony, który kręcił się na obrzeżu.

* Co tam jest? * zapytałem.

* Alkohol! * odpowiedział zwięźle.

* Alkohol? * powtórzyłem. * Ale czemu gotuje się w garze?

* Gotuje się na wolnym ogniu. Owoce czarnego bzu i cukier, w stanie fermentacji... Czekamy aż wybuchnie.

* Hej! * krzyknął nagle Mały. * Czemu przymocowaliście tam ten termometr?

Żołnierze z SS spojrzeli na niego bez emocji.

* Jeśli temperatura wzrośnie powyżej czerwonej kreski * wyjaśnił jeden z nich * to roztwór będzie na granicy wybuchu.

* Jesteście popieprzeni! * wrzasnął Mały, chowając się razem z resztą naszego oddziału. * Od dziesięciu minut słupek jest powyżej czerwonej kreski!

Żołnierz wrzucił ramionami.

* Możliwe, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Nie chcielibyście się napić przed przybyciem Jankesów?

Chcieliśmy, ale nie kosztem wysadzenia się w powietrze. Rozsądnie pozostaliśmy w ukryciu aż niebezpieczeństwo minęło i mikstura została uznana za zdatną do spożycia. Biorąc pod uwagę nasze zachowanie, uznałem, że obaj kucharze zachowali się bardzo hojnie w ogóle pozwalając nam jej spróbować, a co dopiero pomóc im wysuszyć cały gar. W chwili, kiedy go wypiliśmy, wszyscy byliśmy gotowi zaryzykować życie dla uwarzenia drugiej porcji, ale niestety nam przerwano. Mały wskazał nagle na pole buraków.

* Oto nadchodzą wyzwolicieli! Jankesi mają nosa do dobrego bimbrowa!

Zerwali się w panice, ale było ich tylko dwóch. Dreptali beztrosko przez błoto, zupełnie nie zdając sobie sprawy z naszej obecności.

* Będziemy musieli ich zastrzelić * powiedział Stary.

* Chyba żartujesz! * zaprotestował Porta. * Komu

chciałoby się zabierać do roboty po tym cudzie? Nikomu się nie chciało, ale jak nieustannie przypominał nam jakiś dupek, trwała wojna. Opici bimbrowem i niezbyt pewnie trzymający się na nogach, ukryliśmy się w zaroślach i obserwowaliśmy beztroskich Amerykanów, którzy podeszli bliżej. Jeden z nich był kapralem, a drugi szeregowym. Podeszli śmiejąc się i rozmawiając, a potem

wskoczyli do okopu, który wcześniej wykopaliśmy dla siebie. Niedbale wytoczyliśmy się z naszej kryjówki i stanęliśmy naprzeciw nich.

* Jesteście aresztowani! * krzyknął Heide.

Wyskoczyli z okopu, jakby wpadł tam odbezpieczony granat.

* Co wy tu do cholery robicie? * zapytał kapral.

* Oddychamy świeżym powietrzem * odparł Porta. * Coś nie pasuje?

* Cholernie mi coś tu nie pasuje. Powiedzieli nam, że w okolicy nie ma żadnych Szwabów!

* Oni mówią to, co im pasuje.

* Siądźcie i rozgośćcie się * zasugerował Barcelona. * Na kuchence mamy trochę bimbru.

Dwaj żołnierze SS całkowicie stracili zainteresowanie wydarzeniami, ustawili już drugi kociołek.

Tym razem ochoczo przyglądaliśmy się termometrowi, dopingując go głośnymi okrzykami za każdym razem, gdy słupek podniósł się choćby o jeden stopień.

* Wasi koledzy * zasugerował z nadzieją w głosie Heide * muszą być jeszcze daleko stąd?

* Koledzy! * wrzasnął kapral, nagle rozju

szony. * Nie przypominaj mi tej bandy gnojków!

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie byli ani czym sobie zasłużyli na taki gniew kaprała. Wydawało się, że jest to w jakiś zawyły i nieodgadniony sposób związane z miejscem pochodzenia.

Domyśliliśmy się, że kapral i szeregowy pochodzą z Georgii, a ich byli koledzy z Nowego Jorku.

* I wolę pieprzonych Szwabów od cholernych nowojorczyków! * krzyknął szeregowy.

Podziękowaliśmy mu serdecznie i poczuliśmy ku niemu sympatię.

* Cholerni nowojorczyki to pieprzeni kretyni!

* dodał.

Zanim bimber dojrzał do spożycia, byliśmy już w najlepszej komitywie. Dwie godziny później siedzieliśmy i prawiliśmy sobie komplementy.

* Dokąd... się kierowaliście... kiedy... was... zaskoczyliśmy? * spytał Porta, z oczami okrągłymi jak sowa od wysiłku, jaki wkładał w wypowiedzenie każdego słowa.

Kapral spojrział na szeregowego w oczekiwaniu wsparcia.

* Dokąd... my szliśmy? Szeregowy wrzucił ramionami.

* Bo ja wim? Nie wiedziałem, że gdzieś szlim.

* Racja. Nigdzie nie szlim * odwrócił się do Porty.

* Nigdzie nie szlim. Zgubiłem się.

Porta beknął z sympatią.

* W tym pieprzonym kraju nie da się tego uniknąć. Każda cholerna droga wygląda tak samo.

* To przez te durne żywopłoty, jeśli chcecie znać

moje zdanie. Jak do licha mam się połapać, który jest który?

* Hej! * powiedział nagle szeregowy. * A czemu ty i ja jeszcze nie zginęliśmy?

Kapral podrapał się po szczeciniastej głowie.

* Bo ja wiem. Zawsze nam mówili, że cholerne Szwaby nie biorą jeńców.

* A nam, że Jankesi też nie * odparował Barcelona.

* To obrzydliwe kłamstwo!

* A wiesz, na co się kiedyś natknęliśmy? * spytał prowokująco Barcelona. * Na czołg z niemieckim żołnierzem przymocowanym do wieżyczki przy pomocy drutu kolczastego. Niech mnie szlag, jeśli to ma być branie jeńców!

* Coś wam powiem * powiedział emocjonalnie kapral. * Chętnie postawię każde pieniądze na to, że załoga tego czołgu to byli cholerni zboczeńcy z Nowego Jorku!

Nagle usłyszałem zbliżające się kroki: to był porucznik Lówe. Szybko dałem znać Porcie, który bezceremonialnie wepchnął dwóch Amerykanów do okopu. Stary podniósł się chwiejnie, nieco się zakołysał i utrzymał wyprostowaną postawę z wyraźnym trudem.

* Nie dzieje się nic szczególnego!

Jego głos rozbrzmiewał szczerością; wyglądał dobrotliwie i niewinnie.

* Zainstalujcie nasz oddział w wiosce * rozkazał Lówe. * Jeden człowiek z karabinem

maszynowym powinien wystarczyć jako warta na noc. Radzę, żeby reszta z was nadrobiła zaległości związane ze snem i... * Lówe przerwał nagle, węsząc niespokojnie.

* Feldweblu Beier, czuję alkohol!

Jeden z żołnierzy SS, z całą pewnością mając jak najlepsze zamiary, pojawił się obok Lówego z menażką pełną bimbru.

* Może pan trochę spróbuje? To bimber z bzu.

* Bimber z bzu? * powiedział Lówe, spoglądając na śmierdzącą ciecz w menażce. * Moim zdaniem wygląda bardziej jak olej maszynowy.

* Ale smakuje w porządku.

Lówe spojrzał na niego podejrzliwie. * Jesteście pijani! * rozejrzał się po naszej grupce.

* Wszyscy jesteście ubzdryngoleni! Powstać natychmiast... Druga Kompania, prezentuj broń!

Nie trzeba chyba mówić, że to zadanie było dla nas niewykonalne. Żałośnie dźwignęliśmy się do pionu, podpierając się wzajemnie i chwiejąc jak domek z kart. Gregor był w pijackiej śpiączce i nie był w stanie nawet otworzyć oczu.

Porucznik Lówe dostał jednego ze swoich sławetnych napadów szału. Z perspektywy czasu sędzę, że miał ku temu podstawy.

* Bando pijanych imbecyli! Spójrzcie na siebie

* jesteście tak zalani, że nie możecie się utrzymać na nogach! Chyba można was zostawić na kilka godzin samych i liczyć na to, że nie będziecie się zachowywać jak bydło? Jezu, powinno się was zamknąć w szpitalu dla psychicznie chorych przestępców, całą waszą zapijaczoną bandę!

Podszedł do Gregora i stuknął go lekko w klatkę

piersiową. Gregor natychmiast padł na ziemię i leżał tam jak trup, z nogami wyciągniętymi przed siebie.

* Spójrzcie na to! * darł się Lówe, podniecony tym, że udało mu się tak łatwo znaleźć dowód na swoje słowa. * Co do cholery byście zrobili, gdyby nagle pojawił się nieprzyjaciel?

* Zastrzelilibyśmy ich * powiedział z nadzieją

Mały.

* Gęba na kłódkę, Creutzfeld! Ważniejsze jest to, czy mielibyście cokolwiek na swoją obronę, gdyby nagle wpadł tu major Hinka na inspekcję?

* Na zdrowie * odparł Mały.

Nie sędzę, żeby miał zamiar dowcipkować. Był tak zalany, że z pewnością dla niego było to całkowicie stosowne wyrażenie, którym można powitać wyższego rangą oficera odbywającego niespodziewaną inspekcję. Jednak Lówe zinterpretował to jako czystą impertynencję. Podszedł do Małego w dzikim szałe, a Mały, całkowicie skonfundowany, upuścił karabin na ziemię.

* Jezusie Nazareński! * darł się Lówe, trzęsąc się ze wściekłości.

Zwrócił się do Starego.

* Feldweblu Beier, to najbardziej niezdyscyplinowany oddział w całej kompanii i winię za to

wyłącznie was! Proszę mi natychmiast otrzeźwić tych ludzi. Gównu mnie obchodzi, jak tego dokonacie; jak dla mnie mogą przez całą noc biegać w tę i z powrotem po burakach, ale jeśli za pół godziny dowiem się, że chociaż jeden z nich ma objawy upojenia alkoholowego, wszyscy za to odpowiecie!

Odszedł z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową. Mały mocno westchnął.

* Coś mi się zdaje, że już nas nie kocha * powiedział.

* Trudno mieć do niego pretensje * odpowiedział Stary z kwaśną miną.

Pochylił się nad nieprzytomnym Gregorem i zaczął walić go po policzkach i machać jego głową na wszystkie strony. Porta, który ulotnił się dyskretnie w trakcie przemówienia porucznika, wyłonił się z pobliskiego domu dumnie wymachując banjo i akordeonem.

* Znalazłem orkiestrę! * darł się.

* No to ją odnieś, do cholery! * odszczeknął Stary.

* Jak zaczniesz na tym grać, usłyszą nas z daleka. I ostrzegam cię, że jeśli ten oddział sprawi jeszcze jakieś kłopoty, wszyscy trafimy do ciupy na co najmniej trzy dni, kiedy wrócimy.

* Jeśli wrócimy * powiedział niewzruszonym tonem Porta.

Amerykanie ostrożnie wyłonili się z okopu i patrzyli w zadumie na odchodzącego porucznika Lówego.

* Jezu, naprawdę dają wam tu popalić, chłopaki

* powiedział współczująco kapral.

Wziął od Porty banjo i zaczął na nim brzdąkać. Barcelona od razu porwał akordeon, Porta wyciągnął flet, a Mały harmonijkę.

* Chryste * powiedział Stary. * Czy wy się naprawdę nigdy nie zmienicie?

* Za późno, żeby nauczyć starego psa nowych

sztuczek * odparł Porta. * Spróbujmy Trzech lili... Gotowi? Raz, dwa, trzy...

Drei Lilien, drei Lilien Die pflantz' ich aufmein grab... Trzy lilie, trzy białe lilie, Posadzę je na swym grobie...

Gdzieś w oddali bateria artylerii rozpoczęła ostrzał, jak gdyby w odpowiedzi na naszą piosenkę. Patrzyliśmy na ogniste ślady zostawiane przez pociski, które z pewnością kierowały się na Caen. Kilka chwil później dobiegły nas odgłosy eksplozji. A za sekundę całe niebo rozświetliły wybuchy, a powietrze wypełniły odłamki. Porta, wciąż grający na flecie, tańczył wdzięcznie dookoła okopu, jak jakieś stworzenie celebrujące noc świętojańską. Pozostali rozsądnie rozejrzeli się za schronieniem. Amerykański szeregowiec przypadł płasko do ziemi, Barcelona dał nurka w stertę nawozu, Winther * jeden z żołnierzy SS * usiłował schować się w kurniku i zaklinował się w wejściu. Uwolnił go Mały, który pociągnął go za nogę i rozwalil całą chwiejną konstrukcję kurnika. Kury rozpięzchły się panicznie we wszystkich kierunkach.

* Co tu się teraz, do cholery, dzieje? To znowu był porucznik Lówe. Przycupnąłem, drząc pod stertą pustych worków na ziarno, i modliłem się o nagłą niewidzialność. Porta nadal grał na flecie i tańczył, a obecnie dołączyli do niego amerykański kapral z banjo i Mały z harmonijką i wszyscy trzej wirowali jak szaleńcy dookoła okopu.

* Co tu robi ten Jankes? * zapytał porucznik.

Zaczął się przedzierać przez stado oszalałych ze strachu kurczaków, ale zanim gdziekolwiek dotarł, sytuacja nagle i dramatycznie zmieniła się. Noc zakłóciły głośnie serie z karabinu maszynowego. Poczulem, że pociski zrywają ze mnie worki i w panice pogalopowałem w kierunku pozostałości po kurniku. Kiedy to zrobiłem, amerykański kapral wydał głośny okrzyk, zawirował w dziwnym piruecie i wpadł na dno rowu. Ujrzałem na tle nieba sylwetki biegnących żołnierzy i z przerażeniem stwierdziłem, że Anglicy byli właściwie tuż przy nas. Widziałem ich błyszczące bagnety i ramiona uniesione, by zasypać nas granatami. Nie było sensu szukać schronienia; każdy musiał zadbać o siebie w walce wręcz.

Zaczelśmy bronić się wszystkim, co było pod ręką: nożami, widłami, łopatami, walczyliśmy też na gołe pięści. Ciężko było w tym zamieszaniu zachować jakikolwiek sens tej walki inny niż pozostanie przy życiu, ale mnie przynajmniej udało się przedrzeć do miejsca, w którym mieliśmy ukryty karabin maszynowy. Dołączył do mnie Mały i razem udało nam się rozstawić podpórki lufy. Kilka kroków dalej zobaczyliśmy, jak Winther podnosi z ziemi granat, który niewinnie toczył się w naszą stronę. Zanim udało mu się odrzucić go w stronę wroga, wybuchł w jego rękach. Chwilę później oderwana głowa Winthera toczyła się w naszą stronę zamiast granatu. Barcelona przyjął kulę w lewe płuco, a Gregor, dysząc i krwawiąc jak wieprzek ze zranionej głowy, dowlókł go w stosunko

wo bezpieczne miejsce za karabinem maszynowym. Mimo że martwiliśmy się o Barcelonę, nie mieliśmy czasu, by zacząć go wypytywać o samopoczucie. Jego życie, tak jak nasze własne i wszystkich innych, zależało od karabinu maszynowego.

Jak tylko udało nam się rozłożyć broń, Mały wrzasnął, żebyśmy zaczął strzelać. Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Anglicy zwyciężali i doskonale zdawali sobie z tego sprawę, ale zaczęli padać jak muchy pod gwałtownym ostrzałem z karabinu maszynowego. Mogliśmy się wycofać, tracąc przy tym wielu ludzi i wiele sprzętu, przez pola w kierunku tego, co martwy Amerykanin nazywał durnymi żywopłotami. Zajęliśmy pozycję w jakiś ruinach oddalonych o kilka kilometrów. Barcelona żył, ale był w ciężkim stanie. Było jasne, że potrzebna jest mu natychmiastowa pomoc

medyczna i w trakcie, kiedy załatwiano transport, wszyscy zebraliśmy się wokół jego noszy, zaczęliśmy obsypywać go papierosami i pieniędzmi, które mieliśmy przy sobie. Barcelona szlochał żałościwie, osłabiony z powodu utraty krwi, i błagał, żebyśmy go nie odsyłali.

* Co wy sobie wyobrażacie? * bredził. * Że jestem jakimś pieprzonym dzieckiem?

* Z pewnością zachowujesz się jak dziecko * powiedział surowo Lówe. Położył rękę na ramieniu Barcelony. * Dobrze wiesz, że szpital to dla ciebie jedyne wyjście. Dlaczego po prostu nie podziękujesz swojej szczęśliwej gwiazdce, że wciąż żyjesz i możesz cieszyć się perspektywą długiego odpoczynku? Wielu z nas chętnie by się teraz z tobą zamieniło.

* Wojna się skończy zanim wrócę * poskarżył się słabym głosem.

* Nie ma, kurwa, mowy * powiedział Mały. Lówe uśmiechnął się.

* Nie bądź śmieszny, przecież wojna nie może się skończyć bez ciebie! Coś ci powiem * wrócisz do nas w przeciągu miesiąca. Masz... * przeszukał kieszenie, znalazł pustą paczkę po papierosach i swoją złotą zapalniczkę. * Weź to. To mój talizman. Będzie cię wspierał.

Jedyny środek transportu, jaki udało nam się zorganizować, to był motocykl z przyczepą.

Owinęliśmy Barcelonę w koce i pałatkę i umieściliśmy go jak najwygodniej w przyczepie, z karabinem na kolanach na wypadek, gdyby musiał się bronić. Potem ze smutkiem patrzyliśmy, jak odjeżdża w ciemność.

* Dobra * powiedział Lówe zmęczonym głosem * spocznijcie, ocenimy nasze straty.

Dowódca każdego oddziału robił obchód i składał raport o liczbie martwych, rannych lub zaginionych żołnierzy. Potem wysłano gońca do pułku. Pięć minut później ponownie dopadł nas nieprzyjaciel. Porta patrzył w tym czasie przez lornetkę. Pocisk wyrwał mu ją z dłoni i Porta patrzył w niemym zdumieniu na jej roztrzaskane fragmenty. Gdyby nie lornetka, Porta na pewno byłby już trupem.

Żołnierze nieprzyjaciela nacierali na nas z dwóch stron równocześnie. Znowu zostaliśmy zmuszeni do odwrotu. Ja płątałem się za całym oddziałem, a karabin maszynowy robił co mógł, żeby mnie ochronić. Były takie chwile, kiedy pragnąłem nie być najlepszym strzelcem w całej kompanii i kiedy pragnąłem, by ktoś inny targał ze sobą to cholerstwo pod ostrzałem wroga. W moją stronę potoczył się granat. Kopnąłem go z całych sił i z zadowoleniem zauważyłem jak eksplodował obok dwóch żołnierzy w mundurach khaki. Dobrze im tak, skurwielom! Nie musieli męczyć się z ciężkim karabinem maszynowym.

Dogoniłem resztę oddziału, który znalazłem za nasypem ziemi. Porucznik Lówe znowu się na nich wydzierał za jakieś przewinienie. Groził, chyba po raz setny w tym tygodniu, że wszystkich postawi przed sądem wojskowym. Wyglądało na to, że Małego nie było wśród nich, a nikt nie widział, żeby gdzieś padł. Lówe * znając Małego * podejrzewał, że ten zignorował rozkaz dotyczący wycofania się.

* Był tu przed chwilą * powiedział Stary obronnym tonem.

* Gównu mnie obchodzi, gdzie był przed chwilą! Chcę się dowiedzieć, gdzie jest teraz! Czy wy naprawdę nie macie żadnej kontroli nad waszym oddziałem, Feldwebelu Beier?

* Nad niektórymi z nich mam * odparł Stary. Spojrzał hardo w stronę Porty. * A nad innymi nie.

* Jestem bliski postawienia was wszystkich przed sądem!

Legionista wzruszył ramionami.

* Jeśli to panu poprawi humor * powiedział i odszedł.

* Coś ty powiedział?! * wydarł się Lówe. * Jak śmiesz tak się zwracać do oficera, ty... ty francuski szczurze!

Legionista obdarzył go jednym ze swoich wyniosłych uśmiezków.

* Proszę mi wybaczyć, sir... * powiedziałem miękko.

Odwrócił się w moją stronę.

* No? O co chodzi tym razem, Hassel?

* Pomyślałem sobie, że ucieszy się pan, kiedy panu powiem, że nadal mam nasz karabin maszynowy.

* Na miłość boską!

Porucznik wznosił zaciśniętą pięść w stronę nieba i odszedł wzburzony. Resztę nocy spędziliśmy stosunkowo spokojnie, nie niepokojeni ani przez oddziały nieprzyjaciela, ani przez oficerów. Nad ranem pojawił się Mały. Zszedł do nas pogwizdując ze wzgórza, wyluzowany jak turysta na przechadzce o świcie. W każdej ręce niósł dużą puszkę z dżemem. Usiedliśmy i przyglądaliśmy mu się z otwartymi ustami. Zaczął z nas szydzić już z daleka.

* Dlaczego wszyscy tak zwiewaliście? Szkoda, że nie zostaliście trochę dłużej. Koniec końców miałem cały teren dla siebie... Zdobyłem trzydzieści jeden złotych zębów! Jeden sierżant miał całą sztuczną szczękę wykonaną ze złota... Szkoda, że tego nie widzieliście, to dopiero był widok!

* Podzielsz się? * powiedział Porta, łączywie spoglądając na dwa wypchane worki wiszące u boku Małego.

* Wypchajcie się! * powiedział Mały, na wszelki wypadek zapinając pod szyję swój mundur.

Czasu starczyło nam jedynie na wypicie szybkiej

kawy i zjedzenie chleba z dżemem, a potem nadeszły nowe rozkazy: drugi oddział miał się udać na zwiad w północno-zachodnim kierunku, w stronę lasów Ceris. Pułk chciał się dowiedzieć, czy zostały one zajęte przez nieprzyjaciela.

Chociaż raz nie padało. Słońce stało wysoko już po godzinie od naszego wymarszu i po namyśle doszedłem do wniosku, że chyba wolałbym tradycyjne opady. Mundur, który przyklepał się do spoconego ciała był jeszcze gorszy niż mundur, który przyklepał się z powodu deszczu. Stary, który postanowił być wobec nas stanowczy, nie pozwolił nam zatrzymać się nawet na pięć minut zanim nie dotarliśmy do naszego celu.

Weszliśmy do lasu i zaczęliśmy się przez niego ostrożnie przedzierać, z bronią gotową do strzału na pierwszą oznakę kłopotów. Nagle, na prawo od nas, usłyszeliśmy z całą pewnością ludzi. Stary podniósł rękę. Słuchaliśmy, ale nie byliśmy w stanie stwierdzić, co dokładnie się działo. Skradając się, posuwaliśmy się naprzód i stanęliśmy jak wryci na widok obrazka, który ukazał się naszym oczom. To była cała wioska przykryta blachą falistą w samym środku lasu. Zobaczyliśmy pół tuzina żołnierzy w amerykańskich mundurach kręcących się pośród beczek z benzyną i stosami granatów. Obok stały cztery ciężarówki, każda z przyczepą załadowaną po brzegi amunicją.

* Cholera jasna * powiedział Porta. * To magazyn broni!

* Co robimy? * wysyczałem.

* Zaczekamy i zobaczymy, co będzie dalej. Nie wiemy, ilu ich tam dokładnie jest.

* Jeśli tylko tych sześciu, to uważam, że powinniśmy od razu się z nimi spróbować * zachęcał Porta, zarzucając karabin na ramię.

* Mam to gdzieś, nawet jeśli jest ich sześćdziesięciu sześciu * odparł Mały, jak zwykle żądny krwi.

* Odlóż to natychmiast! * warknął Legionista, szarpiąc za ramię Małego, który już sięgał po rewolwer.

Jeden z Amerykanów odszedł od towarzyszy i skierował się w naszą stronę. Wydawało się, że nas nie zauważył i ewidentnie kierował się w stronę zarośli z dobrze sobie znanego powodu. Tuż obok mnie czułem, jak Legionista spina mięśnie, szykując się do ataku. Jankes nie miał nawet czasu, by krzyknąć, a Legionista już dusił go za szyję i wbijał nóż w plecy, popisując się umiejętnościami zdobytymi w Legii Cudzoziemskiej.

Pozostałych pięciu mężczyzn zajętych było ładowaniem beczek z benzyną na przyczepę jednej z ciężarówek. Stary skinął na nas głową. Cicho podkradliśmy się w ich kierunku, przeszliśmy skuleni przez przesmyk, z uwagą stawiając stopy, tak jak uczył nas Legionista. Jeden z Jankesów odwrócił się w naszą stronę w ostatniej chwili. Pozostałych zaskoczyliśmy całkowicie. Skoczyliśmy na nich jak stado panter i uciszaliśmy ich, zanim zdążyli się zorientować co się dzieje. Była to sztuka, którą z konieczności opanowaliśmy walcząc w Rosji.

Stary rozejrzał się i wskazał palcem na długi, niski budynek z gotowych elementów. Podkradliśmy się

pod niego i ostrożnie zajrzeliśmy przez okna. Wewnątrz, przy dwóch dużych stołach, siedzieli żołnierze, którzy jedli śniadanie. Na zewnątrz z całą pewnością krążyli wartownicy, którzy strzegli wejścia do budynku. Legionista i Mały poszli w przeciwnych kierunkach, by się nimi zająć. Reszta

z nas ponuro wyciągnęła granaty.

Seria wybuchów. Ludzie przy stołach wylecieli w powietrze i wylądowali z nosami we własnych menażkach. Zobaczyliśmy, że Legionista i Mały wpadają do środka przez drzwi po przeciwległej stronie, a od strony pryszniców nadbiegają kolejni Jankesi, w zaskoczeniu usiłując osłonić się ręcznikami. Seria z karabinu maszynowego Legionisty skosiła ich od razu, a na sygnał dany przez Starego wpadliśmy do środka przez okna.

* Dobra, wstrzymać ogień! Jak na mój gust wszędzie dookoła jest za dużo benzyny.

* Masz, rzuć okiem na to! * krzyknął Mały, który właśnie otworzył kolejne drzwi i odkrył za nimi kredens z zapasami żywności.

* Żarcie! * wrzasnął Porta, rzucając się na nie ochoczo.

Stary próbował go powstrzymać, ale było za późno. Mały odkorkował już pierwszą butelkę whisky, Porta zdążył już wbić bagnet w puszkę ananasów.

* Zostaw to w spokoju! * krzyknął Stary.

* Miej serce * odparł na to Gregor. * Nie widziałem tyle żarcia od czasu rozpoczęcia wojny.

Pośpiesznie dołączył do tych dwóch rebeliantów i wydał okrzyk radości.

* Szampan!

Tego naprawdę było za dużo. Wszyscy rzuciliśmy się w tamtym kierunku i pochwyciliśmy po butelce. Wkrótce podłoga pokryta była korkami dryfującymi żwawo w morzu szampana. W trakcie, gdy inni pili, Porta gorączkowo napychał spory garnek każdym jadalnym artykułem, jaki udało mu się znaleźć: puszkowaną wołowiną, pulpetami, ziemniakami, pomidorami, bekonem, jajkami i serem...

* Czemu nie urodziłem się Jankesem? * westchnął, mieszając z błogim wyrazem twarzy cały ten bajzel drewnianą łyżką.

Stary wydał pełen oburzenia okrzyk, ale Mały zdawał się w pełni popierać Portę. Zdjął z krzesła amerykańską bluzę od munduru i siłą się w nią wepchał, rozrywając ją przy tym w szwach. Korek od szampana trafił go w kark.

* Nie żyjesz, nie żyjesz! * zaśpiewał Heide, w pijackim widzie powracając do czasów, kiedy był dzieckiem.

Zachichotał głupkowato, kiedy Mały rzucił w niego pustą butelką. Wkrótce powietrze wypełniło się tego typu pociskami.

* Przestańcie się wydurniać i chodźcie coś zjeść! * wrzasnął Porta, przekrzykując hałas.

To było jak jakiś niesamowity bachusowy sen. Tyle tylko, że o dziwo była to najprawdziwsza prawda.

* Szkoda, że ominęło to starego wariata * wymamrotałem, mając na myśli ранego Barcelone, i niechcący połąłem sobie szampanem ucho, zamiast wlać go do ust.

* Ostrzegam was * powiedział poważnie Stary. * Nie wezmę odpowiedzialności za tę hulankę.

Sprzeciwiliście się moim rozkazom z bronią w rękę. * Beknął i usiłował to ukryć. * Ostrzegam was * powtórzył

* wszystko to zapisałem w swoim notatniku.

* To da się łatwo załatwić * powiedział Porta. Chwycił notatnik i szybko wrzucił go do garnka.

* Napij się jeszcze szampana, to cię odpręży.

Mały uśmiechał się promiennie do wszystkich dookoła. Twarz mu lśniła od tłuszczu i dobrej woli.

* Adolf nigdy nikomu nie urządził takiej uczty

* stwierdził. * Mam zamiar napisać do pana Eisenho* wera i poprosić go o przyjęcie mnie do jego bandy.

Zabawa trwała w najlepsze. Chcąc nie chcąc, dołączył do nas Stary. Heide odkrył beczkę koniaku i powoli wysączyliśmy go do ostatniej kropelki. Potem zaczęliśmy bawić się w różne gry. Głupie, dziecinne gry, którym towarzyszyło sporo histerycznego śmiechu i harców. Wdrapałem się na drzewo i udawałem, a nawet byłem przekonany, że jestem małpą. Jedyne orzechy, jakie miałem pod ręką, były to granaty, więc zasypałem nimi ziemię pod drzewem. Na skutek jakiegoś cudu nikt przy tym nie zginął. Mały i Porta podpalili beczkę z benzyną i zaczęli przeskakiwać nad płomieniami do czasu, aż Mały o mało co nie spalił się na popiół, kiedy klapnął zadkiem w samym środku.

Rzuciliśmy się do niego z gaśnicą i porządnie go spryskaliśmy, przez co wyglądał jak gigantyczny bałwan. Legionista, jak zwykle nieco na uboczu, z ponurą miną mieszał wszystkie możliwe alkohole: rum, koniak, whisky, brandy, wódkę i likier miętowy.

Gregor biegał w koło, szczekając jak pies i podstawiając wszystkim nogi.

Nagle spomiędzy drzew rozległ się dobrze nam znany głos. Bardzo wkurzony dobrze znany głos.

* Tym razem przekroczyliście wszelkie granice! Gdzie jest Feldwebel Beier?

Przerwaliśmy nasze harce i staliśmy z rozdziawionymi gębami, obserwując pojawienie się porucznika Lówego, ponurego jak gradowa chmura, a wraz z nim reszty przejętej kompanii.

* Gdzie on jest? * powtórzył ponurym głosem. Długie poszukiwania ujawniły, że Stary leży na wznak, chrapie jak świnia i trzyma po granacie w każdej z dłoni.

* Próbował nas powstrzymać * powiedziałem w poczuciu jakiejś niejasnej i zamroczonej lojalności wobec Starego. * Sprzeciwiliśmy się mu * sprzeciwiliśmy mu się otwarcie, z bronią w ręku.

* Wszystko to zapisał w swoim notatniku * dodał usłużnie Heide.

* A jego notatnik wylądował w garnku!

Gregor zanosił się śmiechem i znowu zaczął szczekać jak pies. Porucznik Lówe wrzasnął. Po prostu otworzył usta i wrzasnął. Niepotrzebne były żadne słowa.

* Ćiśśś... * ostrzegawczo szepnął Stary, wreszcie otwierając oczy. * Ściągniecie na nas nieprzyjaciela.

* Proszę spróbować specjalności Legii Cudzoziemskiej * zaproponował Mały.

Wyciągnął do niego szklanekę zawierającą miksturę o niewiadomym składzie. Lówe wytrącił mu ją niezgrabnie z dłoni i płyn wylał się porucznikowi na mundur.

* No i co pan najlepszego zrobił * powiedział Mały.

Z kieszeni wyciągnął brudną szmatę. Wychylił się, żeby wytrzeć mundur porucznika, zachwiał się po pi*jacku i wyciągnął obie ręce, by odzyskać równowagę. On i Lówe zwalili się na ziemię w uścisku dalekim od miłosnego. Lówe, trzeźwy, pierwszy odzyskał równowagę. Mały kurczowo uczeplił się jednej z jego nóg, próbując się w ten sposób podciągnąć na nogi, a Lówe kopnął go i odrzucił od siebie.

* Ale się wkurzył * zauważył Gregor z poważną miną. * Jest w złym humorze.

* Raczej ma paskudny temperament.

Mały podniósł się chwiejnie na nogi, znowu upadł na Lówego i ponownie pograżyli się w bezładnej płataninie rąk i nóg.

* Tylko na to spójrzcie! * powiedział z naganą Heide. * Oficer zniża się do wdawania się w burdę z jednym ze swoich podwładnych. Ciekawe, co miałby do powiedzenia o tym sąd wojenny.

Podczas gdy porucznik i Mały przewalali się po ziemi szczeni ramionami, reszta kompanii z głośnymi okrzykami zachwytu rzuciła się na to, co zostało z naszej uczty. Usłyszeliśmy znane i lubiane odgłosy korków wyskakujących z butelek szampana; rozpoznaliśmy dźwięk rozbijanych butelek, dobiegł do nas hałas wyciąganych sztuców. Było jasne, że nasi towarzysze za nic nie odpuściliby sobie uczestnictwa w imprezie. Zobaczyłem, jak jeden z nich

strzela do beczki z rumem, a potem chłepcze wyciekającą cieczą. Przez okno wyleciała puszcza wołowiny, a tuż za nią pusta butelka po wódce. Trzeci oddział obrzucał tych z czwartego jajkami. Prawie było mi żal porucznika Lówego, który bezradnie się temu wszystkiemu przyglądał. Wcale nie miałem mu za złe, że się na nas zdenerwował.

* Nie mam do pana pretensji * powiedziałem uprzejmie. * Znaczy się, o to, że się pan na nas wkurzył. Wiem, co pan czuje.

Spojrzał na mnie z czystą nienawiścią w oczach. Przyznaję, że trochę mnie to zaskoczyło, ale mimo to ciągnąłem dalej.

* Gdyby pan też trochę wypił, mógłby się pan dużo lepiej poczuć.

Lówe podniósł obie zaciśnięte pięści wysoko nad głowę.

* Będziecie za to wisieć! * powiedział. * Cała wasza banda będzie za to wisieć!

Gregor natychmiast podbiegł do najbliższego drzewa i zaczął zwisać z gałęzi, machając nogami i wydając małpie odgłosy. Mały zaczął go od razu obrzucać kamieniami, a ja, zazdroszcząc mu,

ponieważ jakby nie było zabawa z małpą była moim pomysłem, rzuciłem się na jego nogi i próbowałem go ściągnąć. Wkrótce wszyscy trzej przewalaliśmy się po ziemi, zapominając zupełnie o obecności porucznika Lówego.

To chyba Porta zadał nam ostateczny i unicestwiający cios w głowę. Z całą pewnością to on zaczął szaleć buldożerem i spowodował zawalenie się całej budowl. Usłyszałem, jak porucznik Lówe wrzeszczy coś z całych sił i udało mi się wyłapać słowa „grabież i rabunek”, a potem dobiegł mnie głos Porty ryczącego jak osioł i deklarującego, że obecnie jest żołnierzem armii USA i ma powody, żeby przypuszczać, że jesteśmy Szwabami, którzy napadli na obóz. Potem dostałem od kogoś w twarz z buta i straciłem przytomność. Odzyskałem ją dopiero, gdy ziemią wstrząsnęła eksplozja, a cały obóz stanął w płomieniach.

Zważywszy na fakt, że prawie dziewięćdziesiąt dziewięć procent kompanii było pijane do nieprzytomności, z pewnością dobrze świadczy o naszym przeszkoleniu wojskowym to, że nikt z nas nie stracił życia i nikt nie został ranny, nie licząc podbitych oczu czy połamanych zębów, które stanowią nieuniknione następstwo każdej popijawy.

* Niezła ta libacja * powiedział Mały, kiedy maszerowaliśmy z powrotem do bazy. * Kiedyś musimy to powtórzyć.

W siedzibie gestapo, mieszczącej się przy Alei Focha, komisarz Helmut Bernhard, oddział F//2A, przesłuchiwał dziennikarza Pierre'a Brossolette'a. Ten ostatni został aresztowany na plaży w Normandii, skąd próbował przedostać się do Anglii, a tam miał zamiar ujawnić plany powstania przeciw władzy w Paryżu. Helmut Bernhard był po prostu ostatnim z wielu przesłuchujących. Gestapo zdawało sobie doskonale sprawę z tego, że Brossolette miał zamiar dotrzeć do Anglii. Potrzebowali dowiedzieć się, kto z nim kolaborował i dążyli do tego celu z typową dla siebie staranną brutalnością.

Sam Bernhard był nieco bardziej subtelny, jeśli chodzi o metody, niż jego poprzednicy, a ponadto w chwili, kiedy Brossolette trafił w jego ręce, było oczywiste, że jakiegokolwiek tortury natury fizycznej zabiłyby dziennikarza, zanim ten na cokolwiek by im się przydał. Obie nogi połamano mu już w kilku miejscach tak, że mógł się jedynie wlec po ziemi przy pomocy rąk i łokci. Bernhard, oceniwszy więźnia wprawnym okiem, zdecydował, że sytuacja dojrzała do tego, by zastosować nieco bardziej wyrafinowane metody perswazji. Potraktowany we właściwy sposób, ten człowiek wkrótce da im to, czego chcą.

Niestety dla Bernharda, sam Brossolette również zdawał sobie sprawę z tego, że zbliża się do kresu swoich sił. W ostatnim odruchu buntu udało mu się rzucić przez okno z ostatniego piętra, kiedy uwaga pilnujących go strażników była skierowana na coś innego. Jego upadek przerwał w połowie drogi kamienny balkon. Gestapowcy pośpiesznie wybiegli na zewnątrz dokładnie w chwili, gdy odbiwszy się od balkonu dziennikarz spadł na ziemię pod nim. Zanim do niego dobiegli, już nie żył. Tej nocy w ramach odwetu zastrzelono ośmiu zakładników.

Rozdział 8

GENERAL VON CHOLTITZ SKŁADA WIZYTYĘ HIMMLEROWI

SS Reichsführer Heinrich Himmler zajmował wraz z personelem zamek znajdujący się niedaleko Salzburga. Wysocy i ponurzy żołnierze SS pełnili ścisłą wartę na całym terenie otaczającym zamek. Byli to ludzie ze specjalnej kompanii SS Himmlera, z fanatycznej 3. Pancерnej Dywizji Totenkopf * jedynej dywizji SS, która nosiła haftowane jedwabnymi nićmi czaszki na kołnierzykach. Jednostka ta istniała już od dziesięciu lat i w tym czasie zniknęło bez śladu czterech dowódców, którzy pokłócili się z Reichsführerem. Dywizja „T” otrzymywała rozkazy bezpośrednio od Himmlera, tylko i wyłącznie od Himmlera i nikomu innemu nie podlegała. Hitler nienawidził ich i nie ufał im za grosz.

Trzy duże pojazdy służbowe podjechały pod wejście do zamku. General dywizji piechoty wolno i z rozważą spinał się po schodach, na szczycie których czekał na niego SS Sturmbannführer,

któremu przekazał swoją aktówkę.

* Przykro mi z tego powodu, proszę pana * powiedział oficjalnym tonem żołnierz SS. * Nowe rozkazy obowiązują od dwudziestego lipca... Nawet sam Re*ichsmarschall musiałby przez to przejść!

* Może zechce pan odebrać mi również moją broń? * zasugerował cierpko generał.

* Nie, ją może pan zachować... Proszę za mną. Gość został odprowadzony do okazałego gabinetu należącego do Reichsführera, gdzie obaj mężczyźni zasalutowali, podporządkowując się rozkazom z dwudziestego lipca.

* Generał Dietrich von Choltitz * zaanonsował Sturmbannführer * przybył, by złożyć raport.

* Ach, tak * Himmler podniósł się z fotela i wyciągnął rękę do przybysza. * Proszę się czuć jak u siebie, generale. Miło mi pana poznać... Czy wolno mi pogratulować panu awansu? Od podpułkownika do generała w trzy lata! To naprawdę niezły wyczyn. Naprawdę niezły. Nawet nasi oficerowie SS nie pną się tak szybko po szczeblach kariery!

Generał von Choltitz uśmiechnął się blado, doceniając pochwałę Reichsführera. Himmler ujął go protekcjonalnie za ramię.

* A więc, proszę mi powiedzieć, jak się panu podoba w Paryżu? Radzi pan sobie z utrzymywaniem Francuzów na odpowiednich dla nich miejscach?

* Radzę sobie * powiedział ponuro von Choltitz.

* To trudne zadanie * Himmler pokiwał głową w geście wyrażającym zachętę, a potem wskazał palcem krzyż, który von Choltitz nosił pod szyją. * Pamiątka z Rotterdamu, jak mniemam?

* Pamiątka z Rotterdamu... zgadza się. Himmler zaśmiał się.

* Osiemnastego maja 1940!

* Ma pan niesamowitą pamięć, Reichsführer.

* Zgadza się. W mojej pracy to niezbędne. * Himmler odłączył się od generała i podszedł do biurka, które zavalone było plikami papierów oraz teczkami i folderami na przeróżne dokumenty. * Jak pan widzi, mam tu sporo okazji do ćwiczenia pamięci! Pracy przybywa z dnia na dzień. Jest tak od chwili, gdy zacząłem się zajmować sprawami wewnętrznymi... Otaczają nas wrogowie i zdrajcy! Wrogowie i zdrajcy! Jak pan to interpretuje?

Rzucił jakimś dokumentem w von Choltitza, który spokojnie go wziął i przeczytał do końca bez żadnych oznak towarzyszących temu emocji.

„W imieniu narodu niemieckiego, pani Elfriede Scholtz, z domu Remarque, oskarżona zostaje o następujące czyny:

Wyznawanie od wielu miesięcy defetystycznych poglądów, podżeganie do odsunięcia Fuhrera od władzy, głoszenie, że nasi żołnierze stanowią jedynie mięso armatnie, itp. Prowadzenie fanatycznej kampanii przeciwko Trzeciej Rzeszy. Osoba, która ją zadenuncjowała, niegdyś wynajmowała u niej pokój i twierdzi, że pani Scholtz nigdy nie wierzyła w ostateczne zwycięstwo i pogląd ten wygłaszała przy wielu okazjach. Pani Scholtz znajdowała się podobno pod ogromnym wpływem słynnej powieści napisanej przez jej brata, Ericha Marię Remarque'a, zaty tułowanej Na Zachodzie bez zmian. Niemniej jednak trudno uznać to za okoliczność łagodzącą, gdyż, jak wynika z jej zeznań, oskarżona nie widziała swojego brata od trzynastu lat”.

Generał von Choltitz cicho, bez jakiegokolwiek komentarza, wypowiedzianego na głos, lub choćby danego do zrozumienia, oddał pismo Reichsführerowi. Himmler rzucił je na biurko, wyraźnie rozwścieczony.

* Śmierć to właściwie za słaba kara dla tego typu ludzi!

Zaczął szukać na swoim biurku kolejnego przykładu, który mógłby pokazać generałowi, ale jego wzrok przyciągnął dokument opatrzony dopiskiem „Ścisłe tajne”, który podniósł marszcząc brwi i przejrzał pobieżnie. Był to spis wszystkich zegarków, bransoletek, wiecznych piór, okularów, pierścionków, chronometrów, które zostały „zebrane” w obozach dla deportowanych. Himmler odchrząknął, dokładnie złożył pismo na trzy części i schował je przed wzrokiem ciekawskich. Tego dokumentu nigdy nie pokaże von Choltitzowi, nawet jeśli jego awans z rangi podpułkownika stanowił przykład zawrotnej kariery. * Generale * nagle odwrócił się w jego kierunku * jak sam

Fuhrer powiedział panu w Wolfsschanze, jego życzeniem jest, żeby Paryż został zrównany z ziemią. Wezwałem pana tutaj, żeby dowiedzieć się, dlaczego jak dotąd ten rozkaz nie został wykonany... Moi agenci donoszą mi, że w Paryżu życie toczy się normalnym torem, jeśli nie liczyć kilku, jakby to po

wiedzieć, epizodów, które należy przypisać tak zwanemu ruchowi oporu.

Von Choltitz prawie niezauważalnie wzruszył ramionami.

* Reichsfuhrer, nie mam wystarczającej ilości ludzi, brakuje mi broni. Ciężka artyleria nadal do nas nie dotarła, nikt nie wie, gdzie się obecnie znajduje... Poza tym do tej pory nie otrzymałem dodatkowych jednostek, które mi obiecano.

* Dostanie pan wszystko, czego panu potrzeba * odparł wielkodusznie Himmler. * W tej chwili jestem w trakcie ponownego mobilizowania dwóch pułków wyposażonych w baterie artyleryjskie. Tor i Gamma są w drodze, wydałem też Modelowi rozkazy, by wysłał panu pułk czołgów ZBV * zapewniam pana, że to twarde sztuki! Zrobią dla pana wszystko, co im pan rozkaże, pojedą tam, gdzie ich pan wyśle... Polegam na panu, Choltitz, w stu procentach, a niewielu jest oficerów, o których mogę to powiedzieć. Mam nadzieję, że już wkrótce ujrzę pana w mundurze Obergruppenfuhrera SS!

Podczas kolacji von Choltitz został usadzony po prawej ręce Himmlera. Wspaniała srebrna zastawa przywieziona została z jakiegoś dworu w Rumunii, ale sam posiłek okazał się w porównaniu z nią dość spartański i miny wszystkich oficerów dość jasno dawały do zrozumienia, co myślą o owej kolacji. Sam Himmler decydował, którym z gości należy się dokładka. Olbrzymi generał kawalerii, któremu zezwolono na jedną, marną porcyjkę, zaczął pod nosem mamrotać o tym, że żałuje, iż oderwano go od rozkoszy własnego stołu, by doświadczył szczytowego, ale nieco mniej przyjemnego, posiłku w charakterze gościa Himmlera. Jakiś major wyciągnął z kieszeni cygaro i z lubością przesunął nim pod nosem, ale jedno ostre spojrzenie gospodarza wystarczyło, by zrozumiał, że lepiej będzie, jeśli je schowa. Himm*ler nienawidził tytoniu. W sąsiednim pokoju podano kawę. Po jednej filiżance dla każdego, ale tylko nieliczni dostąpili szczytu, jakim było otrzymanie kieliszka koniaku. Kiedy wstawali od stołu, Re*ichsfuhrer dał do zrozumienia, że chciałby zamienić kilka słów z generałem, którego zadanie polegało na likwidowaniu ruchu oporu w Jugosławii.

* Oberfuhrer Strauch, doszły mnie słuchy, że ostatnio ułaskawił pan grupę działaczy ruchu oporu. Coś takiego ma miejsce już drugi raz od momentu, gdy został pan mianowany na to stanowisko. Po raz drugi dał pan dowód niewybaczalnej słabości... Dlaczego?

* Reichsfuhrer, rzeczona grupa składała się z sześciu kobiet i dwóch dwunastoletnich chłopców...

* Mój drogi Strauch, doprawdy zapiera mi pan dech w piersiach! Sześć kobiet i dwóch dwunastolatków! A czy przypadkiem kobiety i dzieci nie są zdolne do aktów sabotażu tak samo jak dorośli mężczyźni? Zwłaszcza, gdy mają powody, by przypuszczać, że ujdzie im to na sucho? Naprawdę musi się pan wyzbyć tej absurdalnej wrażliwości! Nie obchodzi mnie kto, to jest, mężczyźni, kobiety, dzieci, zakonnice, księża, czy bobasy na rękach matek * jeśli odważą się podnieść przeciwko nam choćby jeden palec, macie im ukrócić łby! Zrozumiano?

Nastąpiła chwila ciszy.

* Ilu więźniów ma pan w Belgradzie? * spytał nagle Himmler.

Nieszczęsny Strauch spojrział na swoje stopy.

* Dwa tysiące dziewięciuset, Reichsfuhrer. * Jest pan w błędzie * powiedział sucho Himmler.

* Wydaje się, że wiem więcej o pańskich sprawach, niż pan sam... W Belgradzie przetrzymywanych jest obecnie w charakterze więźniów 3218 ludzi. Wasze sądy rozpatrują tylko pięćdziesiąt spraw dziennie. To nie dość dużo. Musi pan tę liczbę co najmniej podwoić.

Strauch otworzył już usta, by zaprotestować, ale Himmler nie dał mu dojść do głosu.

* Jeśli brakuje panu sędziów, proszę rekrutować tyłu, ilu panu trzeba! Jeśli nie da się inaczej, proszę ich wybrać spośród zwykłych ludzi... Przecież oni nie muszą mieć żadnych kwalifikacji, na miłość boską! Mój drogi Strauch, niech pan pamięta, że pewna doza surowości jest niezbędna, jeśli mamy wygrać tę wojnę. A my ją wygramy, bez wątpienia. Ale zanim to nastąpi stawką, jest nasze życie. Alianci nie okażą nam żadnej litości i wcale się z tym nie kryją. Proszę o tym pamiętać, kiedy

znowu zachce się panu mieć skrupuły wobec kobiet i dzieci!

Kiedy nieco później Himmler i von Choltitz wrócili do dużej sali konferencyjnej, szef służby uzbrojenia przyniósł mapę Paryża, którą rozłożył na stole przed nimi. Obaj mężczyźni pochylili się nad nią.

* Według moich ekspertów * powiedział Himmler * całe miasto można sparaliżować, wysadzając w powietrze mosty. Udało nam się dotrzeć do starego raportu, który donosi o różnych składach amunicji, ku naszemu zadowoleniu zapomnianych przez wszystkich. Odkryliśmy już kilka z nich i oczywiście przydadzą się nam do różnych celów, ale zanim podejmiemy jakiekolwiek działania, musimy zdławić ruch oporu... To nasz kluczowy cel, rozumie pan? Francuzi to nasi najwięksi wrogowie, tuż po Żydach. Tak jest od stuleci.

Himmler wyprostował się i stanął przy stole patrząc na von Choltitza.

* Jak pan zapewne wie, w Paryżu działają dwie organizacje ruchu oporu. Jedna jest komunistyczna, przewodzi jej idealista, który obnosi się z mundurem i odznaczeniami, do których nie ma żadnego prawa. Moi ludzie natknęli się na niego kilkakrotnie. Komuniści to zdecydowanie bardziej niebezpieczna z tych dwóch organizacji... Drugą dowodzi grupa intelektualistów, która twierdzi, że pracuje dla de Gaulle'a. Naszym zadaniem będzie nastawienie tych dwóch grup przeciwko sobie, niech się nawzajem wyniszczą i zaoszczędzą nam tym samym kłopotu. Zrozumiał mnie pan?

* Oczywiście.

* To dobrze... Właściwie to komunistów już prawie spotkał taki los. Nie cierpią intelektualistów i nie będzie ich trzeba specjalnie namawiać do wykonania naszej roboty. Będziemy się nimi posługiwać, dopóki nam się na coś przydadzą, a potem się ich pozbedziemy.

* Jakie jednostki dostanę do dyspozycji? * spytał bezpośrednio von Choltitz.

Himmler spojrzał na niego z uwagą.

*Ach tak... pańskie jednostki... Dam wam 19. Dywizję Pancerną SS Letland i 20. Dywizję Pancerną SS Estland. Obie w tej chwili przebywają w Danii. Oprócz nich może pan dostać dwa pułki Feldgendarmerie z Polski i 35. Dywizję Grenadierów Policyjnych SS... Moi eksperci obliczyli, że zaminowanie miasta powinno wam zająć jakieś dwanaście dni. W tym celu pozwolę wam skorzystać z 912. Saperów i 27. Pancernej ZBY Jak to się panu podoba?

* Przyznaję, że bardzo, Reichsfuhrer... o ile rzeczywiście przybędą. Jeśli nie, to z przykrością twierdzą, że moje zadanie będzie niemożliwe do wykonania.

* Generale von Choltitz, proszę mi tu nie opowiadać o rzeczach niemożliwych! Już dwukrotnie w trakcie trwania tej wojny udało wam się dokonać niemożliwego * w Rotterdamie i w Sewastopolu. To, czego dokonał pan wcześniej, może pan zrobić raz jeszcze. Proszę pamiętać, że polegam na panu w stu procentach.

Von Choltitz odwrócił się i dyskretnie wsunął do ust tabletkę uspokajającą. Jego przeszłe dokonania ciążyły mu, jak kamienie u szyi. Mógł się łatwo domyśleć, że jeśli ktokolwiek będzie się musiał obejść bez ludzi, to padnie na niego. W końcu każdy będzie uważał, że dowiódł już, że potrafi zdziałać cuda, a to czego dokonał raz, może zawsze powtórzyć.

W maju 1940 von Choltitz był podpułkownikiem dowodzącym 3. Batalionem 16. Pułku Piechoty, walczącym wraz z samolotami transportowymi JU

52 na bagiennych terenach Holandii. Przejmował dowodzenie nad różnymi jednostkami 2. Dywizji Luftland i zaczął walkę w rejonie Woolhaven * Rot*terdam. Natychmiast zajęto drogi i mosty kolejowe prowadzące do Rotterdamu, chociaż przyplacono to stratami w ludziach: każdy zdobyty metr terenu kosztował ich morze krwi. Zginęło sześćdziesiąt siedem procent oficerów. Kiedy po pięciu dniach ciężkich walk bitwa w końcu dobiegła końca, okazało się, że straty sięgnęły siedemdziesięciu pięciu procent dywizji. Holendrzy musieli być w podobnej sytuacji, albo może i gorszej, ale generał Lehmann uporczywie odrzucał myśl o kapitulacji. Dostał trzy godziny na to, by poddać się bezwarunkowo i kiedy czas ten upłynął, a nie nadeszła żadna odpowiedź na jego propozycję, von Choltitz wiedział, że nie zostało już nic innego, jak tylko zbombardować Rotterdam.

Na miasto zrzucono dwa tysiące czterysta bomb burzących i zapalających. Życie straciło trzydzieści tysięcy obywateli. Bombardowanie dobiegło końca dokładnie o 15.05 i tuż po jego zakończeniu z

płonących ruin wybiegły niedobitki holenderskiej armii z bagnetami zatkniętymi na broń, niedobitki które chciały zemścić się na wrogu za zbombardowanie ich miasta. Był to odwet o tyle wspaniały, co nieoczekiwany; nagły wybuch heroizmu w wykonaniu nie jednego, ale setek żołnierzy. Niemcy byli całkowicie zaskoczeni. Młody holenderski porucznik, śmiertelnie ranny, zdołał wykończyć całą grupę bojową, zanim sam padł martwy. Chłopiec co najwyżej osiemnastoletni siał wokół postrach szalejąc z miotaczem

ognia i wzbudził panikę wśród żołnierzy z co najmniej dwukrotnie dłuższym stażem wojennym. Ze zbombardowanych ulic zaczęły wyjeżdżać mroczne kolosy holenderskich czołgów, które majestatycznie przemierzały gruzowisko. Niemcy wpadli w panikę. Załamali się i wycofali i właśnie wtedy podpułkownik von Choltitz, pozbawiony wszystkich swoich oficerów i połowy żołnierzy, rzucił się ochoczo w samo serce tego chaosu, aby odbudować morale wojska. Ludzie, których wcześniej ogarnęła panika, znów włączyli się do bitwy. Innym wiarę w zwycięstwo przywrócił sam widok oficera. Von Choltitz własnymi rękami pomógł rozstawić karabin maszynowy i został przy nim, aż uzyskał pewność, że żołnierzy jest dość, by go obsługiwać; potem pośpiesznie udał się do innej dzielnicy, by znowu kogoś wspomóc. Posuwał się do przodu metr po metrze, ciągnąc za sobą swoich żołnierzy. Widziano, jak samodzielnie zlikwidował gniazdo karabinów maszynowych nieprzyjaciela obrzuciwszy je deszczem granatów, a tak długo jak tam był, jego ludzie nie mogli zdezerterować, wstydząc się takich zapędów.

Dokładnie dwie godziny po zakończeniu bombardowania generał Lehmann poddał się „by uniknąć dalszych nadmiernych strat w ludziach”. O 17.00, za pośrednictwem radia, do armii dotarł rozkaz wstrzymania ognia i to właśnie w tym momencie holenderski pułkownik Scharroo stanął się przed podpułkownikiem von Choltitzem w jego tymczasowej kwaterze głównej w Willemsbrucke. Von Choltitz był zdystansowany i niedostępny. Kiedy po jakichś pięciu minutach rozmowy pułkownik Scharroo wyciągnął do niego dłoń, Niemiec nie uściśnął jej. Jego zdaniem oficer, który się poddał, nie był godzien, by nadal mienić się oficerem.

Von Choltitz wkroczył na czele swoich triumfujących żołnierzy do Rotterdamu i przyjął bezwarunkową kapitulację miasta. Był pierwszym niemieckim gubernatorem Rotterdamu i bardzo surowym administratorem. W dniu 18 maja 1940 roku odebrał Żelazny Krzyż z rąk samego Fuhrera.

Przed tym zwycięskim oficerem leżało jeszcze sporo pilnych zadań i do nich wszystkich podszedł z właściwym dla niego chłodnym, niewzruszonym spokojem. W pierwszych szeregach 2. Dywizji Piechoty, jego dawnego pułku z Oldenbourg, szturmował Krym i został zatrzymany dopiero przez budzące groźbę działa Sewastopola. Ale Fuhrer znał swojego człowieka. Zdobywca Rotterdamu otrzymał środki, dzięki którym mógł zostać również zdobywcą Sewastopola: moździerz Thor o średnicy 600 mm ważący ponad 140 ton; 430 mm Gammę ważącą 120 ton i całą baterię dział 800 mm typu Dora ważących 55 ton.

Jeszcze zanim bitwa się zaczęła, Hitler wyjął jedną z malutkich czerwonych flag z mapy wiszącej w jego gabinecie, oznajmiając tym samym całemu światu, że von Choltitz tak naprawdę zdobył już miejsce uznawane za najpotężniejszą fortecę świata. Von Choltitz oczywiście nie zawiódł jego oczekiwań. Zarówno miasto, jak i forteca poddały się mu po bombardowaniu, które nie miało sobie równych w całej historii sztuki wojennej.

Von Choltitz otrzymał osobiste podziękowanie od Fuhrera, a niemieckie radio w dzień i w nocy przypominało wdzięcznym współobywatelom jego nazwisko. Himmler zaproponował mu wysokie stanowisko w SS, ale von Choltitz był typowym Prusakim i wolał armię. Himmler skrył swój gniew za czarującym uśmiechem wyrażającym żal, a von Choltitz wystrzelił jak kometa, prześcigając nawet Rommla w jego pochodzie do sławy.

Himmler odwrócił się tyłem do mapy Paryża i zwrócił twarzą do von Choltitza. W przeciwieństwie do swojego gościa nie był uzbrojony, ale nie obawiał się, że generał nagle dostanie szału i przypuści atak na jego osobę. Jak by nie było, generał był kimś na kształt narodowego bohatera. Himmler wziął do ręki swój koniak i stał spokojnie, delektując się zapachami emanującymi z kieliszka umieszczonego pod nosem. Zamknięte bezpiecznie w jego biurku leżały już papiery, które zatwierdzały promocję generała do rangi Obergruppenfuhrera Waffen SS. Miała to być nagroda za

całkowite unicestwienie Paryża i tym razem nie mogło być żadnych wymówek o preferencjach odnośnie zostania w armii.

* Von Choltitz * powiedział Himmler, powoli zwracając się w jego stronę * mam nadzieję, że nie ma pan wątpliwości, co do naszego ostatecznego zwycięstwa? Jeśli tak jest, to zapewniam was, że są to wątpliwości całkowicie bezpodstawne. Potrzeba nam jeszcze tylko dwóch lat. Wytrzymajmy tylko przez ten czas * a wie pan równie dobrze jak ja, że jesteśmy w stanie tego dokonać * a wtedy przysię

gam, że zwycięstwo będzie nasze... Ostatni wyczyn Aliantów, ta cała inwazja na Normandię... * prychnął pogardliwie. * Ostatnie podrygi umierającego! Niech mi pan wierzy, Choltitz, naprawdę musieli wyskrobać resztki swoich zasobów, żeby wyciąć ten numer. Musimy im się tylko przeciwstawić, a wtedy nie będą po prostu mieli żadnych środków, żeby nas powstrzymać. Zużyli wszystkie swoje środki, postawili wszystko na jedną kartę, licząc na to, że się załamamy * czego oczywiście nie zrobimy. Ale w międzyczasie, generale, póki trwamy, musimy być twardzi; musimy być brutalni. W razie konieczności musimy nawet być nieludczy... zniszczenie Paryża będzie demonstracją naszej siły, a tym samym psychologicznym ciosem, po którym wróg się już nie podniesie... Nadażę pan za mną?

Generał von Choltitz wziął głęboki, powolny wdech zanim udzielił odpowiedzi.

* Reichsfuhrer, jestem zmuszony zauważyć, że Paryż to nie Rotterdam... Paryż to nie Sewastopol. Cały świat zwróci się przeciw nam, jeśli go zniszczymy * a Bóg jeden wie, co się z nami stanie, jeśli przegramy wojnę!

Mroczny uśmiech rozkoszy zawiał na twarzy Himmlera.

* Neron zajmował się bzdurami, kiedy płonął Rzym. A cały świat nadal o tym mówi... Pewnego dnia, drogi generale, świat będzie rozprawiał o panu i o mnie. I za tysiąc lat nadal będą nas wspominać. Przewyższyliśmy Cezara i Attylę! A jeśli, wbrew moim przewidywaniom, przegramy bitwę * to przynajmniej

przegramy ją w blasku sławy. * Odchylił głowę i wydał z siebie głośny, radosny chichot. * Świat zatręsie się w posiadach na sam dźwięk naszych nazwisk! Himmler i Choltitz! Dzieci będą płakać, a kobiety wrzeszczeć, nawet najsilniejsi mężczyźni nie będą w stanie zapanować nad bladeścią, którą te nazwiska wywołają na ich twarzach.

Głos Himmlera rozbrzmiewał olbrzymią dawką emocji związanych z oczekiwanym zwycięstwem.

Von Choltitz zażył kolejną tabletkę uspokajającą i dwoma palcami poluzował sobie pruski kołnierzyk. Odważnie przerwał Reichsfuhrerowi.

* A co będzie, jeśli dywizje pancerne Pattona dotrą do Paryża, zanim zdołam zniszczyć miasto?

* A, ma pan na myśli swoją rodzinę! Wiedziałem, że coś was trapi! * Himmler wyciągnął dłoń w przyjaznym geście i chwycił von Choltitza pod łokciem. * Proszę się nie obawiać o ich bezpieczeństwo, osobiście dopilnuję, by nic im się nie stało. Niech pan będzie w kontakcie z Modelem i Hausserem. Von Rundstedtem proszę sobie nie zawracać głowy. Zachowuje się jak stara baba; może pan o nim zapomnieć. A jeśli chodzi o Speidela, to jest on już jedną nogą w Gemersheim*. (więzienie wojskowe w Koblencji)

* W Gemersheim? Generał Speidel?

Von Choltitz podniósł głowę w odruchu nagłego zdumienia, a Himmler obdarzył go tajemniczym uśmiechem.

* Moi agenci są jak najbardziej na bieżąco. Zapewniam pana... Uderzymy, gdy sytuacja do tego dojrzeje.

* Ale przecież Speidel! ...

Himmler uśmiechnął się. Von Choltitz bezwiednie wyciągnął i zapalił papierosa, a dym, tak zniechęcony przez Himmlera, owionął twarz Reichsfuhrera.

* Może pan na mnie oczywiście polegać * powiedział von Choltitz. * Zniszczenie Paryża nastąpi, gdy tylko otrzymam ludzi i broń, które mi obiecano, ale na chwilę obecną nie mam nawet wystarczających sił, by bronić Hotelu Meurice... Powiedziano mi, że mogę dostać pułk ciężkich czołgów. Problem polega na tym, że nie zostało im już nawet tyle czołgów, by przydzielić po jednym do każdej kompanii. Dokładna liczba to zdaje się siedem Panter, w okropnym stanie,

właściwie niezdolnych do wzięcia udziału w aktywnej walce, oraz kilka Tygrysów. Oprócz tego dysponują amunicją, która wystarczyłaby na dwadzieścia minut walki. W chwili obecnej załogi czołgów włączają się po kraju pieszo, z karabinami przewieszonymi przez ramię... Nie chciałbym skończyć w Gemersheim lub zostać powieszonym w Plótenzee jak zwykły przestępca, ale proszę zrozumieć, Reichsführer, że

o ile nie uzyskam koniecznego wsparcia w ludziach

i broni, naprawdę nie mogę zagwarantować, że będę w stanie w pełni wykonać rozkazy.

Himmler poważnie kiwnął głową, jedną ręką zasłaniając usta przed dymem papierosowym.

* Dostanie pan wszystko, co niezbędne * powiedział. * A teraz wróćmy do mapy i zobaczymy dokładnie, co ma zostać zniszczone.

W całej Trzeciej Rzeszy rozdzwoniły się telefony. W Jutlandii, gdzie stacjonowała 19. Dywizja Grenadierów

Pancernych Letland, telefony wzywały ją do, ponownej mobilizacji. Setki ciężkich pojazdów opuszczały obozy wojskowe w Boris. W Flensburg i Neumiinster zaczęto gromadzić sześćset pojazdów opancerzonych o różnym wyglądzie. Saperzy w przeciągu doby budowali prowizoryczne drogi. Zmartwieni dowódcy nekali swoich ludzi, by ich zmobilizować. Bez żadnego ostrzeżenia padł rozkaz wymarszu dywizji pancernych, na skutek czego powstał gigantyczny zator.

Jutlandia zmieniła się w jeden wielki obóz wojskowy

W samym środku tego

chaosu 20. Dywizja Grenadierów Pancernych Estland, która dopiero co została skierowana do Jutlandii, otrzymała rozkaz zawrócenia. Obergruppenführer Wengler od razu zaprezentował całkiem udaną imitację kogoś, kto ma właśnie atak epilepsji. Jego żołnierze z podziwem obserwowali jego wybryki i czekali z pewną niecierpliwością na inwektywy, które z całą pewnością miały po nich nastąpić.

* Co za karłowaty kretyn to wymyślił?! * wrzeszczał Wengler w deszczową i szarą noc. * Jak, do jasnej cholery, mam niby zawrócić na tych dziadowskich drogach?

* Nie wiem jak, ale jeśli chodzi o to * odparł śmiejąc się oficer łącznikowy siedzący na swoim ciężkim motocyklu, z czarną czapką ociekającą kroplami deszczu * kim był twój karłowaty kretyn, to wiem, że nikim innym jak samym Reichsführerem.

Wengler zaklął i splunął, a potem znów zaklął, gdy oficer łącznikowy odjechał błotnistą drogą, przy skajając spod kół czarnymi drobinkami.

* Dobra! Rozkazy do wszystkich dowodzących: kierujemy się z powrotem w stronę Neumiinster. Dokładny cel podróży jeszcze nieznan. I niech wam na tym nie zejdzie cały cholerny dzień!

Oficerowie natychmiast rozpierzchli się we wszystkie strony, wydając rozkazy. Wengler przyglądał się temu z niezadowoloną miną. Był jednym z najtwardszych dowódców dywizji pancernych i nie miał cierpliwości do wszelkich sytuacji, które odciągały go od walki na pierwszej linii.

Dosłownie na jego oczach kolumna wojsk przemieniła się z zaskakującą prędkością w obraz całkowitego chaosu. Pojazdy zawracały na oślep, wjeżdżając w siebie nawzajem, w rowy, w drzewa, w płoty. Kilka czołgów oczywiście zepsuło się i obecnie blokowały drogę. Wszędzie dookoła ludzie krzyczeli i przeklinali. Ktoś wypowiedział słowo „sabotaż” i idea ta utkwiała w głowach większości jako udowodniony fakt.

Powoli, bardzo powoli i bardzo niepewnie, olbrzymia kolumna zaczęła sunąć w kierunku południa.

Zanim sprawy przybrały nieodwracalnie zły obrót, pojazdy na jej czele zdążyły dotrzeć do skrzyżowania dróg Hadersley i Tender. Niewinny Oberstabszahlmeister zbliżył się do nich ze swoimi kolumnami zaopatrzeniowymi, udającymi się do baterii ciężkiej artylerii na wybrzeżu. Jego małe pojazdy cudem uniknęły czołowego zderzenia z czołgiem. Samochód wyminął go, niebezpiecznie manewrując, ale czołg wpadł na ten jadący obok niego i rozległ się paskudny zgrzyt i dźwięk miażdżenia gąsienic, hałas metalu ścierającego się z metalem, a potem oba czołgi znieruchomiały. Okrzyki głoszące teorię sabotażu, które nigdy tak naprawdę nie ucichły, teraz rozbrzmiały z nową siłą i przybrały formę zbiorowej hysterii, która doprowadziła do tego, że nieszczęsny Oberstabszahlmeister został wyciągnięty ze swojego samochodu, ustawiony pod drzewem i w trybie natychmiastowym rozstrzelany. Było prawie pewne, że biedak po prostu zgubił się, ale nawet jeśli, to zapłacił za ten błąd bardzo wysoką cenę. Kolumny zaopatrzeniowe nigdy nie

dotarły do baterii na wybrzeżu. Zamiast tego zostały odesłane do dywizji piechoty przetrzymywanej w Fionii, a kilka tygodni później okazało się, że pociski o średnicy 210 mm nijak nie pasują do 105 mm dział polowych. I odwrotnie, baterie artylerii na przybrzeżnych klifach były wielce rozbawione, gdy ich 210 mm działa zaczęły wypływać 105 mm pociski.

* Sabotaż! * wołali oficerowie sztabowi.

* To znowu sprawa tego cholernego ruchu oporu! * wrzeszczał bliski apopleksji pułkownik. Dla zachowania fasonu rozstrzelano kilku nędznych zakładników. W końcu ktoś musiał za to zapłacić.

Świtało już, gdy pierwsze pojazdy z 20. Dywizji Pancernej wjechały do Neumiinster. Wiedzieli już, że celem ich wyprawy jest Paryż i że sprawa należy do kategorii o najwyższej pilności. Dlatego też było dla nich niemałym zaskoczeniem, gdy po dojechaniu do Neumiinster okazało się, że jedynymi

środkami transportu, które na nich czekały, to dwanaście wiekowych francuskich wagonów towarowych.

Drogi na wiele kilometrów były zablokowane przez 19. Dywizję Pancerną, która również zmierzała do Neu*miinster. A ze wschodu w ogromnej sile nadciągała 233. Dywizja Pancerna. Każda droga w Jutlandii była zaklinowana i aż roiła się od czołgów, żołnierzy i samochodów opancerzonych.

Wszyscy kierowali się w stronę Neumiinster, wszystkich potrzebowano w Paryżu, a zabrać ich tam miał tuzin francuskich wagonów towarowych.

* Sabotaż! * wrzeszczeli rozwścieczeni kurierzy Reichsführera.

Stracono kolejnych jeńców. Rozstrzelano ludzi odpowiedzialnych za zarządzanie stacją kolejową w Neumiinster. Reichsführer na jakiś czas dał się przebłagać, ale mimo to problem trwał nadal. Dwie dywizje pancerne, 14000 pojazdów i ich załogi, utknęły w Jutlandii, mając do dyspozycji tylko dwanaście wagonów towarowych!

Przez trzy tygodnie dwunastolatek skazany na śmierć był przetrzymywany w więzieniu w Fresnes, gdzie czekał na wykonanie wyroku. Zbrodnią, która spowodowała, że tam się znalazł, mogła być po prostu dziecięca psota. Z drugiej jednak strony równie dobrze mógł to być zaplanowany akt oporu wymierzony w nieprzyjaciela. Niemcy oczywiście woleli wierzyć w tę drugą wersję. Chłopiec skradł niemieckiemu oficerowi rewolwer na rogu bulwaru Saint*Michael i Place de la Sorbonne i miał za to zapłacić śmiercią.

Oszałała z rozpaczy matka chłopca próbowała wszelkich sposobów, by wyrok został uchylony i wreszcie dotarła do przedstawiciela najwyższej władzy * generała von Choltitza. Oczywiście jej samej nie pozwolono przeszkadzać generałowi. Oficer łącznikowy, doktor Schwanz, przedstawił całą sprawę w jej imieniu. Jak można było przypuszczać, nie na wiele się to zdało.

* Czemu pan do mnie przychodzi z takimi banalnymi sprawami?! * krzyknął zdobywca Rotterdamu i Sewastopola, gniewnie rzucając dokumentację sprawy z powrotem na biurko. * Są odpowiednie procedury, które obejmują tego typu przypadki, proszę z nich korzystać! Skoro chłopak został skazany na śmierć, chyba są ku temu dobre podstawy?! Tak czy inaczej, mam do załatwienia o wiele bardziej istotne kwestie, którymi muszę się zająć. Proszę to zabrać i nie marnować mojego czasu.

Nie było już nikogo innego, do kogo owa kobieta mogłaby się zwrócić i nazajutrz dwunastoletnie dziecko zginęło z rąk plutonu egzekucyjnego w Vincennes. Z jakiej niby racji człowiek o pozycji generała von Choltitza miałby zawracać sobie głowę losem zwykłego dziecka? To nie przydałoby mu ani sławy, ani chwały. Przyszłe pokolenia nie pamiętałyby generała, który ocalił dziecko od plutonu egzekucyjnego. Będą natomiast pamiętać generała, który zniszczył jedno z najpiękniejszych miast świata...

Rozdział 9

CZY PARYŻ MOŻNA URATOWAĆ?

Generał von Choltitz wrócił do Paryża. Miasto było ciemne i ponure; pod gładką powierzchnią życia czaiło się poczucie nadchodzącego zagrożenia. Liczba przypadków dezercji z armii

niemieckiej była katastrofalnie wysoka. Automatycznie wzrosła zatem też liczba stosowanych środków odwetowych. Tylko jednego wieczora przed plutonem egzekucyjnym ustawiono ponad czterdzieści osób podejrzanych o współpracę z ruchem oporu. Na pierwszy odstrzał poszli komuniści.

Pewnego ranka o świcie przed oblicze von Chol*titza stawili się dwaj oficerowie walczący na pierwszych liniach frontu. Jeden z nich był generałem dywizji, noszącym czarną przepaskę na oku i czarny mundur korpusu pancernego; drugim był młody kapitan z oddziału saperów i ekspert w zakładaniu min. Obaj mężczyźni byli specjalistami w sztuce zniszczenia. W chwili, kiedy weszli do gabinetu generała, na drzwiach pokoju wywieszono tabliczkę: WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. Za tymi

drzwiami decydowały się losy Paryża.

W tym samym czasie, co owo tajne spotkanie, w apartamencie przy alei Victora Hugo odbywało się spotkanie jeszcze bardziej utajnione, w którym udział brali niejaki Hauptmann Bauer, oficer w służbie admirała Canarisa, i dyplomata, który posługiwał się pseudonimem „Farin”. Hauptmann Bauer przedstawiał dyplomacie faktyczny stan rzeczy albo faktyczny albo taki w jaki go postrzegał, a ten słuchał go z ogromnym zainteresowaniem.

* Panie Farin * stwierdził oficer mówiąc szybko bardzo niskim głosem * całe miasto pójdzie z dymem i zmieni się w ruinę, o ile nie stanie się coś niespodziewanego, co mogłoby położyć temu kres. Musi pan koniecznie zobaczyć się z von Choltitzem zanim będzie za późno.

Dyplomata dyskretnie otarł kilka maleńkich kropel potu z czoła. Pochłonął dwa kieliszki koniaku zanim udzielił odpowiedzi.

* Kim jest ten generał von Choltitz? Skąd on się wziął? Czemu nigdy wcześniej o nim nie słyszałem?

* Słyszał pan o nim, tylko nie zapamiętał jego nazwiska. Słyszał pan o Rotterdamie, jak mniemam? O Sewastopolu też? No cóż * Hauptmann Bauer skinął ponuro głową * to właśnie była robota generała von Choltitza.

* To znaczy, że...

* To znaczy, że ten człowiek jest już doświadczony w sztuce zniszczenia! A jak pan sądzi, czemu to właśnie jemu przydzielono to zadanie? To ten sam typ, co GeneralFeldmarschall Model * ślepe posłu

szeństwo, bez względu na okoliczności. Jakby mu dać siekierę i kazać odciąć sobie prawą rękę, to by to zrobił, o ile wydający rozkaz byłby wyższy od niego rangą.

Dyplomata kilkakrotnie odchrząknął.

* Co, hmm, co mają o tym wszystkim do powiedzenia na Bendlerstrasse?

* Przeważnie nic.

* A więc dlaczego... dlaczego my, czemu pan?... Oczy Hauptmanna rozbłysły zza ciemnych okularów.

* Jedyne powód, dla którego nic nie mówią, jest taki, że tych kilka osób, które tam jeszcze zostały za bardzo się boi w ogóle otworzyć usta! A innych już... nie ma.

* Nie ma? A gdzie się podziiali?

* Trafili tam, gdzie pana i mnie też wysła, jeśli nie będziemy ostrożni * do Plótenzee.

Dyplomata otworzył usta.

* Zostali powieszani? * zapytał ochrypłym głosem.

* Oczywiście, że zostali powieszani! Panie Farin, proszę posłuchać i powiedzieć mi, co pan o tym myśli: do Paryża dotarł właśnie nowy pułk pancerny. Stacjonuje w koszarach na Prinz*Eugen w Wersalu. Ich dowódca jest typowym przykładem ludzi, z którymi będziemy mieć do czynienia * generał dywizji, dwukrotnie zdegradowany, stojący na czele najtwardszej jednostki pancernej na świecie. I mówię to z pełnym przekonaniem. Mogę pana zapewnić, że gdyby do Berlina dotarła wiadomość, że nadciągają,

admirał Canaris wyleciałby tak szybko, że nawet byśmy tego nie zauważyli. I nie zatrzymałby się nawet, żeby zabrać swoją babcię...

* A zatem co pan sugeruje? * spytał nerwowo dyplomata. * I co ja mogę w tej kwestii zrobić? A tak

w ogóle, to czemu ich tu ściągają?

Bauer przygarbił się.

* Czy jest coś bardziej niszczycielskiego niż czołg? A zwłaszcza czołg z 27. ZBV.. Powiem panu coś jeszcze na ich temat. Pułk składa się z sześciu batalionów podlegających generałowi dywizji Mercedesa. On sam, jak już wyjaśniałem, miał w swojej karierze dwa razy okazję zostać zdegradowanym. Wszyscy żołnierze, którymi dowodzi od czasu, gdy trafili do armii, co najmniej raz wylądowali w więzieniu. Gwałt, rabunek, rozboje, sodomia * cokolwiek pan wymieni, oni mają to na sumieniu. Stanowią, najdelikatniej to ujmując, bandę niezdiscyplinowanych chuliganów... Może pan sobie wyobrazić do czego by doszło, gdyby wypuścić ich na ulice Paryża?

*Tak.

* Absolutna masakra...

* Zgadza się.

Farin wolno podszedł do okna z kolejnym kieliszkiem koniaku w dłoni. Przez chwilę tam stał, w ciszy patrząc na ulicę.

* Krwawa łaźnia * powiedział w końcu. * Ma pan oczywiście rację. Należy podjąć odpowiednie kroki, żeby temu zapobiec.

* Cieszy mnie, że się zgadzamy.

* A gdyby tak... * Farin zawahał się. * A gdyby tak

zorganizować barykady policyjne? Proszę spojrzeć, Hauptmann Bauer * wskazał za okno, przez które widać było sierżanta patrolującego ulicę. * Obrona Paryża... a właściwie czemu nie? Policja wsparta ludźmi z ruchu oporu... dałoby się to załatwić.

* Jestem przekonany, że dałoby się to załatwić, panie Farin. Ale z drugiej strony obawiam się, że Hitlerowi byłoby to bardzo na rękę. Przypadkiem wiem, że właśnie w tej chwili batalion z brygady Dirlewanger zmierza w stronę Paryża. Każdy żołnierz tej jednostki jest ułaskawionym przestępcą * ułaskawionym bynajmniej nie dlatego, że w jego sprawie wyszły na jaw nowe fakty, ale dlatego, że Fuhrer nagle uznał, że nawet przestępcy mogą się na coś przydać. Z tego co wiem, wysłano ich tu, by natychmiast sprowokowali zajścia, o których już pan wspominał. * Bauer z zalem pokręcił głową. * Policja i ruch oporu... To kusząca wizja, ale jak długo byliby w stanie stawiać czoła potędze niemieckiej armii? Na ile oporu byłoby ich stać? Obawiam się, że niezbyt wiele. Niezbyt wiele.

* A więc co pan sugeruje, panie Hauptmann?

* Według mnie mamy do wyboru tylko dwa wyjścia. Jedno polega na tym, by tak długo jak to możliwe powstrzymywać sprzęt i żołnierzy, na których czeka von Choltitz; drugie natomiast * na jak najszybszym ściągnięciu do Paryża amerykańskich dywizji.

Farin westchnął.

* Zaczynam żałować, że nie jestem teraz w Londynie.

* Wierzę panu * zgodził się Bauer ze śmiechem.

* Paryż nie jest najwygodniejszym miejscem na świecie, prawda? Ale niech pan pamięta, że Niemcy to też nie raj. Admirał spalił już wszystkie swoje dokumenty. A wie pan, kto został Oberbefehlshaberem na Zachodzie? GeneralFeldmarschall Walter Model! Ten sam! A to jest człowiek, który na kilometr potrafi wywęszyć zdradę. Według mnie nawet sam Hitler za nim nie przepada.

* Ten człowiek to dzikie bydło * powiedział Fa*rin głosem pełnym emocji. * Oczywiście słyszał pan historię szampana Rundstedta? Szpiegdy Modela odkryli, że przechowuje sześćdziesiąt skrzynek szampana w piwnicy. Pięć minut po tym * niech pan tylko pomyśli, pięć minut! * cała zawartość skrzynek została wylana do ścieków. Co za strata! I jaka niepotrzebna!

* Krążą słuchy, że facet śpi z egzemplarzem „Mein Kampf” pod poduszką. Ja tam w to wierzę. On i von Choltitz to nie żołnierze, tylko maszyny wojenne.

Dwaj spiskowcy stali przez chwilę zatopieni w rozmyśleniach, a potem dyplomata dopił wreszcie swój koniak i podniósł płaszcz i aktówkę z wyrazem determinacji na twarzy.

* Musimy sprawdzić, co da się zrobić. Paryż należy ocalić za wszelką cenę. Natychmiast spotkam się z von Choltitzem i spróbuję ocenić, jakie mamy z nim szanse. Byłoby doskonale, gdybyśmy

znalezli na niego jakiś hak * zdobyli przewagę * coś, co mogłoby zainteresować kolegę Modela.

* Wątpię, czy nam się to kiedykolwiek uda. Ten człowiek to chodzący ideał. Tak czy inaczej życzę panu szczęścia. * Bauer wyciągnął dłoń, którą tamten mocno ścisnął. * Będę się z panem oczywiście kontaktował przy pomocy tych samych kanałów, co zwykle. Oczywiście pod warunkiem, że nadal będę w okolicy.

* Będę zawsze wierzył, że tak jest.

Farin słuchał, stojąc przy drzwiach, zanim je otworzył.

* Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjdziemy oddzielnie. W dzisiejszych czasach nawet krawężniki mają oczy... Au revoir, Hauptmann!

* Au 'voir.

Normandia przeistoczyła się w drugi Stalingrad. Do niewoli trafiło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy czterdzieści tysięcy straciło życie. 27. Pułk Pancerny został zredukowany do jednej piątej swojej oryginalnej liczebności, a żołnierze pułku zostali wysłani do Paryża z powodów, które do tej pory nie zostały im ujawnione.

Z ponurą satysfakcją, której nawet nie próbował kryć, GeneralFeldmarschall von Rundstedt złożył raport głoszący, że milion osiemset tysięcy żołnierzy alianckich wylądowało w Normandii oraz, że tej sile przeciwstawiono żalosne dwieście tysięcy Niemców. Żadna dywizja pancerna nie posiadała obecnie więcej niż dziesięć czołgów; niektóre dysponowały jedynie pięcioma, jeszcze inne miały ich nawet mniej. Pułki skurczyły się do rozmiaru kompanii. Sytuacja była tragiczna, co wielokrotnie usiłował uświadomić swoim kolegom von Rundstedt.

Ale ta tragiczna sytuacja trwała niezmiennie i nawet starszek Rundstedt stracił w końcu cierpliwość.

* Jaki sens ma wydzwanianie do mnie czterdzieści razy dziennie?! * wrzeszczał do słuchawki. * I tak wam nie powiem, co macie robić! Nie wytrzasnę wam znikąd żołnierzy! Nie zrobię wam chyba czołgów z tektury! Jedyne sensowne rozwiązanie to kapitulacja, o czym zresztą mówiłem już setki razy, ale ci kretyni w Berlinie nie chcą tego przyjąć do wiadomości! Powinni za to siedzieć, wszyscy ci cholerni debi

le! Mówię wam, rozkazują nam idioci niskiej rangi!

Rzucił słuchawkę na widelki. Telefon spadł i rozbił się o podłogę. Von Rundstedt jedynie prychnął, złapał płaszcz i wybiegł pędem z pokoju. Jego płaszcz był pozbawiony jakichkolwiek odznaczeń, jakby należał do najzwyczajniejszego szeregowego, mimo iż faktycznie jego właściciel miał najwięcej orderów w całych Niemczech. Ze względu na jakieś dziwactwo, Feldmarschall von Rundstedt nigdy nie nosił swoich medali, o ile nie otrzymał wyraźnego rozkazu, że ma to zrobić. Wcisnął hełm na głowę i przemaszerował przez zewnętrzne biuro, salutując krótko.

* Żegnam panów... O tej porze jutro będziecie już mieć nowego dowódcę. Mam dziwne przeczucie, że wkrótce zostaną usunięty!

Rozdział 10

WARTOWNIA W HOTELU MEURICE

Dwaj cywile w skórzanych płaszczach i czapkach mocno nasuniętych na oczy siedzieli w wartowni w Hotelu Meurice. Nie mieli tam żadnego konkretnego interesu, ale mimo to rozgościli się. Jeden z nich rozwalił się na krześle z rękami w kieszeniach wyciągniętymi nogami skrzyżowanymi w kostkach. Ten drugi odchylił się, kładąc brudne buty na stole i wodził szarymi oczyma po pokoju i zatrzymywał wzrok na każdym przedmiocie, jakby należały do niego. Człowiek trzymający straż zazwyczaj był ignorowany.

* Hej, Heinrich, wiesz co?

Człowiek rozparty w krześle zmienił nieco położenie ciała i obrócił głowę w kierunku towarzysza, który jedynie odchrząknął i podniósł jedną brew.

*Co?

* Wkurza mnie to miejsce. To miasto mnie nudzi. *No...

* Serio. Naprawdę mnie nudzi. Lepiej nam było w Lemberg. W Polsce dużo się działo, nie?

*No...

* Pamiętasz tę lalunię Tamarę z Brest*Litovska? Co za kobieta! * spojrzął protekcyjnie na człowieka trzymającego straż. * Wiesz co? Ta dziewczyna dowodziła całym batalionem partyzantów! Własnymi rękoma zabiła dwóch naszych generałów! Niezła sztuka, co? * Potrząsnął głową. * Prawie szkoda mi było ją zastrzelić.

* W Moskwie * powiedział nagle ten z szarymi oczami * robią ci pranie mózgu. Zmieniają cię w zupełnie inną osobę i wmawiają ci, że jesteś uleczony. To gorsze niż rozstrzelanie.

* Wiesz co? * spytał po raz trzeci jego kolega. *Jeśli przegramy tę cholerną wojnę, to chyba się przyłączę do komuchów. Serio. Jak się dobrze przyjrzeć, to ich program niewiele się różni od naszego. Naprawdę myślę, że zostanę komunistą. Mam w tych kwestiach wycucie. Dzięki temu udało mi się przeżyć przez te wszystkie lata. Byłem w Dirlwanger, rozumiesz. Byłem...

* Nie interesuje mnie, gdzie wcześniej byłeś. Z tego co wiem, to obecnie przebywasz w Paryżu, więc przestań jęczeć i postaraj się z tego skorzystać. * Heinrich nagle ściągnął nogi ze stołu i zwrócił się oskarżycielskim tonem do wartownika, Oberfeld*webła artylerii. * Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, iż wszystkie rozmowy tu prowadzone są ściśle tajne?

OberFeldwebel wzruszył tylko obojętnie ramionami. Nigdy nie słyszał japońskiego porzekadła „nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś, nic nie powiedziałaś”, ale i tak stanowiło ono jego credo; wzbogacił je jeszcze o dodatkowy element: „nic nie myślałeś”. Tak na wszelki wypadek. W wojsku często lepiej było nie myśleć. Myślenie mogło być niewygodne, mogło wpędzić cię w kłopoty. Zwłaszcza w takich chwilach jak ta, kiedy nie z własnej winy byłeś skazany na towarzystwo dwóch parszywych typków z gestapo, którzy bez żadnej konkretnej przyczyny mogli stać się wredni, jeśli przypadkiem nie spodobała się im twoja twarz.

OberFeldwebel westchnął cicho i bezwiednie spojrzął na zegar. Jeśli szczęście mu dopisze, druga zmiana dotrze w przeciągu kilku minut. Zaczął starannie spisywać swój raport. Co za pieprzony pech urodzić się w Niemczech i dorosnąć akurat w sam raz na wojnę? Co go obchodziła „przestrzeń życiowa” i inne tego typu bzdety? Jeśli o niego chodziło, to w swoim domu w Dortmundzie miał aż nadto przestrzeni życiowej. Może nie było to najbardziej ekscytujące miejsce na ziemi, ale nic nie sprawiłoby mu większej radości, niż móc tam wrócić. Czemu musiał mieć tak pieprzonego pecha?... Gwałtownie przerwał swoje rozmyślenia i posłusznie sprawił, że jego umysł stał się pusty.

Myślenie było niebezpiecznym zajęciem. Lepiej go nie prowokować.

Nagle z hałasem otworzyły się drzwi. OberFeldwebel i gestapowcy podnieśli głowy zaniepokojeni, ale była to tylko * dość nietypowa * zmiana warty. Dwunastu żołnierzy z pułku pancernego wpadło do pokoju robiąc przy tym sporo hałasu.

* Hallo, allo, allo! * ryknął pierwszy z nich, Ober*gefreyter Porta, głosem, od którego zatrzęsły się ściany. * Co my tu mamy?

Wskazał palcem na gestapowców, którzy nadal siedzieli w swoich fotelach i patrzyli na niego zuchwale. Za Portą wcisnął się Mały. Od razu usadowił się na biurku, jak zwykle niezbyt przejmując się dyscypliną.

* Ok * powiedział radośnie. * Przybyliśmy. Możecie im powiedzieć, że już tu jesteśmy, a potem możecie zmykać.

* Jak pan śmie? * powiedział urażony OberFeld*webel. Może i niedużo myślał, ale szczerze wierzył w dyscyplinę. * Wstańcie, zaszlucujcie i porządnie się przedstawcie! Myślicie, że co to jest? Karczma piwna? To jest pruska wartownia i nie zapominajcie o tym!

* Spadaj * wycedził Porta.

* Jeżeli przyszlucicie tu, by zmienić wartę, to czemu do cholery po prostu tego nie zrobicie?

Wszyscy wolno odwrócili się w stronę gestapowca, który to powiedział. Był to Peter, niedoszły komunista.

* Co to za jedni? * spytał Porta.

* Nie mam pojęcia * odpowiedział chłodno Ober*Feldwebel.

* W takim razie lepiej niech stąd wypieprzają! Nie chcemy, żeby jacyś cywile zagracali nam naszą

wartownię. Chyba, że * nagła myśl sprawiła, że Porta przerwał * oni są aresztowani?

* Obergefreiter! * wrzasnął Peter, nerwowo wstając z fotela. * Jestem Untersturmführerem!

* Serio? * powiedział Porta, który wyglądał na znudzonego. * Czemu mi o tym mówisz? Wierzę, że jest ci ciężko, koleś, i strasznie ci współczuję, ale czego ode mnie oczekujesz? Jestem Obergefreite*rem, jak słusznie zauważyłeś, i przez następne dwadzieścia cztery godziny jestem na warcie, pilnując by duchy nie dorwały starego generała, który śpi na górze. Tyle wiem i nie mogę pozwolić, by cywile pałętali mi się po wartowni.

Heinrich nagle ziewnął, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej kartę.

* Tajna policja * powiedział znużonym tonem. Porty nie wzruszyła jego reakcja.

* Mam gdzieś, czy jesteście z tajnej policji, czy z tajnej organizacji zamiataczy ulic * powiedział Heinrichowi. * I tak nie możecie przebywać w wartowni. Przepisy to przepisy, nawet dla gestapo.

* A nie przyszło ci do głowy * spytał groźnie Heinrich * że czekamy tu wyłącznie po to, by cię aresztować?

* Szczerze mówiąc, to nie * odparł Porta. * Wydaje mi się to co najmniej nieprawdopodobne. * Porta triumfalnie włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej białą opaskę z literami Z B Y * Słyszeliście o nas? * wyszeptał.

Obaj gestapowcy spojrzeli na opaskę, a potem na siebie.

* Co, do ciężkiej cholery, robicie w Paryżu? * spytał Peter.

Porta popukał się w swój ogromny nos i nic nie powiedział. Drzwi znowu się otworzyły. Tym razem wszedł Barcelona. Podszedł do Oberfeldwebela i zgrabnie stuknął obcasami.

* Feldwebel Blom, 27. Pancerna, 5. Kompania, melduje się w celu przejścia służby wartowniczej. OberFeldwebel odsalutował, najwidoczniej zadowolony, że wreszcie ktoś zastosował się, aczkolwiek pobieżnie, do regulaminu.

* OberFeldwebel Steinmache, 109. Pułk Artylerii, przekazuje wartę.

Barcelona przeszedł z pozycji na baczność do „spocznij”.

* A to co za jedni? * zapytał wskazując kciukiem na Petera i Heinricha. * Jakim prawem dwóch cywili przebywa w wartowni? Co oni tu robią?

Tym razem OberFeldwebel stracił panowanie nad sobą.

* Spytaj ich, a nie mnie, chłopie! Jak ci się nie podobają, to ich wykop! Teraz ty tu dowodzisz, a nie ja, dzięki Bogu!

Złapał swój hełm, pośpiesznie zaszalutował i opuścił pomieszczenie.

* Rozumiem * powiedział zamyślony Barcelona. Usiadł na krześle Oberfeldwebela i rozejrzał się po pokoju. Wreszcie jego spojrzenie wróciło do Petera, który ewidentnie czuł się coraz bardziej nieswojo od czasu wymiany zdań z Portą. A może od czasu wejścia Barcelony? Definitywnie coś mu się nie podobało. Skinął głową do Heinricha.

* Idziemy. Kto by chciał siedzieć gdzieś, gdzie go nie chcą?

Naciągnął jeszcze głębiej czapkę na oczy i zapiął płaszcz pod samą brodę. Heinrich skrzywił się.

* Po co ten pośpiech? Wyjdę, jak będę zwarty i gotowy.

* Ja jestem gotowy * powiedział Peter.

Ruszył w stronę drzwi i w tym samym momencie, dzięki podświadomemu impulsowi, Mały i Porta ruszyli za nim i zastąpili mu drogę.

* Chwileczkę!

Barcelona siedział ze zmrużonymi oczami, pukając palcem w zęby i gapiąc się na Petera. Nagle walnął ręką w biurko.

* Senior Gomez, ależ to po prostu wspaniałe! Po tylu latach! Jaki ten świat mały * chyba ktoś już to kiedyś powiedział? Nieważne, najwyżej ja to powtórzę... Proszę, proszę! * zagwizdał cichutko przez zęby. * Muszę przyznać, że twoje nowe wcielenie doskonale do ciebie pasuje, towarzyszu! Peter odwrócił się zdecydowanie w kierunku drzwi.

* Proszę mnie przepuścić.

Mały i Porta stali niewzruszeni. Przez chwilę trzej mężczyźni tworzyli piękną scenę, a potem Heinrich, który najwidoczniej wyczuł zagrożenie, przyłączył się do swojego kolegi pod drzwiami.

* Będziecie mieli kłopoty * powiedział * jeśli tkniecie członka gestapo.

* Otwórzcie drzwi! * rozkazał Peter, brzmiąc nieco histerycznie.

Bardzo powoli Porta wyciągnął ramię, obrócił mężczyznę twarzą w stronę pokoju i wskazał na Barcelonę.

* Być może nie zauważyłeś, ale ten pan coś do ciebie mówił. * powiedział. * Może chciałbyś, żeby to wszystko powtórzył?

* Żądam, żebyś otworzył te drzwi! * darł się Pe*ter.

* Możesz sobie żądać ile wlezie * odszczeknął się Porta z szerokim uśmiechem na twarzy. * Lepiej przymknij jadaczkę, mały, i rób, co ci każą.

* Chyba, że...

Mały nie dokończył zdania, po prostu wyciągnął okropnie wyglądający nóż i zaczął się nim bawić. Barcelona miał zamyślony wyraz twarzy.

* Dwudziesty drugi czerwca 1938 * wyszeptał. * Rambla de la Flores w Barcelonie... Pamiętam, że poczęstowałeś nas drinkiem w swoim apartamencie w Ritzu... Pamiętasz, towarzyszu? Bo ja tak. Pamiętam to doskonale. Tyle, że * Barcelona zmrużył oczy, kiedy spojrzał na mężczyznę * w tamtych czasach, o ile dobrze pamiętam, przysięgałeś wierność partii komunistycznej. Co się stało z czerwonymi gwiazdami, towarzyszu? Tyle ich niegdyś było w waszym wzroku!

* Jesteś szalony! * Peter usiłował się wyrwać z wielkiej łapy Porty, która trzymała go w miejscu.

*Majaczysz! Nie widzisz, że jestem Untersturmfuhr*erem w tajnej policji? Chyba masz oczy, co? Widziałeś już pewnie kiedyś Untersturmfurhera, co?

* Oczywiście, wiele razy * zgodził się z nim gładko Barcelona. * Ale sam przyznasz, że dla kogoś, kto znał cię jako towarzysza Gomeza, nie jest łatwo zwracać się do ciebie per „Untersturmfuhrer”... Jaki mia

łeś stopień w Hiszpanii, Gomez? Kapitana? A może majora? Hombre! Nadal pamiętam mowę, jaką do nas wygłosiłeś w swoim apartamencie w Ritzu! Pamiętasz ją, Gomez? Naprawdę chwytiała za serce!

Barcelona odchylił się na krześle, zarzucił nogi na biurko, zaplótł ręce na piersi i jak w transie zaczął spoglądać w sufit.

* Towarzysze, czas na mowy nadszedł i przeminął! Teraz mamy czas czynów! Czyny, towarzysze, dla wspólnego dobra! Po to tu jestem * by doradzać wam, zachęcać was, dawać pomoc, której możecie potrzebować i jaką jestem w stanie zapewnić... Czujcie się bezpieczni, wiedząc, że zawsze będziemy za wami stać!

Zapadła cisza. Peter zaczął się nerwowo wiercić. Heinrich przyglądał się mu z niedowierzaniem w oczach. Barcelona gwałtownie spuścił nogi na ziemię i zaczął się śmiać.

* To był przekręt stulecia, co nie? Czy naprawdę nawróciłeś się na inne poglądy? * Spojrzał na pozostałych. * Po tym, jak wpędził nas w sytuację bez wyjścia, gnojek zwinął się i zostawił nas... jeszcze tego samego dnia! Nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby poudawać jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny! A dokąd pojechał? * Barcelona spojrzał na wijącego się Petera. * No, dokąd pojechałeś? Powiem ci, na wypadek, gdybyś o tym też zapomniał! Bezpieczny i zadowolony dostałeś się na statek razem z resztą komunistycznych gnojek! I jakby jeszcze tego było mało, przez całą noc chlałeś, rznąłeś panienki i opychałeś się takim żarciem, o którym większość z nas mogła tylko pomarzyć od wielu lat! Jak się nazywał ten radziecki generał? Ten, który to wszystko załatwił w ramach nagrody za bycie dobrym pionkiem na ich szachownicy i namówienie innych do walczenia w interesie partii? Jak on się nazywał? Malinowski? Tak to szło? A może Manolito? Chyba tak się do niego wtedy zwracałeś, prawda? A może tego też nie pamiętasz?

Peter nagle zdjął czapkę, otarł czoło z potu i bezsilnie opadł na najbliższe krzesło.

* Tak, tak * powiedział dość zmęczonym głosem. * Pamiętam... Zdawało mi się, że to ty, kiedy tu wszedłeś, ale nie byłem pewny.

* Ale teraz jesteś? Peter skinął głową.

* Tak mi się zdaje. * Spojrzał na Barcelonę i przez moment na jego ustach pojawił się uśmiech. * Tak, teraz pamiętam. Był z ciebie wtedy niezły zabijaka. Nadal jesteś taki dobry w strzelaniu?

Barcelona nie odwzajemnił tego pełnego nadziei uśmiechu. Porta stał jak posąg przy łokciu Petera, a Mały nadal pilnował wyjścia. Pozostali z nas nadstawiali uszu i z nowym zainteresowaniem patrzyli na gestapowca, który niegdyś należał do partii komunistycznej w Hiszpanii. To dopiero było niespotykane zjawisko!

* Podobno nadal jestem tak dobry jak kiedyś * powiedział wolno Barcelona. * A może nawet bardziej... Od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy, miałem sporo okazji, żeby poćwiczyć strzelanie, towarzyszu! Szkoda, że nie mogę ci pokazać, ale myślę, że nie spodobałoby się to naszemu generałowi z piętra wyżej.

* Nie martw się * powiedział pośpiesznie Peter. * Wierzę ci i bez demonstracji.

* No raczej!

* A jeśli chodzi o te sprawy z Hiszpanii * wzruszył beztrząsrami ramionami * to chyba są na tyle nieaktualne, że nie ma o czym mówić? Odbębniłem swoją działkę walczenia, kiedy cię poznałem. Byłem bardziej wrażliwy niż sądziłeś. Wiesz, co by się ze mną stało, gdyby kiedykolwiek dorwała mnie Falanga?

* Dwanaście kulek w tył głowy * odparł obcesowo Barcelona. * I przychodzi mi do głowy sporo ludzi, którzy ochoczo potraktowaliby cię tak samo... ze mną na czele!

Peter zerwał się na nogi w panice. Porta natychmiast pchnął go z powrotem na krzesło i przytrzymał tam siłą. Barcelona machnął ręką.

* Zapomnijmy o tym przez chwilę. Może wrócę do tego później. Ale zanim to nastąpi, mam do ciebie pewne pytanie. Czy to ty zabiłeś Conchitę? Znaleźliśmy ją w rynsztoku za Ronda de San Pedro. Miała podcięte gardło... Paco o mały włos nie oszalał z rozpaczy. Zawsze powtarzał, że to była twoja sprawka.

Peter zagryzł wargi.

* To był kurwizjon. Zaslugiwała na to, żeby jej poderznąć gardło.

* Tylko dlatego, że była kurwą?

* Była podwójną agentką. Pracowała dla nas od kilku miesięcy, a potem nagle odkryliśmy, że robi to też dla tych drugich.

* Więc poderznąłeś jej gardło? * Barcelona przeszedł przez pokój i stanął nad poblądnym Peterem.

* Tak po prostu?

* Mówię ci, że była podwójną agentką...

* Mówisz! Nie mam zeznań nikogo innego. A nawet jeśli tak było, to mogła stanąć przed trybunałem Calle Layetana, a nie zdychać w rynsztoku z podciętym gardłem.

Patrzyliśmy na Barcelonę zdumieni. Zazwyczaj na wspomnienie Hiszpanii stawał się sentymentalny nawet jeśli mowa była o wojnie domowej. Był to kraj słońca, gajów pomarańczowych, ciągłej sjesty, a wojna domowa była epizodem młodzieńczego romantyzmu, czasem odwagi i idealizmu. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy Barcelony tak ponurego i rozgorzonego.

* Jeśli Paco cię kiedykolwiek dorwie * poinformował Petera * to będziesz miał nóż w plecach zanim się zorientujesz, gdzie jesteś.

* Ta kobieta była podwójną agentką * zaproponował Peter po raz trzeci. * A poza tym wykonywałem tylko rozkazy.

* Gówno prawda! Zabiłeś Conchitę wyłącznie z jednego powodu: ponieważ wybrała Paco, a nie ciebie. Bo nie chciała się z tobą przespać.

Peter wyciągnął dłonie w bezradnym geście.

* Starczy tego, Blom! Skończmy na tym, dobra? Po co tak rozgrzebywać przeszłość? Wszyscy robiliśmy rzeczy, o których wolelibyśmy zapomnieć * ty też, przyjacielu! Nawet teraz pamiętam o kilku incydentach, o których pewnie wolałbyś nie wspominać.

I mimo, iż masz taką świetną pamięć, to nie zawsze mądrze jest wyciągać zbyt wiele faktów z przeszłości. Teraz jesteśmy obaj po tej samej stronie, więc zakopmy topór wojenny.

Barcelona zrobił sceptyczną minę. Peter wstał i położył mu rękę na ramieniu.

* Posłuchaj, Blom. Jestem serdecznym przyjacielem Obergruppenfuhrera Bergersa i sam też odniosłem różne sukcesy. Różne rzeczy, które zdarzyły się w Polsce i na Ukrainie... tyle, że są

ściśle tajne. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Musisz mi wierzyć na słowo...

* Do czego ma doprowadzić cała ta wazelina? * spytał Barcelona.

* Pomyślałem sobie, że skórzany płaszcz wyglądałby równie dobrze na tobie, co na mnie. Jak ci się to widzi?

* Chcesz, żebym dołączył do twojej bandy?

* Bywają gorsze fuchy.

Barcelona pokręcił głową i zaśmiał się.

* Nie, dziękuję! Skorzystałem z twojej rady w 1938 i do dzisiaj żałuję. Nie dam się na to nabrać dwa razy... a poza tym skóra nigdy mi się nie podobała.

Nagle Mały poruszył się niespokojnie koło drzwi.

* Uwaga, ktoś idzie!

Wszyscy ustawiliśmy się na baczność, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł kapitan z pułku saperów. Był bardzo drobny, bardzo szykowny * jego mundur leżał jak ulał, jego buty lśniły i połyskiwały niczym kamienie szlachetne. Od tego człowieka wiało autorytetem, większym niż od tuzina generałów. Nawet ci z gestapo byli wyraźnie pod wrażeniem.

Spojrzeniem omiółł pokój. Jego twarz, mimo że wciąż młoda, była harda i naznaczona zmarszczkami, z wysokimi kośćmi policzkowymi i mocno zarysowanymi szczękami. Jeszcze zanim otworzył usta, już czuło się do niego respekt. Był to pewien typ człowieka * typ stworzony przez wojnę. Twardy jak diament, doskonały, dokładny i bezbłędnie skuteczny. Nie musiałeś go znać, żeby wiedzieć jaki jest.

* Kapitanie! * Barcelona zasalutował z taką werwą, że można było odnieść wrażenie, że jego ramię jest na sprężynie. * Feldwebel Blom, kapitanie. Na warcie w Hotelu Meurice z trzema podoficerami i dwunastoma szeregowymi * przerwał. * W celu przesłuchania mamy tu dwóch cywili * dodał. Kątem oka zauważyłem, że grdyka Petera porusza się nerwowo, ale ani on, ani Heinrich nie powiedzieli nic. Oficer skinął głową.

* Coś do zgłoszenia?

* Nie, proszę pana.

Czekał na rozkaz „spocznij”, ale ten nie nastąpił. Kapitan trzymał nas w pozycji na baczność, podczas gdy jego zimne jak sople oczy oglądały pokój, starając się zarejestrować każdy szczegół.

* Czy dwóch cywili już przesłuchano?

* Tak, proszę pana.

* Czy będą im postawione jakieś zarzuty?

* Nie, proszę pana. Mogą odejść.

* To czemu, do cholery, jeszcze się tu kręcą?

Won stąd, zanim ktoś coś na was jednak znajdzie! Zwrócił się ostro do Petera i Heinricha, którzy wyszli tak szybko, że prawie można było zauważyć obłóczki kurzu, jakie za sobą zostawili. Z satysfakcją zauważyłem, że nie było w ogóle mowy o tym, by mogli skorzystać ze swoich praw gestapo, kiedy stanęli naprzeciw kogoś pokroju tego człowieka. Kapitan zwrócił teraz swoje lodowate spojrzenie na Barcelonę.

* Co się stało z waszym mundurem, Feldwebelu?

Barcelona obejrzał swój mundur i pośpiesznie zapiął dwa ostatnie guziki przy bluzie. Kapitan skinął głową.

* Niech was już nigdy więcej nie widzę w takim stanie. Zaniedbanie w kwestii stroju prowadzi do zaniedbań w innych dziedzinach. Proszę ogłosić moje przybycie.

* Tak jest, kapitanie. Jak mam pana zaanonsować?

* Kapitan Ebersbach. Byłem umówiony.

Barcelona zniknął. Podczas jego nieobecności nadal staliśmy na baczność do czasu, gdy w końcu wrócił z niespokojnym młodym porucznikiem pędzącym za nim.

* Kapitanie Ebersbach! Generał pana oczekuje. Proszę za mną...

Dzięki Bogu posłuchał go i zaraz, gdy wyszedł mogliśmy przybrać postawy przesadnie zrelaksowane. Chwilę później znowu nam przerwano. Byli to Peter i Heinrich. Zajrzeli ostrożnie

przez drzwi.

* Pssst! Poszedł już ten przystojniaczek? Przynieśliśmy wam prezent. Znaleźliśmy to w kredensie w kuchni. Pomyśleliśmy sobie, że może wam się spodobać.

* Pomyśleliśmy, że moglibyśmy się tym z wami podzielić * dodał Heinrich, zamykając za sobą drzwi.

Prezenterem, jaki „znalezli” w kredensie, była butelka koniaku. Dobrze było wiedzieć, że nawet gestapo przemawia czasem ludzkim głosem.

* Dostaniemy po pięć lat w Torgau, jak nas przyła*pią na picie w wartowni * zaprotestował Barcelona, łapczywie otwierając butelkę i podnosząc ją do ust.

* Ja tam zaryzykuję * oświadczył Mały.

Nie trzeba chyba mówić, że wszyscy zaryzykowaliśmy. Kiedy perspektywa napicia się jest tak bezpośrednia i zdefiniowana, a wizja pięciu lat w więzieniu odległa, to rozsądny człowiek może zrobić tylko jedno. Butelkę podawaliśmy sobie z rąk do rąk, z ust do ust, podczas gdy jeden z nas pilnował z uchem przy dziurce od klucza na wypadek nadchodzących kłopotów.

* Niech mnie szlag, jeśli wiem, po kiego grzyba tu nas przysłali * marudził Porta. * Cały dzień tylko gadają o materiałach wybuchowych.

* No i co? * zapytał Peter, otwierając paczkę amerykańskich gum do żucia i starając się wyglądać jak Jankes. * Chyba cię nie obchodzi, o czym gadają, prawda? Tak czy inaczej trzeba ich pilnować, nie?

* Materiały wybuchowe to nie nasza działka * powiedział Porta. * Jeśli chcą wysadzić to cholerne miasto, to niech lepiej zrobią to bez nas. Miny przyprawiają mnie o dreszcze.

* Nie wysadziliby Paryża * powiedział Mały. * Nie, nie zrobiliby tego.

* A niby czemu nie? * zapytał prowokująco Peter. Oparł się w fotelu, w rozchylonym skórzanym płaszczu, z kciukami zatkniętymi pod pachy. Zanim Mały zdołał przedstawić jakiś sensowny argument za zachowaniem Paryża, Porta pochylił się i wyciągnął jeden z dwóch rewolwerów, które Peter nosił w kaburze przy ramieniu.

* Po prostu nie zrobią tego * powtórzył Mały z wahaniem.

* Tak nam się zdaje! Kiedy byłem w Katii... Heinrich nagle wrzasnął głośno.

* Nie opowiadaj cały czas o okresie, który spędziłeś w Katii! Nie mogę tego znieść, jesteś gorszy niż wrzód na tyłku!

* Ale oni jeszcze tego nie słyszeli...

* Ale ja owszem!

* Co się działo w Katii? * zapytał Mały z irytującą tępotą w głosie.

Na szczęście zanim Peter przystąpił do długiej i prawdopodobnie bardzo nudnej historii, Porta zwrócił na siebie jego uwagę, machając mu przed nosem jego własnym rewolwerem.

* Hej, towarzyszu! Nie chcecie się zamienić na Glicenti?

* Może i chcę * powiedział ostrożnie Peter. * Niech no go sobie obejrzę.

Glicenti został wyjęty, dokładnie obejrzany, wzięty pod rozwagę i wreszcie zaakceptowany. Doszło do uroczystej wymiany. Zastanawiałem się, czy Peter

zdaje sobie sprawę, że mimo iż właśnie stał się posiadaczem jednego z najwspanialszych rewolwerów na świecie, będzie miał niesamowite problemy ze znalezieniem do niego amunicji. Już miałem go co do tego uświadomić, ale wreszcie uznałem, że Porta mi pewnie nie podziękuje za wtrącanie się do interesów.

* Nadal nie wiem, o co chodziło z tymi wydarzeniami w Katii * narzekał Mały.

* Później * powiedział Heinrich. * Teraz musimy już iść.

* Wcale, że nie * powiedział Peter.

Znowu zostaliśmy ocaleni * tym razem przez pojawienie się Juliusa Heidego, który wpadł do pokoju jak zwykle emanując skutecznością, w mundurze jak zwykle prawidłowym do najmniejszego szczegółu i ze starannie ogoloną twarzą wyrażającą czujność.

* Kim jest to boskie stworzenie? * spytał Peter, odprowadzając pogardliwym wzrokiem Heidego przez cały pokój.

* To nasz „chodzący regulamin” * wyjaśnił Barcelona, tak jakby Heide nie mógł sam odpowiedzieć

na to pytanie. * Ćwicz, by zostać wojskowym świętym. Każdy jeden włoszek na jego ciele umie stać na baczność.

Heide obejrzał Barcelonę i obdarzył Petera oraz Heinricha jednym ze swoich zjadliwych spojrzeń. Prawdopodobnie zgadł ich tożsamość, wnioskując ze skórzanych płaszczy i ogólnej złowieszczej aury, jaka ich otaczała, ale nie dał po sobie poznać, że jest pod wrażeniem. Zamiast tego jego oczy zaczęły śledzić

krażącą butelkę koniaku i marszcząc brwi, by okazać swoje niezadowolenie, zwrócił się do Barcelony.

* Wiecie cholernie dobrze, że picie na warcie jest surowo wzbronione!

* A może byś dał swojemu dupsku szansę, co? * zasugerował sympatycznym głosem Barcelona.

* Wkrótce skończysz w Torgau! * odszczeknął się Heide.

* Tak? A kto mnie tam wyśle?

Heide wypchał klatkę jak napompowaną gumową tratwę.

* Może zainteresuje cię informacja, że nowy dowodzący jest moim osobistym przyjacielem. Razem walczyliśmy w Rotterdamie. Wy, pijani imbecyle, pewnie nawet nie zdajecie sobie sprawy, że zaczynałem swoją karierę jako kapral w korpusie desantowym. Mam wielu wpływowych znajomych.

* Patrz pan! * powiedział z podziwem Porta i zrujnował cały efekt dodając rubasznym tonem * Co za bzdury!

Heide odwrócił się na obcasie w stronę Porty. Jego oczy lśniły lodem, a szczęki zacisnęły się mocno. Zawsze wiedziałem, że Julius wysoko zajdzie na drabince wojskowej hierarchii, ale do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak wysoko. Kiedy na niego patrzyłem, miałem nagle wizję człowieka w mundurze podpułkownika i z jakąś dziwną pewnością wiedziałem, że nie były to żadne majaki, ale wizja jego przyszłości.

* Obergefreiter Porta * powiedział zimnym głosem, typowym dla przedstawicieli władzy * może i jesteśmy obecnie towarzyszami broni, ale mogę wam obiecać, że któregoś dnia postawię sobie za cel oskarżenie was i postawienie was przed sądem wojskowym.

Pogardliwe prychnięcie, które nagle rozległo się gdzieś za mną, sprawiło, że błyskawicznie odwrócił się w stronę Małego, który szczyrzył swoją paskudną gębę i podnosił jedną, podobną do małpiej, rękę, jak gdyby chciał kogoś uderzyć.

* Spróbuj mnie tylko dotknąć, a będziesz miał kłopoty! * zagroził Heide, wyciągając rewolwer. * Tylko mnie dotknij, a zobaczysz jak to się skończy... Przemoc wobec podoficera jest karalnym przewinieniem. Chyba to wiesz, prawda? Wy jesteście zbędni, ja nie! Ponadto mam zamiar przetrwać tę wojnę. A wątpię czy i wam się to uda.

Z radosnym chichotem Mały wykopął pistolet z rąk Heidego i zacisnął swoje ogromne łapska wokół jego szyi.

* Towarzysze broni! * szydził Heinrich. * Co za wzruszający widok!

Mały kilkakrotnie potrząsnął Heidem.

* No i co, gnojku? Co masz teraz do powiedzenia na swój temat?

* Puść mnie! * dyszał Heide, próbując bezskutecznie kopnąć Małego w pizszel. * Chciałeś mnie udusić, pieprzony durniu? Chcesz skończyć w Tor*gau razem z Barceloną?

* A czemu nie? * powiedział Mały, radośnie uśmiechając się do swojej ofiary. * Umrzeć za takie przewinienie może być całkiem miło.

Twarz Heidego zaczęła mienić się na blade i purpurowo.

* Dobra, puść tego gnojka * powiedział z obrzydzeniem Porta. * Jego czas jeszcze przyjdzie, nic się nie martw... A kiedy przyjdzie w końcu odpowiednia pora, załatwimy go elegancko, zgodnie z regulaminem, tak jak lubi.

Mały rzucił niedbale Heidego na podłogę. Hein*rich uprzejmie nagroził go oklaskami.

Z zewnątrz dobiegł nas wyczekiwany odgłos ciężkich butów w przejściu i wiedzieliśmy, że za chwilę zmieni nas kolejna warta.

* Dziesięć minut się spóźnił, cholera jasna * marudził Barcelona, kończąc resztki koniaku i rzucając butelką w Heidego.

Połamany i krwawiący spadochroniarz Robert Pi*per został zabrany do siedziby żandarmerii polowej przy ulicy Saint*Amand.

* Masz dwanaście godzin na powiedzenie wszystkiego * Oberleutnant Briihner zwięźle poinformował pojmanego.

Co się stanie po dwunastu godzinach, w czasie których nie powiedziałby ani słowa, nie wyjaśniono mu.

Prawdopodobnie jego prześladowcy też nie wiedzieli. Możliwe, że ten problem nigdy nie zaświtał w ich głowach. Nie było jeszcze takiego, który w ciągu dwunastu godzin nie zostałby zmuszony do mówienia. Unter*sturmfuhrer Steinbauer, agent gestapo, uśmiechał się tak szeroko, że jego twarz wydawała się rozerwana na dwie części, na myśl o tym co nastąpi.

Dwanaście godzin! To będzie dziecinna zabawa.

Patrzył lekceważąco na obdarte z ubrania ciało spadochroniarza. Ten chyba wytrzyma nawet trzydzieści minut. To całkiem długo. Większość łamano po pierwszych dwudziestu minutach, prawie wszyscy padali w trakcie lodowej kąpieli. Po niej człowiek wyglądał jak kawał mięsa, omdłego, surowego i krwawiącego. Czasami tylko znalazł się ktoś zacięty na tyle, aby kontynuować opór, a jego mózg wykazywał resztki aktywności. W tym momencie powracano do staromodnego biczowania, a jeśli czuł się nadal na siłach, nadmiar energii wypuszczano z niego zapomo

cą paru celnych kopniaków w brzuch lub w pachwinę.

Jedyny problem w tej metodzie, to wykazać tyle cierpliwości, aby delikwent nie zmarł przed udzieleniem informacji. Na koniec ulubiony sposób na spędzenie czasu * puścić na delikwenta strumień wody pod pełnym ciśnieniem. To była zabawa i niezawodny sposób na najtwardszego człowieka.

Dwanaście godzin! To kawał słodczy! Unter*sturmfuhrer zatarł z radości ręce i zajął się gorliwie przygotowaniem oskarżonego do badania.

Torturowany spadochroniarz załamał się po dwudziestu siedmiu minutach. Dostarczył listę trzydziestu jeden nazwisk i adresów. Jeszcze tej samej nocy aresztowano trzydzieści jeden osób.

Rozdział 11

UCIECZKA Z WIĘZIENIA FRENES

Wydawało się, że baraki przy ulicy Prince*Euge*ne były w stanie nieustającego rozgardiaszu: krzyki, wrzaski, przekleństwa wypełniały powietrze, ludzie biegali w kółko, oficerowie wypluwali szorstkim głosem strumienie sprzecznych rozkazów. Widoczne na pierwszy rzut oka zamieszanie kryło jednak ścisły porządek i przez nikogo niekwestionowaną dyscyplinę. Wszędzie były oczy, które wszystko widziały, i uszy, które wszystko słyszały. Straże, pozornie wypoczywające w promieniach słonecznych, były gotowe do natychmiastowej akcji w razie najmniejszego choćby śladu problemów.

Na chwilę baraki zamilkły, wydawały się na wpół opuszczone. Gorące powietrze wisiało nad podwórzem. Z jego narożnika dobiegała mieszanka muzyki pułkowej, trąbek i bębnow, wnikając w ogólny spokój. W najdalszej części podwórza spocona grupa rekrutów maszerowała pod okiem rozłoszczonego podoficera. Generalnie był on zwolennikiem szkoły, że im człowiek głośniej i dłużej krzyczy, tym lepsze osiąga rezultaty. Ale dzisiaj było zbyt gorąco, więc zajęcia odbywały się w złowrogi, ponurej ciszy.

Jednak na przekór panującej tu brutalnej dyscyplinie, była to całkiem znośna kwatera. Obowiązki nie były zbyt męczące, a egzekucje, w których każdy musiał uczestniczyć raz na trzy dni, stawały się czymś normalnym już po chwili. Kiedy wszystko było powiedziane i zrobione, to w zasadzie nie było większej różnicy pomiędzy naciskaniem spustu w plutonie egzekucyjnym i robieniem tego samego, z wnętrza czołgu. Ta sama śmierć dla wszystkich diabłów.

* Taka jest wojna * mówił Legionista po każdej egzekucji.

Tego popołudnia trzymaliśmy straż na zewnątrz sądu. Ci pechowcy, którzy mieli być sądzeni, musieli uformować kolejkę i czekać niemal tak, jak w kolejce do kina. Nieuchronnie jeden lub drugi błagał nas o papierosa i nieuchronnie dostarczaliśmy je im.

Masz chłopie * Porta wyciągnął w połowie wypełnioną paczkę, a strażnik z SD rzucił mu wściekle spojrzenie.

* Nie dawaj papierosów bydlakowi, zabił jednego z moich chłopców. * Tylko jemu wydawało się, że ofiara była chłopcem.

Porta, jakby nagle dotknięty całkowitą głuchotą, wyciągnął rękę z zapalonym ogniem, uśmiechając się zachęcająco. Człowiek z SD odwrócił się czerwony ze złości.

* Robię dla nich to, co mogę najlepszego * wyce

dził Porta przez zęby. * Nie będą na tyle żywi, aby móc cieszyć się jutrem...

Chłopak oparł arogancko dłoń na biodrze.

* Musisz być z siebie dumny * powiedział Gre*gor potrząsając głową * Wielki statek w nocy, synu... a rano lekka papierowa łódka, co?

* Myślisz, że się przejmuję? A w ogóle, to wszyscy idźcie do diabła!

* Dlaczego my? * dopytywał się Porta, szczerząc zęby w uśmiechu. * Dlaczego nie twoi zabawni czerwoni bracia z Moskwy. A tak ucziwie, co tacy chłopcy jak ty w nich widzą!

* Jestem szczęśliwy, że jestem komunistą * rzekł dumnie. * Wolność proletariatu, to jedyna rzecz, która mnie interesuje.

* Jestem tego pewien * zgodził się Porta * ale jutro będziesz martwy i tyle z tego będziesz miał.

Kamienna płyta nad głową, to będzie twoja zdobycz. I cały czas, gdy ty będziesz leżał pod ziemią, oni będą prześladować biednych, krwawiących robotników. Czy myślisz, że choć trochę lepiej jest krwawić w Moskwie? * Porta odwrócił się i splunął.

* Idź tam i spróbuj, towarzyszu. Zmienisz zdanie już po paru dniach.

* To co, może lepiej jest w nazistowskich Niemczech?

* Czyja coś takiego twierdziłem? * A jest lepiej?

* Oczywiście, że nie jest. Ale we Francji, tak. Zobaczyłbyś to, gdybyś tylko zaczął myśleć.

* Chcesz coś wygadywać przeciwko autorytetom

* tak? Robisz to * tak? Bo jesteś we Francji i możesz robić rzeczy podobne do tego. Jeśli chcesz coś takiego zrobić w Moskwie, nie postawiłbym nawet paru zawszonych kopiejek, że dadzą ci szansę.

A poza tym, ja walczę przeciwko faszyzmowi.

* No nie! * powiedział Porta. * Faszyzm na moje oczy! Wiesz, co zrobiłeś, nieprawdaż? Zabiłeś jednego z tych twoich biednych, krwawiących robotników i walczysz cholernie ciężko o przetrwanie! Może i on był Niemcem, co rozumiem, ale również był robotnikiem. Przed wojną na pewno był robotnikiem. A ty przyszedłeś i zaszlachtowałeś go. Za co?

* Dla Francji. Walczę dla Francji, jak każdy dobry Francuz!

Dobra, zmieniasz sposób myślenia * rzekł Porta zdegustowany.

* Widzisz, jak cię dopada to w każdym momencie? * dodał Legionista. * Co przychodzi ze słuchania rozkazów wydawanych przez Anglików? Mówią wam. abyście poszli i zabili kogoś, albo wysadzili most, albo abyś palnął sobie w łeb kulę i latasz wokoło becząc jak stado owiec wpadających na siebie, aby tylko wykonać to, co oni wam rozkazali.

To nieprawda, ja walczę o wolność. Wolność czy komunizm? To jest jedno i to samo!

* Jaja sobie robisz * powiedział Legionista. * Dlaczego nie wyślesz się za sowieckie linie jako niemiecki szpieg? Upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu. Ocal się chłopcze przed plutonem egzekucyjnym i naucz się trochę prawdy o życiu.

Chłopak sposepniał i odwrócił się.

Gdzieś dalej jakiś człowiek łkając wy dobył z siebie pytanie.

* O co mnie oskarżają? * Chudy jak patyk facet we francuskim kombinezonie kolejowym rozłożył błagalnie ręce. * Przecież ja nic nie zrobiłem!

* Na miłość boską * ostrzegął go Gregor. * Gdy już będziesz w środku nie powtarzaj, że jesteś niewinny, wszystko, tylko nie to. Nie uwierzą ci, ponadto ich rozwścieczysz.

* Ale ja naprawdę nic nie zrobiłem!

* Może nie, ale to nie jest miejsce dla niewinnych facetów, wierz mi. Wyznaj wszystko, co będą chcieli, byś wyznał. Powiedz im wszystko, co im się spodoba, jeśli to cię uchroni przed rozstrzelaniem.

* Ale co mam wyznać? Ja naprawdę nic nie zrobiłem. To pomyłka!

Jeden ze strażników w mundurze SD podszedł z drobną poradą.

* Wymyśl coś, coś niewielkiego, w co mogliby uwierzyć. Ale upewnij się, że jest to coś, co nie prowadzi na egzekucję. Na przykład broń. Nawet o niej nie wspominaj. Dostaną szału, jeśli tylko pomyślą, że miałeś coś z nią do czynienia. Skażą cię bez wahania, jeśli pojawi się tylko jakaś wątpliwość na ten temat.

* Ale co ja zrobiłem? * beczał melancholijnie chłopak.

* Och! * rozdziawił gębę strażnik. * Trzasnąłeś żołnierza stalową sztangą w głowę.

* Ale za co? * spytał zdezorientowany.

* O Chryste! Skąd do diabła mam wiedzieć? Bo może miałeś na to ochotę!

* Ale ja nie zrobiłem tego, nie mógłbym.

Z pomocą przyszedł stary więzienny wyjadacz.

* Moja grupa rąbnęła ciężarówkę. Nie wiem, czy to ci się na coś przyda. Możesz powiedzieć, że to twoja robota. Problem w tym, że te gówna zawsze sprawdzają takie rzeczy. Robią to zawsze. I to jest ich pieprzony problem, ale zawsze sprawdzają takie rzeczy cholernie dokładnie.

* A co z czarnym rynkiem? * sugerował Porta. * To jest zawsze dobry pomysł.

* Ale ja nie znam nikogo, ale to nikogo, kto w tym siedzi.

* Oczywiście, że nie znasz nikogo * zgodził się facet z SD. * To pierwsza zasada gry: nie przyznawać się, że zna się kogoś, albo będą cię trzymać w więzieniu, aż zgnijesz.

* Spróbuj wyrzucić wszystkie nazwiska i adresy z głowy * wyjaśnił Porta. * A najlepiej, jak będziesz mówił, że byłeś sam.

Człowiek bezradnie wstrząsnął głową. Patrzyliśmy, jak oddala się w stronę sali sądowej i nie dawaliśmy mu dużych szans. Parę minut później pojawił się przy nas. Ku naszemu zdziwieniu był cały roześmiany.

* Zrobiłem to! I uwierzyli!

* Zrobiłeś co? * spytał Gregor.

* Uwierzyli w co? * domagał się odpowiedzi Porta.

* Że jestem spekulantem na czarnym rynku * odparł facet uszczęśliwiony. * Trzy miesiące więzienia!

Po chwili odszedł ze łzami radości w oczach odbyć

niezasłużony wyrok. Dyskutowaliśmy o tym fenomenie jeszcze parę chwil, aż do momentu, w którym ludzie z SD zaczęli znowu szturchać młodego komunistę.

* Gdyby to ode mnie zależało, to bym cię powiesił! Powiesił większość z was, cholerni czerwoni!

Zabiliście mojego ojca w 1933 roku * może powiesz, że byłeś za młody, aby to pamiętać. Ale przypuszczam, że jesteś tak samo winny, jak reszta z was! Jesteś cholernym komuchem, prawda?

* Zostaw go! * warknął Porta. * Zostało mu przecież tylko kilka godzin życia. Na miłość boską!

* Zostaw go w spokoju! Możesz to zrobić?

* On jest Żydem! * z zawziętością dodał facet z SD. * Wyczuję takiego na pół kilometra. Jesteś cholernym Żydem, mały czerwony bracie?

Chłopak pochylił głowę.

* Tak. Jestem Żydem * przyznał.

* Dobrze! To bardzo dobrze! Kiedy jutro rano będą ci wychodzić oczy na wierzch, będę tam i pomogę im.

Parę sekund później chłopaka wezwano do sali przesłuchań. Nie pojawiał się ponad pół godziny. A gdy wrócił nie miał powodu do śmiechu, został skazany na śmierć, tak jak przewidzieliśmy.

Dodatkowo pozbawiono go prawa do apelacji.

* Widzisz? * rzekł Porta smutno, gdy odprowadzaliśmy skazańca do więziennej ciężarówki, mającej odwieźć go do więzienia Fresnes. * Nie ma powodu do dumy. Po jaką cholere mieszales się w ten interes z komunistami? Prawdopodobnie chciales dobrze, ale tacy ludzie jak ty nie skróca tej wojny nawet o jedną cholerną minutę. To nie jest tego wszystkiego warte.

* Ile masz lat? * spytał delikatnie Stary. *Jutro będę miał osiemnaście * po czym poprawił się. * Miałbym jutro osiemnaście. Zależy, o której mnie powieszają.

* Za młody, aby umierać * gderał Porta. * Dlaczego nikt nie przełożył chłopaka przez kolano i nie wlał mu do tyłka trochę rozsądku, gdy była jeszcze na to szansa?

* Osiemnaście? * spytał zadumany Stary. Po czym zwrócił się do Heidego.

* Kto dzisiaj pełni wartę, czy przypadkiem nie ty?

* Aha * bąknął niewyraźnie Heide, gdyż jego myśli krążyły gdzie indziej * Tak, ja. Dwadzieścia cztery godziny piekielnej nudy.

Nagle potrzęsnał głową i popatrzył na Starego. Błysk podejrzenia rozszerzył jego oczy.

* Dlaczego? Co cię obchodzi, kto obejmie dzisiaj wartę? Słuchaj Stary * pochylając się do przodu ciągnął surowo dalej. * Nie próbuj mieszać się do tego interesu. Nie chcę żadnych kłopotów.

Stary nawet się nie odezwał. Tylko potarł parę razy palcem nos i nadal milczał.

O godzinie 18 objęliśmy wartę w bloku 4. Jest to pora dnia, w której panuje w więzieniu największy rozgardiasz. To pora wydawania wieczornych posiłków, więźniowie muszą być w tym czasie eskortowani tam i z powrotem do jadalni, do cel i latryn.

HauptFeldwebel odbywał swój codzienny obchód inspekcyjny, ciężkie klucze przekręcano w zamkach, zawiasy skrzypiały, drzwi trzeszczały i trzaskały. To miejsce wydawało się domem wariatów.

Wcisnąłem się za wielkie drzwi na końcu głównego korytarza i obserwowałem teren przez kratę. W celi obok mnie Barcelona kończył grę w karty z trzema skazanymi. Gdzie indziej, jeszcze pod ochroną wieczornego bałaganu, Mały wkraczał nielegalnie do biura Hauptfeldwebla.

Wprowadził do pokoju Portę i zamknął za nimi drzwi. Porta spokojnie i jakby przypadkowo usiadł na biurku podoficera i piórem Hauptfeldwebla podpisał się pod zezwoleniem na wyjście młodego Żyda skazanego na śmierć. Pismo zezwalało na wyprowadzenie więźnia na dalsze przesłuchanie do gestapo o godzinie 19.00.

* Dobrze wygląda? * spytał Porta.

* Dla mnie ekstra! * odparł Mały.

Jako włamywacze i fałszerze Mały i Porta nie mieli chyba sobie równych w całej armii niemieckiej. Nie było takiego zamka, którego nie otworzyłyby Mały, ani takiego podpisu, który oparłby się Porcie. Stanowczość i precyzja podpisu dawały pewność, że HauptFeldwebel potraktuje go, jak swój własny. Tylko dzięki dokładnej analizie można było nabrać podejrzeń o bezczelnym oszustwie.

Porta podniósł do góry kwadrat papieru i pokazał Barcelonie, który wchodząc o mało nie poślizgnął się na wypolerowanej podłodze. Przyszedł, aby nadzorować całą operację.

* Nie myślałem, że tak wygodnie jest być Haup*tfeldweblem. Jakie fajne rzeczy mają te leniwe bękarty.

Porta szturchnął miękkie siedzisko obrotowego krzesła, zaś Małego zainteresowały bardziej możliwości sofy. Barcelona nerwowo tupał obcasami przy drzwiach, a jego twarz zaczynała pokrywać się kroplami potu.

* Na miłość boską! Macie w sobie mniej nerwów niż para cholernych wołów. Zabierajcie swoje tyłki i wynośmy się stąd!

* O co to całe zamieszanie? * zaprotestował Mały. * My tylko wykonujemy rozkazy, nieprawdaz? I to jest to, co go denerwuje * odpowiedział Porta, otwierając szufladę biurka. * To on nam wydał polecenie.... Włamać się do biura Hauptfeldwebla i podrobić jego podpis na kawałku jakiegoś papierka, Gdy to zrobimy, on będzie miał mokro w majtkach. Ach! Są ludzie, których nigdy nie uszczęśliwisz.

* Nigdy nie mówiłem, abyście się rozwalali na krzesłach i plądrowali biurko * warknął Barcelona. Powoli i metodycznie Mały wraz z Portą obeszlą pokój i starli pozostawione przez siebie odciski palców. W tym czasie przez twarz Barcelony przebiegały wszystkie odcienie furii. Na szczęście był zbyt zajęty obserwacją Porty wycierającego podoficerski ołówek, aby zauważyć Małego, który wpakował całą garść cygar do kieszeni.

* Chodźcie już, na miłość boską, już dosyć! Barcelona potrząsnął nerwowo głową i otworzył drzwi na oścież. Porta niechętnie odłożył ołówek na miejsce i ruszył w stronę korytarza. Ostatni wychodził Mały. Zamknął za sobą drzwi i ostrożnie włożył kawałek złamanej zapalniczki w szczelinę zamka. Co do cholery robisz? * syknął Barcelona * Ratuje twój kark przed utratą głowy! * odrzekł Mały. * Nigdy nie otwieraj drzwi przed sprawdzeniem zamka. Zrobiłem to raz w moim życiu i zabrało mi to dziewięć miesięcy z mego życiorysu. Bękart, który był właścicielem drzwi, wsadził kawałek drewna do środka, a ja tego nie zauważyłem. Więc teraz, jak przystępuję do roboty, zawsze robię szybki przegląd. Możesz się założyć o swoje słodkie życie, że jeśli klawisz znajdzie swoją cenną zapalniczkę w zamku, to posłże wszystkich do piekła. I jeśli tak będzie, to nawet nie pomyśli, że ktoś u niego w biurze pracował.

* Dobra. Wygrałeś! Wiesz, co robisz, wielkie dzięki!

Barcelona i Mały opuścili więzienie oddzielnymi drogami. Porta dał mi znak, że wszystko jest w porządku i razem udaliśmy się do celi młodego Żyda.

* Teraz * szepnął Porta i rzucił w stronę chłopaka płaszcz * załóż to i chodź z nami.

* Dlaczego? * podskoczył blady ze strachu więzień. * Myślałem, że to dopiero jutro?

* Co jutro?

* No, egzekucja.

* To nie jest jeszcze przesądzone * powiedziałem.

* Nie wierzę wam! Dlaczego powinienem!?

* O Chryste * powiedział Porta. * Rusz się, możesz? Przyszliśmy cię stąd zabrać i nie mamy czasu na idiotyczne pogaduszki. Pomyśl, czy mógłbyś nam trochę pomóc?

*Ale...

*Nie ma żadnego ale. Zapnij płaszcz i słuchaj uważnie! Powiem ci tylko raz i upewnij się, że wszystko rozumiesz. Jak tylko odejdziemy, wnoś się stąd i idź do schodów. Gdyby ktoś cię zatrzymywał, mów, że idziesz do kibla. Jeśli nikogo nie będzie, zejź na parter i schowaj się tak, aby nikt cię nie widział. Zrób to tak szybko, jak tylko potrafisz i nie hałasuj. Dobrze? Jak już tam będziesz, znajdź pierwsze drzwi po lewej stronie, one pozwolą ci opuścić to bagno. Zostaniesz tam ukryty aż do zmierzchu. Jak tylko się ściemni popędzisz w stronę najdalszego końca podwórza. Rozumiesz? *Tak, ale...

* Chyba, że nie będzie spokojnie * kontynuował Porta, nie zważając na przerywniki chłopaka. * Sądźmy, że masz na to około dwóch minut. Będą oświetlać wszystko w tę i z powrotem. W przerwie między światłami masz dotrzeć do wysuniętych straży. Będą na ciebie czekać. Dobiegnij do nich, a oni resztę załatwią. Dobrze? Zrób to, co powiedziałem, a wszystko będzie dobrze.

* To proste jak sikanie * powiedziałem. Chociaż byłem przekonany, że ten plan nie może się udać.

* Oczywiście, jeżeli coś pójdzie źle, muszę cię ostrzec, że będziemy musieli cię zabić. Rozumiesz co mam na myśli? Jeśli cię złapią, wyciągną z ciebie wszystko, więc nie możemy ryzykować naszej skóry bardziej niż do tej pory.

* Cokolwiek by się działo, dużo szczęścia! * powiedziałem.

Wróciliśmy do stróżówki, aby śledzić przebieg wydarzeń. Porta stwierdził, że nigdy nie obchodzili go komuniści, nawet jeżeli byli osiemnastoletnimi dzieciakami. Gdy zwróciłem mu uwagę, że mógł odmówić współpracy przy tej nocnej procedurze zagroził, że spuści mi wszystkie zęby do gardła, jeśli się nie zamknę. Po tych słowach nasza rozmowa zamarła.

Chłopak opuścił celę, jak tylko odgłos naszych kroków znikł w oddali. Zamknął po cichu za sobą drzwi i pobiegł do szczytu schodów. Chwilę nasłuchiwał, ale nie słyszał żadnych kroków. Parę sekund później znalazł się na parterze i odkrył drzwi po lewej stronie. Drzwi zaskrzypiały jak kot w ekstazie, gdy je otwierał, a Barcelona zakrył dłońmi uszy i błagalnie spojrzał w niebo.

* Słodki Jezu! Jeśli ktoś usłyszał, co robimy...

* Prawdopodobnie tak może być * mruknąłem cicho.

Stary, który wyczekiwał poza stróżówką, otworzył drzwi i kiwając głową w naszą stronę powiedział:

* Dobra. Jest na zewnątrz.

Zgodnie z planem Porta i ja udaliśmy się, aby zamknąć drzwi, które pozostawały dotąd otwarte.

Gdy tylko wróciliśmy, światła szperaczy zaczęły omiatać podwórze. To była robota Georga.

Powiedział, że to jego zadanie i dobrze zrobiliśmy pozostawiając mu je. Światła reflektorów znikły na dwie minuty, po czym znowu zaczęły oświetlać plac od jednego do drugiego rogu. Ale cień zbiega nie był już widoczny

między latrynami a ścianą więzienia. Dobrze wykorzystał ten czas, aby zniknąć z pola widzenia w kącie dalekiego muru.

Ciężkie kroki zbliżały się do niego. Zgadywał, że były to kroki patrolu, który miał go poprowadzić do następnego etapu ucieczki. Rząd oślepiających światel strażniczych błyszczał ponad nim, na szczycie muru, rozświetlając zakamarki podwórza. Zauważył patrol zbliżający się ku niemu, prowadzili Legionista i Gunther Soest. Ich hełmy, znienawidzone niemieckie hełmy, które zmieniały twarz świętego w wykrzywioną maskę gargulca, błyskały groźnie w zimnym świetle. Chłopak musiał mieć nieliczne wątpliwości, jeśli spodziewał się odrobiny sympatii przy tym spotkaniu.

Gdy się zbliżali do miejsca spotkania, Gunther nerwowo kłął pod nosem. To był drugi raz, gdy uczestniczył w ucieczce i po pierwszym razie wzywał wszystkich świętych na świadków, że nigdy nie da się zrobić w coś takiego jak pierwszy lepszy naiwniak.

* To nie jest tego warte * mówił. * Nic nie jest warte na tej pieprzonej wojnie twojego życia, a już na pewno nie ten cholerny więzień.

A Gunther wiedział, co mówi. Był kierowcą czołgu przez osiem lat. Do tego momentu widział trzydziestu siedmiu swoich najbliższych towarzyszy usmażonych na śmierć i miał dziewięć okazji, aby pójść w ich ślady. Dopiero za dziesiątym razem dopadło go przeznaczenie * ocalił wprawdzie życie, ale stracił niemal całą twarz. Płonący olej niemal pozbawił go

ust i brwi, ciało odpadało kawałkami jak dobrze wysmażony befsztyk. Spędził siedem miesięcy w łóżku wodnym. Wyrwali go z objęć śmierci, ale ona pozostawiła na nim niezatarte piętno. Ręce miał jak pergaminowe szpony, a twarz jak nadmuchaną purpurową maskę. To był mężczyzna, na którego jego własna narzeczona nie mogła spojrzeć bez wstrętu i uciekła przerażona. I teraz ten człowiek drugi raz ryzykował życie, aby przesznułować skazańca z Fresnes. Francuza, do tego Żyda i komunistę. Wiedział, że pewnego dnia, po wojnie, gdy ten człowiek będzie go mijał na ulicy, spojrzy z politowaniem na jego groteskową purpurową maskę. Jeśli rodak nie może ukryć uczuć patrząc na jego twarz, to co dopiero myśleć o obcokrajowcu.

Co po wojnie może robić taki facet jak Gunther? Związać życie z takimi samymi jak on? Ukryć się w ciemności, gdzie nikt go nie zobaczy. Wydawało się nieprawdopodobne, aby normalni ludzie mogli spojrzeć na niego bez obrzydzenia. A Gunther był kiedyś przystojnym mężczyzną. Przywykł do pochlebstw, dziewczyny kręciły się wokół niego, jak na zawołanie, starając się zwrócić na siebie uwagę. A teraz nawet jego siostra mogła ledwie znieść jego towarzystwo w tym samym pokoju. Na ostatniej przepustce udało mu się wytrzymać tylko dwa dni w domu, po czym matka doznała załamania nerwowego. Jak wyjaśnił doktor, na myśl, co przytrafiło się jej jedyńemu synowi. Po tych wydarzeniach Gunther opuścił dom. Resztę urlopu spędził w domu dla rekonwalescentów w Tols. Tam był przynajmniej w towarzystwie takich jak on, całej generacji nowych Frankenste*inów stworzonych przez wojnę. Byli tam dobrze traktowani, ale obowiązywały ich ścisłe reguły, jeżeli chodzi o wyjścia do pobliskiej wsi. Można było wychodzić o kulach, na wózkach inwalidzkich, nie mieć ramion lub nóg. Ale nie bez twarzy. Jak im mówiono, aby nie obniżać morale okolicznych mieszkańców. Bohaterowie byli uznawani, jeśli posiadali heroiczne rany, ale nie było nic heroicznego w przeżyciu spalania żywcem w czołgu i posiadaniu odrażającego wyglądu. Ponadto, żaden z tych pozbawionych twarzy potworów nie wyrażał pragnienia wyjścia do wsi. Wciąż pozostawali wrażliwymi na ludzkie uwagi i spojrzenia mężczyznami, którzy wiedzieli, że żadna z dziewczyn nie zechce się z nimi całować. Poza tym

większość z nich nie miała ust, tylko bezkształtne otwory zakończone postrzępioną purpurową tkanką. Niektórzy mieli nadzieję, że po wojnie ktoś naprawi im twarze. To był jedyny powód, dla którego Gun*ther zdecydował się wrócić do armii i zdobyć więcej zasług. To był jego sposób na życie, wiara, że armia doceni jego zasługi i nagrodzi go nową twarzą. Oczywiście pod warunkiem, że Niemcy wygrają wojnę. Dla ludzi takich jak Gunther w zasadzie nie było alternatywy. Patrol zrównał się z chłopakiem skulonym w cieniu muru. Więzień podniósł się błyskawicznie z ziemi i, włączając się w jego rytmiczny marsz, bez jakichkolwiek problemów stał się częścią patrolu. Łagodnie został wprowadzony w środek grupy i znów był niewidoczny dla wścibskich oczu. Przy końcu muru grupa wykonała gwałtowny skręt w lewo i zatrzymała się.

Legionista mówił gwałtownie nie patrząc na chłopaka:

* Znajdziesz linę zaczepioną na murze. Jak tylko przejdą światła szperaczy, włącz na nią. Masz około trzydziestu sekund, aby wejść na mur i zejść z niego po drugiej stronie. Potem naprawdę szybko uciekaj. Weź to, ale używaj tylko wtedy, gdy naprawdę będziesz musiał, to jest karta identyfikacyjna, była robiona w pośpiechu, więc nie jest na sto procent pewna. Sprawdzi się tylko przy przypadkowych kontrolach.

Światła reflektorów przemknęły po żołnierzach patrolu, którzy ścieśnili się, aby osłonić chłopaka.

* Leć przez Paryż tak szybko, jak możesz. Pozostało około dwóch godzin do świtu. Udaj się do kościoła Sacre*Coeur na Montmartre. Wejź do trzeciego konfesjonału i powiedz, że ukradłeś kwiaty z cmentarza. Jak cię ksiądz zapyta, jakie to były kwiaty, masz odpowiedzieć, że niezapominajki. Wtedy cię stamtąd zabierze.

* Ksiądz? * mruknął niezadowolony chłopak. Legionista aż podniósł brwi ze zdziwienia.

* A co? Może wolisz gestapo?

* Oczywiście, że nie * rzekł chłopak i schował się w ciemności. * Wiecie, jestem wam bardzo wdzięczny za to, co dla mnie robicie.

* Nie mów za wcześnie, jeszcze daleka droga przed tobą. Znowu oświetlą nas szperacze. Jak tylko nas miną, ruszaj natychmiast.

Snop światła przesunął się po patrolu. Legionista dał chłopcu lekkiego kuksańca, a Gunther przygotował się do pomocy. Ale nie trzeba było nic robić, gdyż chłopak był zwinny jak pantera i w parę sekund znalazł się na szczycie muru. Legionista odbezpieczył pistolet maszynowy i skinął na Gunthera, aby uczynił to samo. Jeśli światła reflektorów zahaczyłyby uciekiniera, nie mieliby wyjścia i musieliby strzelać.

Wydawało im się, że jęzor światła pojawił się niemal natychmiast. Legionista tylko mocniej przycisnął do ramienia empi.

* Dobrze jest * mruknął Gunther. Światła reflektorów regularnie padały na nich i na mury.

Skierowali broń w stronę miejsca, w którym uciekinier miał zamocowaną linę. Dokładnie na chwilę przed tym, jak snop światła miał chwycić chłopaka, ten zniknął po drugiej stronie muru. Musiał zjeżdżać po linie tak szybko, że na pewno zdarł sobie dłonie do kości. Ale udało mu się przebyć mur bez zwracania na siebie uwagi.

Legionista zabezpieczył broń, zarzucił na ramię i odetchnął głęboko. Patrol kontynuował obchód bez przeszkód.

* Stary będzie nam wdzięczny * zauważył Legionista. * Ale to był chyba sen wariata.

* Wariata, mówisz * burknął Gunther. * Co na to wskazuje?

* Nie jestem pewien, co.

* Więc, do diabła, po co to robiliśmy?

* Nie mam najmniejszego pojęcia, po co * odparł z uśmiechem Legionista.

* Ani ja * powiedział Gunther. * Ale przysięgam na Boga, że nigdy, ale to przenigdy, nie dam się więcej zrobić w coś takiego.

Pół godziny później nastąpiła zmiana warty. Po całym więzieniu roznosił się chór głosów:

* Nic do zameldowania.

Głównodowodzący 103. Pułku Kawalerii, pułkownik Relling, był bardzo zadowolony z późnej

odmiany losu, która okazała się prawdopodobnie największym triumfem w jego karierze. Było nim podwójne aresztowanie pułkownika Toumy, szefa francuskiego ruchu oporu, oraz Yeo*Thomasa, agenta brytyjskiego wywiadu. Dzięki schwytaniu tych dwóch ludzi, Niemcy mogli uruchomić lawinę aresztowań w całej Francji.

Następą Toumy został generał Jussieu i był to awans, który dla francuskiego generała i niemieckiego pułkownika oznaczał pasowanie na rycerzy generalnego okrucieństwa, brutalności i całkowitego braku skrupułów, gdy chodziło o odbieranie ludziom życia.

Fala terroru wymiatała kraj. Wielu ludzi zasztyletowano, zastrzelono, uduszono, innych mordowano na wiele możliwych sposobów, w większości tak brutalnych, że ledwie mieściły się w ludzkiej wyobraźni i odporności psychicznej. Budynki administracyjne wylatywały w powietrze, kolumny zaopatrzeniowe wy*rzynano, placówki strażnicze ginęły tuzinami, pociągi i mosty stały się tak powszednimi celami, że nawet nie komentowano ich niszczenia. Świetnie wyszkolone grupy, pod dowództwem francuskich oficerów, przeprowadziły udany atak na dowództwo gestapo w Bourg*en*Bresse i za pomocą kulki w kark wysłały na tamten świat każdego, na kogo się wtedy natknęły.

Nieuchronnie, zorganizowane grupy krymina

listów przyłączyły się do tej zabawy i pod parasolem ruchu oporu dopuszczały się serii kradzieży, gwałtów i morderstw. Wkrótce bandytów zaczęli wieszać nie tylko Niemcy, ale i Francuzi...

Później okazało się, że duża część zbrodni była dziełem dezertersów z niemieckiej armii oraz włoskiej V Armii, hiszpańskich komunistów lub obcych agitatorów. Być może tak było, ale bez względu na narodowość schwytanych rozstrzeliwano natychmiast, bez procesu, a ciała bez ceremonii zakopywano.

Rozdział 12

Z CZERWONYM PŁASZCZEM NA MONTMARTRZE

Jest już w Malakoff wyjaśnił Czerwony Płaszcz z przekonaniem. * Przetrzymać go to nie problem. Martwi mnie, jak go przewieźć przez miasto. Gdy tylko o tym pomyślę, natychmiast dostaję sraczkę ze strachu. Ale... musi być sposób wydostania go stamtąd.

* Dlaczego nie pożyczyć ciężarówkę i nie wywieźć go po prostu? * zasugerował Barcelona. * Moglibyśmy podrobić rozkaz wyjazdu.

Heide pokręcił głową.

* To zbyt ryzykowne. Nigdy nam się to nie uda.

* Najlepsze są najprostsze rozwiązania * reklamował Porta * a najlepszy sposób, to po prostu przespacerować się przez miasto.

Popatrzyliśmy na niego z powątpiewaniem.

* Ty bredzisz szaleńcze * wysapał Heide * niech tylko ktoś wścibski się zainteresuje tym, co robimy, i nogi z tyłków nam powyrywają!

Stary podrapał się za uchem cybuchem fajki.

* Julius ma rację. To jest zbyt niebezpieczne.

* Gówniany pomysł * dodał Mały, kończąc dyskusję.

Czerwony Płaszcz opuścił nas, aby obsłużyć nowych klientów. Maszerował przez salę wielkimi krokami, a długi biały fartuch falował wokół jego nóg. Włosy na głowie i brodzie falowały mu delikatnie. Twarz zaś miał dużą, pełną, w kolorze pomidora, niemal księżyc w pełni. Promieniował zawsze dobrym humorem i zwykle był spocony.

Było to bistro ze zniszczonymi stołami i krzesłami, wysmarowanymi i łuszczącymi się ścianami, śmierdzące rewolucjonistami, informatorami, dezertersami i nielegalnym handlem. Porta, który nas tu pierwszy zaprowadził, był w swoim żywiole.

Czerwony Płaszcz usadził nowo przybyłych i wrócił do naszego stolika, przynosząc swąd spalenizny wprost z kuchni.

* Coś ci powiem! * powitał go Mały. * Robi się gorąco.

* Popatrz * podniósł solniczkę. * Spójrzmy na to tak, walniemy go w głowę, natychmiast poszatkuje*my i już możemy się wynosić. Całkiem proste i nie ma co robić zamieszania. Porta zmarszczył brwi.

* Czy są uzbrojeni? * dopytywał się niecierpliwie.

* Jeśli nie, to są większymi głupcami niż myślałem * odparł Czerwony Płaszcz.

* To co z tego? * wzruszył ramionami Mały. *Zwykli amatorzy. Rozwalimy każdego, który wejdzie nam w drogę.

* Dlaczego nie dasz swojemu tyłkowi szansy? * spytał Heide z irytacją. * Nie masz więcej rozumu niż napuszony paw. Już chyba jest dość zamieszania wokół tego komunisty, co uciekł, więc nie ruszajmy następnego gniazda szerszeni. Gestapowcy latają jak wściekli po całym Paryżu i przeczesują go szczoteczkami do zębów, aby znaleźć sprawców. I to tylko kwestia czasu, gdy któryś z nich uruchomi mózg, aby odkryć, co się naprawdę stało.

Porta wykonał jedno ze swoich pogardliwych parsknięć.

* HauptFeldwebel jeszcze na to nie wpadł. Nadal ślepo przysięga, że to jego podpis widnieje pod zezwoleniem na wyjazd, nawet jeśli nie pamięta, kiedy je podpisał. Jest jeszcze ten głupi podoficer, który twierdzi, że widział więźnia odjeżdżającego popołudniowym transportem.

Porta ponownie zarechotał radośnie.

* Ale ja mógłbym powiedzieć co innego, gdyby mnie spytali. Gdy transport odjeżdżał, on siedział na dole w klozecie i grał ze mną w kości. Więc to ja powinienem się martwić.

* Oni chcą myśleć, że chłopak uciekł gdzieś między Fresnes i gestapo, więc im w tym nie przeszkadzajmy. Tak będzie dla nas lepiej.

* Wała! * powiedział Heide gniewnie. * Oni nie są tak głupi, jak ci się wydaje. Ten chłopak został uznany za winnego i skazany na śmierć. I to bez prawa do apelacji. Ma mniej niż czternaście godzin do rozwalki. Więc wcześniej czy później jakiś dupek zada sobie pytanie, dlaczego chciało go mieć gestapo

do dalszych przesłuchań. I stąd już prosta droga do stwierdzenia, że cholerne gestapo wcale nie chciało go dalej przesłuchiwać. I co wtedy się stanie?

* Wtedy już skończy się wojna * odparł zuchwale Porta. * A przy okazji, co zrobiliście z dzieciakiem?

* Jest w kuchni * odparł spokojnie Czerwony Płaszcz.

* W kuchni!? * wrzasnął Heide. * Tutaj?

* A gdzieżby indziej? * powiedział Czerwony Płaszcz.

Heide zamachał rozpaczliwie rękami na znak rozpacz i wałnął zaciśniętymi pięściami w stół. Rozumiałem go. Muszę przyznać, że nie byłem szczęśliwy z zaangażowania się w tę sprawę.

* Co z nim jest? * spytał Mały, patrząc się na Hei*dego.

* Powiem ci, co jest! * sapał Heide rozgrzany do białości. * Gestapo ma do dyspozycji dziewięć milionów ludzi szukających w Paryżu tego robaka. To jest właśnie to! I kiedy oni kogoś szukają, to naprawdę szukają. I jak go tylko wyciągną, to godziny dzielą nas od chwili, gdy ten sukinsyn zacznie sypać.

Czerwony Płaszcz uśmiechnął się czule do Heide*go.

* Nie musimy się o to martwić. Nie rozpoznają go do końca świata. Trzymaj się, a coś ci pokażę. Przemiana była gotowa. Nigdy nie rozpoznałbym w tym skretyniałym wiejskim matołku, pomocniku kuchennym, młodzika, który uciekł z Fres*nes. Czarne włosy były teraz nieprzyjemnie rude, pod nosem jeżył mu się zarost, przypominający sierść dzika. Wielkie okulary przecinały jego twarz na pół. Nosił niezgrabne buty i spodnie kończące się powyżej kostek.

* No jak? * spytał dumnie Czerwony Płaszcz.

* Okropny * mruknął Heide. * Lepiej będzie dla niego, aby wyjechał z Paryża.

* Łatwiej powiedzieć, niż to zrobić, mój przyjacielu.

* Właśnie * wtrącił się Porta, wysuwając włochaty nadgarstek, aby spojrzeć na zegarek. * Gdzie oni do diabła są?

* Bóg to wie * powiedział Heide, jakby szukając okazji do następnej przygnębiającej tyrady. * Przede wszystkim nie powinni w ogóle wychodzić stąd. Też pomyśl, włóczyć się po Paryżu pełnym wściekłych gestapowców! Będą na pewno przesłuchiwać, bez względu na to, że tu siedzimy.

* Nie pękaj * powiedział Porta szczerząc zęby. * Legionista zna Paryż jak swoje pięć palców, a w razie czego jest z nimi Gunther. Jego twarz jest sama w sobie ausweisem. Nawet gestapo nie zatrzyma bez obaw Gunthera.

* Tyle tylko wiesz * powiedział gorzko Heide. Inni klienci zaczęli czynić wrzawę, aby zwrócić uwagę Czerwonego Płaszczka. Kilku bardziej krzykliwych domagało się piosenek. Karczmarz przepłynął na środek sali i ze spoconą twarzą, pełną dobrego humoru, zaczął przygotowywać się do śpiewania. Odrzucił do tyłu głowę i przy akompaniamencie starych skrzypiec, na których grał Porta, oraz akordeonu młodej dziewczyny zaczął śpiewać namiętym tenorem piosenkę o dumnym Paryżu. Miał dobry głos i większość z nas miała niezły akompaniament do picia. Nawet Heide, zapominając się, przyłączył się do chóru ze dwa razy. Bistro wkrótce wypełniła orgia dźwięków. Gruba czarna kucharka, Jeanette*te, która jak mi wiadomo była aktywnym członkiem ruchu oporu, stała podśpiewując i klaszcząc u wejścia do kuchni. Stukaliśmy stopami rytmicznie o podłogę, a szklanki i sztućce wybijały rytm melodii o błądy stołów.

Pół godziny później przeżyliśmy szok, gdy drzwi baru ktoś otworzył kopnięciem i poprzez mrok zauważyliśmy błyszczące odznaki żandarmerii. Wtargnęli do środka z typowym dla siebie brakiem manier, z bronią nieustannie przygotowaną do strzału ciężkimi butami niszcząc podłogę. Atmosfera zmieniła się natychmiast. Jeanette szybko wycofała się do kuchni i słyszeliśmy, jak dochodzą stamtąd odgłosy szaleńczej aktywności, rondle dźwięczały i strzelały korki. Reszta z nas popadła w głębokie milczenie. Faceci zatopili twarze w szklankach lub zaczęli gwałtownie interesować się paznokciami albo wytartymi kawałkami podłogi. Jeśli miałeś szansę uchwycić czyjeś spojrzenie, było ono pełne strachu, podejrzliwości i nienawiści. Patrzyliśmy na siebie kompletnie zaskoczeni. Porta stał jak grzesznik ze zwieszoną ręką trzymającą skrzypce. Dziewczyna z akordeonem umknęła daleko do kąta, jak pajak spłoszony snopem światła.

Dowódca patrolu, StabsFeldwebel, stał przez chwilę przy drzwiach baru, omiatając lodowatym spojrzeniem salę. W końcu jego wzrok zatrzymał się na Porcie.

* Ty! Obergefreiter!

Dumnie podszedł do Porty, a ten patrzył na niego z wyrazem zamyślenia na twarzy.

* Co tutaj robisz? Czy masz pozwolenie na przebywanie tutaj w nocy?

Porta wyprostował się wolno i pokazał przepustkę. Widzieliśmy jego niechęć. Nie było to w naturze Porty i chyba nie chodziło o okazanie pogardy takiemu facetowi jak ten StabsFeldwebel. Widział on, jak reszta z nas, że sytuacja była daleka od bezpieczeństwa. To nie były czasy, aby zwracać na siebie uwagę, a Porta nie był głupcem. Poza tym StabsFeldwebel nie był byle kimś. Zналиśmy go z widzenia i reputacji, jaką się cieszył. Przez cztery lata on i jego komandosi spędzali każdą noc odwiedzając każdy bar, klub i burdel w Paryżu i nie było nocy, aby nie wywlekli przynajmniej jednego biednego diabła na przesłuchanie. Być wyciągniętym przez Stabsfeldwebla Ma*linowskiego, to prawie jak usłyszeć wyrok śmierci. Miarą jego sukcesów był Krzyż Rycerski wiszący na szyi.

* Z kim jesteś? * dopytywał się, wciskając Porcie przepustkę z powrotem.

Porta machnął rękami w kierunku całej reszty klientów, a my usiedliśmy skromnie przy stołach, starając się wyglądać jak wzorowi żołnierze. Ma*linowski spojrzał na nas pogardliwie, skinął głową i przeszedł obok nas.

Przeszukiwali bistro z góry na dół. Młodą dziewczynę, która siedziała w toalecie i nie wiedziała o zaistniałej sytuacji, zmuszono do otwarcia drzwi i okazania papierów. Kuchnia została splądrowana. Każdą puszkę i skrzynkę otwarto i sprawdzono. Piec przeszedł szczególnie dokładne przeszukanie. Przynajmniej dziesięć minut zajęło im wygrzebywanie popiołu z paleniska. Jeanette patrzyła na to wszystko podpierając się pod boki, a na

jej jowialnej twarzy czaiło się szyderstwo. Chłopakowi posłano jedno spojrzenie i zignorowano go. Całe piętro powyżej zostało zrewidowane. Powyrzucano ubrania ze skrzyń i szaf, kredensy zostały dokładnie przetrząśnięte, a ich zawartość znalazła się na podłodze. Zrywano koce i pościel z łóżek, materace i kołdry rozpruwano, kluto i dziurawiono. Ręce poszukiwaczy zanurzyły się w każdym zbiorniku i pojemniku.

Po godzinie żandarmi zrezygnowali z przeszukania. Ale wydało im się nieprawdopodobne, aby nie znaleźć żadnego kozła ofiarnego na dzisiejszy wieczór. Malinowski stał przy barze i przenikliwie lustrował stół po stole. Jego ludzie stali obok niego, czekając na skinienie mistrza. My zaś siedzieliśmy cichutko, ciekawi, gdzie uderzy siekiera.

Powolutku StabsFeldwebel wyjął z kieszeni talię fotografii. Spokojnie je przeglądał i porównywał z obecnymi na sali, dokonując precyzyjnej selekcji. Dwa wielkie kroki przez pomieszczenie pozwoliły mu się znaleźć przy stoliku zajęтым przez młodych ludzi, którzy przez cały wieczór cicho sobie popijali.

* Żandarmeria niemiecka. Papiery poproszę.

Słowa te były adresowane do niepozornie wyglądającego chłopaka, odzianego w szare, zużyte ubranie i twarzy bez jakichkolwiek znaków szczególnych.

* Fałszywe * rzekł ponuro żandarm. * Szukamy cię od ostatnich dwóch miesięcy. Teraz cię znaleźliśmy i bardzo dokładnie ci pokażemy, co robimy z dezertarami.. . Ktoś ci musiał pomóc! Kto to był?!

Myślę, że nikt poważny nie mógł przewidzieć odpowiedzi. Wszyscy chyba byli zaskoczeni, gdy jedna z dziewcząt gwałtownie podniosła się z krzesła i zasalutowała.

* Czy ona oszalała? * westchnął Mały swoim donośnym szeptem.

Malinowski natychmiast zwrócił na nas uwagę. Barcelona wymierzył Małemu karcący kopniak w goleń, Heide syknął gniewnie przez zęby. To nie był dobry moment, aby prowokować kogoś takiego, jak ten facet.

Jednak nasze ostrzeżenia przyszły za późno. Malinowski był stworzeniem instynktownym. Jego zmysły podpowiadały mu, że w tym szczególnym bistrze może znaleźć coś więcej niż dezertera i jego dziewczynę. Zostawił paru ludzi zajętych zakładaniem kajdanek parze dzieciaków, a reszta jego psów z uniesionymi ogonami i spuszczonej do ziemi nosami ruszyła na ponowne poszukiwania. Sprawdziło się moje przypuszczenie, że szept Małego i nasza natychmiastowa reakcja utwierdziła go w przekonaniu, że warto kontynuować rewizję nawet przez całą noc, a na pewno coś znajdzie. Wiadomo było wszystkim, że nienawidzi żołnierzy, którzy byli aktywni na froncie. Plotka głosiła, że dwa dni wcześniej aresztował podporucznika odznaczonego Krzyżem Żelaznym.

* No to pięknie * mruknął ponuro Heide. * Stało się. Mówiłem, że tak będzie. I wszystko przez tego cholernego Żyda.

* Myślę, że powinniśmy zacząć od kuchni * powiedział Malinowski.

Czerwony Płaszcz poruszył nerwowo łokciem i zaczął protestować ze swadą, wspominając coś o przypalonej zupie i zrujnowanej kolacji. Malinowski z niewinnym uśmiechem odsunął go z drogi.

* Jest coś ważniejszego niż przypalona zupa.

* Ale moi klienci!

Niemal w tej samej chwili parę nowych osób weszło do baru. Wszyscy odruchowo odwrócili się w stronę drzwi. Wydawało się, że mężczyzna, który wszedł pierwszy do baru, miał twarz zakrytą pończochą. Przyglądając się dokładniej, można było zobaczyć jego wykoślawione rysy. Oczy były jak szparki, zamiast nosa miał dwa małe otworki, a usta wyglądały jak obwódka ciemnej dziury. Nie miał brwi, skóra na twarzy była pokryta cętkami purpury. Na szyi usztywnionej skórzanym kołnierzem wisiała wstążka Krzyża Rycerskiego.

* No dobrze * Gunther poruszył parodią ust. * Czyżbyście porzucili, Stabsfeldwebelu, zwyczaj salutowania starszym stopniem?

Malinowski strzelił obcasami i wolno zasalutował podnosząc dłoń do czoła. To było minimum tego, co mógł w tej sytuacji zrobić. Mógł być Stabsfeldweblem Malinowskim, posiadać Krzyż Rycerski, ale żołnierz z takimi ranami mógł żądać, co mu się podobało. Gdyby Gunther wyciągnął swój

rewolwer i zastrzelił Malinowskiego, a następnie stwierdził, że został przez niego obrażony, nikt by się nie wahał przyznać racji rannemu weteranowi.

* Panie chorąży * głos Malinowskiego wydawał się pełen szacunku. * Patrolujemy 18. rejon, zgodnie z rozkazem. Właśnie złapaliśmy dezertera, którego poszukiwaliśmy od dwóch miesięcy, razem z kobietą, która mu pomagała.

* Dobrze * powiedział beztrząsliwie Gunther. * Rozumiem, że zakończył pan tu swoje interesy? Malinowski zawahał się. Gunther odwrócił się od niego, co oznaczało koniec konwersacji. Jego obie nogi od kolan w dół były protezami, ale prawie nikt nie mógł tego od razu zauważyć. Musiał poświęcić kilka tygodni nadludzkiego wysiłku, aby się na nich nauczyć chodzić, jak również opanować ruchy lewym ramieniem, które zbudowane było z czterech kawałków stali. Chciał umrzeć w pierwszej chwili i nikt nie miał pojęcia, skąd wziął w sobie tyle silnej woli, aby żyć dalej. Mógł zostać oficerem w Waffen SS, co oferowano mu zaraz po wyjściu ze szpitala. Ale on zawsze służył w czarnym huzarskim mundurze i traktował to jako „wypełnienie obowiązku”. Z nami czuł się jak w domu. Nie tylko byliśmy jego przyjaciółmi, ale również chyba jedynymi ludźmi na świecie, którzy mogli na niego patrzeć tak samo obojętnie, jak na siebie samych.

W bistro znowu zaległa cisza. Wszyscy z napięciem patrzyli na Gunthera.

Powoli wyciągnął papierośnicę, wyjął z niej papierosa i włożył go do pozbawionych warg ust.

Ma*linowski już nie patrzył na Gunthera, tylko na jego papierośnicę. Była wykonana ze złota, a na wieczku ostentacyjnie tkwiła czerwona gwiazda z sierpem i młotem.

* Ładna rzecz, nieprawdaż? Pamiątka spod Stalingradu, jak pewnie zgadujesz.

Zamknął z trząskiem papierośnicę i schował ją do kieszeni.

* Byłeś kiedyś w okopach, Stabsfeldwebel? Trzysta tysięcy Niemców zginęło w tym mieście, czy wiedziałeś o tym? Ci z nas, którzy to przeżyli, chyba zasługują na takie drobne pamiątki, chyba się ze mną zgodzisz?

Ostatnie zdanie wypowiedział cedząc każde słowo.

Malinowski mało nie pękł, ale nie odezwał się ani słowem.

Nagle ton głosu Gunthera zmienił się.

*Jeśli już skończyłeś swoją powinność, chciałbym zobaczyć twoje plecy.

StabsFeldwebel nie miał innego wyjścia, jak tylko opuścić lokal. Drzwi zamknął ostatni z żandarmów, a przez knajpę przeleciało wyraźne westchnienie ulgi.

* Wygląda na to, że przybyliśmy w odpowiednim momencie * zauważył Legionista chłodno, opuszczając swój posterunek przy drzwiach. Następnie podszedł do naszego stołu.

* To śmieszne * powiedział Heide * to chyba

szczyt lunatyzmu. On teraz powinien być na drugim końcu Francji.

Nikt nie zwracał uwagi na Heidego, gdyż byliśmy zajęci napełnianiem Gunthera dziękczynnymi drinkami.

* No dobra * rzucił skromnie * czasami trzeba korzystać z przewagi, jaką dają nasze zasługi.

Dziewczyna z akordeonem wyszła z cienia i zaczęła grać skoczną melodię. Porta chwycił skrzypce, a Czerwony Płaszcz zaczął się znowu uśmiechać. Heide upijał się w pełnym odrętwieniu i nie był w stanie nic zrobić, jak tylko chrząkać. Mały wędrował po sali i podszczypywał tyłki dziewczyn, mówił sprośne żarty każdej z nich, co wywoływało ponowny szok. Gunther, pełen czerwonego wina, wyrwał sprzed nosa Barcelony dziewczynę w żółtej sukience i próbował z nią tańczyć.

* Niech żyje Francja! * darł się delirycznie Porta. Legionista wlewał w siebie systematycznie alkohol i po chwili mógł się przyłączyć do bełkotu Heidego.

Gunther podążał drogą Legionisty, a dziewczyna w żółtej sukience, starając się uniknąć oczami jego twarzy, chichotała mu do ucha. Korzystaliśmy z cudownej przerwy, aby odetchnąć od świata na zewnątrz, od strzałów karabinowych, przytłumionego huku wybuchów, terkotu silników samolotowych nad nami. Wszystko to mogliśmy w tej chwili ignorować. Wojna dla wszystkich trwała już zbyt długo, abyśmy się nią przejmowali w takiej sytuacji. Niespodziewanie Barcelona stuknęła mnie w żebra.

* Uwaga. Drzwi się otwierają. Zesztywnieliśmy momentalnie, obawiając się powrotu Malinowskiego. Tym razem była to Jacqueline, dziewczyna, którą poznałem w kwaciarni

w Normandii i która poczęstowała mnie prawdziwą kawą. Wiązały się z nią i inne wspomnienia, ale przede wszystkim kojarzyła mi się z zapachem kwiatów i aromatem świeżej kawy. Miałem trochę szczęścia, że spotkałem ją w Paryżu. Przez ostatnie parę tygodni spotykaliśmy się ukradkiem, ale to był pierwszy raz, gdy ośmieliłem się zaprosić ją na oficjalną randkę w kawiarni. W momencie, gdy wkroczyła do bistro, zaraz tego pożałowałem. Porta natychmiast ją poznał.

Miała na sobie miękki, zielony, muślinowy strój, który czynił ją niezwykle piękną i powabną.

* Masz jednak coś wspólnego z tym ptaszkiem z Normandii? * spytał Porta podejrzliwie * Jak długo się to ciągnie? Musisz się od niej uwolnić, zanim wpadniesz głębiej. Taki zakochany ptaszek, zakochana kobieta bywa niebezpieczna.

* Nie wiesz, o czym mówisz * odparłem chłodno.

* Nie wiem? * szydził Porta * Nie pamiętasz, jak trzepotała powiekami do ciebie swego czasu w Normandii?

* Co ci do tego? *Wszystko!

To był Heide wylaniający się w otchłani chrząka*nia. Teraz przyłączył się do kłótni. Spojrzał wyzywająco na Jacqueline. Chwycił mnie za kołnierz i zaczął chuchać na mnie. Patrzył na mnie złowrogo

swoimi małymi przekrwionymi oczkami.

* Wszystko robisz z nami! Ty i twoje francuskie ciasteczko. Możesz mieć w dupie wszystko, co nas dotyczy, ale nie wpuszczaj jej do nas!

Odepchnął się rękami od mojej piersi i wyciągnął rewolwer.

* Porta ma rację, kobiety takie jak ta są niebezpieczne. Robią się zazdrosne, nerwowe i wścibskie. A co najgorsze, za dużo gadają.

* Co się stało? * dopytywał się Gunther z drugiego końca stołu.

Barcelona zaczął mu szeptać coś do ucha. Widziałem jak Gunther taksował spojrzeniem każdy szczegół twarzy i sylwetki dziewczyny. Barcelona spojrział na mnie i potrząsnął głową z dezaprobatą. Legionista odchylił się do tyłu razem z krzesłem i obojętnie czyścił paznokcie ostrzem noża. A Jacqueline uśmiechała się do mnie.

* Co się z tobą dzisiaj dzieje? Zachowujesz się jakoś dziwnie.

Zaprowadziłem ją z powrotem do drzwi i wyjaśniłem sytuację. To była całkowita pomyłka. Można przecież znaleźć lepsze miejsce na spotkanie. Paryż był po prostu niebezpieczny. Szpiedzy byli wszędzie i jeden mały błąd mógł spowodować, że znajdziesz się wśród martwych. Jacqueline zrozumiała mnie doskonale. Nie zadała nawet jednego pytania. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia w innym miejscu. Cichutko wyślizgnęła się z baru i zniknęła w ciemności ulicy. Z ulgą obserwowałem jak odchodzi.

Z wolna bistro pustoszało, aż w końcu zostaliśmy sami. Czerwony Płaszcz wyciągnął mapę i rozłożył na stole.

* Oczywiście * powiedział Porta. * Obiekt jest cholernie ciężki.

* Ma się rozumieć * odparł Czerwony Płaszcz * byłbym zawiedziony, gdyby nie był.

* Jak przierzucimy to przez most?

* Przeniesiemy * rzucił beztrąsko Mały.

* Powiedz jej, żeby przepłynęła przez rzekę.

* One nie pływają.

* Oczywiście, że pływają. Nie bądź tak cholernie głupi!

* Ale to jest słaby punkt * powiedział poważnie Legionista. * Mosty są dokładnie strzeżone.

* Może spróbować w ciągu dnia? * sugerował Czerwony Płaszcz. * Wtedy na nich jest dużo ludzi.

Moglibyście przemknąć niepostrzeżenie.

Barcelona potrząsnął głową.

* Nie damy rady. Nie mamy koniecznych przepustek.

Niespodziewanie Porta dźgnął brudnym paluchem w mapę.

* Właśnie! Chodźmy teraz i rąbnijmy ją.

* Ale jak przeniesiemy ją przez most?

* Nie wiem, dopóki nie staniemy przed mostem. Nie marnujmy czasu na tworzenie planów.

Napuzeni Prusacy cały czas planowali i widziecie, dokąd to ich zaprowadziło? Osiem dni po zakończeniu ostatniej wojny już robili narady o nowej. Nie warto się martwić. Niech wszystko się toczy swoim biegiem.

* Twierdzą, że powinniśmy mieć plan * upierał się Heide.

* Nie potrzebujemy planu. Mam w kieszeni parę gumowych stempli z napisem „ściśle tajne”.

* Tylko czy one się nam do tego przydadzą?

* Będziecie zadziwieni * odparł Porta. * Za ich pomocą mogę tworzyć cuda.

* Rzygać mi się chce * zrzędził Heide * Źle mi się robi przez was. To wszystko jest bez sensu. Jak nie Żyd, to znowu...

* Przypuszczam, że będą do nas strzelać * wtrącił Mały marszcząc twarz. Do tej pory siedział cicho.

* A jak wpadniemy na patrol?

* Na jaki patrol?

* Na początek na bandę Malinowskiego * warknął Heide. * Gumowe stemple nie pomogą nam na takich chłopców. Choćby nie wiem jak były tajne.

* To proste * dodał Porta. * Musimy do cholery strzelać szybciej niż oni.

* Pozwólmy uciec chociaż jednemu, a cała zabawa zacznie się od nowa.

* Żaden nie ujdzie żywy * oznajmił Mały i pochylił się do przodu z determinacją na twarzy. * Weźmiemy bazookę.

* Maszerować w pełni dnia po Paryżu z bazooką

* rechotał Heide. * Wszyscy pomyślą, że dozbrajamy cholernych komunistów!

Legionista podniósł się.

* Mam już dość tego gadania * przerwał dyskusję.

* Zróbmy to na wycucie.

* To właśnie chciałem powiedzieć * oznajmił Porta.

* To kiedy ruszamy? * dopytywał się Mały z podnieceniem. * Zaraz?

* Oczywiście nie. Zaczynamy jutro w nocy.

Pierwszy z nich pojawił się w oknie. Wspiął się, po wąskim gzymsie. Balansując przez parę sekund poszukiwał poniżej i powyżej jakiegoś oparcia. Nie znalazł. Nagły strzał i człowiek jak śliwka poleciał głową w dół w pustkę poniżej.

Następny mężczyzna pojawił się w oknie. Również wspiął się na gzymsie. Zręcznie jak kot owinał się wokół rynny biegnącej wzdłuż narożnika budynku. Ostrożnie zaczął zsuwać się w dół. Rozległ się następny strzał. Drugi człowiek dołączył do pierwszej ofiary na asfaltowym podwórku poniżej okna.

Trzeci człowiek nie czekał na strzał. Jego sylwetka przez chwilę majaczyła w oknie, następnie zanurkował w dół, aby podzielić los towarzyszy.

Bomba zapalająca spełniła swoje zadanie. Płomienie wypełniły wszystkie okna budynku z wyjątkiem dwóch na samym szczycie poddasza. Można było zauważyć tłum ludzi przy nich zgromadzony. Dwóch z nich skoczyło w dół przy akompaniamencie strzałów z dwóch karabinów maszynowych. Gestapo nie pozostawiało żadnych szans.

To był moment, w którym opuściliśmy kryjówkę i ruszyliśmy dalej. Obserwowaliśmy rewanż gestapo na gnieździe ruchu oporu za śmierć czternastu tajnych agentów. Ale to było dla nich coś więcej niż rewanż, to był dla nich bal.

Gdy gestapowcy powrócili do pojazdów, zastali dwóch kierowców i strażnika z gardłami poderżniętymi od ucha do ucha.

Taka historia miała miejsce w Paryżu pewnej sierpniowej nocy 1944 roku.

Rozdział 13

NOCNA WYPRAWA PRZEZ PARYŻ

Noc była naprawdę ciemna. Czasami tylko blade światło księżyca przebijało się przez chmury, ale niebo było generalnie całe zasłane chmurami i nie widniała na nim nawet jedna gwiazda.

Paryski Malakoff był cichy i ciemny. Tylko koty wojowniczo spoglądające na siebie na środku drogi, wydawały się być jedynymi żywymi istotami. Na chwilę przestały się poruszać i zaczęły się nam przyglądać, chwilę potem, z żywotnością daną tym zwierzętom przez naturę dopadły siebie z dzikim piskiem. Ominęliśmy je po cichu.

Dwóch żandarmów na rowerach pojawiło się niespodziewanie. Mijając nas, popatrzyli z wrodzoną sobie podejrzliwością, a Mały pogroził im pięścią.

* Żadnego z nich! * warknął Stary. * Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że jeśli będziemy unikać kłopotów, nie będziemy musieli później uciekać.

Mały popatrzył ze smutkiem na dwóch odjeżdżających rowerzystów.

* Nie o nich mi chodziło, tylko o ich złote zęby.

* Na miłość boską * wycedził przez zęby Barcelona. * Idziesz, czy zostajesz?

Dogoniliśmy ich z Portą na rogu rue Berenger i rue de Nord.

* Jesteś pewien, że wiesz gdzie to jest? * dopytywał się Gunther. * Wszystkie rudery wyglądają w tym miejscu tak samo. A ja nie czuję się w nastroju latać w kółko.

* Wiem na pewno * odparł Porta.

Obrócił się wokoło, starając się zorientować w ciemności.

* To nie jest daleko stąd. Pamiętam, przychodziliśmy tam wcześniej, po przeciwnej stronie ulicy.

Obok bistro, przy którym zastrzelono faceta. To bistro dobrze pamiętam. Szukajmy śladów kul w ścianie.

* Są ich tuziny * powiedział Gunther, przechodząc na drugą stronę ulicy, aby sprawdzić.

* Naprawdę?

Porta również przeszedł na drugą stronę i rozglądał się. Stary wykonał gniewny ruch ręką.

* Nie możemy ruszyć się dalej?

* Nie zatrzymuję cię * rzekł Porta. * Kto zapraszał cię na tę przechadzkę? Poczekaj chwilę.

Zanurkował gdzieś i zniknął pod niskim łukiem na parę minut.

* Boże wszechmocny! * Barcelona rzucił nerwowe spojrzenie. * Gdzie znowu tego głupka poniosło? Żałuję, że dałem się w to wrobić. Dlaczego my nigdy nie zachowujemy się, jak wszyscy inni. Dlaczego zawsze musimy pakować się w kłopoty?

* Bo one mnie szukają * powiedział ponuro Stary.

* Dlaczego go ktoś stamtąd nie wyciągnie? * narzekałem, nie mając ochoty tego robić osobiście.

Pojawił się Porta, śmiejąc się radośnie.

* Rozglądałem się po dziewczynach z tego rejonu * mrugnął sprośnie do Małego. * Jutro wieczorem obok kina na placu Clichy. Myśli o mnie.

* Ty bękarcie * odruchowo mruknął Mały. * Założę się, że nawet nie spytałeś się, czy ma chłopaka.

* No to co? Idziemy, czy nie? * domagałem się decyzji.

* Tędy * powiedział Porta. * Trzymajcie usta zasznurowane. Obejrzałem cały teren, możecie zaufać wujkowi Porcie... Chodź Sven, nie guzdrz się z tyłu. Trzymaj się blisko.

Ruszyliśmy za nim pod niskim sklepieniem wąską błotnistą ścieżką, aż do zrujnowanej stodoły.

* W środku? * syknął Barcelona.

* W środku * potwierdził Porta. Wyciągnął pochodnię i skinął na naszą grupkę.

* Chodźcie i macie być cicho. Przycisnęliśmy nosy do brudnego okna. Gregor aż gwizdnął cicho ze zdziwienia.

* Walnij mnie. Nigdy nie myślałem, że mogą urosnąć do takich rozmiarów. Przecież one są wielkie jak balony zaporowe.

Mały wsadził rękę do kieszeni i zaprezentował nam sporych rozmiarów młotek.

* Prosto między oczy * powiedział tęsknie. * Wali jak głaz. Nigdy nie wiadomo, w co się wali.

* Nie zaczynaj gadać jak furia * błagał Stary. * Wokół nas śpią ludzie. A my nie chcemy pobudzić całego sąsiedztwa.

* Gdzie jest wejście? * spytał Barcelona.

* Zaraz obok.

Porta podprowadził nas pod stare i ciężkie drzwi, które nie były oliwione chyba od wieków. Odgłos zawiasów niósł się echem i wracał do nas w ciszy nocnej. Gdzieś w pobliżu zamiauczał kocur. Przyłgnęliśmy do ściany, nastawiliśmy uszy i wstrzymaliśmy oddechy. Na szczęście nikt się nie pojawił. Kocur przebiegł obok nas, płaczkliwie wyjąc. Jego jęki stopniowo milkły, gdy się od nas oddalał. Zapanowała cisza.

* Idziemy!

Pierwszy do stodoły wkroczył Mały z przygotowanym młotkiem. Reszta ostrożnie postępowała za nim.

Nagle rozległ się odgłos jakby tysiąca puszek spadających ze schodów. Mały wydał dziki okrzyk, a następnie zaczął kłać swoimi ulubionymi bluzga*mi. Pojawił się w zasięgu światła pochodni. Był cały obryzany strasznie śmierdzącą i obleśnie wyglądającą cieczą.

* Jaki kutas zostawił wiadro pełne gówna na schodach?!

Zamachnął się nogą i jednym kopnięciem posłał puste już wiadro w stronę ściany. Wiadro grzecho*cząc odbiło się od muru i poleciało w stronę Małego. Mały wymierzył jeszcze jedno potężne kopnięcie. Chórem zaczęliśmy go uspokajać, ale było już na to dużo za późno. Legionista wyrwał z kieszeni rewolwer i pobiegł w stronę ulicy. Usłyszeliśmy ciężkie odgłosy kroków.

* Wer da? Wer da? * dobiegły do nas krzyki z chropawym saskim akcentem.

* Do diabła! * wrzasnął Mały. * Przekłęci Sasi! Zaszarżował obok nas, dobiegł do Legionisty, odepchnął go i ruszył prosto w stronę uzbrojonych żołnierzy, którzy zbliżali się do wąskiego przejścia. Mały był rozjuszony, pokryty cuchnącą mazią, nie był przyjaźnie nastawiony. Żołnierze rozpiechli się przed nim jak kręgle. Legionista z rewolwerem nie był już potrzebny. Porta rechotał ze śmiechu, patrząc jak dwóch żołnierzy wysmarowanych błotem panicznie uciekało, ratując życie. Pozostało po nich tylko parę hełmów i zerwany kołnierzyk.

* No i co teraz? * spytał Stary sucho.

Mały pochwycił swój młotek i ruszył z powrotem w stronę stodoły. Staliśmy razem przed wejściem i patrzyliśmy, jak znika wewnątrz szopy. Widać było błysk młotka w ciemności. Później nastąpił dziki skowyt. Momentalnie się rozbiegliśmy. Rzuciłem się płasko na ziemię, zakrywając dłońmi uszy, ale piekielny skowyt nie ustawał. Barcelona i Heide mało się nie stratowali, cofając się w stronę ulicy. Legionista wskoczył na niski murek i natychmiast ścisnął mocniej w dłońi odbezpieczony pistolet, gotów strzelać do każdego, kto by się pojawił. Skowyt wzmocniony był teraz przekleństwami Małego. Znowu rozległy się ciężkie kroki. Z mojej kryjówki w kącie pod daszkiem widziałem

kilku piechurów z korpusu inżynierskiego, którzy wbiegali na podwórze z bronią gotową do strzału. Prowadzeni byli przez kaprała z pochodnią w rękę, miotającego przekleństwa pod adresem sabotaży*stów i złodziei.

Ponownie rozległy się przekleństwa Małego. Pochodnie gwałtownie zgasty, ktoś krzyknął, rozległy się głucho uderzenia, łomot padających ciał i odgłosy wystrzałów. Ogólna panika i zamieszanie. Ktoś zaczął wzywać pomocy. Zapaliłem pochodnię i stanąłem na nogach. Stodoła sprawiała wrażenie pełnej ludzi. Kaprał gdzieś zniknął, jeden z szeregowców próbował zanurkować w stronę drzwi. Obserwowałem frunący w powietrzu karabin, który kolbą trafił go w tył głowy. Padł jak kamień, przy akompaniamencie śmiechu Porty.

* Ale gówno * powiedział Mały. * Dlaczego istnieją ludzie, którzy nie pilnują swoich interesów, a wtrącają się do cudzych?

Siedział okrakiem na olbrzymiej maciorze, która sprawiała wrażenie martwej. Delikatnie podrapał ją za różowym uchem.

* Dzielna dziewczynka * rzekł z uznaniem. *Dzielnie walczyłaś.

Z małymi kłopotami i z jeszcze mniejszą radością ciągnęliśmy zwierzę w stronę drogi.

* Będzie łatwiej * doradzał Porta * jak złapiemy ją za kopyta.

* Zamknij się! * krzyknąłem porywczo.

Tylko pięć minut minęło od walki o świnie, a ja czułem chęć do walnięcia kogoś w głowę.

* Dlaczego nie weźmiemy noża i nie potniemy jej tutaj?

* To precyzyjna robota * odpowiedział oburzony Porta. * Chcesz ją spartolić?

* Szkoda, że nie widzi tego mój stary generał! * powiedział Gregor. * Umarłby ze śmiechu. Czy kiedykolwiek opowiadałem wam o nim?

* Tak * odpowiedział Mały bezkompromisowo.

* Naprawdę? Jesteś pewien?

* Pieprzyć generała! * warknąłem. * Skoncentrujmy się na wyniesieniu tej zaszczanej świni w bezpieczne miejsce.

W końcu udało nam się we trzech podnieść stworzenie na ramionach. Nieśliśmy ją tak, jakby była trumną i zaczęliśmy maszerować miarowym krokiem, jak na paradzie. Przez jakiś czas maszerowaliśmy środkiem jezdni. Ale gdy zbliżyliśmy się do Porte de Vanves, trafiliśmy na spory ruch uliczny i po raz pierwszy musieliśmy się zatrzymać. To była strasznie męcząca robota, nieść swinię wielkości góry. Nasza beztroska wzrastała tak szybko jak opuszczały nas siły. W pewnym momencie Barcelona potknął się. Ciało świni wymknęło nam się z rąk i potoczyło na środek drogi.

* Wy głupcy! * wrzasnął Porta na myśl, że sześć*ciotygodniowy zapas mięsa może być rozplaszczony przez koła ciężarówki. * Podnieście ją z powrotem!

Zaczęliśmy tańczyć na ulicy i machać rękami, aby zatrzymać samochód, który ledwo wyhamował, nieomal dotykając leżących zwłok zwierzęcia. Drzwi pojazdu otworzyły się i wyskoczył z nich człowiek

z naszymi kapitanem.

* Co jest do diabła?! * krzyknął, szturchając swinię butem.

I znowu uratował nas Gunther. Zręcznie wystąpił naprzód i zasalutował. Jak większość ludzi, kapitan na widok twarzy weterana cofnął się o krok.

* Jesteśmy patroliem ulicznym, panie kapitanie. Mamy za zadanie zabezpieczać drogi i dbać o utrzymanie na nich ruchu.

Kopnął z dezaprobatą w naszą cenną swinię.

* Została porzucona na środku głównej ulicy przez francuskich partyzantów. Bez wątplenia liczyli na to, że spowoduje to zamieszanie i dostarczy nam masy kłopotów.

Kapitan skinął głową, udając, że rozumie sytuację*

* Bez wątplenia macie rację * zgodził się. Oficer spojrzął w dół na martwą swinię. Przez jego czoło przebiegł skurecz pożądania.

* Gdzie zabieracie tę górę mięsa? * dopytywał się niby przypadkowo.

Gunther spojrzął na niego agresywnie. Porta zdał sobie nagle sprawę, że nie jest jedynym amatorem pieczonej wieprzowiny. Pośpiesznie dodał, że meldowaliśmy już o porzuconych zwłokach dowództwu i mamy je dostarczyć do komendy garnizonu.

* Oczywiście * kapitan wyprostował się. * Oczywiście. Oczyszczyć drogę i pospieszcie się, bo blokujecie ruch.

Świnia została pospiesznie przeniesiona na pobocze na naszych ramionach i ruszyliśmy dalej. Zabiła ta swinia jest jednym z najmniej nadających się do przenoszenia zwierząt na świecie. Zanim donieśliśmy ją do bulwaru Saint*Michel, byliśmy zmęczeni i wściekli. Sprzecaliśmy się jak dzieci, idąc w pocie i świńskim smrodzie. Co pięć minut Stary przypominał, że nie mamy rady przenieść tego ładunku przez Paryż nie zwracając na siebie uwagi. Heide przez cały czas marudził, że nie powinniśmy próbować przerzucić świni przez miasto za jednym razem. Żaden z nich nie próbował nawet pomóc nam nieść tego ciężaru, więc ich uwagi były ignorowane.

* Paru francuskich gliniarzy jest przed nami * oznajmił Porta.

Spojrzałem przed siebie, ale nie widziałem nic poza swinią i plecami Barcelony, drugiego tragarza, który szedł przede mną.

* Co robią?

* Patrzą i czekają na nas. Po prostu stoją i czekają na nas. Jeden z nich rozpiął kaburę pistoletu. Nie wyjął pistoletu, ale wygląda na to, że ma ochotę postrzelać.

Chrząknąłem. Jeśli miała być strzelanina, zdecydowałem, że trzeba ze świni uczynić osłonę. Nie musiałem na szczęście tego robić. Legionista wysunął się na czoło orszaku i skierował się do pierwszego z policjantów paląc nonszalancko papierosa.

Przyjacielsko zwrócił się do niego.

* Witam, panie agencie!

Człowiek podniósł brew, słysząc język francuski, a drugą, gdy zobaczył na piersi naszego kumpla Croix de Guerre.

* Co to jest? * dopytywał się, wskazując na świnie.

* Konfiskata czarnorynkowego towaru * odpowiedział Legionista gładko.

Drugi policjant cofnął się trochę, ale nadal przebierał palcami po kolbie pistoletu.

* Chcesz fajkę?

Facet zawahał się, ale po chwili pochylił się po papierosa. Krótki błysk i Legionista rzucił go na ziemię. Rower, o który opierał się policjant, z łoskotem przewrócił się na ziemię. Jego kompan natychmiast odwrócił swój rower i nie przestając strzelać próbował odjechać. Ale zanim oddalił się od nas na bezpieczną odległość, wjechał na tłustą plamę i przeleciał głową naprzód przez kierownicę, łamiąc przy okazji barierkę ze światłami ostrzegawczymi i napisem „objazd”. Wleciał prosto w dziurę na drodze. Leżał bezwładnie na dnie sporego dołu. Wzięliśmy barierkę ze znakiem objazdu i położyliśmy na szczycie otworu.

* Jak już tu jesteśmy * zasugerowałem * może weźmiemy ich rowery?

Po zwykłej kłótni, nie pozbawionej agresji, ustaliliśmy sposób transportowania świni, który ulżyłby naszym zmęczonym ramionom. Położyliśmy parę skrzyżowanych karabinów na ramach rowerów i umieściliśmy świnie na szczycie takiej konstrukcji. Względnie łatwo dwóch ludzi mogło jechać na rowerach, w razie potrzeby podtrzymując zwłoki jedną ręką. Pozostali, którzy szli pieszo, musieli naprawdę biec, aby za nami nadążyć.

Rue des Ecoles. Transporter opancerzony cały wypełniony żandarmerią połową zbliżał się do nas. Stary tylko jęknął.

* Więcej już chyba nie zniosę * mruzczał. * Jeszcze nam tylko tego potrzeba.

Dyskretnie usunęliśmy się z jezdni i skryliśmy się w cieniu na poboczu. Pojazd przejechał obok nas i zatrzymał się trochę dalej. Dlaczego zatrzymali się właśnie tam i czy nas zauważyli, nie mieliśmy pojęcia. Mogliśmy tylko patrzeć i czekać.

* Oni czegoś szukają * cichutko szepnęła Porta i skrył się z powrotem w cieniu.

* Pewnie nas * powiedział Mały. * Sądzę, że tamci gliniarze zaalarmowali ich. Powinniście pozwolić mi ich wykończyć, kiedy chciałem to zrobić.

Gdzieś blisko usłyszeliśmy klekot karabinu maszynowego. Cały oddział żandarmów wyskoczył z pojazdu i znikł gdzieś w ciemności. Wrócili parę minut później z grupą młodzieży zakutą w kajdanki. Wsadzili ich do pojazdu i odjechali. Takie sceny stały się w Paryżu czymś normalnym. Była to nocna wojna toczona przez obydwie strony, terror rozprzestrzenił się po całym mieście. Winny czy niewinny, przeciętny człowiek mógł być w każdej chwili wywleczony z łóżka na przesłuchanie lub nawet tortury. Niemieckich żołnierzy znajdowano z poderżniętymi gardłami, dzieci pobite i zastrzelone. Rozpoczęło się królestwo brutalności, co było znakiem, że zbliża się wyzwolenie Paryża.

Ukryliśmy ciało świńskie w niewielkim przejściu i usiedliśmy na skraju jezdni, obserwując most. Heide bezustannie gadał, że za dwie godziny będzie świtać.

* Chyba nie myślicie o przewiezieniu tego przez miasto w świetle dziennym?

* Dlaczego nie? * spytał Porta agresywnie. * Jeśli pytasz mnie, to uważam, że bardziej podejrzane jest przewożenie tego towaru w nocy.

* Mój Boże * wyjęczał Heide. * Każdy zobaczy nas z tym olbrzymim pościem mięsa. I zaraz po piętach będzie nam deptać pół Paryża. Zadżgają nas tylko za kawałek skórki z bekonu, nie mówiąc o całej świni.

Most, jak mogliśmy stwierdzić, był niestrzeżony. Udaliśmy się po naszą świnie i zastaliśmy przy niej starowinę z oczami utkwionymi w różowej górze mięsa, otwartymi ustami i rękami przyciśniętymi do brzucha.

* Jezusie, Mario i Józefie! * zawodziła, gdy się do niej zbliżaliśmy * Panowie!

Chwyciła kurczowo Portę, który szedł na czele naszej grupki.

* Miejcie trochę litości dla starej kobiety! Nigdy złego słowa nie powiedziałam na Niemców.

Nigdy! Mój mąż zdezerterował w czasie pierwszej wojny i od tamtego czasu nigdy do nikogo nie strzelał!

Jej głos rósł w moc jak i wysokość. Porta zaczął na nią krzyczeć swoją odmianą francuskiego. Staruszka zbliżyła się słownictwem do Porty, ale z drugiej strony jej głos brzmiał donośniej. Przez chwilę toczyli walkę rękami, aż wreszcie Porta uwolnił się od jej szaleńczego uścisku. Wtedy zaczął

krzyczeć tak, że mogło go usłyszeć pół Europy.

* Ja szef! Świnia mój przyjaciel! Ty bezpieczna? Ty nie być bezpieczna, ty zginąć!

Porta zaczął udawać, że strzela z wyimaginowanego pistoletu maszynowego. Staruszka splunęła mu pod stopy cofnęła się o krok i stała złośliwie na nas patrząc.

* Cudowny francuski * powiedział Legionista entuzjastycznie. * Sam bym tego lepiej nie powiedział.

* Cóż, myślę, że jest całkiem dobry * zgodził się Porta bez problemu. * Jeśli należysz do armii najeźdźcy, musisz poświęcić trochę wysiłku na szlifowanie języków.

* Całkowicie się z tobą zgadzam * powiedział Legionista z grobową miną.

Ostrzegawcze syknięcie Gregora, który pilnował drogi, zakończyło ten dialog.

* Ostrożnie, nadchodzą kłopoty.

Porta natychmiast wyciągnął pistolet. Mały zaczął się zabawiać stalową linką, której nie wyjmował z kieszeni przez ostatnie dni. Zbliżający się kłopot miał postać dwóch młodych ludzi w wieku około dwudziestu lat. Obaj trzymali ręce w kieszeniach, co sugerowało, że nie były one puste.

Legionista wystąpił uprzejmie naprzeciw nadchodzących.

* Dobry wieczór. Cóż was tu sprowadza?

* Wyszliśmy się trochę przewietrzyć. Czy to zabronione?

* Podczas godziny policyjnej, tak.

Młodzi ludzie stali patrząc na nas i wyglądali na bardzo niezdecydowanych. Porta błyskawicznie poprawił ułożenie rewolweru w ręce.

* Więc? * pytał dalej łagodnie Legionista.

Nagle usłyszeliśmy miarowy stukot ciężkich wojskowych butów o bruk uliczny. Szorstkie głosy niemieckich żandarmów zbliżały się do nas.

* Patrol * syknął Barcelona.

Cofnęliśmy się głębiej w stronę drzwi, gdyby patrol znalazł nas z zakrwawionymi rękami i nietypowym bagażem, nie mielibyśmy wyjścia, jak tylko ich wystrzelać.

Młodzi ludzie stłoczyli się razem z nami w przejściu. Byliśmy zdenerwowani jak nigdy. Staruszka między nami o mało nie została uduszona, gdy Mały zatkał jej usta dłonią. Legionista przycisnął kolbę empi do ramienia, aby wygarnąć cały magazynek w każdego, kto chciałby tu wkroczyć.

Patrol przeszedł spokojnie przed naszymi oczami na drógą stronę ulicy. Osiem podobnych do siebie hełmów ze znaczkiem półksiężyca. Na ich czele szedł OberFeldwebel. Z wyglądu przypominał jednego z tych ludzi, którzy nie mogą spać spokojnie w nocy, jeśli nie dostarczą wcześniej kilku zwłok do kostnicy.

Patrol przeszedł dalej, niczego nie podejrzewając. Porta delikatnie zwrócił się do świńskiego ryja.

* Nie ma wątpliwości * powiedział. * Daliby dużo za to, aby dostać cię w swoje ręce, moja tłusta przyjaciółko.

Legionista ponownie zwrócił się do dwóch młó

dzików. Na wszelki wypadek wyciągnęli oni pistolety. Nie było to dla nas niespodzianką, bo wiedzieliśmy, że je mają. Ciekawe, że były to P*38, pistolety niemieckiej armii.

* Ładne pistoleciki macie * zauważył Legionista. * Gdzie je rąbnęliście, w sklepie z zabawkami?

* Znaleźliśmy je.

* Niesamowite * brwi Legionisty powędrowały w górę w udanym zdziwieniu. * I jesteście pewni, że nie przyniósł ich wam święty Mikołaj, jak to jest ostatnio w modzie?

* Co cię obchodzi, skąd je mamy? * imperty*nencko zaatakował jeden z nich. * Co masz zamiar zrobić? Może pobiegiesz na gestapo * roześmiał się. * Nieprawdopodobne, jeśli nie mieliście ochoty spotkać się z patrolem, prawda?

Legionista wystrzelił błyskawicznie ręką i złapał go za kołnierz.

*Jeszcze raz coś takiego powiesz, chłopcze, a zobaczysz jak wysoko podskoczysz!

* Dlaczego ich nie puścimy wolno i będzie koniec sprawy? * denerwował się Mały, owijając na palcach stalową linkę garoty.

Drugi z chłopaków, który do tej pory nic nie mówił, wysunął się do przodu i rozłożył w pokojowym geście ręce. Uśmiechał się, patrząc na nas.

* Na pewno nie ma powodu do kłótni * mówił po niemiecku z hamburskim akcentem. Śmiał się, mówiąc do nas.

* Tak, jestem jednym z was. Więc nie potrzebujecie na nas napadać. Nie widzę potrzeby wyrzucania

nas. Co tutaj robicie? * spojrział na olbrzymie różowe świńskie zwłoki. * To co robicie jest po prostu nielegalne, narażacie się na utratę życia, jeśli was złapią. Ja jestem dezerterskim z armii, co też grozi utratą życia. Możemy to przecież nazwać rezygnacją. A przy okazji * dodał *ja mam na imię Carl, a on Fernand.

* Tak więc jesteś dezerterskim * powiedział Legionista, mrużąc oczy * Jesteś dezerterskim, nieprawdaż?

* Dezerterskim i sabotażystą * natarł na nich Hei*de z groźną wściekłością. * Czy wiesz, co robimy z takimi, jak ty? To samo, co wy zrobiliście z czterema ludźmi dzień wcześniej. Zostali zastrzeleni z P*38 i zaczynam o tym teraz myśleć.

* Nigdy nie strzelaliśmy do was * odparł Carl szybko. * To jest jedna z rzeczy, której nie mógłbym zrobić, przysięgam.

* Spodziewasz się, że uwierzymy słowom dezerterskiego?

* Zamknij się! * rzucił krótko Legionista. Odepchnął Heidego i zwrócił się do Carla. * Co robicie tutaj w nocy?

Carl wzruszył ramionami.

* Interesy... Wiesz jak jest.

* Hm. I spodziewacie się, że pozwolimy wam odejść grzecznie i spokojnie. A jaką mamy gwarancję, że nie pobiegniecie do pierwszego napotkanego na tej ulicy patrolu?

Carl roześmiał się.

* Chyba żartujesz! Myślisz, że ryzykowalibyśmy życie dla wyjaśnienia sprawy tej zawszonej świni. Nawet gdybyśmy wiedzieli o tysiącu waszych świńskich interesów, nic by nas to nie ruszało. Nie, mój przyjacielu, to ona * wskazał na staruszkę, o której zapomnieliśmy w tym całym zamieszaniu * to ona jest roznosicielką plotek i informacji dla swoich kumpli z bazaru. Zanim się zorientujecie, pół Paryża będzie o was wiedziało. Zabiłbym ją, gdybym był na waszym miejscu. Życie jest teraz tanie, a za nią nikt nie będzie tęsknił.

Stara kobieta skuliła się pod murem i zapiszczała.

* Przestań hałasować * przerwał Legionista. * Co się z tobą dzieje? Czy ktoś już na tobie położył krzyżyk?

* Ona jest na tej drodze konsjerżką * powiedział Fernand. * Jaki miała interes, aby przebywać poza domem o tej porze? Myślimy już od paru tygodni o tym, aby się od niej uwolnić.

Starucha krzyknęła i rzuciła się ze szlochaniem do nóg. Chwyciła go za kostki. Legionista złapał ją za ramię i poderwał do góry.

* Słuchaj babo. Uważaj na swój język, jeśli chcesz pozostać przy życiu. Jeden pisk i się doigrasz. Pamiętaj od dzisiaj, że cię już znamy. Jasne?

Uciekała do domu czujnie jak krab. Carl i Fernand towarzyszyli nam do końca drogi.

* Jak do diabła chcecie przewieźć tak rzucającą się rzecz przez miasto? * dopytywał się Fernand. * Przecież to nie jest coś, co nazwalibyście niepozornym ładunkiem, no nie? Szczególnie przez mosty na Sekwanie. Każdy z nich jest strzeżony.

Cały czas mieliśmy nadzieję, że mały most Notre* Dame jest bezpieczny, ale było na to już za późno.

* Nikogo tam nie było jeszcze pół godziny temu * narzekał Mały gorzko.

Fernand wzdrygnął się.

* Musieliście mylić się albo to był przypadek. Możecie zresztą się sami przekonać.

Naturalnie na drugim brzegu rzeki było paru policjantów. Staliśmy zaskoczeni, gdy za nami rozległ się warkot silnika nadjeżdżającego samochodu.

* Świnia do rowu * syknął Gunther.

Jednym błyskawicznym ruchem Barcelona i ja przechyliliśmy rowery i świnia przeleciała przez żywopłot na placu Saint*Julien*le*Pauvre. Za krzakami rozległy się niemrawe krzyki. Świńskie truchło spadło na dwóch śpiących włóczęgów w lachmanach, którzy natychmiast zaczęli umykać w dół ulicy. To był niewątpliwie pierwszy raz w ich życiu, gdy manna spadła im z nieba, a oni byli zbyt przerażeni, aby z niej skorzystać.

Byliśmy przyciśnięci do złej strony mostu i nie zbliżyliśmy się nawet o krok do rozwiązania problemu. Heide z uporem maniaka twierdził, że nie powinniśmy improwizować. Stary monotonicznie upominał nas pod nosem, a Fernand po raz setny gadał, że wszystkie mosty w Paryżu są strzeżone i cała misja jest nierealna.

* Zawsze możemy przepłynąć przez rzekę * zaproponował Porta.

* I holować za sobą świnie?

* Porzucimy tę świnie * gderał Stary. * Mamy przez nią więcej kłopotów niż to jest warte.

Rozpoczęła się dzika kłótnia między nim a Portą.

* Jeden z nas powinien przepłynąć rzekę i rozwalić strażników * powiedziałem.

Spojrzałem na Legionistę, który był specjalistą w takich operacjach.

* Jeśli ktokolwiek z nas zabije tych cholernych strażników * wtrącił się Heide * już mamy pętle na szyjach.

* Co więc proponujesz?

* Wywalić świnie.

* Wywalić świnie? * powtórzył Porta groźnie

* Tak twierdzą. Wywalić świnie. Od razu mówiłem, że powinniśmy mieć plan, ale jak zwykle zostałem przegłosowany. A wy, że będziemy grali ze słuchu. No i co teraz? Stało się, jak mówiłem. Siedzimy z tym monstrualnym cielskiem w środku Paryża.

* Gdzie Mały polazł? * spytał Barcelona, próbując zmienić temat.

* Nie wiem i to mnie nie obchodzi * lamentował Stary. * Nie powinniśmy rozpoczynać tej wyprawy bez rozpoznania.

* Od początku, mówiłem, ale nikt nie chciał mnie słuchać. Żebyście chociaż czasami zwracali uwagę na to, co mówię * żalił się Heide.

* To oczywiste * dawkował nam informacje Fer*nand. * Nie mogą pozostawić nawet jednego mostu niestrzeżonego. Nie są głupcami. Pozostaw jeden wolny, to tak jakbyś zostawił wszystkie niestrzeżo

ne. Nielegalny ruch trwałby całą noc. I to jest istota sprawy.

Dyskusja stawała się coraz bardziej nerwowa. Nie sądzę, aby ktoś zauważył powrót Małego, aż do chwili, gdy ten wciągnął między nas coś dużego i krzyknął z satysfakcją:

*Ha!

* Co to jest? * spytał posepnie Stary. Mały promieniał jak bogacz.

* A na co to wygląda?

Przyglądaliśmy się temu z bliska, aż Mały machnął wolną ręką. *Trumna!

* Znalazłem ją, to trumna! Załadujemy do niej świnie!

Musielśmy mu pogratulować. Nie mieliśmy żadnego pomysłu, a on znalazł najprostszy sposób.

* Skąd do diabła wytrzasnąłeś trumnę? * dopytywał się z podziwem Legionista

* Po prostu ją ukradłem. Chodziłem po okolicy, szukałem czegoś przydatnego i zobaczyłem trumnę na podwórzu zakładu stolarskiego. Więc ją wziąłem i przyniosłem tutaj.

* Dobra będzie dla świni? * dopytywałem się nerwowo.

Pasowała dla świni idealnie. Wsadziliśmy ciało do środka i zabiliśmy dla niepoznaki gwoździami. Pomachaliśmy chłopakom na pożegnanie, uformowaliśmy orszak i pogrzebowym krokiem

ruszyliśmy w stronę mostu. Strażnicy przyjęli postawę pełną szacunku, gdy ich mijaliśmy. Porta wykorzystał okazję, aby zaprezentować swój jedyny ząb i uronić parę łez, które pozostawiły ślady na jego brudnych policzkach.

Paryż budził się w promieniach porannego słońca. Odbieraliśmy wiele oznak sympatii podczas marszu przez miasto. Czerwony Płaszcz i Jeanette czekali na nas w bistro, ale widząc trumnę kobieta wydała głośny okrzyk i uciekła do kuchni. Nawet Czerwony Płaszcz wyglądał na zmieszanego.

* Wypadek? * spytał cicho.

Policzył nas ze zmarszczonym czołem.

* Nikogo nie brakuje!?

* My tak samo sądzimy.

* Poczekaj * powiedział Porta, gdy tylko porzuciliśmy bezceremonialnie trumnę na podłodze w kuchni.

Następnie zwrócił się do Starego patetycznie.

* Jak się nazywała ta świnia w dawnych wierzeniach?

* Jak to? * spytał się Stary przejęty.

* No bogowie i te inne rzeczy. No wiesz, Odyn i Thor i ta cała reszta.

* Nie mam najmniejszego pojęcia.

* Odyn * wtrącił się Porta. * Odyn miał świnie. Jak ją nazywał?

* To właśnie chcę wiedzieć. Jak się nazywała? Nikt nie wiedział. Pytanie obeszło wszystkich dookoła i powróciło do Porty. Rozgorzała dyskusja, czy świnia należała do Odyń, Frei czy Thora. Mały wyszedł na ulicę i zaczął przechodzić i wkrótce spora grupa ludzi stała wokół niego, próbując rozstrzygnąć problem.

* Ktoś musi wiedzieć * powiedział Porta.

* Policja * powiedziałem. * Spytajmy policjantów.

Legionista chwycił za słuchawkę telefonu. Po chwili bardzo grzecznie i wzniośle wyluszczył swój problem rozmówcy. W odpowiedzi usłyszeliśmy stek obelg, który przypląnął do nas z drugiego końca drutu.

* Nie miałem zamiaru ich denerwować * powiedział łagodnie Legionista.

* Ktoś do diabła musi znać imię takiej sławnej świni * doleciał nas głos jakiegoś człowieka mówiącego do swego towarzysza.

Usłyszeliśmy też odpowiedź udzieloną słabym, ale stanowczym głosem.

* Jedyna słynna świnia, którą znam, ma na imię Adolf.

Później próbowaliśmy rozmawiać z żandarmerią. Jeszcze więcej obelg i dodatkowo groźba aresztowania. Kiedy opuszczaliśmy bistro godzinę później, sprawa dalej była nierozstrzygnięta. Świnia została dobrze ukryta i powierzona opiece Jeanette.

Na placu Clichy zostaliśmy zatrzymani przez patrol. Odruchowo zażądali od nas papierów, ale było jasne, że nie one obchodziły ich najbardziej.

* Chcę was o coś zapytać * powiedział dowódca patrolu pochylając się konfidencko w naszą stronę. * Znacie takiego faceta imieniem Odyn? Wiecie, że miał świnie?

Pochyliliśmy głowy wstrzymując oddech.

* Może wiecie, jak miała ona na imię?

Ze smutkiem wykazaliśmy naszą ignorancję.

Pół godziny później przybyliśmy do baraków. Ku naszemu zdziwieniu nikt nie zmrużył powiek.

Wszyscy byli zajęci gadaniem o świniach.

* Hej, wy!

Jakiś oficer machał zachęcająco w naszą stronę.

* Nie wiecie przypadkiem, jak się nazywała świnia należąca do Thora? Mamy tutaj mały zakład. Szukamy kogoś, kto by go rozstrzygnął.

Wydawało się, że nikt w Paryżu nie zna odpowiedzi na to pytanie. A ja nie znam jej do dnia dzisiejszego.

Pewnego dnia w Suresnes policja aresztowała dwóch chłopców za niedozwolone posiadanie pistoletów. Starszy z nich miał piętnaście lat, młodszy trzynaście. Skazano ich na śmierć. Major Schneider albo wykazywał resztki humanitaryzmu, albo bał się nieuchronnego końca wojny, w każdym razie wahał się z wydaniem rozkazu wykonania egzekucji. Po paru dniach bierności zwrócił się z tym problemem do generała Choltitz.

* Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? * spytał chłodno Choltitz. * To jest sprawa najmniej ważna ze wszystkich.

* Ale to są tylko dzieci, panie generale.

* Są już dość dorosłe, aby wiedzieć czym jest prawo.

Major Schneider nie mógł odmówić wykonania rozkazu. Chłopców rozstrzelano następnego dnia na Mont Yalerien.

Rozdział 14

GESTAPO KAPITULUJE

Wieść błyskawicznie rozniosła się między barakami: przyjechało gestapo. Pojawili się na podwórzu i tylko masochiści mieli ochotę ich obserwować. Wielki czarny mercedes parkował przed głównym wejściem, otoczony wątlami DKW.

Tę informację uzyskaliśmy podczas śniadania. Mały za jednym razem połknął sześć zwykłych kęsów i pobiegł ukryć trzy torebki złotych zębów pod krzakiem róży Hauptfeldwebla Hoffmana.

Wszyscy nagle zaczęli się gwałtownie krzątać, wykazując oznaki szalonej aktywności. Niewielu ludzi miało normalny apetyt. Jedyne Porta niewzruszenie kontynuował posiłek, ale Barcelona zawsze twierdził, że ma on nadzwyczajny żołądek. W kuchni gorączkowo regulowano wagę.

Francuscy pomocnicy zniknęli w rozgrzanym powietrzu i nie pokazywali się przez następnych parę dni.

Major Hinka rozważnie zniknął z pola widzenia. Oficer dyżurny, który jeszcze parę minut temu był obok nas, również zniknął. Widać, że nie tylko zwykli szeregowi pragnęli uniknąć kontaktu z gestapo. Wydano rozkaz, aby wszyscy stawili się na placu.

* No tak * mrucał ponuro Heide. * A nie mówiłem?

Gregor, stojący obok mnie, był cały spocony ze strachu.

* Jak myślisz, po co te sukinsyny przyjechały?

* A skąd do jasnej cholery mam wiedzieć! ? * przerwałem mu wiedziony zwykłym strachem.

Gestapowcy zajęli opuszczoną jadalnię. Ośmiu mężczyzn nosiło podobne do siebie, skórzane płaszcze i kapelusze z szerokim rondem. Wydawało się, że to ich mundury. Usiedli przy długim stole, a jeden z nich w końcu sali na głębokim krześle pod kolorową koroną, pozostałością po festynie „Kraft durch Freude” sprzed trzech dni.

Byliśmy wzywani do sali i stawaliśmy przy dalszym końcu stołu, podczas gdy gestapowcy wbijali spojrzenia w nasze twarze, w nasze dane i szukali kogoś, kto mógłby ich zainteresować. Obok całej reszty siedział ten najważniejszy, z oczami tak wyłupiastymi, jak szklane bańki i z rękami długimi jak małpa. Na środku sali stał rząd krzeseł, groźnie oczekując na pierwsze ofiary.

Człowiek*małpa nalał sobie z karafki wody i wypił kilka łyków. Cisza była taka, że słyszeliśmy gulgot wody w jego gardle. Pochylił się swobodnie do przodu i przedstawił się.

* Kriminalobersecretar Schluckbebier. Gestapo. Zrobił krótką przerwę, aby informacja dotarła do naszych ciężkich łbów.

* Jestem tutaj * powiedział gestapowiec z przekonaniem * jako wasz przyjaciel. Chcę wam pomóc. My, gestapowcy, jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy. Musicie nam zaufać tak samo, jak my wam.

Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy i zamiast niego pojawiła się maska nienawiści i grozy.

* Tylko ci, co mają coś na sumieniu, muszą się nas obawiać! Ci, którzy mają poczucie winy, muszą

się nas obawiać! Tylko ci, którzy złamali prawo, zdradzili kraj lub opuścili Fuhrera, muszą unikać naszego spojrzenia.

Następna przerwa. Pozostaliśmy niewzruszeni, jeden czy dwóch z nas skrycie ziewnęło.

Schluckbeber powoli rozchmurzał swoją twarz i stawał się jowialnym westfalskim chłopem.

* Chodźcie * powiedział zachęcająco. * Spróbujmy zrozumieć się wzajemnie. Bądźmy szczerzy.

Ci, którzy mają czyste sumienie, nie muszą się nas obawiać. My, gestapowcy, podziwiamy was.

Jesteście kręgosłupem naszej armii! Stańmy razem i zaśpiewajmy nasz hymn narodowy.

Facet uderzał dla animuszu karafką o stół. Gestapowcy śpiewali z pasją, choć kilku z nich wyjątkowo cienko. Skąpe dźwięki dochodziły z naszego końca sali.

Schluckbeber patrzył na nas z zadowoleniem aż do końca hymnu. Odstawił karafkę na stół i oparł ręce na biodrach.

* Chciałbym, aby to była wizyta czysto towarzyska. Niestety, mówiąc poważnie, tak nie jest i, nad czym boleję, musimy porozmawiać.

Zrobił krok przed siebie i wyrzucił ramiona w naszą stronę.

* Żydowscy sabotażyści splamili wasz honor! Spojrzałem na Portę stojącego obok mnie i wzruszyliśmy ramionami.

* Wiecie * kontynuował Schluckbeber tym samym szorstkim głosem * że czarnorynkowe transakcje są karane według kodeksu karnego.

Wyciągnął kopię kodeksu z kieszeni i zaczął nią wymachiwać jak pochodnią wolności.

* Karane śmiercią!

Jego głos podniósł się znowu o pół oktawy. Ręka dzierżąca kodeks przecięła symbolicznie gardło, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości co do intencji mówcy.

* Czarny rynek jest nową plagą w Europie. Pozbędzimy się czarnego rynku i uwolnimy was od żydowskiej piątej kolumny!

Machał ramionami demonstrując wyimaginowane groźby.

* Razem zniszczymy tę zarazę! Wymieciemy te brudne żydowskie świny z Europy. Wyczyścimy Europę z brudnych interesów. Wytniemy ten wrzód!

Kriminalobersecretar stanął z groźną miną przed frontem zgromadzonych żołnierzy. Pechowo pierwszy rząd zgromadzonych był stworzony przez nas.

* Tam! * potrząsnął ramieniem i wskazał na szereg pustych krzeseł.

Czekaliśmy z nadzieją, że może ktoś jeszcze podporządkuje się rozkazom, ktoś, kto ma czyste sumienie. Wyglądało jednak na to, że wszyscy zdra

dziliśmy nasz kraj i opuściliśmy ukochanego wodza i teraz wszyscy obawialiśmy się konfrontacji z gestapo. Nikt się nie ruszył, nie mieliśmy wyboru, jak tylko śmiało wystąpić do przodu i usiąść w półkołu oddzielonych krzeseł. Mówiłem sobie, że to czysty przypadek; ten facet niczego konkretnego od nas nie chciał. Pragnął po prostu znaleźć kozła ofiarnego, którego mógłby rozdrzeć na kawałki. Problem polegał na tym, że nie miałem czystego sumienia i nie czułem się pewnie.

Wykończył wodę w karafce i głośno beknął.

* Dziesięć worków kawy zniknęło! * darł się. * Ta kawa została sprzedana na czarnym rynku przez Żydów! Gestapo wie o tym! Nic nie umknie gestapo! Gdzie jest kawa?

Pytanie było bardzo ogólne, ale my, druga sekcja stojąca na środku pokoju, czuliśmy się szczególnie podejrzani. Reszta ludzi wykorzystwała sytuację i skoncentrowała spojrzenia na nas, poczuliśmy, że opinia publiczna wskazała na nas bez pokazywania palcami. Kątem oka zobaczyłem, jak Stary darł swój stary notes na paski, Heide wyrzucił na wpół spalone cygaro i sięgnął po nowe, Gunther odrzucił głowę do tyłu i zawzięcie studiował rysy na suficie, Barcelona obciągnął mundur pod pasem, Mały sprawdzał stan podeszwy jednego z butów, a Gregor grzebał paznokciem w zębach, jakby szukał dziur. Tylko Porta stał jak gdyby nic go to nie dotyczyło. Patrzył prosto w oczy Schluckbebera i ani na chwilę nie spuścił wzroku.

Zaległa długa cisza. Schluckbeber jakby czekał

na to, co powie Porta. Może na jakieś wyznanie. Ale Porta trzymał usta twardo zaciśnięte.

* Jak sobie życzycie! * gestapowiec przeniósł spojrzenie na pozostałych. * Przejdźmy do drugiego punktu. Trzy dni temu furgonetka pełna pościeli została ukradzioną sprzed kwater drugiej kompanii! Była niepilnowana tylko przez chwilę! Gdzie jest pościel? Czekam!

Usiedliśmy i czekaliśmy, co będzie dalej. Minęło chyba dziesięć minut. Panowała głucha cisza. Nikt nawet nie zakaszłał, nikt nie pociągnął nosem, nikt nie zaszurał stopami. Ledwo ośmielaliśmy się oddychać, aby nie było słycać jakiegoś sapania czy pogwizdywania.

* Głupcy! * zaczął krzyceć Schluckbeber, potrząsając pięścią * Nie myślcie, że tak to zostawimy! My, gestapo, nigdy nie zostawiamy spraw niezala*twionych. I nie jesteście na froncie, wiecie o tym! Tu nie schowacie się w okopach, nie tutaj! Rozmawiacie z gestapo! Ci, co zdradzili Fuhrera, muszą spodziewać się kary.

Siedem skinień głowy za jego plecami potwierdziło deklarację. Schluckbeber miał pianę na ustach, drobne paciorki śliny wylatywały mu z ust. Wykonywał jakiś dziwny taniec wokół stołu, bębniąc palcami w niego tak, że aż karafka spadła na podłogę.

* Panie Kriminalrat!

Ku mojemu zdziwieniu i przerażeniu odezwał się Porta, posyłając rozszalałemu gestapowcowi najbardziej czarujący uśmiech, ukazując jedyny ząb na przedzie szczęki.

* Powiedział pan, że gestapo nam pomoże? Pomruk niedowierzania przeleciał przez całą salę. Cała druga kompania gapiała się na Portę.

* Więc? * spytał się Schluckbeber.

* Pokornie i z szacunkiem. Chciałbym się poskarżyć. Jesteśmy źle traktowani. * Z przesadnym smutkiem Porta wyciągnął z buta zwitek dokumentów. * Przez ostatnie cztery miesiące nie otrzymywaliśmy racji cukru * odwrócił stronę i wskazując palcem kontynuował. * Dwa gramy na czterech ludzi dziennie, tak tu jest napisane.

Schluckbeber strzelił palcami.

* Dawać tu kwatermistrza!

Dwóch odzianych w skórę łapsów wyskoczyło z sali na poszukiwanie nieszczęsnej duszy kwatermistrza. Schluckbeber śledził każdy jego krok po przekroczeniu progu pokoju.

* Kwatermistrzu! Powiedziano mi, że ludzie nie otrzymują swoich racji cukru od czterech miesięcy. Czy to może być prawda?

Kwatermistrz obojętnie wzruszył ramionami.

* Oczywiście, że prawda. Cały pułk od dawna nie dostał przydziału cukru.

* Rozumiem. Dziękuję. * Schluckbeber triumfalnie zwrócił się do Porty. * Jesteśmy w stanie wojny, tylko głupiec lub zdrajca może robić problem z jakiejś gównianej porcji cukru. Musimy zność pewne wyrzeczenia. Twoja skarga jest odrzucona.

* To chciałbym wnieść następną * powiedział pewnym siebie głosem Porta. * Przez ostatnie dwa miesiące nie otrzymałem butów, chociaż mi się one od armii należą. Skarżyłem się na to parę razy, ale grożono mi przemocą, jeśli się nie przestanę upominać. Nie sądzę, aby to było zgodne z prawem i nie sądzę, że gestapo tak myśli. Myślę, że to jest nasz wspólny interes, jak pan to powiedział. Żołnierzom, którzy walczą dla Fuhrera, wolno chyba dochodzić swoich praw bez zastraszania. Co naczelny wódz by powiedział, gdyby o tym usłyszał? Zobacz, jakie buty teraz noszę.

Podniósł jeden z nich i pchnął w stronę gestapowca.

* Muszę je sam sobie kupować.

Schluckbeber spojrział na niego z mieszaniną zdziwienia i grozy. Oczywiście nie były regulaminowe i z pewnością nie były wyprodukowane w Trzeciej Rzeszy. HauptFeldwebel Hoffman niecierpliwie się uśmiechał. Wydawało się, że tym razem Porta posunął się za daleko. No bo kto słycał o funduszu na buty?

* Kto słycał o funduszu na buty? * spytał znudzony gestapowiec.

* Ale tutaj * Porta wsadził rękę do kieszeni i wyjął następny zwitek dokumentów * sekcja 12.365, paragraf IVa, ósmy wiersz, jest napisane: „Każdy żołnierz, podoficer i oficer, który na własny rachunek kupi buty, ma otrzymywać dwanaście fenigów dziennie jako zadośćuczynienie za poniesione koszty transakcji”.

Porta rozsyłał uprzejme uśmiechy dokoła. Niewzruszone do tej pory twarze pozostałych gestapowców zaczął wykrzywiać grymas wściekłości.

Przyjechali tutaj, aby załatwić sprawę worków kawy, a teraz zostali wplątani po uszy w głupoty Porty.

* Jak długo? * Schluckbeber bezwiednie zadał pytanie. * Jak długo powinieneś otrzymywać pieniądze?

* Naprawdę długo! Prowadzę cały czas rozliczenia. Należy mi się siedemnaście reichsmarek i dwadzieścia cztery fenigi. A za mniej więcej godzinę trzydzieści sześć fenigów.

Hoffman zaczął nagle szaleć w końcu sali.

* To śmieszne! Nigdy w życiu nie słyszałem o takiej bzdurze! Deputat na buty! Na miłość boską! Jest na wojnie, a martwi się o kasę na buty. Chciałbym wiedzieć, co powiedziałby generał Choltitz, gdyby to słyszał!?

* Ja również * odparł niezrażony Porta. * Takie drobne rzeczy są zmartwieniem zwykłych żołnierzy i nie dotyczą wyższych rangą. Może dla was są trywialne, ale ważne dla nas tu zgromadzonych. Inni mogą zaświadczyć!

* Obergefreiter Porta. Rozkazuję wam przestać marnować nasz czas! Jeszcze jedno słowo i będę musiał zrobić coś, czego pożałujemy obydwaj i ty bardziej niż my! Moja cierpliwość się wyczerpuje * i teraz mówię jako przedstawiciel armii, a nie gestapo.

Schluckbeber chwycił czyjaś karafkę z wodą i wypił łączywie. Teraz mówi armia. Ale czy oni byli kiedykolwiek w armii?

* Trzecia Rzesza przywróci porządek w armii!

Skończył pić i rozglądał się za następną karafką.

* Przyszedł czas na rzeź * mruknął Mały.

* Przepraszam * zwrócił się Porta do Hoffmana. * Czy wie pan, że jest kategorycznie zabronione straszenie lub wpływanie na podwładnych, którzy zgłaszają zażalenia? Czytałem o tym kiedyś, mam to zaznaczone... O jest! Strona 42 wiersz 3 regulaminu... Podpisanego przez pułkownika ze sztabu generała Reiberta.

Hoffman odwrócił się z twarzą purpurową jak burak. Widziałem, jak zaciska i rozwiera pięści.

Zrobiło mi się go żal. Wydawało mi się, że sam bym walnął Portę, gdy mówił to wszystko zdradziecko obłudnym głosem. Schluckbeber doznawał rozdwojenia jaźni. Oczywiście był zaniepokojony tym, że nieokrzesany Obergefreiter zabiera mu tyle czasu. Z drugiej zaś strony, ten człowiek znał regulamin od pierwszej do ostatniej strony i wiedział, jakie ma prawa. Przecież sam Adolf powiedział: „Te same prawa są dla tych na dole i dla tych na górze!”

W drugim końcu sali porucznik Lówe pochylił się do przodu, aby ukryć uśmiech na twarzy. Wiele razy sam doświadczył takiego traktowania przez Portę i nie mógł powstrzymać rozbawienia, widząc kogoś innego wpadającego w pułapkę.

* Obergefreiter * rzekł Schluckbeber całkiem przyjacielsko i miło. * Czy wysłałeś rachunek do biura kwatermistrza?

* Oczywiście, że tak * odpowiedział Porta z przekonaniem.

Hoffmanem aż zakręciło.

* To kłamstwo! To absurdalne kłamstwo! Ten

osiół nawet nie potrafi podpisać się porządnie, a miałby wystawić rachunek! A co do butów, które nosi, mogę powiedzieć skąd one są... Ukradł je, tak samo jak wszystko, co ma! A teraz próbuje wyłudzić coś jeszcze od armii!

Hoffman kroczył niezwykle podniecony po sali. * Obserwowałem go przez trzy lata. To psychopata, oszust i kanciarz. Gwarantuję, że to on ukradł kawę. Powinien być natychmiast aresztowany, on jest zakałą armii!

Rozległ się delikatny śmiech porucznika Lówego, do którego dołączył się natychmiast kapitan Gickel z pierwszej kompanii. Powoli śmiech zaczął rozrywać coraz więcej ciał i wkrótce cała sala trzęsła się od wycia i rechotu. Porta regulaminowo strzelił obcasami, jakby w podziękowaniu za całe przedstawienie.

* Panie Kriminalrat, proszę o pozwolenie odparcia tak podstępnych oskarżeń ze strony Hauptfeldwebela.

Gestapowiec uniósł brwi.

* Oczywiście, to jest twoje prawo. Rozumiem, że masz jakieś dowody, które potwierdziłyby twoje słowa.

* Pozwólcie mi zacząć! * Hoffman podszedł do półkola krzeseł i wskazał palcem na Małego. * Creutzfeldt!

Bez wątpienia czuł się bardzo pewnie wzywając takiego pajaca jak Mały.

* Złożyłeś przysięgę, więc nie próbuj kłamać! Czy ten idiota nie ukradł butów zabitemu amerykańskiemu żołnierzowi? Przypadkowo okradanie zwłok żołnierskich jest poważnym przestępstwem!

*Jestem całkowicie przekonany, że Obergefreiter

Porta nigdy nie okradłby zwłok * odpowiedział Mały wyglądając na kompletnie zaszokowanego. *

I nigdy nie widziałem, aby próbował okradać zmarłych. A co do butów, to wiem, że kupił cztery pary od sierżanta ze 177. pułku piechoty na dzień przed tym, jak ten podpalił magazyny.

Mały usiadł i wyglądał na zadowolonego z siebie. Hoffman z wrazenia zagryzł dolną wargę.

* To wszystko jest stekiem kłamstw!

Porta ze stoickim spokojem wyjął z kieszeni zwitek papierów, przejrzał je i okazał rachunek podpisany przez Stabszahlmeistra Busera ze 177. regimentu piechoty. Schluckbeber uparczywie poszukiwał następnej karafki z wodą.

* Obergefreiter Porta, wygląda na to, że macie, no, jak to tam * siedemnaście marek i dwadzieścia cztery fenigi do rozliczenia.

* I trzydzieści sześć fenigów * dodał poważnie Porta. *Jeśli chodzi o ścisłość. Lubię precyzję.

* Całkiem słusznie! * Schluckbeber zwrócił się do Hoffmana. * Proszę dopilnować, aby temu człowiekowi wypłacono pieniądze. Lepiej trzymać takie sprawy w obrębie tych czterech ścian. Nie chcemy problemów z władzą zwierzchnią, nieprawdaż?

* Sam mu oddam pieniądze! * wysapał Hoffman, okazując Porcie garść pełną monet.

Schluckbeber pochylił się z uśmiechem.

* Jeszcze jakieś skargi, Obergefreiter?

* Tak, jeszcze kilka * odparł łagodnie Porta. * Ale nie chcę sprawiać panu więcej kłopotów, panie Kri*minalrat. Wiem, że macie dużo ważniejsze sprawy w swoich rękach, a poza tym jesteśmy na wojnie.

*Jeden wielki kant * mruknął Hoffman i odwrócił się zde gustowany.

Schluckbeber zamyślił się na chwilę. Bez wątpienia chciał powrócić do drażliwego problemu kawy. Jak ustalić niewątpliwą winę Porty, a jednocześnie za przymknięcie oka dostać połowę trefnego towaru. Dziesięć worków kawy! W zasadzie to była fortuna, nawet połowa tego mogła zapewnić perspektywę wygodnego przetrwania piątego roku wojny. Ale Porta ewidentnie nie był takim głupkiem, na jakiego wyglądał. Był przebiegły i prawie na pewno miał silny instynkt przetrwania, więc powinien być traktowany wyjątkowo ostrożnie.

* A co do kawy * zaczął gestapowiec na swój sposób. * To bolesne, ale zostaliście oskarżeni o jej kradzież, Obergefreiter.

* Niestety tak * zgodził się Porta. * Chciałbym panu pomóc, Herr Kriminalrat. Niestety, nie wiem nic o kawie. Nawet takiego napitku nie używam, rozumie pan?

W momencie, gdy Hoffmanowi usta otwierały się z wrazenia z powodu potwornej postawy Porty, drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł jak burza Feldwebel Winkelmann, który zawiadował magazynem.

* Herr Oberinspektor! * biegiem zbliżył się do Schluckbebera, wymachując z podniecenia rękami

* Sprawdziłem jeszcze raz worki z kawą i okazało się, że zgadza się ich stan!

* Jeszcze raz proszę * wysapał gestapowiec.

* Wszystko jest w porządku * paplał Feldwebel z błogością. * Zaginione worki stały za towarem z Jugosławii. Nie powinno ich tam być, więc nikt ich tam nie szukał. To wszystko przez tych ludzi, którzy opiekowali się magazynem, Herr Oberinspektor. Ich już tam nie ma. To oni wszystko

pomieszali. Czasami już mi brakuje sił. Tak się czasami dzieje, gdy ludzie nie rozumieją swojej pracy.

* To śmieszne * powiedział Hoffman niecierpliwie * kłamiesz Winkelmann. Wiesz przecież doskonale, że przeliczyliśmy wszystkie worki razem, przeszliśmy wszystkie magazyny i przeczesał je dokładnie.

Schluckbeber, Hoffman, dwóch łapsów w skórzanych płaszczach i Feldwebel, udali się uroczystym krokiem w stronę magazynu. Siedemnaście worków brazylijskiej kawy, oznaczonych regulaminowymi stemplami armii, stało ustawionych w rzędzie jeden obok drugiego. Każdy worek został sprawdzony, otwierano i przesypywano zawartość. Sprawdzano nawet zapach za pomocą nozdrzy. Każdy worek wypełniony był dokładnie czystą i świeżą kawą. Dla Hoffmana było oczywiste, że Feldwebel wcisnął worki w ostatniej chwili, ale zrobił to za jego plecami. Brał przez moment pod uwagę, że ci dwaj współpracowali ze sobą, ale z niechęcią odrzucił taką koncepcję. Porta był zbyt sprytnym złodziejem mienia wojskowego i raczej gardził pomocą takiego amatora jak Winkelmann.

* Wydaje się * przyznał Hoffman niechętnie * że pomyliliśmy się co do kawy.

* No właśnie * Schluckbeber naciągnął mocniej kapelusz na oczy. * O to właśnie chodzi. Falszywy raport, niedbała robota, marnowanie cennego czasu gestapo. Chyba paragraf 309 wyczerpuje te zarzuty. Bez obrazy panie Hauptfeldwebel. To może pana wpędzić w poważne problemy. Naprawdę poważne problemy.

Jeden z jego pomocników już zaczynał dzwonić kajdankami w kieszeni. Cała grupa, oprócz Winkel*mana, wmaszerowała powoli do jadalni. Hoffman był głęboko zamyślony, ale nie wyglądał na szczególnie zmartwionego. Ciekaw byłem, co wylęgało się wtedy w jego czarnym umyśle.

* Panie Obersekretar * rzekł nagle. * Gdy pan już tu jest, to nie jest kompletna strata czasu.

Chciałbym zażądać wyjaśnienia incydentu, który miał miejsce trzy lata temu i w który zamieszana była 5 kompania 27. pułku czołgów, II sekcja, I grupa. Oskarżam ich o zdradę, odmowę wykonania rozkazu, tchórzostwo w obliczu wroga. Oraz inne rzeczy * zakończył mroczną przemowę. Schluckbeber podniósł surowo brwi.

* Czy ma pan możliwość udowodnić takie oskarżenie?

* Oczywiście! * odparł Hoffman.

Wszyscy dobrze pamiętaliśmy całe wydarzenie. Dwa Tygrysy zostały uszkodzone dokładnie naprzeciwko linii wroga. Zostały opuszczone przez załogi, a pułkownik ze sztabu głównego łaskawie wydał rozkaz, że pojazdy powinny być odzyskane. Porucznik Lówe, wiedząc, że kosztowałyby to zbyt dużo ofiar

od razu odmówił wykonania polecenia. Wybuchła karczemna awantura pomiędzy oficerami, zakończona wybuchem zabłąkanego granatu, który praktycznie urwał twarz pułkownikowi. Porta wyjątkowo niedelikatnie stanął nad ciałem i zaczął się wyśmiewać z zabitego. Aż do czasu, gdy całkowicie zirytowany Lówe, nie walnął go na odlew w twarz. Nie było nigdy ciepłych uczuć między nim a Portą, który często podpadał dyscyplinarnie i było to traktowane jako naturalna kolej rzeczy. Ale wypadek ten doszedł do uszu Hoffmanna, a ten starał się go wyolbrzymić, aby kiedyś go wykorzystać. Liczył na dwie rzeczy: odmowa podporządkowania się rozkazowi oraz uderzenie podwładnego przez oficera. Szansa właśnie nadeszła i Hoffman postanowił ją wykorzystać.

Schluckbeber słuchał opowieści z coraz większym zainteresowaniem. Należał do tej grupy ludzi, która szczególnie nie lubiła oficerów, a szczególnie tych frontowych. Ten facet poczuł swoją szansę, podobnie jak Hoffman. Sprawa była poważna i jeśli się ją udowodni, oznaczałoby to awans dla ludzi, którzy ją ujawnili. Ściśle rzecz biorąc, cała sprawa podlegała raczej żandarmerii niż gestapo i Schluckbeber na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Ale kasek był łakomy!

Zwrócił się do porucznika Lówego, który stał błądy i spięty.

* Czy to prawda, poruczniku?

Nastąpiła chwila ciszy. Wszyscy czekali na jego odpowiedź. Był oficerem, ale wszyscy go naprawdę lubiliśmy.

* Czy to prawda? * powtórnie zadał pytanie gestapowiec. * Czy uderzył pan podwładnego?

* Tak * odpowiedział porucznik bardzo cicho. Schluckbeber z afekcją okazał zgrozienie.
* Uderzył pan szeregowca? Pan, oficer? Dopuścił się pan rękoczynów wobec swojego własnego żołnierza? Ma pan czelność się do tego przyznać?

Tyrada trwała chyba z dziesięć minut, przechodziła od jednego szczytu zdziwienia do drugiego. Wzbierała na sile i biegła w kierunku szalonego i histerycznego gniewu, pełnego lekceważenia i obelg wobec ogółu oficerów i porucznika w szczególności. Od połowy tego przemówienia Porta stał z otwartymi ustami, aby coś powiedzieć. Ale gestapowiec nie był w stanie wyhamować i dopiero następną parę minut pozwoliło mu jako tako ochłonąć.

* Herr Kriminalrat * zaczął Porta okropnie słodkim głosem, specjalnie zarezerwowanym na takie okazje. * Całkowicie się z panem zgadzam. Wszyscy oficerowie to świnię i powinni być powieszani.

Grymas nieśmiałej trwogi przeleciał po twarzy Schluckbebera. Czy naprawdę tak powiedział? Tak było, na pewno tak było, tylko czy się za daleko nie zagalopował? Byłoby to niebezpieczne. Porta teatralnym gestem poklepał kłamię pasa z napisem „Gott mit Uns”

* Boże jedyny * powiedział poważnie. * Chroń wspólnotę żołnierską. Oficerowie mogą się zachowywać, jak chcą, to ich sprawa. Wszyscy to wiemy. Tylko żeby o tym Fuhrer wiedział! Jestem pewien, że może pan szepnąć mu słówko do ucha. Bo pan wie, jak sprawy stoją, Herr Kriminalrat. Z pańskim słowem na pewno wszyscy się liczą. Biedny Löwe ledwie mógł uwierzyć, że Porta wygadywał takie rzeczy przeciwko niemu. Może nie byli przyjaciółmi, ale nigdy między nimi nie było nieporozumień i zawsze darzyli się pewną sympatią i szacunkiem.

* W swoim czasie * kontynuował Porta * otrzymałem sporo ciosów od dowodzących oficerów. Zwykle traktowałem to jako część służby wojskowej. Ale afera, o której opowiadał HauptFeldwebel, miała naprawdę miejsce. Przyznaję to. Byłem na tyle szalony, mówię najprawdziwszą prawdę, że załatwiłem sprawę z moimi kumplami z GGSA.

* Chwileczkę, Obergefreiter * Schluckbeber wyciągnął drżącą rękę w stronę pustej karafki. * Załatwiłeś to z GGSA?

* Tak było * odparł Porta.

Wielka, czerwona, chłopska twarz Schluckbebera zrobiła się blada. Nie byliśmy tym zaskoczeni. Wiedzieliśmy, co to jest GGSA * Geheimes Gericht der Soldaten und Arbeiten (Tajny Zarząd Żołnierzy i Robotników). Był to trybunał, do którego mógł się odwołać każdy najskromniejszy żołnierz i pracownik, wiedząc, że będzie sprawiedliwie potraktowany. Potężna organizacja, z którą liczyło się nawet gestapo.

Gestapowiec, nieszczęśliwie dla swojego umysłu, nie miał najmniejszego pojęcia, czy Porta kłamie, czy też mówi prawdę. Jeśli Porta nie kłamał, to Schluckbeber powiedział więcej niż powinien z punktu widzenia własnego bezpieczeństwa. Jeśli zaś kłamał, to nie będzie tego nigdy wiedział z pewnością, bo nie stać go było na podjęcie ryzyka sprawdzenia tego faktu. Jeżeli Tajny Zarząd zajmował się tą sprawą, lepiej było stać z boku i czekać na swoją szansę. Schluckbeber bezładnie przrzucił papiery w skórzaną aktówkę.

* Bardzo dobrze * powiedział srogo. * Zrobię raport.

Spojrzał gniewnie na Hoffmana.

* Jeżeli następnym razem przybiegniesz do gestapo z opowieścią o Żydach, czarnym rynku i skradzionej kawie, to najpierw upewnij się, że to wszystko jest prawdą, albo znajdziesz się w poważnych tarapatkach. Na razie masz szczęście, puścimy cię wolno. Ale jeśli jeszcze raz coś takiego się stanie * my nie zapominamy. Mój raport będzie w aktach i będziemy mieć na ciebie oko. No, to by było na tyle.

Następnie skinął głową.

* Opróżnić salę, niech wszyscy wyjdą! Ty, Ober*gefreiter, zostań tutaj! Mam do ciebie słówko. Sala opustoszała szybciej, niż się zapełniła. Schluckbeber życzliwie objął Portę ramieniem.

* Powiedz mi, kogo znasz w Tajnym Zarządzie? * spytał przymilnie Portę.

* To tajemnica * odparł Porta z uśmiechem. * Nawet za cenę życia nie mogę podać ich nazwisk.

* Oj, daj spokój! * gestapowiec próbował zdobyć się na szczery uśmiech. * To nieoficjalnie!

* Oficjalnie, czy nie, nie mogę.

* Hm * Schluckbeber przyglądał mu się przez

chwilę. * Chodź ze mną do kantyny. Porozmawiamy chwilę.

Słyszeliśmy potem nieudolne próby odkrycia prawdy przez Schluckbebiera.

* Ja też mam przyjaciół w Tajnym Zarządzie * zaczął delikatnie i niby przypadkowo. * Ciekawe, czy ich znasz?

* Być może * odpowiedział Porta. * Często ich odwiedzasz, może się tam kiedyś spotkaliśmy?

* Bardzo możliwe * przytaknął Schluckbeber. Porta zauważył, że gestapowiec zaczął się nienaturalnie pocić.

Przez chwilę milczeli. Porta siedział z głupkowskim uśmiechem na twarzy, zaś Schluckbeber wywracał mózg na drugą stronę, aby znaleźć sposób na zbliżenie się do niego.

* Masz jeszcze jakąś kawę? * zaczął z innej beczki.

* Dlaczego nie? * zgodził się Porta. * To jest ostatnio modny towar.

* A mówiłeś, że jej nie pijesz!

* Pomyślałem, że zrezygnuję na chwilę ze swoich przyzwyczajęń i zobaczę, ile lat straciłem nie pijąc kawy.

Schluckbeber poczekał, aż ustawiono przed nimi nowe kubki i pochylił się przez stół z chytrym uśmiechem.

* Jak mężczyzna z mężczyzną, chłopie! Powiedz, gdzie ukryłeś towar?

* Towar? * spytał Porta. * No wiesz, kawę!

* Aha... tak, tak * Porta w idiotyczny sposób przechylił głowę. * Kawa! Oczywiście!

* Mam przyjaciół, którzy zapłacą dobrą cenę za prawdziwą kawę.

* Chciałbym mieć kawę, aby móc im zaoferować * ze smutkiem w głosie powiedział Porta. * A w razie gdybym na nią trafił, to kim są twoi przyjaciele?

* Nazwiska nie mają tu znaczenia, ale daję słowo, że płacą naprawdę dobrze! Fifty*fifty i interes stoi, co ty na to?

* Musisz chyba żartować. Dostaniesz dziesięć procent i wtedy pomyślę o tym.

* Dwadzieścia! Moi przyjaciele to naprawdę wpływowi ludzie. Tą transakcją byś sobie bardzo pomógł.

Porta zastanawiał się chwilę.

* Niech będzie siedemnaście.

* Siedemnaście * Schluckbeber zrobił jedną ze swoich esesmańskich min, zmarszczył brwi, zmrużył oczy i zacisnął gniewnie usta. * Jesteś głupi mój przyjacielu. Nie rozumiesz chyba, że moc tak wpływowych ludzi działa na dwie strony. Na twoją korzyść lub niekorzyść, w zależności od tego, co im zaoferujesz. Nie powinniśmy się gniewać, prawda?

Porta podniósł się z krzesła bez słowa. Pochłonął resztę kawy, zacisnął pas i zamierzał odejść.

Schluckbeber ruszył za nim, nie przerywając agitacji.

* Drogi kolego! Nie miałem zamiaru cię obrażać! Może mój ton cię zraził? Chciałem tylko troszkę zażartować!

* Znam się na żartach, tak jak wszyscy * powiedział znudzony Porta. * Mój ojciec był sławnym klaunem i patriotą w interesach. Zazwyczaj występował w ubraniach w barwach narodowych, z flagą na plecach. Jak więc słyszysz mam poczucie humoru i nie obchodzi mnie twój szczególny rodzaj żartów. Poza tym brzmiało to jak groźba, a nie jak żart.

* Nie, posłuchaj * gestapowiec szybko pochylił się do ucha Porty i wyszeptał * Jeden z oficerów ordy*nansowych generała von Choltitza poszukuje kawy... I to nie dla siebie, rozumiesz! Chyba dla generała!

* Chyba nie sugerujesz, że mam pomaszerować do von Choltitza z workiem kawy pod pachą?

* Nie, nie, oczywiście, że nie! Ja sobie z tym poradzę. Mam dojścia różnymi kanałami i ani ty, ani ja nie musimy się nawet zbliżać do generała. On jest otoczony szpiegami międzynarodowego żydostwa i zbliżenie do niego może być niebezpieczne, chyba że wiesz, jak poruszać się w tym gąszczu.

* Czyli masz ludzi, którzy to załatwią? * dopytywał się Porta uprzejmie.

* My w gestapo wiemy wszystko... A teraz * otoczył Portę przyjacielsko swoim ramieniem * siedemnaście procent, myślę, że się w końcu dogadaliśmy?

Interes został załatwiony tego samego wieczoru. Spotkaliśmy się w kuchni Hotelu Meurice, żeby się napić i stopniowo dojrzewaliśmy do tego, aby zaprosić Schluckbebera do naszego towarzystwa.

* Powiedz mi * spytał niespodziewanie Porta. * Czy uważasz siebie za człowieka kulturalnego?

* Kulturalnego? Oczywiście! Jestem człowiekiem kulturalnym. Nie przypuszczasz chyba, że osiągnąłbym obecną pozycję bez odpowiedniego wykształcenia.

* Nie wiedziałem * powiedział Porta. * Ale jeżeli jesteś człowiekiem wykształconym, to pomóż nam w rozwiązaniu problemu, który nas trapi.

* Zrobię wszystko, co w mojej mocy * obiecywał Schluckbeber napuszony. * O co chodzi?

* To proste * rzekł Porta. * Chcemy się dowiedzieć, jak miała na imię świnia Odyna.

* Świnia Odyna, to jakieś wariactwo! * zachnął się gestapowiec. * Czwarty raz ktoś mnie dzisiaj pyta o to samo.

* Problem w tym * powiedział Porta * czy znasz jej imię?

Czekaliśmy, wstrzymując oddech, na popis wiedzy człowieka z gestapo. Czekaliśmy tak długo aż zaczęło brakować nam powietrza. W końcu Schluckbeber potrząsnął głową.

* To zabawne * przyznał. * Nawet z moim wykształceniem nie wiem jak miała na imię ta cholerna świnia!

Strażnicy obozu przejściowego w La Rolande koło Beaune byli ludźmi, którzy wierzyli, że są litościwi. Szczególnie jeden z nich, Unterscharfuhrer Kurt Reimling, twierdził, że rozumie cierpienia więźniów zbyt dobrze, ba, wręcz je z nimi dzielił.

* Zabij mnie razem z moimi dziećmi * błagała go żydowska matka pewnego dnia.

Miała trójkę małych dzieci i w momencie egzekucji strażnicy chcieli ich rozdzielić. Reimling zmienił rozkaz. Matka i dzieci pozostały razem aż do ostatniej chwili. Dzieci wysłał na tamten świat w pierwszej kolejności. Odbyło się to szybko i schludnie, aby matka mogła przekonać się, że nie cierpiały. Reimling był fachowcem, jeżeli chodzi o rewolwery.

Niektórzy z esesmanów głosili, że więźniowie wręcz dziękują im za zadawany ból. Oberscharfuhrer Carl Neubourg, przydzielony do obozu w Drancy, był jednym z nich. Jego humanitaryzm i dobroć serca zaprowadziły go tak daleko, że pozwolił żydowskiej rodzinie odmówić kadisz, zanim ich zmusił, aby wzajemnie się powywieszali, jedni w obecności drugich. Jego dobroć mogła go dużo kosztować. Gdyby dowiedzieli się o tym zwierzchnicy, mógłby zarobić trzy dni odosobnienia i pół roku bez awansu.

Na takie poświęcenie strażnicy mogli się zdobyć. Nic dziwnego, że ofiary były im wdzięczne.

Rozdział 15

WIECZÓR W PARYŻU

Propozycja dotycząca broni przyszła do nas od podwójnego agenta o pseudonimie Szczur, który zatrudniony był w oddziale przyjęć spadochroniarzy zrzuconych we Francji. Skład umieszczony był w fabryce na zapleczu Gare du Nord. Spotkaliśmy się na zewnątrz, Szczur zaprowadził nas do półek pełnych broni.

* Wszystko w pierwszym gatunku * zapewniał nas * prosto od Churchilla.

Ruszyliśmy, aby sprawdzić stan broni. Gdy to robiliśmy, drzwi otworzyły się i wkroczyło ociężale trzech mężczyzn. Każdy z nich trzymał rękę w prawej kieszeni swojego prochowca. Stanęli przy drzwiach i patrzyli na nas, zastanawiając się, co robimy w kryjówce z bronią.

* Zrzućcie na spadochronach? * pytali, adresując te słowa raczej do Szczura, niż do nas.

* Poradzę coś wam * wtrącił się Porta. * Jeżeli zależy wam na życiu, a myślę, że tak, to wyjmijcie ręce z kieszeni... Wiecie, co mam na myśli?

Trzej mężczyźni odwrócili się w jego stronę.

* Czy ty nam grozisz? * dopytywał się jeden z nich.

* Niekoniecznie, ale to zależy od waszego zachowania.

* Ta broń została ukradziona. Czy zdajecie sobie z tego sprawę? Wiecie, co się dzieje z ludźmi złapanymi z kradzioną bronią?

* Nieszczęśliwie * powiedział Porta. * Ale weźcie jedną z nich, a zobaczymy.

* Nie przeszkadzajcie sobie!

Głos dochodził od strony drzwi. To Gunther, który właśnie na taką okoliczność pozostał na zewnątrz. Popchnął trzech ludzi do środka, miał przy sobie radziecki pistolet maszynowy.

* Tak jak już mówiłem, wyjmijcie ręce z kieszeni i wtedy porozmawiamy miło i grzecznie.

* Nie jest dobrze * zauważył Legionista, gładząc kolbę jednego z trzech odebranych koltów. *

Podejrzewam, że jesteście amatorami. Ale to wasz problem. Przejdźmy do interesów. Chcecie coś nam zaoferować za ten złom?

Najmłodszy z nich zgarbił się i powiedział:

* Potrzebujemy broni. Chcielibyśmy ją od was kupić. Oczywiście nie jesteśmy na tyle głupi, aby przychodzić tutaj z całą sumą pieniędzy. Wyślijcie jednego ze swoich ludzi z jednym z nas i zawrzemy wtedy układ.

* Jednego tylko? * zaśmiał się Legionista. * Dlaczego nie wszystkich, ciekaw jestem?

* To mogłoby być niebezpieczne.

* Dla kogo?

* Tłum ludzi zawsze zwraca na siebie uwagę * protestował młodzieniec.

* Ale w ilości jest bezpieczeństwo * upierał się Legionista. * Nie traćmy czasu na dyskusje. My mamy broń, a wy ją chcecie kupić. Ustalmy warunki, dobrze?

* Ale ona nie jest wasza!

* Kto mówi, że nie jest?

* Była zrzucona na spadochronach z Anglii.

* To co z tego? Kto ją posiada? My, czy wy? Co macie dalej zamiar zrobić z tym problemem?

Przez chwilę wyglądali tak, jakby chcieli się na nas rzucić. Legionista potrząsnął głową i delikatnie się uśmiechnął.

* Nawet o tym nie myślcie, chłopcy! Ta broń jest warta więcej niż wasze życie. Robicie interesy z armią niemiecką. Możemy wam wsadzić po kulce w kark, jeśli będziemy mieli na to ochotę, i nikt nawet nie zapyta o powód. Nie zrobimy tego * dodał wielkodusznie * jeśli będziecie zachowywać się rozsądnie.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

* Tak właśnie będzie. Myśleliśmy, że to zwykły czarny rynek. Gdybyśmy wiedzieli, z kim będziemy mieć do czynienia, nie przyszlibyśmy. Ile chcecie za to wszystko?

Porta szybko wymienił cenę, ale tak wysoką, że nawet ja znieruchomiałem z wrażenia.

Kupcy zwrócili się do niego zdeglustowani.

* Wiemy, że jesteście z choleryjnej niemieckiej armii. Ale za taką cenę dostaniemy broń wszędzie w Paryżu.

* Jeśli inni sprzedają ten towar za te same pieniądze, to dlaczego mielibyśmy sprzedawać go taniej? Nastąpił moment przerwy. Zacząłem czuć, że broń nie jest aż tak droga. Dlaczego mielibyśmy sprzedać ją tanio? Ostatecznie ryzykowaliśmy własnymi głowami.

* Nie róbcie problemów * powiedział Legionista tonem pełnym znudzenia. * Dlaczego marnujecie nasz czas? Sprzedamy tę broń wtedy i tam, gdzie będziemy chcieli.

* Co robimy z tą trójką? * dopytywał się Mały.

* Wrzucimy ich do bagna * sugerował Barcelona. * Zgniją w nim przed końcem wojny.

Jeden z nich podniósł ręce do góry.

* Tylko chwilę. Ostro się targujecie i niełatwo jest z wami dyskutować. Znajdziemy na pewno pieniądze. Na steny i po tysiąc sztuk amunicji do każdego z nich oraz dziesięć rewolwerów, dobrze?

* Dobrze * powiedział Legionista. * Proponuję, aby jeden z was poszedł po pieniądze, a dwóch pozostałych zatrzymamy do czasu powrotu waszego towarzysza.

* Ty * Gunther szturchnął pistoletem maszynowym jednego z nich. * Ty pójdziesz. I niech ci to nie zajmie całej nocy.

* Ile czasu ci potrzeba? * spytał Barcelona

* Piętnaście minut powinno wystarczyć. Przy odrobinie szczęścia może dziesięć w jedną stronę. Dwadzieścia minut na zewnątrz.

* Dobra * powiedział Gunther * dajemy wam pięć... I nie próbuj jakichś sztuczek, bo twoi kumple nie będą mogli ci opowiedzieć, co się stało.

* Nie jestem głupcem.

Gunther pozwolił mu wyjść. Mały przygotował dwie linki stalowe, zakończone pętlami. Barcelona ustawił dwa krzesła w kącie hali. Dwóch zakładników pchnięto ku nim. Związano im ręce za plecami, stalowe pętle przełożono im przez głowy i lekko zaciśnięto na szyjach. Lekkie kopnięcie w krzesło i pętla zaciśnie się zabójczo.

Czekaliśmy, po niecałych dziesięciu minutach trzeci z nich wrócił. Przyniósł dwie aktówki wypełnione banknotami. Barcelona chwycił błyskawicznie obydwie.

* To wszystko * powiedział mężczyzna kwaśno. * Co z bronią?

Uwolniliśmy jego dwóch współników, pilnowaliśmy ich, gdy wybierali z półek steny i rewolwery. Atmosfera powoli się rozluźniała. Przemycili broń na zewnątrz i ukryli pod tylnym siedzeniem trójkołowej furgonetki. Poszliśmy potem napić się czegoś do najbliższego bistro i przedyskutować sprawę granatów ręcznych. Okazało się, że potrzebowali ich bardziej niż czegokolwiek innego. Szczur stwierdził, że wie, skąd skombinować ich trochę. Pół godziny później wyruszyliśmy w drogę starą francuską ciężarówką z tablicami rejestracyjnymi WL (Wehrmacht Luftwaffe), którą dostarczył agent. Mieliśmy pistolety maszynowe i byliśmy gotowi ich użyć przeciwko każdemu, kto rzuciłby nam wyzwanie. To była wojna i nasza wojna w wojnie, nie chcieliśmy marnować szans. Transporter

z czterema żandarmami w środku podążał za nami, dopóki nie stwierdził, że gra jest niewarta świeczki i zniknął w tyle.

Porta zatrzymał furgon przy samotnym budynku. Wyskoczyliśmy z wozu obserwując uważnie wszystko dokoła. Porta nacisnął dzwonek, aby otwarto nam drzwi. Szybko i cicho wspinaliśmy się po schodach, po cztery stopnie na raz. Na piętrze Porta głośno walnął w drzwi.

* Kto tam?

* Adolf i tajna policja! Otwórz albo wyważymy drzwi!

Zaległa cisza. Powoli, niechętnie drzwi zostały uchylone. Porta wstawił nogę pomiędzy nie i futrynę. Z wnętrza patrzył na nas Feldwebel żandarmerii.

* No pięknie! * powiedział sarkastycznie. * Tajna policja, co? Ten pomysł to żart, nieprawdaż?

* Masz rację * zgodził się Porta. * A to jest następny żart.

I przyłożył lufę pistoletu do piersi żandarma.

* Podnieś rączki do góry, przecież nie mamy całej nocy.

Mężczyzna niespiesznie podniósł ręce.

* To może cię kosztować życie, Obergefreiter. Zdajesz sobie z tego sprawę?

* Nie denerwuj mnie, wtedy ja nie będę denerwować ciebie.

Porta odepchnął go od drzwi. Reszta z nas wkroczyła za nim i rozproszyła się po salonie, niemal wypełniając niewielkie pomieszczenie. Porta walnął żandarma w brzuch. Facet jęknął, jakby w agonii

i ciężko zwałił się na krzesło. Pokój oświetlała mała naga żarówka. Na gołej podłodze stała skrzynka amunicji, wokół której bezładnie leżał stos karabinów. Zawiadywał tym całym składem facet w szarym skórzanym płaszczu i miękkim kapeluszu, typowym dla gestapo. W rogu pokoju siedziało czterech ludzi z twarzami zwróconymi do ściany, pilnowanych przez następnego żandarma. Drugi Feldwebel siedział rozwalony na krześle i popijał piwo. Chciał się poderwać i stawić opór, ale zrezygnował. Mieliśmy po prostu przewagę liczebną i zaskoczyliśmy ich.

* Ręce do góry * zażądał Porta szorstko.

Mężczyzna w skórzanym płaszczu poddał się natychmiast. Pilnujący więźniów żandarm wahał się przez chwilę, ale nóż Legionisty błysnął mu koło ucha i przywołał go do porządku, niemal wmurował w ścianę.

* Dobrze * powiedział Porta * zagramy w głuchy telefon.

* Wy czterej * ciągnął dalej, ściągając z krzesła zataczającego się z bólu żandarma * zamieście się miejscami z tymi czterema przy ścianie. Nosy przy ścianie i kulka w łeb, jeżeli któryś z was tylko drgnie!

Zamiana była naprawdę efektywna. Czterech cywilów wyglądało na ogłupiałych, a ręce im drżały, jakby trzymali patelnię rozgrzaną na ogniu.

* Czy jest tu gdzieś więcej tych robaków? * dopytywał się Porta, wskazując na okno.

* Na pewno * powiedział Gregor. * Pójdę sprawdzić.

Gunther usiadł na najbliższym krześle i odbezpieczył swój empi.

* Co tutaj robicie? * rozpoczął Porta przesłuchanie trzech żandarmów siedzących z nosami przy murze.

Zaległa cisza.

* Oni przyszli nas aresztować * powiedział jeden z byłych więźniów z ulgą. Był to mały, czarniawy Francuz z wypukłymi oczami. * Jeszcze trochę i byłibyśmy brudnymi plamami na tapecie.

Mały wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął stalowy drut.

* Chcesz, abym nas od nich uwolnił?

* Poczekaj chwilę * mały Francuz powstrzymał go ręką. * Powinniśmy dowiedzieć się, kto im powiedział o tym miejscu. Musimy ich wyspowiadać, bo gdy tu przyszlismy, już czekali na nas.

* Dobrze * powiedział Gunther, podszedł do agenta gestapo i stuknął go kolbą broni w plecy. * Wkrótce to z nich wyciągniemy. Jak się nazywasz, szczurzy ryju?

* Breuer * padła posępna odpowiedź. * Max Breu*er. Kriminalobersecretar.

* No to sobie pogadamy, Maksie Breuerze. To, co wy robiliście innym, spotka dzisiaj was...

Zobaczmy ile wytrzymacie!

* Powinno być zabawnie * powiedział Mały uradowany.

Poszedł do kuchni i napełnił kubek wodą.

* Najpierw zagramy w gry wodne * dodał po chwili. Chwycił Kriminalobersta jak szmacianą lalkę, zmusił, aby klęknął i wepchnął mu głowę do wiadra.

Życzliwe ręce przytrzymały ofiarę przy ziemi, aby nie rozlewała wody. Stopniowo topielec stawiał coraz mniejszy opór.

Po paru chwilach Mały wyciągnął z wody głowę ofiary i przypatrywał się, jak powraca do świadomości. Gestapowiec zaczął wymiotować i przewracać przekrwionymi oczami. Francuz pochylił się nad nim i zaczął przesłuchanie.

* Kto ci powiedział, jak nas tu znaleźć?

Nie było odpowiedzi. Ponowne pytanie. Facet zamknął tylko oczy i nic nie powiedział.

Francuz wymierzył mu silnego kopniaka. Nie wyczuł jednak dystansu i kopnięcie było zbyt silne.

Ponownie pozbawiło ofiarę świadomości.

* Brak ci techniki * powiedział Legionista zdenerwowany. * Jeszcze trochę i będziesz miał trupa zamiast informacji.

Z nieodzownym papierosem w kąciку ust, Legionista podniósł gestapowca i skropił mu twarz wodą. Przekrwione oczy w końcu błysnęły świadomością.

* Świetnie * powiedział Legionista. * Teraz lepiej. Czy mnie słyszysz?

Słabe kiwnięcie głową.

* Kto dał ci ten adres? * nalegał Legionista. * Radzę ci mówić. Nie lubię przemocy, nie mam też cierpliwości, aby się z tobą męczyć. Już cztery razy zadaliśmy ci to samo pytanie. Jeśli nie udzielisz mi szybko i jasno odpowiedzi, będę zmuszony zastosować swoją terapię, aby ci pomóc.

Nadal brak było jakiegokolwiek odpowiedzi. Staliśmy wokół ofiary gniewni i w końcu Legionista westchnął.

* Dobrze, myślę, że będzie to dla ciebie pouczające doświadczenie, jak się czuje ofiara... Mały przytrzymał mu mocno głowę.

Powolutku Legionista wyjął niedopałek papierosa z ust i przyłożył żarzącą się końcówkę do nozdrza Breuera. Rozległ się przeraźliwy krzyk i rozniósł się nieprzyjemny swąd palonego ciała.

* Dobrze, teraz zmiana... Przypalimy cię za chwilę z drugiej strony.

* Czy on ma jakieś złote zęby? * dopytywał się Porta.

* A co, jeśli ma? * spytał Mały zaczepnie. * Mam do nich takie samo prawo, jak ty!

* Cicho bądźcie! Załatwicie to później! Legionista odepchnął obydwóch na bok i zręcznie chwycił prawą rękę gestapowca. Z uwagą wybrał jeden z palców i zaczął go wyłamywać. Zadrzałem słysząc piekielny wrzask, dręczony człowiek skręcił się z bólu na podłodze.

* No jak? * spytał Legionista ciepło.

Brak odpowiedzi. Mały zrobił krok naprzód i przycisnął obcasem zranioną dłoń do podłogi. Powoli zwiększał nacisk, aż wycie ofiary wypełniło pokój.

* No jak, panie Breuer?

W końcu dręczony człowiek miał dość. Nieśmiało wymruczał imię i adres dziewczyny.

* Czy coś ci to mówi? * zwrócił się Legionista do Francuza.

Trzech z nich otworzyło szeroko oczy, patrząc oskarżycielsko na czwartego z nich.

* Oczywiście, że ją znamy. To jest ta dziewczyna,

którą przyprowadziłeś, Jacques! Mówiliśmy, abys jej nie ufał. Teraz masz dowód i to wyjaśnia ten wielki interes!

Jeden z żandarmów zaczął się śmiać. Klnąc na cały głos, Mały rzucił się na niego i zaczął tłuc jego głową o ścianę. Stary, który do tej pory siedział w całkowitym milczeniu, zerwał się i chwycił Małego za koszulę.

* Na miłość boską, zostaw go! Skończmy już z tą przemocą!

* Dobrze, dobrze * zaprotestował Porta. * Ale nie możemy sobie pozwolić na ich ucieczkę do dowództwa. Prawda?

* Do diabła! * krzyknął Stary. * A czy my jesteśmy zwykłymi parkowymi mordercami?

* Nie, ale nie jesteśmy też jakimiś świętymi * podchwycił Porta. * Nie jest też moim celem wpychanie karku w pętlę zastawioną przez tych żalosnych zbrojców.

Stary gwałtownie odwrócił się i wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwi i kroki Starego, zbiegającego po schodach. Przez chwilę staliśmy niepewnie, po czym na znak Legionisty zaczęliśmy opuszczać mieszkanie. Ledwie postawiliśmy nogi na ulicy, rozległy się strzały. Poczulem się lepiej, gdy pomyślałem, że to nie ja, a Gunther został z ofiarami na górze. Spotkaliśmy się wszyscy razem parę chwil później w knajpie przy bulwarze Saint*Michel, aby podsumować drugi interes tego dnia. Porta, nie kryjąc satysfakcji, schował do wewnętrznej kieszeni paczkę banknotów.

* Co się w końcu stało z jeńcami? Gunther wzruszył ramionami.

* Wcisnęliśmy ich do kredensu i zamknęliśmy drzwi. Będą tam całkiem bezpieczni do końca wojny. Chyba że ktoś ciekawski zdecyduje się tam pomyszkować.

* Dla mnie * powiedział Stary * jest już dosyć tego wszystkiego. Od tej chwili na mnie nie liczcie.

* Na mnie też * dodał Heide.

Stary miał problemy natury moralnej. Natomiast Heide po prostu obawiał się wystawić swoją karierę na niebezpieczeństwo. Porta na to wszystko lekceważąco wzruszył ramionami.

* Jak sobie życzycie. Nikt was nie będzie zmuszał. Jest nas teraz mniej do podziału zysków, czyli więcej zostanie na głowę. Przynajmniej ja tak to widzę... A czy ktoś jeszcze chce się do nich przyłączyć? To wszystko z mojej strony.

Ruszyliśmy razem z Francuzami, natomiast reszta sekcji wróciła do baraków. Później poszedłem swoją drogą, gdyż miałem umówione spotkanie z Jeanette w jej mieszkaniu na Avenue Kleber. Już na mnie czekała. Była raczej w posepnym nastroju.

* Całe to szaleństwo i zabijanie * powiedziała * staje się coraz trudniejsze do zniesienia. Nikt nikomu nie ufa. Gdziekolwiek pójdziesz, słyszysz opowieści o ludziach zastrzelonych, zadżganych lub uduszonych bez jakiegoś sensownego powodu.

* To już długo nie potrwa * powiedziałem uspokajająco. * Nasze oddziały wypychane są z całej Europy. Nawet tutaj, w Paryżu, nasza dyrekcja zaczęła pakować manatki.

Opowiedziałem jej nasze przygody z poprzedniej nocy, o czarnym rynku i zastrzeleniu więźniów. Wzdrygnęła się i potrząsnęła głową w desperacji.

* Widzisz, o co mi chodzi. Cały świat chyba oszalał, nawet ty. Sprzedajecie broń, która może być użyta przeciwko wam samym! Nawet przeciwko tobie! Gdzie jest w tym sens? Zabijanie ludzi dla

pieniędzy, rozstrzeliwania, duszenie. Zabijanie przez cały czas, tylko dlatego, że życie ludzkie straciło jakąkolwiek wartość!

Nalała mi whisky do szklanki, po czym znikła na chwilę w łazience. Wróciła ubrana w japońskie kimono i usiadła obok mnie na sofie.

* Wiesz, co wczoraj widziałam? Niektóre wasze oddziały strzelały do kalek na ulicach.

Zgarbiłem ramiona. Jaką sensowną odpowiedź mogłem jej dać? Albo jakie pytanie zadać? Kto się teraz troszczył o to, dlaczego jedni ludzie zabijają drugich?

* Twój przyjaciele nie lubią mnie * kontynuowała.

* Myślisz, że chcieliby mnie zabić?

* Na Boga jedyne * powiedziałem osłupiały.

* Dlaczego mieliby to zrobić?

Uśmiechnęła się smutno.

* To głupie pytanie! Ludzie nie potrzebują powodów, aby dalej zabijać. Zabijają po prostu, kiedy mają na to ochotę. Może twoi koledzy mają powód, może jesteś zakochany i ja jestem zakochana, a wiesz, że zakochani bywają niebezpieczni.

Popatrzyłem zadumany na jej smukłe ciało okryte jedwabiem kimona. Oczy miała jakby zamglone i lekko przymknięte, wiedziałem, że jest lekko pijana. Uśmiechnęła się i przełożyła nogi na sofę za moimi plecami, ukazując ich imponującą długość.

* Nie ruszajmy się * powiedziała. * Czujesz, wszystko śmierdzi? A poza tym, czy coś jeszcze zostało do zrobienia?

Nagle poderwała się i objęła mnie ramionami. A ja gładziłem ją po policzku.

* Kocham cię, Sven. Wiesz o tym? Kocham cię! * i dodała niespodziewanie. * Grozili mi, bo zadają się z tobą.

* Kto ci groził? * spytałem. * Porta, czy inni?

* Oczywiście, że nie! *No to kto!

* Och! * przycisnęła palec do moich ust. * Nikt. To był tylko głupi żart. Zapomnij o tym przynajmniej na tę noc.

* Ale chcę wiedzieć!

* Zapomnij o tym, Sven! Byłam głupia.

Nie wierzyłem jej. Powinienem to z niej wyciągnąć. Ale ona zrzuciła kimono, przytuliła się mocno do mnie i wszystko wyleciało mi z głowy.

* Sven, żałuję, że nie jesteś Francuzem * wyszeptła. * Nie lubię Niemców. Nic na to nie poradzę, nienawidzę ich!

* Ale ja nie jestem Niemcem * przypomniałem jej.

* Ale to nie ma znaczenia. Walczysz w ich armii! Przypuszczam, że ty nienawidzisz Francuzów?

* A to z jakiego powodu?

* Bo walczysz z nami, na miłość boską!

* Nikogo szczególnie nie nienawidzę * odparłem.

Zaczęło się ściemniać, gdy powróciliśmy do rzeczywistości. Jeanette wyciągnęła rękę po papierosy, ale paczka była pusta.

* Nie mam więcej * powiedziałem. * Ubiorę się i przyniosę nowe. Dostanę je na czarnym rynku, tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać.

* Dobrze, tylko bądź ostrożny. Wskoczyła z łóżka i pobiegła nago do kuchni.

* Przygotuję kawę. Szybko wracaj!

Nie zajęło mi to dużo czasu. Wiedziałem dobrze, gdzie iść po papierosy i wróciłem w ciągu kwadransa. Gdy wchodziłem do budynku minąłem dwóch młodych ludzi, którzy spojrzeli na mój czarny mundur z konsternacją. Przepchnęli się przede mną w drzwiach i pospiesznie oddalili się wzdłuż ulicy. Patrzyłem za nimi i zastanawiałem się, co robili w środku nocy w tej okolicy, ale zaraz wyleciało mi wszystko z głowy. Wspinałem się po schodach podniecony powrotem do dziewczyny, świadomością spędzenia z nią nocy, palenia papierosów i picia kawy. Drzwi wejściowe były otwarte, pomyślałem, że zostawiła je tak specjalnie. Sama prawdopodobnie była już w łóżku i czekała na mnie. Miałem czterdziestoosmiodziesięcioletnią przepustkę, cały ten czas chcieliśmy spędzić

razem. Jeszcze ta noc, następny dzień i jeszcze jeden, i wojna prawie na pewno się skończy. Zawołałem ją, gdy wchodziłem do salonu.

* Wróciłem! Udało mi się zdobyć pięć paczek papierosów z dwudziestu, jakie miał jakiś dzieciak dosłownie za rogiem.

Nie było odpowiedzi.

* Hej, wróciłem!

Nadal nie było odpowiedzi. Śwąd spalenizny zaczął drażnić moje nozdrza. Całkowicie spokojnie wszedłem do kuchni. Kawa na piecu się wygotowała, a piecyk dalej pracował. Na podłodze leżała rozciągnięta Jeanette. Od razu wiedziałem, że nie żyje. Na moment znieruchomiałem. Po prostu stałem i powtarzałem bezwiednie jej imię.

W końcu zebrałem się na odwagę i popatrzyłem na jej ciało. Zobaczyłem brutalnie rozcięte gardło, z którego jeszcze sączyła się krew. Jej twarz była już blada i woskowa, a policzki zapadnięte. Na nagich piersiach przyczepiona była kartka z napisem: KOLABORANT.

Pół godziny później, po wlaniu w siebie butelki whisky, zgasiłem dziesiątego papierosa i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi apartamentu. Poprawiłem pas i sprawdziłem moje dwa ciężkie rewolwery. Zszedłem na dół i zapukałem do drzwi dozorczyńni. Pojawiła się niechętnie, z przestraczem na twarzy. Chwyciłem ją za gardło i przyciągnąłem do siebie.

* Co to byli za ludzie, którzy byli tu czterdzieści pięć minut temu?

* Nikt nie wchodził, panie żołnierzu!

* Jak to nikt!? Mów prawdę! Mówię o dwóch młodych ludziach, którzy stąd wychodzili.

* Ale ja nie wiem, nikogo nie widziałam! Nie mogę cały czas patrzeć, kto wchodzi i wychodzi z domu!

Miała bladą i przerażoną twarz. Było dla mnie jasne, że mówi prawdę. Pchnąłem ją w stronę kupy szmat w kącie i wielkimi krokami wyszedłem na Avenue Kleber. Pierwszy raz poczułem niepohamowaną chęć zabijania. Zabić! Zabić! Zabić! Zabić dla czystej satysfakcji zabijania.

Tego samego wieczoru zaczęło się Wyzwolenie. Dzieciak wrócił do domu z kina. Był spóźniony i przez całą drogę biegł, ponieważ nie chciał martwić ojca. Ale podczas biegu cały czas się śmiał, bo film był naprawdę zabawny. Żebra, brzuch i przepona bolały go od wybuchów śmiechu.

* Tato!

Chłopak wbiegł po schodach prosto do pokoju, w którym siedział ojciec i czytał.

* Wiem, że jestem spóźniony, ale to było takie śmieszne. Znowu widziałem ten film i on jest nadal taki śmieszny.

Ojciec uśmiechnął się, odłożył książkę i zaczął w ciszy przygotowywać kolację. Chłopak skrzeczał jak sroka, był zbyt podekscytowany, aby pomóc ojcu w nakrywaniu stołu.

* Dwa jajka i trochę mleka * powiedział w końcu ojciec, kiedy udało mu się wcisnąć jedno lub dwa słowa do paplaniny syna. * Specjalnie dla ciebie. Jest też parę kromek niemieckiego chleba wojskowego i trochę budyniu. Wystarczy ci, jak myślisz?

* Zakładasz się? * dumnie zadeklarował chłopiec. * Nawet nie jestem w połowie tak głodny, jak zwykle. Znasz Jeana, tego, którego ojciec jest w Resistance? On mi powiedział, że jak jestem głodny, powinienem pić dużo wody i żuć kawałki papieru. Dzięki temu można przezwyciężyć głód. Spróbowałem tak zrobić dzisiaj po południu i mój żołądek nie burczy! Ojciec w milczeniu obserwował jedzącego syna. Sam nic nie jadł już od dwóch dni. Ważniejsze było nakarmienie syna, przecież niedługo przyjdzie wyzwolenie. Plotki mówiły, że dwie dywizje pancerne są w drodze do Paryża.

Chłopak dalej szczebiotał.

* Zabili wczoraj informatora na Boule Mich. Słyszałeś o tym? Raoul mi powiedział! Dwóch chłopców na rowerach, zastrzelili go na środku ulicy w obecności wielu ludzi. Raoul twierdzi, że byli niewiele starsi od nas. Jean mówił, że powinniśmy zrobić to samo, ale jeden z nauczycieli w szkole zadał nam dużo lekcji i nie będziemy mieli czasu. Powiedział, że mamy wracać prosto do domu i nie mieszać się do awantur. Wiesz, że wszyscy nauczyciele boją się szkopów? Odsunął na bok puste skorupki jajek i wypił mleko. Chleb też zniknął po chwili w spragnionym żołądku, który

nie został napełniony nawet do połowy.

* Czy wiedziałeś, że jestem jedynym chłopcem w klasie, którego ojciec ma Croix de Guerre z trzema palmami! Wszyscy strasznie mi zazdroszczą. Wiesz tato, że Amerykanie są już blisko? Wszyscy szkopi w swoich czarnych mundurach zostaną wystrzelani. Bistro wyleciało w powietrze wczoraj. Było pełne Boshów. Raoul mówił, że widział pełno krwi wypływającej na ulicę. Krew szkopów... szkoda, że tego nie widziałem! Jutro wyczyszczę twój mundur, Tato! Jak tylko wejdą do Paryża, musisz go założyć. Czy wiesz, że oni mają tysiące czołgów?

Myślisz, że otoczą Paryż? Czy... Ojciec wstał.

* Czas do łóżka... Tak, tak, wiem, że Amerykanie nadchodzą, ale jeszcze ich tu nie ma. Już tyle czasu do nas idą, że wytrzymamy jeszcze chwilę.

* Ale kiedy oni przyjdą? Czy myślisz, że jeszcze tej nocy?

* Może * odpowiedział ojciec. * Zobaczymy jutro rano.

Gorąca, sierpniowa noc była duszna i wilgotna. Idąc do łóżka, chłopiec słyszał, jak ojciec gasi światło i wraca do swojego pokoju. Chwilę później rozległa się przerażająca eksplozja. Dziecko zostało wyrzucone z łóżka i poleciało pod przeciwległą ścianę. Pył i cegły przysypały jego ciało. Wszędzie był dym, a krawędzie drzwi lizały płomienie.

Najpierw wyciągnięto chłopca. Był cały brudny i przerażony, ale na szczęście bez widocznych ran. Chwilę czasu zajęło im odnalezienie ojca. Ciało wyciągnięto spod stosu gruzu, cegieł, drewna i potłuczonego szkła. Potem ułożono delikatnie na bruku. Nawet dziecko mogło zorientować się, że mężczyzna nie żyje. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę zmieszaną z pyłem.

Dziecko zabrano do pobliskiego klasztoru żeńskiego. Chłopiec dostał środki uspokajające i zapadł w nerwowy sen. Nikt go przedtem nawet nie próbował pytać, czy coś przed eksplozją widział lub słyszał. Sąsiedzi twierdzili, że jakiś samochód zwolnił na wysokości budynku jakiś mężczyzna wychylił się i rzucił coś w stronę okna ich mieszkania. Ktoś inny mówił, że widział paru ludzi znikających w ciemności. Ktoś twierdził, że byli w mundurach, a ktoś jeszcze, że po cywilnemu.

Dziecko zostało samo na świecie. Jego ukochani Amerykanie przybyli za późno, aby zapobiec tragedii. Nigdy nie odkryto, czy to zrobili Niemcy, czy Francuzi. Czyjego ojciec był zdrajcą, który zarobił na śmierć z ręki rodaków? A może był, jak wielu innych, niewinną ofiarą terrorystycznych porachunków?

Nikt nigdy tego nie odkrył. Tak jak wielu setek podobnych przypadków.

Bruno Witt miał wielu przyjaciół w Paryżu, przynajmniej tak uważał. Gdzie byli tego szczególnego sierpniowego dnia, nie miał najmniejszego pojęcia. Wszyscy zawiedli jako przyjaciele.

Teraz musiał umykać wzdłuż Faubourg*du*Tem*ple przed rozhisteryzowanym tłumem deptającym mu po piętach. Na jego czele biegła Yvonne Dubois, która od dwudziestu czterech godzin była lojalnym członkiem ruchu oporu. Wcześniej należała do starannie wyselekcjonowanej grupy młodych kobiet, które miały bezpośredni dostęp do prywatnych apartamentów SD w hotelu Majestic. Dzisiaj chętnie odrzuciła poprzednie przywileje. Jej nowym obowiązkiem stało się poświęcenie dla ruchu oporu.

W panice Bruno Witt potknął się i upadł. Tłum natychmiast pojawił się nad nim. Jego znoszony szary płaszcz porwano na strzępy, dwie gosposie walczyły o jego czapkę. Yvonne Dubois przecięła mu gardło za pomocą krawieckich nożyc i z radością zanurzyła ręce w wypływającej krwi.

* Zabiłam agenta gestapo! * krzyczała i wymachiwała zakrwawionymi rękami w stronę tłumu zgromadzonego po drugiej stronie ulicy. * Zabiłam agenta gestapo!

Nowo przybyli nie zwracali na nią uwagi, zajęci swoimi patriotycznymi działaniami. W centrum uwagi były dwie nagie dziewczyny, każda ze swastyką na malowaną na piersiach. Tłum zatrzymał się i posadził ofiary na dwóch niskich stołkach na środku jezdni. Pośród okrzyków radości i oklasków maszynki do włosów zaczęły strzyć głowy dziewcząt do gołej skóry.

Wszyscy wybiegali na zewnątrz, aby przyglądać się nadlatującym Liberatorom. Matki z małymi dziećmi, które oszczędziły sobie wielu problemów w czasie wojny dzięki posiadaniu niemieckich

kochanków, milutkie sklepikarki i pracownicy biurowi, którzy denuncjowali lojalnych Francuzów do gestapo, nieszkodliwe dozor*czynie, które wysłały na śmierć masę bojowników ruchu oporu, pchając swoje nosy tam, gdzie nie trzeba. Teraz wszyscy oni opuszczali swoje nory i pokazywali się z radością na ulicy w rozochocionym tłumie.

Nagiego mężczyznę posadzono na taczkach i obwożono w górę i w dół ulicy z tablicą zawieszoną na szyi. Napisane na niej było tylko jedno słowo: KOLABORANT

Jakaś kobieta wychyliła się przez okno i wylała za*wartość nocnika na nagiego człowieka. Niestety spudłowała. Cel został opryskany ledwie paroma kroplami, natomiast główny strumień trafił na głowę i ramiona nowo ustanowionego herosa.

* Wolność! * wiwatował tłum.

Wszyscy nagle postanowili udowodnić swój patriotyzm i przewyższyć sąsiadów dzielnością, gdy pojawi się wróg. Niejeden Francuz i wielu Niemców zginęło tego dnia. Według tłumy ulice powinny zapelnąć ciała znienawidzonych szkopów, którzy w swojej głupocie skrzyżowali miecze z dobrymi i rycerskimi Rosjanami.

Akordeony grały na każdym rogu ulicy. Banjo i gwizdki przyłączały się do ogólnego koncertu.

Świat był znowu szczęśliwy. Do Francji wróciła demokracja.

* Osobiście odpowiadałem za ochronę miasta * deklarował von Choltitz przesłuchującemu go amerykańskiemu generałowi. *Miałem rozkaz zniszczyć miasto, ale gdy zdałem sobie sprawę, że Hitler postradał zmysły, podejmowałem decyzje sam.

* Uratowałem trzech Żydów od komory gazowej!

* darł się oficer gestapo. * Osobiście ich uratowałem! Mam dowody, mam świadków!

* Znałem jednego z pułkowników, którzy uczestniczyli w zamachu na Fuhrera dwudziestego lipca * deklarował porucznik Schmaltz. * Wiedziałem, o co chodzi, ale nie doniosłem władzom. Mogłem to zrobić i powinienem, ale nie zrobiłem! Rzykowałem życiem, ale milczałem.

Nagle wszyscy Francuzi byli patriotami, a prawie wszyscy Niemcy odmawiali wykonania rozkazów jako niezgodnych z ich sumieniem.

Paryż był wolny!

Rozdział 16

ODMOWA WYKONANIA ROZKAZU

Było w okolicy północy. W pokoju generała Mercedesesa odbywała się narada sztabowa. Wszyscy nosili mundury polowe, każdy ze zgromadzonych uzbrojony był w pistolet maszynowy. Mercedes pochylił się nad mapą.

* Musimy opuścić Paryż i przekroczyć granicę w okolicach Sztrasburga. Drugi batalion na czele.

* Sądzę, że powinniśmy spodziewać się ataków ze strony partyzantów. Teraz powychodzili z kryjówek i są chciwi rewanzu. Musimy przegrupować się jak najszybciej. Nic, ale to absolutnie nic nie może stanąć na naszej drodze. Musimy za wszelką cenę odeprzeć wszystkie ataki.

* Musimy się przebić! Czy wyrażam się jasno, panowie?

Wszyscy oficerowie kiwnęli głowami. Mercedes poprawił czarną opaskę zakrywającą pusty prawy oczodół. W tym momencie zadzwonił telefon. Adiutant generała podniósł słuchawkę, przez chwilę w milczeniu trzymał ją przy uchu, po czym przekazał ją dalej.

* To do pana, generale. Generał von Choltitz. Jest chyba bardzo zdenerwowany.

Mercedes wydał policzki.

* Halo, tu mówi generał major Mercedes.

* A, Mercedes! Tu Choltitz, co ty człowieku do diabła wyprawiasz? Doszły do mnie plotki, że się pakujesz i wynosisz stąd. Mam nadzieję, że to nieprawda?

* Obawiam się, że to prawda. W ciągu dwóch najbliższych godzin opuszczamy Paryż i ruszamy w stronę Sztrasburga.

Na drugimkońcu linii rozległa się seria okrzyków. Generał odsunął słuchawkę od ucha, aby zgromadzeni oficerowie mogli więcej usłyszeć. Po chwili rozległy się śmiechy.

* Zabraniam panu robić takie rzeczy! Jestem wciąż pana przełożonym i nadal mam władzę. Rozkazuję panu pozostać na miejscu, do czasu, gdy ja zadecyduję o odwrócić!

* Bardzo żałuję, że tak się dzieje, ale otrzymałem bezpośredni rozkaz od generała Modela. Powinniśmy być gotowi do odwrotu w ciągu dwóch godzin i mamy zabrać cały ekwipunek. Ciężki oddech generała słychać było w całym pokoju.

* Cały ekwipunek? Co pan ma na myśli? Broń, amunicję, czołgi?

* Tak, panie generale. Całą broń, amunicję i wszystkie dziewięć czołgów * Mercedes uśmiechnął się raczej gniewnie. * Musi pan pamiętać, że dowodzę dywizją czołgów pozbawioną czołgów.

Von Choltitz parsknął w słuchawkę. *Jaki jest cel tych bezsensownych ćwiczeń, mogę zapytać?

* Mam rozkaz przejść granicę w Sztrasburgu, gdzie mamy się przegrupować i otrzymać czterysta czołgów prosto z fabryki. Feldmarszałek daje mi całe dwa tygodnie na przygotowanie ludzi do walki w nowych czołgach.

Mercedes zaśmiał się ponownie, a zgromadzeni oficerowie potrząsali głowami i szeptem wymieniali uwagi.

* To nie jest zbyt dużo czasu na przeszkolenie, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Może się pan nas spodziewać z powrotem w Paryżu w ciągu miesiąca.

* Generale Mercedes, jeszcze raz panu powtarzam! Absolutnie zabraniam panu opuszczać teren Francji. Poprawiam rozkazy feldmarszałka Modela, rozumie mnie pan? Może je pan zignorować! Biorę całą odpowiedzialność na siebie! Będę w kontakcie z kwaterą główną i poinformuję ją o moich działaniach. Ale teraz nalegam, aby pan pozostał na miejscu i czekał na dalsze rozkazy!

* Przykro mi * odpowiedział Mercedes ciężkim głosem * ale osobiście otrzymałem inne rozkazy od feldmarszałka Modela * muszę w dwie godziny opuścić Paryż.

* Pan chyba zapomina, że to ja wydaję rozkazy, a nie Model! Pana dywizja przysłana tutaj była na osobiste polecenie Reichsführera Himmlera! Jak pan śmie występować przeciwko moim rozkazom! Postawię pana przed sądem wojennym! Przysięgam na Boga, że to zrobię!

Zapadła cisza, przerywana tylko sapaniem rozwścieczonego von Choltitza.

* Jesteś tam wciąż Mercedes?

* Tak jest.

* Ufam, że wyraziłem się jasno?

* Bez najmniejszych wątpliwości.

* Jeśli opuścicie Paryż przed moim zezwoleniem, obiecuję, że zamelduję Fuhrerowi osobiście o sabotowaniu rozkazów. Boże pomóż mi, tak zrobię!

* Wierzę panu * odpowiedział Mercedes chłodno. Milczenie. Von Choltitz jeszcze raz zebrał się w sobie i spróbował przekonać Mercedesa do zmiany decyzji.

* Rzecz w tym, że bez pana oddziałów nie przeciwstawię się nawet jeden dzień tym cholernym oddziałom ruchu oporu. Strzelają do moich żołnierzy już w środku dnia. Zastrzelili nawet jednego z moich adiutantów. Mówię panu, Mercedes, sytuacja jest dramatyczna.

* Rozumiem to. Jednak powtarzam to jeszcze raz, mogę podporządkować się tylko rozkazom Modela.

* Ty posiadasz oddziały bojowe, Mercedes! Zaznaczę to w swoim raporcie, nie martw się o to. W raporcie do generała Heiza, nie niżej!

* Oczywiście musi pan robić to, co wydaje się panu konieczne. Ale proszę mi wybaczyć, muszę zacząć organizować wymarsz.

Mercedes powoli odłożył słuchawkę. Z zadumą odwrócił się do oficerów.

* Ruszamy?

* Oczywiście * uśmiechnął się Mercedes. * Myślę, że to konieczne. To jest najlepsze, co możemy zrobić. Im wcześniej wyruszymy, tym lepiej. I tylko pamiętajcie, nikomu, ale to nikomu nie wolno się zatrzymywać.

Baraki wyglądały jak mrowisko przed atakiem. Ludzie biegali przenosząc z miejsca na miejsce okrycia, broń, akta i papiery. Wokół rozlegał się ciągły hałas wywoływany przez ruszające i hamujące samochody. Kompania rozpoznawcza ruszyła na poszukiwanie dziewięciu czołgów.

Korzystając z ogólnego zamieszania, Mały i Porta złożyli niespodziewaną i niezapowiedzianą wizytę sierżantowi.

* Czego do diaska chcecie!? * wydarł się, jak tylko ich zobaczył.

* Obergefreiter Porta i Obergefreiter Creutzfeld z 5. kompanii!

* Przecież wiem, kim jesteście, na miłość boską! Przyszliście mnie denerwować? Nie widzicie, że mamy roboty po uszy?

* Przyszliśmy zaoferować panu nasze usługi.

* A co dobrego moglibyście zrobić, do diabła?

* Myśleliśmy o pomocy przy załadunku prowiantu.

* Boże wszechmocny!

Obelgi sierżanta sięgnęły sufitu, odbiły się od ścian i wypełniły cały pokój. Cygaro, które palił, zostało przez niego pogryzione na kawałki.

* Niech mi Bóg pomoże, abym nie musiał takich kłownów jak wy zatrudniać do transportu żywności.

* Jeżeli pan tak do tego podchodzi * zaczął Porta obrażony.

* Tak właśnie myślę. I nikt inny, tylko kompletny baran, mógłby pomyśleć inaczej. Według mnie lepiej byłoby was zostawić w Paryżu i przekazać Francuzom. Byłoby to mniej kłopotliwe dla całej armii!

Porta i Mały, po wielkim pokazie znudzenia i dostojeństwa, pozostawili sierżanta samego. Zabrali zranioną dumę i udali się na poszukiwanie schronienia do przyjaciela Porty, sanitariusza Obergefreitera Ludwiga, który zajmował wspaniałą samotnię na oddziale zakaźnym. Stali w oknie przypatrując się innym, bardziej szczęśliwym żołnierzom, ładującym zapasy żywności na tył ciężarówki.

* Popatrz na to wszystko * Mały zniżył głos aż do szeptu. * Skrzynki puszkowanego mięsa, bekon, czekolada.

* Kawa! * powiedział Ludwig z zazdrością.

* Koniak! * zaskamlał Mały.

* Spójrz na tego idiotę na dole * Ludwig wskazał na spoconego żołnierza uginającego się pod ciężarem sporej paczki * Jak myślisz, co jest w środku?

* Nie wiem, ale mam ochotę sprawdzić, co tam jest * powiedział Porta pocierając nieogolone policzki. * Cokolwiek tam jest, mogę się założyć o twoje życie, że to jest jadalne. A wszystko, co jest do zjedzenia, jest warte zachodu.

* Złapią cię i skopią tyłek jak wielu innym, możesz nawet stracić głowę * stwierdził Ludwig smutno. * W ostatnim tygodniu zastrzelili paru gości z artylerii za kilka paczek papierosów.

* Ja robię to w taki sposób * powiedział Porta * że nigdy nie wiedzą, ile im zginęło. Z dzisiejszymi żołnierzami tak już jest, nie wiedzą jak wykonać swoją robotę i potem jeszcze zwiać. Gdy ja wstępowałem do armii, nie było żołnierza, który nie umiałby zwędzić czegoś w każdej sytuacji. Stawałeś się fachowcem dosyć szybko. A teraz są takie dzwonki, które cały dzień potrafią siedzieć pod magazynem i jedyne co im się uda dźwignąć, to paczka fajek.

* To jest właśnie różnica * sprostował Ludwig * pomiędzy paroma paczkami papierosów i cholerną, wielką paką Bóg wie czego.

* Chcesz zobaczyć, jak ja to robię? * rzucił wyzwanie Porta. * Chciałbym cię nauczyć jednej czy dwóch sztuczek.

Wyciągnął z kieszeni granat ręczny. Powoli wyszedł na podwórze i stał beczynnie przez chwilę lub dwie. Czekał na okazję, kiedy mógł się niezauważony wśliznąć pomiędzy stosy paczek. Przy końcu podwórza stały pojemniki z paliwem, czekające na załadunek na ciężarówce. Stanowiły doskonały cel dla granatu Porty. Nagle wyleciały w powietrze tworząc wielką ścianę płomieni. Oddział zajmujący się załadunkiem rozbiegł się we wszystkich kierunkach ratując życie. Sekundę później Porta był już przy tyle ciężarówki i ściągał skrzynkę w kierunku Małego i Ludwiga, którzy, przewyciężając mdłości zachłannością, przybiegli z pomocą. Pięć skrzynek dyskretnie znikło w otchłani szpitala, nim cały dziedziniec stał się zbyt gorący, aby na nim wytrzymać. Uciszali się wzajemnie i patrzyli przez okno na skaczące

płomienie i gęsty czarny dym. Po chwili wszystkie baraki wypełniły się okrzykami przerażenia i zaskoczenia. Grupy żołnierzy wyruszyły i zaczęły strzelać w dzikiej panice. Strażnicy, przerażeni sytuacją, myśląc, że zaatakowali ich przebrani partyzanci, zaczęli strzelać do siebie. Finał całej tej kaszany sprowadził się do czterech zabitych i siedemnastu rannych, niektórych ciężko.

W trakcie całego zamieszania Porta i Mały przenieśli cztery skrzynie do kwater 5. kompanii.

* Na miłość boską * nawoływał Stary, kładąc skrzynki po dwie, jedną na drugiej. * Wy jesteście zwykłymi kryminalistami, wy dwaj! Nie ma nic specjalnie złego w zwęczeniu paru dodatkowych racji. Ale rzucanie granatem po to, aby rąbnąć w zamieszaniu parę skrzynek, to już za dużo!

Rzygam na wasz widok.

Stary odwrócił się z obrzydzeniem.

* Twój kłopot * powiedział Porta pojednawczo

* polega na tym, że, do cholery, jesteś zbyt uczciwy. Sądzę, że państwo ukradło ci najlepsze lata młodości i my staramy się ci je oddać. Okradanie przyjaciół to co innego, ale okradanie państwa jest normalne. Przynajmniej tak mi się wydaje.

* Ale nie jest powodem do rzucania granatami!

* warknął Stary.

* Ale nie możemy się też czołgać przez całe życie

* odparł Porta.

Mały za pomocą scyzoryka otworzył puszkę sardynek i podał Staremu.

* Masz sardynki * powiedział * pokarm bohaterów. A ja sądzą, że ty nim jesteś.

Ruszyliśmy przez Paryż ciasnym szykiem i tak jechaliśmy aż do Porte d'Orleans. Miasto było w stanie wrzenia. Teraz, gdy się wycofywaliśmy, każdy chciał nas dopaść, a snajperzy mieli pole do popisu. Strzały z jednego z okien na poddaszu raniły jakiegoś podoficera. Niewielki oddział natychmiast ruszył, aby przeszukać podejrzany dom. Był pusty, poza parą wyrostków schwytych na poddaszu, którzy razem ze starym niemieckim karabinem, trzęsący się ze strachu zostali wrzuceni na pakę ciężarówki i czekali na decyzję generała Mercedesa. Tylko parę minut zabrało mu jej podjęcie. Pomimo młodego wieku mają być rozstrzelani. Przesunięto termin wykonania egzekucji, dopóki nie opuścimy Paryża. Rozstrzelanie ich pośród podnieconego tłumu mogło wywołać same problemy. Poza tym głupotą było zatrzymywanie kolumny wojska w środku wrogiego miasta. Pół godziny później, na oczach przerażonych chłopców, podoficer zmarł.

* Widzicie? * Porta zmusił ich, aby patrzyli na agonię. * Może to was nauczy, co może zrobić karabin?

Uderzył ich po twarzy i kazał siedzieć koło zabitego przez resztę podróży.

Po pewnym czasie odjechaliśmy dosyć daleko od Paryża. Zaczęło szarzeć, więc zatrzymaliśmy się na postój. Egzekucję przewidziano na jutrzejszy poranek. Trudno opisać furję majora Hinki, gdy odkrył następnego dnia, że chłopcy zniknęli. Porta jak zawsze pojawił się wśród podejrzanych. Heide twierdził, że widział Portę idącego samotnie do drzewa, przy którym trzymano chłopaków.

Było prawie pewne,

że wyprowadził urwisów w ciemność i kazał im uciekać, ratując życie. Natomiast Gregor i Gunther z drugiej strony przysięgali, że widzieli chłopaków jeszcze całkiem niedawno. Sprawę porzucono z powodu braku czasu i dowodów. Myślę, że nikt z nas nie miał wątpliwości, że wersja Heidego była prawdziwa.

Barcelona wynalazł gdzieś radiostację. W końcu udało mu się ustawić na angielsko brzmiącym nadawcy i z entuzjazmem zaczęliśmy poszukiwać długości fali. Dzięki niez mordowanym wysiłkom w kręceniu gałkami potencjometrów, skontaktowaliśmy się z punktem dowodzenia 3. Dywizji Pancерnej.

* Halo Jankesi! * krzyczał Barcelona. * Czy mnie słyszycie? Jak idą u was sprawy? Wszystko w porządku?

* Halo Fryc! U nas wszystko OK, a jak u was? * do rozmowy dołączył się ktoś z całkiem dobrą niemiecką.

* Nie tak źle! Powiedz mi, Jankesie, czy jest u was ktoś, kto pomógłby nam rozstrzygnąć palącą kwestię?

*Zależy jaka...

* Od czasu, jak ta cholerna wojna się zaczęła, próbujemy ustalić, jak na imię miała świnia Odyna.

* Świnia Odyna?

* Właśnie tak. Nastąpiła chwila przerwy.

* Naprawdę mówiłeś świnia Odyna?

* Tak * potwierdził Porta. Następną przerwę.

* Do diabła, czy jest jakiś podstęp w tym pytaniu? * dopytywał się angielsko*niemiecki głos podejrzliwie.

* Nie ma żadnego * odparł Barcelona * to najczystszy głód wiedzy.

* Poczekaj chwilę, spytam innych chłopaków. Czekaliśmy niezbyt długą chwilę i Jankes wrócił.

* Hej Fryc, wciąż tam jesteś? Tak się złożyło, że macie szczęście. Jeden z naszych chłopaków jest Norwegiem.

* To znaczy, że znacie odpowiedź?

* Pewnie tak, ale musicie spełnić jeden warunek.

* Jaki, Jankesie?

* Bardzo prosty: my wam podajemy imię świni, a wy się natychmiast poddajecie i kończymy tę cholerną wojnę. OK?

* Dla mnie OK * zgodził się Barcelona. * Ale fakty są takie, że jesteśmy w drodze do Adolfa, aby wbić mu trochę rozumu do głowy. No więc, jakie jest imię tej świni?

* Nazywała się Złota Szczota i nie należała do Odyna, tylko do Frei. Przynajmniej tak twierdzi nasz ekspert.

Ogarnęło nas wielkie zadowolenie. Natychmiast zaczęliśmy kontaktować się z innymi jednostkami, przekazując im dobrą nowinę

* Halo, Dietrich! Znamy imię świni Odyna!

* Halo, Heinz! Słyszałeś już o świni?

* Halo, Wolf! Znaleźliśmy imię świni Odyna. Tylko że to nie świnia Odyna, a Frei. Nazywała się Złota Szczota

* Do diabła! Pamiętałem kiedyś to imię i z pewnością nie była to Złota Szczota. Nazywała się Saer*imner. I na pewno należała do Odyna.

Rozgorzała zażarta dyskusja. Jankesi z 3. Pancernernej z uporem maniaka twierdzili, że nazwa brzmi Złota Szczota. Nie chcieli słyszeć o żadnej Saerim*ner i twierdzili, że to faszystowska propaganda. Wolf z kolei twierdził, że Jankesi wymyślili Złotą Szczotę i wpuszczają nas w kanał. Nie udało się rozwiązać tej sprawy.

Kolumna cały czas była w ruchu. Przekroczyliśmy Ren podczas olbrzymiej burzy, niebo było sta*lowoszare i padał niezwykle gęsty deszcz. Wzdłuż drogi ciągnęły się ruiny i stosy zgliszcz. Całe miasta zrównane z ziemią, ich mieszkańcy żyli w ruinach jak szczury. Czasami towarzyszyły nam gromady głodujących dzieci, które wyciągały do nas ręce cienkie jak zapalki, prosząc o kawałek chleba. Wszędzie panował odór wojny.

28. Dywizja Pancerna pod dowództwem generała Leclerca wkroczyła do Paryża następnego dnia rano. Dzwony kościelne były w całym mieście, a tłumy ogarnęła szaleńcza ekstaza. Jeśli jakiś Niemiec był na tyle głupi, aby pojawić się na ulicy, sam siebie wystawiał na niebezpieczeństwo utraty życia. Strażnicy z Fres*nes zostali zamordowani przez więźniów. Wszystkie kobiety podejrzane o związki z okupantami były strzyżone do gołej skóry, rozbierane do naga, a na ich ciałach malowano swastyki. Generał von Choltitz został aresztowany przez Amerykanów. Przez całą noc miasto było rozświetlone sztucznymi ogniami.

VIVE LA FRANCE!

Zamknęliśmy ten rozdział i siedzieliśmy patrząc na siebie.

* Wicie co? * powiedział Porta w końcu. * Nie dostarczyli staremu Choltitzowi dosyć sztucznych ogni, aby wysadzić w powietrze ten burdel. Idę o zakład, że jest on zajęty udowadnianiem, teraz iż ocalił miasto przed zagładą.

* Nigdy mu nie uwierzą * powiedział Barcelona.

* Poza tym * dorzucił Mały * pozostały wszystkie rozkazy i rozporządzenia.

Porta wzdrygnął się.

* Ci na górze zawsze potrafią odwrócić kota ogonem.

* Nie tym razem * powiedział Barcelona.

* Chcesz się założyć? * spytał Porta.

Spis rozdziałów

Rozdział 1

Zero litości w sektorze 91.....8

Rozdział 2

Ostatnia godzina.....41

Rozdział 3

Wzgórze Golgota.....63

Rozdział 4

Zakwaterowanie.....88

Rozdział 5

W stylu Hemingwaya.....130

Rozdział 6

Zaginiony karabin maszynowy.....157

Rozdział 7

Odkrycie amerykańskiego magazynu.....194

Rozdział 8

General von Choltitz składa wizytę Himmlerowi.....231

Rozdział 9

Czy Paryż można uratować?.....253

Rozdział 10

Wartownia w hotelu Meurice.....262

Rozdział 11

Ucieczka z więzienia Fresnes.....285

Rozdział 12

Z czerwonym płaszczem na Montmatrze306

Rozdział 13

Nocna wyprawa przez Paryż.....326

Rozdział 14

Gestapo kapituluje.....350

Rozdział 15

Wieczór w Paryżu.....374

Rozdział 16

Odmowa wykonania rozkazu.....397